Kapitalny debiut.
Mam ochotę na więcej.
Robert Ziębiński „Playboy Polska"
Borlik – warto
zapamiętać to nazwisko!
Katarzyna Puzyńska pisarka
BORLIK
PIOTR
BOSKA
PROPORCJA
Prószyński i S-ka

Spis treści

Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X
Rozdział XI
Rozdział XII
Rozdział XIII
Rozdział XIV
Rozdział XV
Rozdział XVI
Rozdział XVII
Rozdział XVIII
Rozdział XIX
Rozdział XX
Rozdział XXI
Rozdział XXII
Rozdział XXIII
Rozdział XXIV
Rozdział XXV
Rozdział XXVI
Rozdział XXVII
Rozdział XXVIII
Rozdział XXIX
Epilog

PIOTR BORLIK

BOSKA PROPORCJA

Prószyński i S-ka

Copyright © Piotr Borlik, 2019

Projekt okładki
Paweł Panczakiewicz
www.panczakiewicz.pl

Zdjęcie na okładce
© Rekha Garton/Trevillion Images

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Redakcja
Aneta Kanabrodzka

Korekta
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8169-609-8

Warszawa 2019

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Dla M.

Rozdział I

Matka to skarb, a miejsce skarbu jest głęboko pod ziemią.

Robert rozumiał to jak nikt inny. Na własnej skórze się przekonał, czym grozi pozostawienie mentalnej pępowiny, która z roku na rok coraz ciaśniej owija się wokół szyi i trzyma na uwięzi niczym smycz. Niematerialna, lecz tak mocna, że musiał ją odciąć jakże materialnym, twardym ostrzem. Wreszcie się uwolnił, ale to dopiero początek. Nowo odkrytej wiedzy nie zamierzał zachowywać tylko dla siebie. Na świecie roi się od pozbawionych skrupułów matek, które w imię źle pojętej miłości robią z dzieci pozbawione własnego zdania marionetki. Nie mógł na to pozwolić. Nie mógł bezczynnie patrzeć na ludzką krzywdę.

Lata obserwacji wyrobiły w nim zdolność szybkiego namierzania nadopiekuńczych mamusiek. Pierwszego września stadami wychodzą na ulice, by przypilnować pociech. Wyprasowana koszula, pachnący nowością tornister, nieobcierające stópek butki – wszystko dopięte na ostatni guzik. Rozumiał, że można tak traktować siedmiolatki, ale nie widział wytłumaczenia dla matek otaczających niewidzialną bańką starsze dzieci. Na jego oczach toksyczna miłość wysysała z nich całą energię. Nawet się nie obejrzą, a nie będą potrafiły radzić sobie w życiu bez podsuwanych pod nos obiadków, wyprasowanych skarpetek, opłaconych rachunków i wspólnych wieczorów z kochaną mamusią. Taką, jaką miał przed sobą.

Kobieta w szarym płaszczu w zasadzie nie wyróżniała się niczym szczególnym. Niewysoka, korpulentna, z włosami spiętymi gumką – dawno już przestała dbać o swój wygląd. Mazur zgadywał, że wolała kupić dziecku najlepsze buty do gry w piłkę, niż znaleźć nowszy model własnych znoszonych czółenek, pamiętających zapewne chrzest rozpuszczonego bachora. Wcale by go nie zdziwiło, gdyby pod płaszczem miała spraną, porozciąganą bluzkę, choć synalek biegał po boisku w stroju piłkarskim za kilkaset złotych. To jednak nie wygląd kobiety przykuwał uwagę, lecz jej zaangażowanie. Wzdrygała się podczas podbramkowych sytuacji, dodawała synowi otuchy po każdym niecelnym podaniu. Chłopak nie wykazywał się niczym szczególnym, ale to jej nie przeszkadzało, by głośno wyrażać zachwyt. Typowa cecha ślepej miłości, uznał. Widziała tylko sukcesy syna. To nic, że trzy razy z rzędu podał piłkę przeciwnikowi, a jego strzał minął bramkę o kilka metrów. Najważniejsze, że w decydującej chwili sfaulował rywala wychodzącego na czystą pozycję.

Mazur odpuściłby, gdyby chłopiec – na oko dwunastoletni – zrugał matkę za robienie mu wstydu przy kolegach albo przynajmniej się zaczerwienił, on jednak zdawał się potrzebować

maminego dopingu. Ten wręcz dodawał mu skrzydeł.

Robert nie potrzebował innych powodów do działania.

***

Sąsiadująca z parkiem Oliwskim prywatna szkoła podstawowa dla chłopców była najlepszym miejscem do szukania przyszłych ofiar. Mazur od wielu miesięcy obserwował kilka kobiet odwożących dzieci na lekcje. Jeszcze przed zakończeniem poprzedniego roku szkolnego planował przeciąć nożem kolejną pępowinę, ale szczęście mu nie dopisało i musiał obejść się smakiem.

Cieszyła go teraz perspektywa coraz krótszych dni. Wrześniowy chłód i wcześniejsze zachody słońca oznaczały mniejszą liczbę przechodniów, dzięki czemu łatwiej będzie podejść do nadopiekuńczej matki. Wydawać by się mogło, że najlepsze warunki do pracy będzie miał zimą, gdy zmrok nadchodzi najwcześniej, ale akurat wtedy władze miasta skutecznie utrudniają mu zadanie. Robert nie potrafił sobie wyobrazić głupszego pomysłu niż iluminacje świąteczne w parku Oliwskim. Nie dość, że niepotrzebnie trwoniono pieniądze podatników, to jeszcze wymarzone miejsce zbrodni co roku od listopada do końca stycznia zamieniano w centrum rodzinnej rozrywki, a on był zmuszony, by szukać ofiar w parku Reagana czy w innych pomniejszych skupiskach zieleni.

Teraz jednak mógł działać swobodnie. Dochodziła szesnasta, mecz powinien zakończyć się lada chwila. Do szkolnej szatni wpuszczano tylko uczniów, kobieta będzie musiała jakoś zagospodarować czas, zanim syn weźmie prysznic i przebierze się w przygotowane przez nią ubrania. Niezależnie od tego, czy pójdzie na spacer, czy poczeka pod szkołą, Mazur liczył na owocne zakończenie dnia.

Tak jak założył, wraz z końcowym gwizdkiem odprowadziła syna wzrokiem, a potem sama skierowała się w stronę parku. Odruchowo wymacał rękojeść noża w wewnętrznej kieszeni kurtki. Nic nadzwyczajnego. Ot, zwykłe ostrze, którym przed laty uwolnił się od niezdrowego układu z matką. Czasem go korciło, by sprawić sobie bardziej profesjonalną zabawkę, ale sentyment zawsze brał górę. Tu nie było miejsca na fajerwerki. Podczas podcinania gardła niewątpliwie odczuwał przyjemność, ale działał głównie z poczucia obowiązku.

Ciekawiło go, jaką trasę obierze nieznajoma. Pogrążona w myślach ani razu nie obejrzała się za siebie, nie musiał zatem trzymać dystansu. Na razie i tak nie mógł nic zdziałać. Wokół kręciło się zbyt wielu spacerowiczów.

– Nie stój jak cielę – syknął w jej kierunku, gdy zatrzymała się przy prostokątnym stawie.

Oddałby wszystko, żeby tylko weszła w sąsiednią alejkę, po obu stronach obsadzoną wysokim żywopłotem. Przy odrobinie szczęścia podbiegłby, szybko dokonał dzieła i zniknął niezauważony, ale niestety, mamuśka ruszyła wzdłuż brzegu. Po drugiej stronie wody siedziała na ławce starsza para i dokarmiała kaczki. Ubrani w ciepłe kurtki i czapki, okutani szalikami, wyglądali, jakby planowali tam przezimować. Kilka metrów dalej dwie dziewczyny spacerowały z wózkami i najwyraźniej zmierzały w tę samą stronę, co jego cel.

Korciło go, by mimo wszystko doskoczyć do kobiety i nic sobie nie robiąc z obecności

świadków, poderżnąć jej gardło. I tak nikt nie zobaczy jego twarzy. Staruszkowie mogli w ogóle nie zwrócić na niego uwagi, a młode matki co najwyżej zaczną histerycznie krzyczeć i wzywać policję. Zanim na miejscu zjawi się patrol, on już dawno wróci do domu i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku otworzy butelkę wybornego wina.

– Żadnych głupich akcji – skarcił się pod nosem. – Zero ryzyka. Pełen profesjonalizm.

Najwyżej pójdzie za kobietą do samochodu i zanotuje numery rejestracyjne. Tyle wystarczyło, by namierzyć miejsce zamieszkania. Dotąd nie odwiedzał ofiar w domach, ale tak dawno nie przecinał pępowiny, że czekanie na kolejną akcję było męką. Ręce drżały mu z podniecenia – zupełnie jak wtedy, gdy zabił pierwszy raz. Krótka abstynencja ma swoje dobre strony, uznał, oblizując wargi.

Jak na złość, nieznajoma poszła w stronę drugiego wyjścia. Jeśli skręci w Rybińskiego, to koniec. Mazur nawet w nocy nie zdecydowałby się na atak w tak ruchliwym miejscu. Mniej ryzykowałby na rzadziej uczęszczanej ulicy Kanapariusza, ale godzina była jeszcze zbyt wczesna, żeby myśleć o czymś takim.

Poczuł nagłą potrzebę działania.

– Halo! – krzyknął, momentalnie żałując podjętej decyzji. – Proszę pani! Proszę na mnie poczekać!

To był błąd. Robert zdawał sobie z tego sprawę, ale mimo to z uśmiechem skinął głową. Jeśli kobieta dostrzegła go wcześniej, kiedy gapił się na nią podczas meczu, całą akcję szlag trafi. Nie po to miesiącami pracował z psychologiem, żeby teraz działać impulsywnie. Czasem trzeba odpuścić – Artur powtarzał mu to jak mantrę w czasie cotygodniowych sesji. Zagryźć zęby i poczekać na dogodniejszą okazję.

Trzeba przyznać, że trafił mu się terapeuta z powołania. Zamiast wygłaszać psychologiczne bzdury albo od razu wysłać go do czubków, spojrzał na problem w życiowy sposób. Nie potępiał Roberta. Nie nazywał go mordercą ani psychopatą. Poprzednim łapiduchom Mazur nie był w stanie wyznać prawdy. O tym, co robił, opowiadał jak o nocnych majakach, co i tak brzydziło pożal się Boże specjalistów. Ale nie Artura. On był inny. W tych swoich eleganckich garniturach wyglądał co najmniej jak dyrektor banku. Już sam fakt, że przyjmował tylko wybranych pacjentów, świadczył o jego renomie i nietypowym podejściu. Mazur wiedział, że powinien przystopować, ale czekał już tak długo…

– Dzień dobry – zawołał ponownie, podchodząc bliżej. – Przepraszam, że niepokoję, ale wydaje mi się, że nasze dzieci chodzą do tej samej klasy.

– Doprawdy?

Patrzyła na niego nieufnie, odruchowo przyciskając torebkę do tułowia. Rozejrzała się nerwowo, szukając wzrokiem innych spacerowiczów, ale po chwili nieco poluzowała uścisk – najwyraźniej zdał pierwszy test. Nie wyglądał na złodzieja ani zboczeńca, a obecność starszej pary i spacerujących nieopodal kobiet dodała jej odwagi.

– Chyba nigdy nie mieliśmy przyjemności się poznać – dodała, wciąż z lekką niepewnością.

– Zwykle to żona przywozi i odbiera naszego urwisa, ale dziś padło na mnie. Przepraszam,

że niepokoję, ale skojarzyłem panią z zebrania rodziców, dlatego pozwoliłem sobie zawołać. Spóźniłem się na mecz, a obiecałem, że będę kibicował. Może mi pani pokrótce streścić przebieg? Pani Krystian coś strzelił?

Wystarczyło, by wspomniał o chłopcu – jego imię wykrzyczała tyle razy, że nie sposób było go nie zapamiętać – a twarz kobiety się rozpromieniła. Nieufność znikła w jednej chwili. Długie lata, które przepracował jako doradca klienta, i terapia nauczyły go, jak przekonywać do siebie nieznajomych. Często wystarczył uśmiech, by przełamać pierwsze lody. W tym wypadku sprawę ułatwiała toksyczna miłość matki do syna.

– Raz był bliski, ale spudłował – odpowiedziała z entuzjazmem. – On zresztą lepiej czuje się na obronie. Jest wyższy i silniejszy od kolegów, więc biega trochę wolniej, ale za to dobrze mu idzie w polu karnym.

– Rzeczywiście, chłop jak dąb. A ktoś strzelił bramkę czy znowu było na zero? Czasem żałuję, że mój chłopak nie wybrał koszykówki. Tam przynajmniej więcej by się działo.

Czuł na sobie jej spojrzenie. Był już tak blisko. Nie mógł teraz nawalić. Z trudem odwracał wzrok od szyi wołającej o ostrze. Oczyma wyobraźni widział, jak zalewa ją krew, jak zdziwione spojrzenie kobiety zachodzi mgłą, jak przecięta pępowina uwalnia nastolatka z toksycznej uwięzi.

Zrobił kilka kroków w bok, byle tylko oddalić się od ruchliwej ulicy.

– Ale co ja tam wiem o sporcie. – Machnął ręką. – Sam zawsze stawałem na bramce, bo marny był ze mnie zawodnik. Żona to się śmieje, że ogląda więcej meczów w telewizji niż ja. Nie wiem, jakoś nie potrafię znaleźć przyjemności w dopingowaniu zgrai facetów ganiających za dmuchaną piłką.

– Trochę pana rozumiem. Jeszcze dwa lata temu nie wiedziałam, co to spalony. Ale Krystek mnie podszkolił i mogę teraz przeżywać emocje razem z nim. To dla niego ważne.

Robert nie wątpił w szczerość jej słów. Świadomie czy nie, swoim zachowaniem kastrowała syna i uzależniała go od siebie. Z jego matką było podobnie. Najpierw wspólne zabawy, spacery i odprowadzanie do szkoły, potem pomaganie w lekcjach, pytania o nowe znajomości i plany na wakacje. Nawet studia mu wybrała, a większość pracy magisterskiej wyszła spod jej ręki. Gdyby nie zareagował w porę, zapewne znalazłaby mu żonę i pomogła spłodzić syna.

– Nie będę dłużej pani niepokoił. – Uśmiechnął się ciepło, po czym ruszył w stronę obsadzonej wysokim żywopłotem alejki. Zrobiwszy parę kroków, odwrócił się w kierunku kobiety. – Chyba że pani też już wraca, to możemy przejść się razem.

Przez chwilę rozważała propozycję. Biła się z myślami: rozsądniej byłoby wyjść na ulicę i okrążyć park, ale wtedy nie mogłaby rozmawiać na swój ulubiony temat. Zapewne uwielbiała opowiadać o Krystianie i jego wybitnych umiejętnościach. Co z tego, że codziennie pomagała mu w lekcjach, a on, zamiast pisać wypracowania, wolał grać na komputerze, dla niej i tak był nieskazitelnym diamentem.

Wciąż się wahała. Musiał ją dodatkowo zachęcić.

– Ciekaw jestem nowego planu lekcji – dodał. – Osobiście uważam, że dzieci powinny mieć więcej zajęć z matematyki. Najwięcej pracy jest dla inżynierów i informatyków, trzeba

w chłopakach wyrobić zainteresowanie w tym kierunku, a nie męczyć lekturami czy budową wewnętrzną pantofelka.

Z trudem powstrzymał triumfalny uśmiech, gdy kobieta ruszyła w jego stronę. Najwidoczniej trafił w czuły punkt.

– Jestem tego samego zdania – oświadczyła. – Krystek ma smykałkę do komputerów, ale w dzisiejszych czasach to za mało. Nie zostanie przecież serwisantem sprzętu. Tak lubi gry, że pewnie niedługo sam będzie pisał nowe.

– No tak, a bez matematyki ani rusz.

Szli wolnym krokiem w stronę stawu. W odpowiednim momencie celowo lekko skręcił, by zamiast ścieżką prowadzącą wzdłuż wody przeszli kilkanaście kroków dalej, do równoległej alejki. Pulsująca w żyłach adrenalina zagłuszała słowa mamuśki, która zapewne bełkotała coś o przestarzałym systemie edukacji czy zbyt dużej ilości materiału do przyswojenia. Dla Roberta nie miało to najmniejszego znaczenia. Liczyła się tylko pępowina i…

Rozległ się głośny krzyk. Po chwili dołączył do niego kolejny, wyraźniejszy, który przerodził się w wołanie o pomoc.

– Co, u licha? – spytała kobieta, spoglądając na Roberta.

Mazur z trudem powstrzymał cisnące się na usta przekleństwa. Był już tak blisko. Wystarczyło kilka kroków, by dotarli w ustronne miejsce, a tu ktoś postanowił popsuć mu zabawę.

– Może zadzwonić po policję? – dodała.

Od strony palmiarni biegły dwie dziewczyny, od stóp do głów ubrane na czarno. Wyglądały, jakby zamiast świętować uroczyste rozpoczęcie roku szkolnego, wybrały imprezę z tanim winem i gitarą akustyczną. Im akurat przydaliby się nadopiekuńczy rodzice, stwierdził w myślach Robert. Widok panien w podartych spodniach i z przekłutymi uszami utwierdził go w przekonaniu, że zniesienie mundurków było chybionym pomysłem. Kto to słyszał, żeby nastolatka chodziła po ulicy w koszulce z pentagramem i wizerunkiem nagiej kobiety w środku. Do tego ta dołująca czerń. Dziewczyny powinny ubierać się w jaśniejsze, przyjemniejsze dla oka kolory.

– Ona nie żyje! – wrzeszczała niższa z nastolatek.

Druga chciała coś dodać, ale tylko się zatoczyła, zasłaniając usta dłonią.

– Ludzie, zróbcie coś! – Trzeźwiejsza z dziewczyn błagalnie spojrzała na Roberta. – Tam jest trup!

Ktoś mnie ubiegł, pomyślał. Spojrzał na stojącą obok kobietę, zastanawiając się, czy ma jeszcze choć cień szansy na poderżnięcie jej gardła. Była roztrzęsiona, mógłby więc zaoferować jej pomocne ramię i odprowadzić ją do samochodu, tyle że głupie smarkule oczekiwały od niego reakcji. Gotowe jeszcze pójść za nim i skomleć o pomoc.

– Sprawdzę, co się stało – rzucił niechętnie. – Niech pani wezwie policję i popilnuje tych małolat. Mam nadzieję, że to tylko głupi żart.

– A czy to bezpieczne?

Wzruszył ramionami. Tak naprawdę chciał jak najszybciej się od nich oddalić. Ręce wciąż drżały mu z podniecenia, a brak możliwości zaspokojenia żądzy doprowadzał go do

wściekłości. Najchętniej wyjąłby nóż i pochlastał durne dziewuchy, przez nie musiał obejść się smakiem. Czekał go trudny wieczór i jeszcze gorsza noc. Być może nie wytrzyma bez niezapowiedzianej wizyty u Artura. Tylko co mu powie? Przecież się nie przyzna, że wdał się w rozmowę z potencjalną ofiarą. Kamiński wiele razy mu tłumaczył, jak powinien podchodzić do kobiet. Dziesiątki godzin pracowali nad tłumieniem emocji i planowaniem każdego kroku na chłodno. Jeśli psycholog się dowie, co zrobił, gotów wyrzucić go z terapii!

Nie, o niczym mu nie powie. W ogóle się z nim nie skontaktuje. Jakoś sobie poradzi. W ostateczności pójdzie do burdelu i za dodatkową opłatą obije twarz jakiejś Ukraince. To powinno go uspokoić, przynajmniej na chwilę. Przetrwa noc, a z samego rana wróci w okolice parku i dorwie jakąś toksyczną matkę. Nieważne już którą. Wszystkie są takie same.

Nagle coś zrozumiał.

– Nie, kurwa! – krzyknął, mijając rozhisteryzowane nastolatki.

Spojrzały na niego dziwnie, ale szedł dalej. Dopiero teraz do niego dotarło, że trup w parku oznaczał wzmożone patrole policji przez kilka najbliższych tygodni, co uniemożliwi mu działanie. Przecież czekał na to całe wakacje! Nie mogli mu tego zrobić. Nie po tylu miesiącach posuchy. Nie, kurwa, tak się po prostu nie robi!

Dysząc z wściekłości, dotarł do palmiarni. Drzwi do oszklonego budynku były otwarte, ale żeby się do nich dostać, musiał przejść pod rusztowaniem. Na tablicy informacyjnej przeczytał wzmiankę o pracach renowacyjnych i zamknięciu obiektu dla zwiedzających. W środku nikogo nie było. O remoncie świadczyły tylko chaotycznie porozrzucane materiały i kolejne rusztowania. Od progu buchnęło wilgotne, ciepłe powietrze.

Rozejrzał się wokół. Prócz wysokich palm i innych tropikalnych roślin, których nazw nie znał, nie dostrzegł nic interesującego. Żadnych zwłok, na wyłożonej kostką podłodze nie było nawet kropli krwi. W środku panował półmrok. Wszedł dalej. Budynek był wysoki, ale zajmował zaledwie kilkadziesiąt metrów kwadratowych, obejście wszystkiego nie powinno zająć dużo czasu. Skoro już stracił szansę na skorzystanie z noża, to przynajmniej popatrzy sobie na świeże zwłoki, pocieszał się Mazur. Tych jednak nigdzie nie dostrzegł.

Doszedł do centralnego punktu pomieszczenia, gdzie rosła ogromna palma. Wokół stały rusztowania, a dach przesłonięto pilśniowymi płytami. Daktylowiec wyglądał imponująco, Robert nie przyszedł tu jednak, by podziwiać rośliny. Poza tym nie odpowiadały mu wysoka temperatura ani wilgoć panujące w pomieszczeniu. Jak najszybciej chciał stamtąd wyjść.

– Gdzie byś pił na miejscu dzieciarni? – spytał na głos. – Raczej nie pod wielką palmą, tylko gdzieś z boku, żeby robotnicy nie widzieli. Chyba że młodzi nie mają teraz za grosz przyzwoitości i chlają, gdzie popadnie.

– Halo?! – W odpowiedzi usłyszał głos kobiety w szarym płaszczu. – Jest pan tam?

– Jestem, jestem! – krzyknął przez ramię. – Dziewczyny chyba z nas zażartowały. Może ich koleżanka wypiła za dużo i ucięła sobie drzemkę. Smarkule wybiegły i zaczęły krzyczeć, to się ocknęła.

– Zadzwoniłam po policję. Ktoś powinien tu przyjechać w ciągu kilku minut. – Kobieta zbliżała się do niego. – Pomyślałam, że wrócę do szkoły, bo chłopcy już pewnie skończyli

się przebierać. Mogę poczekać tam z Krystianem i pańskim synem, tylko… – Uśmiechnęła się z zakłopotaniem. – Przez to wszystko nie zdążyliśmy się sobie przedstawić.

Spojrzał na nią, przygryzając wargę. Była tak blisko. Wystarczyło podejść, wyciągnąć nóż i rozkoszować się zaskoczeniem na jej twarzy. Robert jednak nie był pewien, czy w budynku nie zainstalowano monitoringu. Poza tym głupie smarkule mogły zapamiętać jego twarz. Nie dość, że doniosłyby policji, to od razu przypisano by mu jeszcze jedną zbrodnię – jeśli w ogóle do niej doszło.

– Dość już narozrabiałeś. – Usłyszał w głowie głos psychologa. – Czy ty w ogóle nie masz wyobraźni? Wracaj do domu i odczekaj kilka dni!

– Proszę się tak do niego nie zwracać – odpowiedział mu głos matki Mazura. – Robuś jest bystrym chłopcem i sam wie, co dla niego dobre.

Mężczyzna zatkał dłońmi uszy i zacisnął powieki.

– Nie teraz – jęknął. – Błagam, zostawcie mnie w spokoju.

O dziwo, poskutkowało. Zwykle tego typu dialogi trwały w nieskończoność, głównie przez matkę, która potrafiła godzinami bronić go przed atakami Kamińskiego. Najgorzej było, kiedy do dyskusji włączały się wcześniejsze ofiary Roberta. Wtedy wszyscy podnosili głos i wyzywali się od najgorszych, a do ich opanowania mężczyzna potrzebował co najmniej dwóch butelek wina.

Otwierając oczy, przypomniał sobie o obecności kobiety w szarym płaszczu. Po spektaklu, który przed chwilą odegrał, zapewne będzie się trzymać od niego z daleka.

Tak jak przypuszczał, niedoszła ofiara stała jak wryta z wystraszoną miną. Wyraz jej twarzy nie pozostawiał złudzeń – uznała go za wariata. Aż dziwne, że od razu nie pobiegła do wyjścia. Może sparaliżował ją strach? Robert uśmiechnął się do własnych myśli. Takiej przychylności losu się nie spodziewał. Nawet wilgoć i wysoka temperatura przestały mu przeszkadzać.

Włożył dłoń do wewnętrznej kieszeni kurtki i dotknął ostrza. Kobieta wciąż stała jak słup. Nie patrzyła jednak na niego. Głowę miała zadartą do góry, jakby wypatrywała już spotkania ze Świętym Piotrem.

– Matko Boska… – szepnęła.

Wreszcie normalna reakcja, stwierdził z satysfakcją. Odcinanie pępowiny otumanionej ofierze odzierało dzieło z dramatyzmu. Samo uwolnienie nastolatka traktował jako misję, ale cała otoczka stanowiła swego rodzaju zapłatę za jego poświęcenie. Nie po to narażał się dla chłopaka, żeby nie czerpać z tego choćby odrobiny przyjemności.

Zrobił krok do przodu. Żywił cichą nadzieję, że to otrzeźwi kobietę i rzuci się ona do rozpaczliwej ucieczki. Byłoby miło przewrócić ją w tropikalne rośliny i tam dokończyć dzieła. Ale nie, głupia bladź nawet nie drgnęła.

– Co to? – jęknęła tylko, gdy stanął obok niej. Wciąż gapiła się w ten sam punkt. – To nie może być człowiek.

Robert niechętnie zadarł głowę do góry. Nie wiedział, co mogło tak przykuć uwagę nieznajomej, że nawet nie spojrzała na oprawcę.

Odpowiedź przyszła błyskawicznie.

Stał z dłonią zaciśniętą na rękojeści noża, nie mogąc oderwać wzroku od zawieszonego kilka metrów wyżej ciała. Szukał zwłok na ziemi, podczas gdy nad sobą miał prawdziwe dzieło sztuki. Inaczej nie mógł tego nazwać. Ciało przytwierdzone do pnia wyglądało, jakby wyrastało prosto z niego. Wrażenie potęgował fakt, że w całości było pokryte zielonymi roślinami. Dopiero po dłuższej chwili Mazur rozpoznał koniczynę. Z dołu wydawało się, że listki wyrastają ze skóry nieboszczyka, jeden przy drugim. Pokrywały też liny, którymi ofiarę przywiązano do drzewa. Robert nie rozumiał przesłania, ale nie przeszkadzało mu to w podziwianiu artyzmu.

– To jest… piękne – jęknął podekscytowany.

Stojąca obok kobieta spojrzała na niego przerażona. Sądziła, że spotkało ją coś strasznego, i nawet do głowy jej nie przyszło, że cudem uszła z życiem.

Rozdział II

Komisarz Agata Stec od pięciu minut szukała miejsca parkingowego. Ulice Rybińskiego, Kanapariusza, Polanki, a nawet Schopenhauera, były w całości pozastawiane, co doprowadziło ją do wściekłości. W takich chwilach żałowała, że zrezygnowała ze swojego fiata 500 i dała się namówić na blisko dwukrotnie większego forda. Co jej do łba strzeliło, żeby posłuchać kolegów z pracy? Po co bezdzietnej rozwódce większy bagażnik? Po co dwulitrowy silnik? W dupie miała liczbę koni mechanicznych, a reszta parametrów brzmiała niczym czarna magia. I tak jeździła autem wyłącznie po mieście, a zakupy najczęściej zamawiała z dostawą do domu.

– Pies to jebał – warknęła, wjeżdżając na chodnik. I tak już była spóźniona. Niech no tylko któryś z krawężników wystawi jej mandat lub założy blokadę. Od razu go dorwie i jasno mu wytłumaczy, jak wielki popełnił błąd. Kto to w ogóle słyszał, żeby przy parku Oliwskim nie było dużego, bezpłatnego parkingu?

Kłopoty ze znalezieniem miejsca tylko dolały oliwy do ognia. Od rana jej dzień przypominał jedno wielkie nieporozumienie. Nienawidziła budzić się w obcym łóżku z obcym facetem. Sytuacji nie poprawiła jego dziesięcioletnia córka, która radośnie wparowała do sypialni, bo ojciec obiecał jej podwózkę do szkoły. Agata dawno już tak się nie wstydziła. Bez słowa się ubrała i wróciła do domu taksówką, co wcale nie oznaczało końca komplikacji.

Zimny prysznic i równie zimna kawa przypomniały jej o samochodzie pozostawionym poprzedniego wieczoru gdzieś w centrum. Tylko gdzie? Na szczęście jej lista ulubionych nocnych klubów liczyła tylko cztery pozycje, po godzinie odetchnęła więc z ulgą. No, może nie do końca, bo wciśnięty za wycieraczkę mandat za nieopłacone parkowanie ponownie podniósł jej ciśnienie. Gdyby nie wezwanie na miejsce zbrodni, dorwałaby krążącego po okolicy służbistę i wepchnęła mu świstek w gardło.

Minęła piąta, a przez to całe zamieszanie nie zdążyła nawet zjeść śniadania. Głowa pękała jej z powodu kaca i niewyspania. We krwi zapewne wciąż krążył alkohol. Nic, tylko zamknąć się w domu, strzelić klina i zapomnieć o całym świecie. Na to się jednak nie zapowiadało.

Po wejściu do parku od razu ruszyła w kierunku palmiarni. Na co dzień unikała tego typu miejsc. Nie lubiła patrzeć na spacerujące rodziny, matki z dziećmi czy starsze pary uroczo trzymające się za ręce. Przypominało jej to o własnej porażce, przez którą do dziś budziła się z obcymi facetami w łóżku.

Teraz jednak z powodu morderstwa park zamknięto dla spacerowiczów. Wokół palmiarni roiło się za to od dziennikarzy, którzy zza policyjnej taśmy wykrzykiwali pytania, jakby oczekiwali ekskluzywnego wywiadu z denatem. Stec na widok reporterów dostawała białej gorączki. Zmęczona ciężką nocą i porankiem, minęła tłumek, czekając tylko, aż ktoś zapyta ją o szczegóły sprawy. Trudno o dogodniejszą okazję, by rozładować negatywne emocje. Jak na złość, nikt jej nie zaczepił. Policjant pilnujący porządku podniósł taśmę, by mogła swobodnie przejść. Kojarzyła jego twarz. Sądząc po głupawym uśmieszku, on też ją kojarzył. W duchu dziękowała, że do niej nie zagadał. Dość już miała kłopotów z kolegami.

W palmiarni było nieprzyjemnie ciepło. Tuż za progiem poczuła zawroty głowy; gdyby nie pusty żołądek, na bank skończyłoby się to zwróceniem śniadania. Przystanęła i przytrzymała się metalowego słupka.

– Dasz radę – mruknęła pod nosem. – Rusz dupę i miej to za sobą.

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Wilgoć i duchota w pomieszczeniu obnażyły jej niedyspozycję. Najchętniej nakazałaby podwładnym, by wynieśli ciało na zewnątrz, gdzie przynajmniej było czym oddychać.

– Agata, do chuja pana! – Usłyszała znajomy głos. – Ruszże się, bo gorąco tu jak w piekle.

Podniosła wzrok. Podkomisarz Karol Olkowski stał kilka metrów przed nią. Niski i niezdrowo chudy, wyglądał, jakby zakończył proces dojrzewania pod koniec podstawówki. Agata często podśmiewała się, że powinien nosić ubrania dla dzieci, bo nawet najmniejsze dla dorosłych wisiały na nim jak na wieszaku. Tak też było i tym razem, choć wilgotny materiał miejscami przylegał do jego ciała.

– Idę przecież – odburknęła. – Mów lepiej, co tu mamy.

Mężczyzna otarł pot z czoła. Jego zmęczona twarz dodała Agacie otuchy. Najwyraźniej nie tylko ona czuła się tu nie najlepiej.

– Sama musisz to zobaczyć. Technicy już zabezpieczyli ślady.

– Świadkowie?

– Ciało znalazły dwie wstawione małolaty. Urządziły sobie wagary w niewłaściwym miejscu. Jak wytrzeźwieją, to spiszemy ich zeznania. Przepytaliśmy też kobietę, która wezwała policję i…

Spojrzała na Olkowskiego wyczekująco, ale nie kontynuował. Nie miała ochoty na zabawę w zgadywanki.

– No? – spytała. – Mam cię prosić czy co?

– Coś ty taka drażliwa? Nie dość, że wyglądasz jak zombi, to jeszcze cuchniesz jak… jak jebane zombi.

– Bóg ci nie dał wyglądu, to przynajmniej mógł sypnąć trochę intelektu. Powiesz, o co chodzi, czy mam się bawić w quizy?

Dotarli do wysokiej palmy. Wokół stało kilkoro policjantów, którzy tylko zabierali tlen.

– Spisaliśmy też jednego typka – odparł w końcu podkomisarz. – Dziwny gość. Przyjechał odebrać dzieciaka ze szkoły, tak przynajmniej twierdziła ta babka. Spacerowali razem po parku, kiedy dziewczyny zaczęły wzywać pomocy. Facet nie jest zbyt rozmowny. Już mieliśmy go puścić, kiedy zaczął wypytywać o zwłoki, jakby go to rajcowało. Jest w nim

coś niepokojącego. Trzeba będzie go prześwietlić. Może psychol nie wytrzymał i zbyt szybko wrócił na miejsce zbrodni?

Komisarz klepnęła mężczyznę w ramię. Pod palcami poczuła przepocony materiał.

– A gdzie trup? – Rozejrzała się wokół.

Olkowski pokazał głową w kierunku palmy. Już miała zrugać go za kolejną zagadkę, gdy dostrzegła przytwierdzone do pnia ciało. Dwóch techników stojących na umocowanym obok rusztowaniu próbowało odwiązać zwłoki i spuścić je na ziemię.

– Ja pierdolę – powiedziała z zaskoczeniem.

Podkomisarz pokiwał głową. Najwidoczniej nie tylko ona zareagowała w taki sposób.

Zmrużyła oczy i ponownie spojrzała w górę. Ciało powieszono wysoko, jakieś trzy metry nad ziemią. W całości pokryte roślinnością, wyglądało prawie jak rzeźba wycięta z żywopłotu. Płeć ofiary sugerowały tylko długie, rozpuszczone włosy. Nieboszczka unosiła głowę ku górze. Warstwa zieleni uniemożliwiała rozpoznanie rysów twarzy, wyróżniał się tylko zionący otwór szeroko otwartych ust.

Policjantka próbowała się domyślić, w jaki sposób morderca umieścił zwłoki tak wysoko. Ciasno przylegały plecami do palmy, splecione z tyłu ręce obejmowały pień. Oplatał je ciemny sznur, przypominający…

– Owinął ją wnętrznościami, pieprzony świr – zaklęła.

Z niedowierzaniem spojrzała na Olkowskiego. Mężczyzna przypatrywał jej się z krzywym uśmieszkiem.

– Popatrz na to – powiedział, wskazując coś butem.

Schyliła się i podniosła leżącą na ziemi koniczynę.

– Czterolistna. Może wreszcie szczęście zacznie mi dopisywać, bo na razie zaliczam wpadkę za wpadką.

– Słabe to szczęście – mruknął.

– Nie mów, że… – Urwała nagle.

Technikom udało się ściągnąć ciało na rusztowanie. Rozsypało się przy tym mnóstwo zielonych, delikatnych listków; opadały na podłogę niczym płatki śniegu. Mimo ponurych okoliczności Agata stwierdziła, że dawno nie widziała czegoś tak pięknego. Najwyraźniej nie była w tym odosobniona, bo dwóch stojących obok policjantów wyjęło telefony i zaczęło filmować miejsce zbrodni.

– Pojebało? – Naskoczyła na jednego z nich. – Może jeszcze chcesz to wrzucić na YouTube?

– Ja tylko…

– Tylko co?

– Już, już, kasuję. Wyluzuj.

Technicy zaczęli opuszczać ciało. Kilka kolejnych listków opadło jej na twarz i mundur. Z ramienia zdjęła kolejną czterolistną koniczynę. Dopiero teraz spostrzegła, że roślina była nienaturalnie sztywna, jakby zasuszona, choć zdrowy zielony kolor zdawał się temu przeczyć.

– Niech technicy dokładnie zbadają te koniczyny – rzuciła do Olkowskiego. – Na moje

oko czymś je zaimpregnowano. Sprawdźcie też, po ile mają listków. Jeśli wszystkie są czterolistne, to trafiliśmy na wyjątkowo wytrwałego psychola, który w ten sposób być może usiłuje nam coś zakomunikować. Skonsultuj się z botanikiem, biologiem czy kimkolwiek, kto powie nam coś więcej o koniczynie i możliwości wyhodowania jej na ludzkiej skórze.

– Ten zjeb je poprzyszywał! – krzyknął jeden z techników. – W życiu nie widziałem czegoś podobnego.

Agata spojrzała w górę. Zdążyła już przywyknąć do nieprzyjemnej duchoty panującej w palmiarni, ale i tak wolałaby odetchnąć świeżym powietrzem.

– Może to jakiś wyjątkowo przesądny Irlandczyk? – zażartował Olkowski.

– Znamy tożsamość ofiary? – spytała, ignorując komentarz.

– Nie znaleźliśmy żadnych dokumentów. Smarkule też twierdzą, że nie przyszła tutaj z nimi. Jak ogarnę temat, to przedzwonię do Kaśki, żeby przeszukała bazę zaginionych. Pewnie ktoś już jej szuka.

– No dobra, to dopilnuj, żeby ciało zabezpieczono, i zleć wszystkie badania. Ja pogadam z zarządcą parku, dawno już powinni go tu ściągnąć. Trzeba też wypytać ekipę remontową. Nie rozumiem, jakim cudem nikt tej dziewczyny wcześniej nie znalazł.

Zawodowa ciekawość dodała jej energii. Wreszcie trafiła na coś interesującego, a nie na kolejny gwałt czy zbrodnię w afekcie. Dla takich spraw zatrudniła się w policji. Nie pozwoli, by kac i zmęczenie obniżyły jej wydajność.

***

Stec nie lubiła rozmawiać z pracownikami budżetówki. Słabo już sobie radziła z szeregowymi urzędnikami, którzy, jak uważała, zawsze mieli na wszystko za dużo czasu, ale prawdziwy koszmar zaczynał się dopiero w kontakcie ze zwierzchnikami. Dawno już dostrzegła zależność – im dłuższy staż, tym większa skostniałość i brak chęci do współpracy. Wolała już drobnych cwaniaczków i wyjadaczy z korporacji, którzy przynajmniej mieli mózgi na właściwym miejscu i konkretnie odpowiadali na pytania, zamiast przerzucać odpowiedzialność na inne wydziały.

Rozczarowała ją informacja, że park Oliwski nie ma kompetentnego menedżera, tylko podlega Gdańskiemu Zarządowi Dróg i Zieleni, a ściślej – kierownikowi działu utrzymania zieleni. Dość powiedzieć, że zjawił się na miejscu dopiero godzinę po wezwaniu i zachowywał się, jakby robił policji łaskę. Biedaczysko nie przywykło do pracy po godzinach.

Stała kilka metrów dalej, ale słyszała, jak Olgierd Bogdanowicz przedstawia się policjantowi pilnującemu porządku w obrębie terenu odgrodzonego taśmą. Westchnęła na widok starszawego jegomościa w brunatnym płaszczu i filcowym kapeluszu. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby ktoś jej powiedział, że dziad od trzech dekad piastuje to samo stanowisko. Doskonale znała ten typ ludzi. Stała pensyjka, ciasne mieszkanie, ten sam samochód od dziesięciu lat i przekonanie, że życie jest niesprawiedliwe. Zamiast wziąć się do roboty, woleli okopać się na bezpiecznej pozycji i torpedować wszelkie zmiany, a potem mieli pretensje do całego świata, że znajomi z młodości jeżdżą luksusowymi samochodami

i mają po kilka kochanek, podczas gdy oni z trudem odkładają pieniądze na cotygodniową wizytę w burdelu.

– Przepuść go! – krzyknęła do funkcjonariusza stojącego przy taśmie. Wciąż nie mogła sobie przypomnieć, jak ma na imię.

Mężczyzna w brunatnym płaszczu od razu ruszył w kierunku palmiarni, zupełnie ignorując policjantkę.

– Moment! – zawołała. – Komisarz Agata Stec, to ze mną będzie pan rozmawiał. Do środka pana nie wpuszczę, technicy jeszcze kończą pracę.

Zatrzymał się i spojrzał na nią krzywo.

– Myślałem, że sprawę prowadzi mężczyzna.

Najwyraźniej do cech kierownika działu utrzymania zieleni mogła dopisać seksizm. W jego łysej łepetynie nie mieściło się, że kobiety mogą piastować wysokie stanowiska. Najlepiej, gdyby siedziały w domach i wychowywały dzieci, a jeśli już muszą pracować, to niech zatrudniają się jako sekretarki albo hostessy. Nie przeszkadzało to, oczywiście, starym dziadom załatwiać intratnych posadek swoim córeczkom. Banda hipokrytów.

– No to spotkało pana rozczarowanie – odparła spokojnie Agata. – Kolejnym będzie konieczność zamknięcia palmiarni i okolicznych terenów na kilka najbliższych dni.

– I to pani o tym decyduje? Palmiarnia i tak jest zamknięta z powodu remontu.

Nie miała czasu ani ochoty na słowne przepychanki. Kiedyś wyjaśniłaby mu w kilku ostrych słowach, jak należy okazywać szacunek wobec munduru, ale dawno już wyrosła z potrzeby udowadniania własnej wartości.

– Jak pan już zapewne wie, w okolicach godziny szesnastej w mieszczącej się za naszymi plecami palmiarni znaleziono zwłoki kobiety. Prowadzę tę sprawę i w związku z tym mam do pana kilka pytań. Rozumiem, że dostęp do środka powinna mieć tylko ekipa remontowa?

– Tak. Prace zaczęły się w zeszłym miesiącu, ale co to ma do rzeczy?

Sprawiał wrażenie urażonego, jakby uwłaczało mu składanie wyjaśnień przed kobietą. Co rusz zerkał w kierunku wejścia do palmiarni, unikając wzroku policjantki.

– Pan osobiście nadzorował prace? Dlaczego o godzinie szesnastej nikogo nie było na miejscu, a drzwi były otwarte?

– Co też pani opowiada? – Wyprostował się nagle jak struna. – Prace trwają od godziny szóstej rano do osiemnastej. Zresztą nie będziemy teraz o tym rozmawiać. Muszę wejść do środka i dopilnować, żeby nikt nie uszkodził daktylowca.

Ruszył do przodu, ale Agata błyskawicznie zastąpiła mu drogę. Zdziwiona mina Bogdanowicza nawet ją rozbawiła.

– Będziemy rozmawiać tutaj – oznajmiła spokojnie. – Potrzebuję namiarów do wszystkich członków ekipy remontowej. Nazwiska, adresy, numery telefonów. Chcę wiedzieć, dlaczego zakończyli pracę co najmniej dwie godziny przed czasem. Poza tym wątpię, by przegapili mordercę wspinającego się na palmę i przywiązującego do niej ciało.

– Powiedziała pani, do palmy? – Obrzucił ją oburzonym wzrokiem. Najwyraźniej bardziej interesowała go roślina niż życie jakiejś tam kobiety.

– Tak powiedziałam. Rozumiem, że to najcenniejszy okaz w całej palmiarni.

Mężczyzna się żachnął.

– Cóż za ignorancja. To jest, droga pani, ponadstuosiemdziesięcioletnia roślina. Serce parku. To właśnie z jej powodu cały ten ambaras z przebudową i podniesieniem dachu. Rada miasta wydzieliła na ten cel blisko osiem milionów złotych. Muszę tam wejść, i to natychmiast!

Czekało go kolejne rozczarowanie. Krzyk nigdy nie działał na Agatę, choć sama wielokrotnie podnosiła głos, by załatwić sprawę. Notując bez pośpiechu zeznania Bogdanowicza, zastanawiała się, co morderca chciał osiągnąć. Wątpiła, by miejsce pozostawienia zwłok było przypadkowe.

– Komuś przeszkadzała ta palma? – spytała, ignorując wściekły wzrok rozmówcy. – Osiem milionów to całkiem spora suma, którą można było przeznaczyć na inne cele. Nie było żadnych protestów?

– Akurat w tym temacie mieszkańcy Oliwy byli zgodni. Wszyscy stanęli murem za daktylowcem. Remont dawno już miał dobiec końca, ale drugi raz byliśmy zmuszeni zmienić wykonawcę. Patałachy zaniżały koszty w dokumentacji przetargowej. W praktyce okazało się, że nie potrafią zmieścić się w budżecie. Po pani słowach wnioskuję, że ta trzecia ekipa też nie wywiązuje się z obowiązków.

– Macie tu monitoring?

– I może jeszcze jacuzzi? – Pokręcił głową z politowaniem. – Palmiarnia i cały park Oliwski nie są biletowane. Samo ogrzewanie budynku pochłania rocznie ponad milion złotych, a na drzewach nie rosną pieniądze, tylko co najwyżej banany. Po co nam monitoring, skoro policja czuwa nad naszym bezpieczeństwem? – dodał ironicznie.

Od rozmowy z bucem rozbolała ją głowa. Dochodziła osiemnasta, a ona, zamiast odsypiać ciężką noc, słuchała narzekań głupiego dziada. I tak nie spodziewała się uzyskać od niego żadnych znaczących informacji. Wątpliwe, by osobiście angażował się w pracę w terenie, trzeba będzie wypytać podwładnych. Najrozsądniej z samego rana. Podjedzie do wydziału i kolejno przesłucha wszystkich pracowników, zwłaszcza tych najniższego szczebla, bo zwykle wiedzą najwięcej.

– To wróćmy do ekipy remontowej. Tak jak powiedziałam, potrzebuję nazwisk wszystkich pracowników i ich adresy.

– Mam wyrecytować z pamięci? Nie wiem, nie ja zajmuję się takimi rzeczami. Pamiętam tylko nazwę firmy: Her-Bud. Skoro to wszystko, to rozumiem, że mogę już wejść do środka?

Jeszcze chwilę wcześniej planowała puścić go do domu i spisać jego zeznania dopiero następnego dnia, przy okazji przesłuchania pozostałych pracowników, ale swoimi odzywkami załatwił sobie wieczór na komendzie.

– Momencik. – Podeszła do drzwi. – Olkowski! Rusz dupę, pan kierownik chce z tobą porozmawiać.

Uśmiechnęła się do Bogdanowicza, gdy ten nerwowo przestępował z nogi na nogę. Musiała przyznać, że ewidentnie leżał mu na sercu główny okaz w palmiarni, nie zmieniało to jednak faktu, że jako człowiek był zwykłym prostakiem przywykłym do traktowania ludzi z góry.

Karol wyszedł po kilku sekundach. Prawie mu współczuła. Słaniał się na nogach, a w nagrodę czekała go jeszcze rozmowa z bucowatym urzędnikiem.

– Umieram – wymamrotał, wycierając pot z czoła. Łapczywie zaczerpnął świeżego powietrza. – O, jak tu dobrze. Co tam?

– Tu masz pana Olgierda Bogdanowicza, kierownika działu zieleni. Jak skończysz, zabierzesz pana na komendę i spiszesz zeznania. Rano chcę mieć wszystko na biurku.

– Serio? – Przez moment wyglądał, jakby chciał dodać coś jeszcze, ale zrezygnował.

– I tak już tutaj kończycie. Dasz sobie radę.

Poklepała go po spoconych plecach. Trochę było jej go żal, ale zszokowana mina Bogdanowicza wyparła jakiekolwiek wyrzuty sumienia.

***

Siedziba firmy Her-Bud mieściła się w południowej części Gdyni przy ulicy Parkowej. Wysoki budynek otoczony trawnikiem wyglądał jak przestroga dla mieszkańców domów postawionych po drugiej stronie ulicy. Nic, tylko czekać, aż dołączą do niego kolejne oszklone biurowce, a spokojne dotychczas osiedle zmieni się w zakorkowane centrum biznesu. Komisarz Stec przerabiała to na własnej skórze. Całe życie mieszkała na gdańskim Przymorzu, niegdyś kojarzącym się z falowcem i plażą, a teraz puchnącym za sprawą wieżowców mieszkalnych i równie paskudnych z wyglądu biurowców. Szkoda, że w tym wszystkim nie pomyślano o rozbudowie dróg. Dojazd na komendę zabierał jej dziesięć minut dłużej, a liczba samochodów wciąż rosła w zatrważającym tempie.

Odetchnęła z ulgą na widok wolnych miejsc parkingowych dla klientów firmy. Równie przyjemnym zaskoczeniem był brak parkometrów, które ostatnimi czasy wyrastały wszędzie niczym grzyby po deszczu. Łatwiej zgarniać pieniądze z przymusowych haraczy, niż zbudować parkingi z prawdziwego zdarzenia. Agata, mimo wykonywanego zawodu, sprzeciwiała się wystawianiu mandatów za nieopłacone parkowanie, czym w przeszłości wiele razy podpadła przełożonym. Na szczęście ten etap kariery dawno już miała za sobą.

Na podjeździe stał tylko jeden samochód – czarne bmw, zapewne należące do właściciela firmy. Stec wcześniej uprzedziła o swoim przyjeździe sekretarkę, która w ostatniej chwili zatrzymała mężczyznę w biurze. W trakcie krótkiej rozmowy telefonicznej zobowiązał się, że do przyjazdu komisarz zadzwoni do kierownika ekipy odpowiedzialnej za prace w oliwskiej palmiarni i wyciągnie od niego jak najwięcej informacji. Agata wątpiła jednak w skuteczność jego działań. Coś jej mówiło, że dotarcie do majstra wcale nie będzie takie proste.

Jacek Biernat czekał na nią przy recepcji. Stanowisko za jego plecami było puste, a przygaszone światła świadczyły o tym, że cały zespół zakończył już pracę. Agata nie mogła uciec od porównania Bogdanowicza, obrażonego za zawracanie głowy po godzinach, z uśmiechniętym mężczyzną, który wyszedł jej naprzeciw. Właściciel Her-Budu był znacznie młodszy, miał dobrze skrojony garnitur, szpakowate włosy i drobne zmarszczki od uśmiechu w kącikach oczu. W innych okolicznościach być może rozważyłaby, czyby nie zaprosić go na drinka.

– Komisarz Agata Stec – przedstawiła się oficjalnym tonem. – Dziękuję, że pan na mnie zaczekał.

– Nie ma za co. To oczywiste, że jestem do dyspozycji policji.

Nie dla wszystkich takie oczywiste, pomyślała, ściskając dłoń mężczyzny. Ruszyli razem korytarzem do gabinetu mieszczącego się na samym końcu. Pomimo przygaszonych świateł zwróciła uwagę na rozwieszone na ścianach zdjęcia zakończonych realizacji. Rozpoznała kompleks budynków mieszkalnych mijanych przez nią każdego dnia w drodze do pracy.

Sam gabinet nie wyróżniał się niczym szczególnym. Przestronny, z przeszklonymi drzwiami i oknami sięgającymi sufitu, wyglądał niczym wyjęty z katalogu z profesjonalnymi, acz nudnymi do bólu aranżacjami biur. Wszystko tu było kanciaste, nowoczesne i pozbawione duszy.

– Dzwoniłem do Patryka z dziesięć razy, ale wciąż nie odbiera – oświadczył mężczyzna, gdy usiedli po przeciwnych stronach biurka.

– Rozumiem, że mówi pan o osobie nadzorującej prace w palmiarni?

– Tak, tak. Patryk Brzozowski. Jeden z moich najlepszych ludzi. Współpracujemy od ponad dziesięciu lat i jeszcze nigdy nie nawalił. Tym bardziej dziwi mnie cała ta sytuacja. Przez telefon wspominała pani, że już o szesnastej nikogo tam nie było?

– Tak. Drzwi nie zabezpieczono, przez co weszła tam jakaś dzieciarnia i znalazła zwłoki kobiety.

Mężczyzna zwolnił blokadę oparcia fotela i zaczął nerwowo bujać się w przód i w tył. Agata patrzyła na niego uważnie. Facet wprawdzie sprawiał dobre wrażenie, ale jak na razie nie za bardzo okazał się przydatny.

– To do niego nie pasuje – stwierdził wreszcie.

– A pozostali pracownicy? Kontaktował się pan z nimi?

– Widzi pani, to nie takie proste. – Pochylił się w jej stronę i oparł łokcie na blacie biurka. – Przejęliśmy to zlecenie po dwóch innych ekipach, które nie podołały zadaniu. Nie chcę pani zanudzać szczegółami, ale podniesienie dachu o pięć metrów nie jest łatwą sprawą. Pomijając konieczność wzmocnienia fundamentów, największy problem stanowi palma. Nie można tak po prostu zdjąć obecnego zadaszenia i dobudować nowego, zwłaszcza teraz, gdy warunki atmosferyczne nie sprzyjają egzotycznym roślinom.

Rzuciła mu wyczekujące spojrzenie. Jak na właściciela dobrze prosperującej firmy przejawiał duże zapędy do owijania w bawełnę.

– Mówię to, żeby nakreślić pani specyfikę zlecenia – ciągnął, wróciwszy do irytującego bujania. – Nim zaczną się właściwe prace, trzeba najpierw wszystko pomierzyć i w związku z tym na miejscu był tylko Patryk. Czasem pomagał mu któryś z młodszych chłopaków. Rozmawiałem już z nimi i żaden w ostatnim tygodniu tam nie zachodził.

– A rusztowania?

– Pamiątka po poprzednikach. Dawno już mieli je zabrać, ale widocznie coś bardziej ich pochłonęło.

Czyli znowu nic, stwierdziła w myślach. Zaraz się okaże, że facet akurat tego dnia nie przyszedł do pracy, bo ściągnięto go do innego projektu lub zwyczajnie zapił na urodzinach

u kolegi.

– Znalezienie pana Brzozowskiego jest teraz jednym z naszych priorytetów – oznajmiła zrezygnowana. – Potrzebuję aktualnego adresu zamieszkania. Proszę mi też powiedzieć, czy wcześniej w palmiarni wydarzyło się coś niepokojącego? Może ktoś protestował przeciwko remontowi albo poprzednicy rzucali wam kłody pod nogi?

– Nic takiego do mnie nie dotarło. Oczywiście wypytam chłopaków, ale wątpię. Wbrew pozorom to nie jest duży rynek i staramy się sobie nie bruździć. Co do adresu, to nawet nie muszę go szukać. Znamy się z Patrykiem od lat, parę razy byłem u niego z wizytą. Przypasowało mu to zlecenie, bo mieszka po przeciwnej stronie alei Grunwaldzkiej. Proszę bardzo, to jego wizytówka. – Podał jej prostokącik z kartonu.

Rozmowę uznała za zakończoną. Profesjonalizm jej podpowiadał, by jechała prosto do Brzozowskiego, ale pusty żołądek był innego zdania. Jakby w odpowiedzi na jej rozterki w kieszeni poczuła wibracje telefonu.

– Przepraszam – rzuciła, wyjmując komórkę. – W zasadzie to już skończyliśmy… O, w mordę!

Zdziwiona mina biznesmena przypomniała jej, gdzie się znajduje.

– Coś w sprawie śledztwa? – spytał.

– Nie, nie – odparła zmieszana. – Dziękuję za poświęcony mi czas. Jutro ktoś z naszych ludzi przyjedzie, żeby zebrać zeznania pomocników Brzozowskiego. Jeśli o czymś pan sobie przypomni, proszę do mnie zadzwonić.

Skrywając zażenowanie, wyjęła swoją wizytówkę i położyła na blacie biurka. Który to już raz zdarzyło jej się zachować w ten sposób? I to z jakiego powodu? Gdyby rzeczywiście znaleziono sprawcę, to mogłaby sobie wybaczyć, ale chodziło przecież o coś zupełnie innego. Skąd taka reakcja?

Szybko się pożegnała, po czym ruszyła w stronę samochodu. Była na siebie wściekła. Sama już nie wiedziała, czy z powodu bezmyślnej reakcji, czy treści otrzymanej wiadomości.

Rozdział III

– Polędwica zdążyła już wystygnąć – oznajmił tonem chłodnym jak czekająca na stole potrawa.

Nie było w tym krzty jego winy. Zadbał o każdy szczegół, by mięso było gotowe punktualnie na dziewiętnastą. Wstępnie zamarynowane, obłożone szynką parmeńską, odleżało piętnaście minut w lodówce, by po owinięciu ciastem francuskim – własnej roboty – na dwadzieścia minut trafić do pieca nagrzanego do dwustu dwudziestu stopni. Potem obniżył temperaturę do stu osiemdziesięciu stopni i po kwadransie wyjął gotową potrawę. Zamierzał też podać uprażony na patelni pęczak z boczkiem, grzybami i dużą ilością rozmarynu, ugotowany w świeżym bulionie – ktoś kiedyś nazwał to kaszottem czy nawet pęczottem, ale Artur nie uznawał tego typu słowotwórstwa. Na deser przygotował sałatkę z melona, awokado i rukoli skropioną octem balsamicznym i symbolicznie obsypaną parmezanem. Nic, tylko rozkoszować się smakiem w towarzystwie butelki wytrawnego barolo.

Do stołu zasiadł pięć minut przed czasem. Cierpliwie odczekał równych osiem minut, po czym zatopił zęby w soczystej i jednocześnie kruchej polędwicy. Była doskonała. W połączeniu z cierpkim i lekko kwaśnym smakiem wina bombardowała kubki smakowe, doprowadzając do kulinarnej ekstazy.

Wrażenie psuła trochę kasza. Zbyt rozmiękła i przesączona bulionem, smakowała niczym makaron jajeczny wyjęty prosto z rosołu. Postanowił z niej zrezygnować, co miało też swoje plusy, bo miejsce kaszy zajęła druga porcja polędwicy, a istnym barbarzyństwem byłoby skosztowanie jej bez dolewki wina.

O dziewiętnastej trzydzieści – po skończonym posiłku – wysłał Agacie wiadomość. Domyślał się powodu jej absencji, bo jadąc samochodem, słyszał w radiu o morderstwie popełnionym w parku Oliwskim. Nie miał jej tego za złe, aczkolwiek, znając siostrę, wolał ją powiadomić. Zdawał sobie sprawę, że zacznie się obwiniać i czym prędzej wsiądzie do samochodu, nawet jeśli właśnie trzyma mordercę na muszce. To ona wymyśliła te cotygodniowe kolacyjki. Po rozwodzie czuła się osamotniona i w naturalnym odruchu szukała wsparcia u jedynego żyjącego członka rodziny. Pech chciał, że to był on.

Do drzwi zapukała dwadzieścia dwie minuty po otrzymaniu wiadomości.

– Sorry, zupełnie wyleciało mi z głowy – rzuciła, całując go w policzek. – Pewnie słyszałeś o nowym trupie? Akcja jak z filmu, mówię ci.

– Polędwica zdążyła już wystygnąć – powtórzył.

Pomógł jej zdjąć kurtkę i poprowadził ją do salonu. Powinien był sprzątnąć ze stołu, ale znał nawyki kulinarne siostry. Na co dzień żywiła się czym popadnie, traktowała jedzenie jak zło konieczne, lepiej więc będzie, jeśli zje zimne mięso, niż pójdzie spać głodna lub wstąpi na stację benzynową po hot doga.

– Nie czaję, czemu nie kupisz sobie mikrofali – rzuciła, siadając do stołu. – Wkładasz jedzenie i po minucie wszystko jest cieplutkie.

– Nie wałkujmy tego. Dobrze wiesz, że jadam tylko świeże rzeczy.

– Tak, tak, panie doskonały. O, widzę, że mamy też winko!

Łapczywie wypiła pół kieliszka. Nie był skończonym snobem, ale widok siostry wlewającej w siebie niczym wodę trunek wart pięćset złotych za butelkę zmusił go do odwrócenia wzroku.

– To nasze barolo – odpowiedział, zmuszając się do uśmiechu.

– Nie pierdol, serio?

Sam nie wiedział, czemu otworzył jedną z ostatnich pamiątek ze wspólnego wyjazdu do Piemontu. Nie należał do osób sentymentalnych, trudno zresztą mówić o sentymencie, skoro wycieczkę sprzed pięciu lat wspominał jako istny koszmar. Długo walczył, by się od niej wymigać, ale Agata w swoim stylu uderzyła w emocjonalny ton – zazwyczaj gwarantujący wygrane negocjacje. Już wtedy widział tarcia między nią a jej narzeczonym. Gdyby nie rozchwianie emocjonalne siostry, ostrzegłby ją w porę przed konsekwencjami małżeństwa z mężczyzną, który zupełnie do niej nie pasował, choć pod wieloma względami byli do siebie podobni. Niestabilne i impulsywne osoby nie powinny łączyć się w pary, bo prócz pikantnego pożycia taki związek gwarantował nieustanne kłótnie. Agata i Michał byli wręcz książkowym przykładem.

Usiadł po przeciwnej stronie stołu.

– Oprócz tej butelki mam jeszcze jedną. – Puścił do niej oko.

– Czyli co, balanga?

Nałożyła sobie ogromną porcję mięsa, po czym zastygła nad miską z rozmiękłą kaszą. Przyjrzała jej się nieufnie, ale wynik inspekcji chyba wypadł pozytywnie, bo po chwili pęczak wylądował na talerzu. W pierwszym odruchu Kamiński chciał ostrzec siostrę, ostatecznie machnął jednak ręką. I tak nie wyczuje subtelnej różnicy między kaszą idealnie ugotowaną a paćką.

– Kurde, super był ten wyjazd – oznajmiła z pełnymi ustami. – Teraz przez tego trupa nigdzie się nie wyrwę, ale może pomyślimy o czymś w październiku, co? Marzę o Barcelonie. Poszwendamy się po tych klimatycznych uliczkach, ty pewnie znajdziesz sobie jakąś winiarnię i znów zrobisz mały zapasik.

– Jesień mam zawaloną spotkaniami.

– No, tak! Sorry, zupełnie zapomniałam o tej nowej książce. Czyli co, mój braciszek znowu będzie w telewizji? Powinnam zażądać udziału w zyskach ze sprzedaży za te wszystkie informacje, których ci dostarczam. A skoro już o tym mowa, to z pewnością zainteresuje cię dzisiejszy przypadek z palmiarni. Czegoś takiego nawet twoi pokręceni pacjenci nie są w stanie wymyślić.

Spojrzał na nią zaciekawiony. Od dłuższego czasu rozglądał się za interesującymi tematami, bo ostatni klienci bardzo go rozczarowali. Odkąd zaczął regularnie występować w programach śniadaniowych, jego nazwisko przyciągało samych nudziarzy, którym prócz dużej ilości gotówki do wydania doskwierał co najwyżej brak sensu w życiu, wypalenie zawodowe czy kryzys wieku średniego. Przyszło mu na myśl, że powinien zatrudnić asystenta do oddzielania ziarna od plew, sam mógłby się wtedy skupić na ciekawszych przypadkach.

Dolał siostrze wina. Sobie też nie odmówił kolejnego kieliszka.

– W ogóle wiedziałeś, że w Oliwie jest ogromna, stuosiemdziesięcioletnia palma? – spytała, wciąż pałaszując polędwicę. – Sorry, że tak z pełnymi ustami, ale jestem strasznie głodna. Idealnie ci wszystko wyszło.

– Byliśmy tam kiedyś z rodzicami na spacerze. Miałaś wtedy dziesięć albo jedenaście lat.

Agata zrobiła wielkie oczy i wepchnęła do ust kolejną porcję jedzenia.

– Serio? Zupełnie tego nie pamiętam. Ale mniejsza o to. Wyobraź sobie, że do tej palmy jakiś zjeb przywiązał ciało kobiety. Myślisz sobie – pewnie użył jakiejś liny. Ale nie, ni chuja! Powiesił ją na jej własnych jelitach. Dasz wiarę?

– I nikt go nie zauważył?

– Palmiarnia jest zamknięta. Podnoszą dach, żeby daktylowiec nie rozsadził go od środka. Ale to jeszcze nic. Najlepsze zostawiłam na koniec. Słuchaj, ciało tej babki w całości było pokryte koniczyną – ręce, nogi, tułów, twarz, dosłownie wszystko. Koleś przyszył ją do skóry. Więcej będę wiedziała po sekcji, ale zauważyłam, że każdy listek był zaimpregnowany, wyglądały jak świeże. I wszystkie, które widziałam, miały po cztery listki. Zebranie takiej ilości musiało mu zająć całą wieczność.

Kamiński od razu stracił zainteresowanie sprawą. Komunikat przesłany przez mordercę wydawał się nazbyt krzykliwy. Tego typu podpisy zostawiali zazwyczaj nieskomplikowani ludzie, dla których podnietą było usłyszenie w wieczornych wiadomościach o swoim dziele.

Agata patrzyła wyczekująco, podczas gdy on sięgnął po kieliszek.

– Nic nie powiesz? – Zdziwiła się. – Żadnych pytań? Nie chcesz zobaczyć zdjęć? Jak poprosisz, to może nawet wpuszczę cię na sekcję.

– Raczej spasuję – odparł.

– Serio? Byłam pewna, że się tym zainteresujesz. To może być świetny temat na książkę.

– Wątpię. To przecież oczywiste, że ktokolwiek to zrobił, woła o uwagę. Dlaczego mam iść mu na rękę? Pewnie teraz siedzi przed telewizorem i tylko czeka, aż w *Wiadomościach* nadadzą mu chwytliwą ksywkę. Znając współczesnych dziennikarzy, wymyślą coś głupiego, w stylu „Koniczynka” albo „Szczęściarz”.

Uśmiechnął się pobłażliwie do siostry. Miała dobre intencje. Gotowa była narazić własną karierę, byle tylko zaimponować starszemu bratu. W rzeczywistości jej psychika wydawała mu się ciekawszym materiałem do analizy niż umysłowość pretensjonalnego mordercy z palmiarni. Miała wiele cech osobowości impulsywnej, na czele z wybuchowością czy skłonnością do agresywnych ataków z powodu najbardziej nawet niewinnych głosów krytyki. Tacy ludzie nie myślą o konsekwencjach swoich działań, stawiają na emocje

zamiast na rozsądek. Nieprzewidywalność, brak cierpliwości i dążenie do konfliktu raczej nie sprzyjają pracy w policji, toteż Artur swego czasu skorzystał ze swoich znajomości, byle siostra pozytywnie przeszła testy psychologiczne.

Ostatnio z zainteresowaniem obserwował, jak stopniowo ujawnia się w niej inna osobowość, pograniczna. W tym wypadku prym wiodły nietypowe zachowania seksualne i skłonność do nadużywania alkoholu. Agata nie panowała nad instynktami, choć później każdorazowo czuła się przez to okropnie. Jeśli dodać do tego patrzenie na świat w kategoriach dychotomicznych (czarne lub białe), ataki paniki, brak jasno sprecyzowanych celów w życiu i lekceważenie sprzeczności w postrzeganiu samej siebie, otrzyma się śmiercionośny koktajl pełniący obecnie funkcję komisarza gdańskiej policji.

– No właśnie, o co mu chodzi z tą koniczyną? – spytała, opróżniwszy kieliszek. – Zrobił z niej cholerny talizman na szczęście?

– Być może. Czwarty listek rzeczywiście utożsamiany jest ze szczęściem, tylko czy komuś chciałoby się tak długo szukać odpowiednich okazów? Osobiście wątpię. Wytrwałość w działaniu i zdolność do poświęceń występują raczej w przypadku silnej potrzeby wyrażenia sprzeciwu.

– Czyli co? Morderca nie lubi zabobonów?

Artur spojrzał na pusty kieliszek siostry. Tempo, w jakim pochłaniała alkohol, zapowiadało rychłe zakończenie rozmowy. Może to i lepiej, pomyślał. Następnym razem specjalnie dla niej kupi wino w supermarkecie. Skoro jej celem było sponiewieranie organizmu, to równie dobrze mogła to zrobić za pomocą butelki za pięćdziesiąt złotych.

– To oczywiście zwykłe gdybanie. – Napełnił jej kieliszek. – Sama pomyśl, kiedy będziesz bardziej zmotywowana do skrajnych poświęceń. Załóżmy, że masz problemy z alkoholem. – Obserwował, jak Agata sięga po wino. – Mówi się, że osoba uzależniona walczy z nałogiem dla samej siebie, ale to wymysł współczesnej psychologii. Sam w swojej pracy często korzystam z terapii prowokatywnej, tyle że należy ją stosować z wyjątkowym wyczuciem. Łatwiej ci będzie rzucić wódę, jeśli ktoś, na kim ci bardzo zależy, powie, że jesteś zbyt słaba, by to zrobić. Najlepiej, jeśli go wówczas znienawidzisz i za wszelką cenę będziesz chciała pokazać, że skreślił cię przedwcześnie. Mowa tu oczywiście o silnych charakterach.

– No, nie wiem. A nie zrobisz tego dla rodziny?

– Ile otyłych osób wyciskało z siebie siódme poty, by zagrać na nosie szydercom albo pokazać byłemu, ile stracił? Kto głośniej krzyczy, zwolennicy rządu czy jego przeciwnicy?

W jej oczach dostrzegł zrozumienie. Nie wzięła jednak do siebie aluzji o nadużywaniu alkoholu, o czym świadczył w połowie już pusty kolejny kieliszek.

– Można aż tak nie znosić talizmanów szczęścia, żeby zabić? – spytała Agata.

– Niekoniecznie skupiałbym się na symbolice. Prędzej spojrzałbym na czterolistną koniczyną jak na aberrację.

– Że co?

– Mutacja. Odchylenie od normy. Koniczyna w naturze występuje w wersji trzylistnej. Nie jestem biologiem, mogę tylko strzelać, że dochodzi do jakiegoś błędu w DNA rośliny, w wyniku którego zmienia się jej budowa. Tam, gdzie większość widzi symbol szczęścia,

ktoś może dostrzec obrazę dla normalności. To tak, jakby człowiekowi wyrosła trzecia ręka i wszyscy z tego powodu wynosili go na piedestał.

Kiwnęła głową ze zrozumieniem. Podczas krótkiej rozmowy zdążyła zjeść porcję dla trojga dorosłych i osuszyć kilka kieliszków wina, a wyglądała, jakby wciąż było jej mało. Uznał, że czas przejść do deseru.

– A skoro już mowa o dziwnych mutacjach… – Wstał od stołu i podszedł do siostry. – Na dzisiejszy wieczór przygotowałem wariację na temat twojego ulubionego crème brûlée. Ciekaw jestem, czy wychwycisz wszystkie smaki.

Ze stołu wziął pusty talerz i kieliszek z resztką wina. Do deseru chłodził się już węgierski tokaj. Najbardziej cenione słodkie wino na świecie wyjątkowość zawdzięczało szlachetnemu szczepowi winogron, który w połączeniu z długim dojrzewaniem i naturalną pleśnią gwarantował eksplozję smaków. Nawet laik wyczuje w bukiecie suszone morele, miód i wanilię. Atak karmelu w ustach był preludium do długiego finiszu pełnego ziół i orzechów. Artur nie był pewien, czy wzbogacenie tradycyjnego crème brûlée purée kokosowym, rumem i świeżym ananasem nie okaże się kulinarną wpadką, toteż celowo wybrał do eksperymentalnego deseru wino, które w ostateczności samo mogło uratować zarówno wieczór, jak i honor gospodarza.

– Może ci pomóc? – spytała Agata, gdy ze stosem talerzy zmierzał w kierunku kuchni.

– Nie ma potrzeby! – krzyknął w odpowiedzi. – Zaraz wracam.

Wchodząc do kuchni, odetchnął z ulgą. Jeszcze chwila, a siostra wyszłaby z propozycją obejrzenia filmu. Szanował jej potrzebę pielęgnowania więzi z bratem, ale nie wyobrażał sobie wspólnego seansu. Jak nietrudno zgadnąć, siostra preferowała filmy akcji o policjantach, podczas których mogła komentować luki w scenariuszu.

Artur odstawił brudne naczynia na blat i wyjął z lodówki dwie kokilki ze schłodzonym deserem. Wierzch każdego posypał cienką warstwą brązowego cukru. Z szuflady wyciągnął mały palnik i niewielkim płomieniem ostrożnie zaczął rozpuszczać cukier. Wystarczy kilka sekund, by utworzyła się charakterystyczna skorupka z karmelu. Dopiero po podaniu deseru odkorkuje schłodzone wino, by do kieliszka trafiło w idealnej temperaturze oscylującej między dziesięcioma a dwunastoma stopniami Celsjusza.

Ze skupienia wyrwał go dzwonek do drzwi. Psycholog zmarszczył brwi. Nie spodziewał się nikogo. Cały wieczór miał zarezerwowany dla siostry.

– Otworzę! – krzyknęła z salonu Agata i wstała od stołu.

Zastygł w bezruchu. Płomień skierowany na cukier nadał mu ciemnobrązową barwę.

– Czekaj! – odpowiedział, wyłączając palnik.

Szybkim krokiem ruszył do drzwi. Niezapowiedziana wizyta o tak późnej porze nie mogła oznaczać niczego dobrego. Zakazał swoim pacjentom takich numerów, ale przyciśnięci do muru bywali nieobliczalni. Dla dobra wszystkich lepiej będzie, jeśli Agata nie pozna żadnego z nich.

– A co?! – spytała rozbawiona. – Ukrywasz kogoś przede mną? Może wreszcie poznam wybrankę twojego serca? Mogłeś uprzedzić, lepiej bym się ubrała.

Nie zdążył. Od drzwi dzieliło go kilka kroków, kiedy przekręciła klucz. Mocno wstawiona,

nie zdawała sobie sprawy z lekkomyślności swoich działań. Jako komisarz gdańskiej policji codziennie trafiała na kryminalistów, toteż ryzyko, że wcześniej poznała któregoś z jego pacjentów, było niebezpiecznie duże.

– E… – jęknęła z rozczarowaniem. – To jakiś facet. Chyba że…

– Agata! Jak ty się zachowujesz?

Stanął obok siostry. Stec przesunęła rozbawione spojrzenie z mężczyzny stojącego przed drzwiami na brata. Najwyraźniej nie znała nieproszonego gościa, co powinno Artura uspokoić, tak się jednak nie stało.

Widok Mazura wytrzeszczającego oczy ze zdziwienia doprowadził go do wściekłości. Gdyby miał wcześniej czas na zastanowienie, z pewnością wymieniłby go wśród trójki pacjentów, którzy mogli dopuścić się tak nieodpowiedzialnego czynu.

– Witaj, Robercie. – Zmusił się do uśmiechu. – Mogę ci w czymś pomóc?

Idiota nie odrywał wzroku od Agaty. Jak na zabójcę co najmniej pięciu kobiet zachowywał się wyjątkowo nieporadnie. Tyle dobrego, że nauczył się lepiej ubierać. Przed laty, gdy trafił do niego po raz pierwszy, wyglądał jak psu z gardła wyjęty: nieogolona twarz, tłuste włosy, do tego sztruksowe spodnie i wymięta koszula, brakowało mu tylko napisu na czole: „Jestem psychopatycznym mordercą”. Artur nauczył go, jak nie zwracać na siebie uwagi potencjalnych ofiar, a nawet wzbudzać w nich zaufanie. Schludny wygląd i życzliwy uśmiech to podstawa sukcesu, o czym świadczyły wspólnie wypracowane osiągnięcia Mazura, zarówno zawodowe, jak i… hobbystyczne.

Nie zmieniało to jednak faktu, że teraz zachował się skrajnie nieodpowiedzialnie.

– Zostawisz nas na chwilę? – Artur wymownie spojrzał na siostrę, dając jej do zrozumienia, że to nie było pytanie.

– Jasne, jasne. Sorry. Pogadajcie sobie spokojnie.

Psycholog przekroczył próg domu i zamknął za sobą drzwi. W samej koszuli było mu chłodno na zewnątrz, ale buzująca w żyłach wściekłość ogrzewała organizm od środka. Gdyby nie Agata, wybiłby mężczyźnie z głowy, i to dosłownie, pomysł odwiedzania go bez zapowiedzi.

– Przepraszam – wymamrotał Mazur. – Nie pomyślałem…

– Nie powinieneś był tu przychodzić. To lekkomyślne.

– Wiem, ale… No, nie mogę znaleźć sobie miejsca.

Artur uważnie przyjrzał się rozmówcy. Na kostkach dłoni dostrzegł silne zaczerwienienia. Mężczyzna najpewniej uderzał w coś pięścią. Ubranie miał czyste. Wątpliwe, by w obecnym stanie myślał o przebraniu się, wyładowanie emocji ograniczył raczej do obicia twarzy prostytutce, jak to już zwykł był robić wcześniej. Przynajmniej tyle dobrego.

– Rozmawialiśmy o tym wielokrotnie – odparł spokojnie psycholog. – Potrafisz nad tym zapanować. Wytrzymałeś całe wakacje. Po co marnować takie poświęcenie?

– Ale ona…

– To nie czas i nie miejsce na rozmowę. Każ matce się zamknąć i wracaj do domu. Udowodniłeś jej, że to ty jesteś panem sytuacji. Przyjdź do mnie jutro. Do naszego spotkania nie podejmuj żadnych ruchów. Dobrze wiesz, jakie konsekwencje może mieć

nieprzygotowany atak. Pracujemy nad tym od lat.

W oknie kątem oka dostrzegł Agatę. Siostra stała w kuchni i przyglądała mu się z uśmiechem. W dłoni trzymała kieliszek białego wina. Gdyby tylko wiedziała, że jednym haustem wypiła trunek kosztujący połowę jej wypłaty… Pomysł o kupnie wina w supermarkecie wydawał się coraz bardziej rozsądny.

– Jeszcze raz wywiniesz taki numer i kończymy z terapią. – Ponownie spojrzał na Mazura. – Wracaj do domu. Jutro o szesnastej wszystko mi opowiesz. Przejdziemy przez to razem.

Uścisnął mężczyźnie dłoń. Zwykle unikał kontaktu fizycznego z pacjentami, ale obecność Agaty zmuszała do improwizacji. Co gorsza, z powodu niezapowiedzianej wizyty Mazura skarmelizowany cukier dawno zdążył wystygnąć.

Rozdział IV

Obudził ją znajomy ból głowy. Nieodzowny towarzysz poranków przypomniał Agacie o cudownym słodkim winie, którego poprzedniego wieczoru za dużo wypiła. Zazwyczaj wybierała piwo lub coś mocniejszego, ale trunki podawane przez Artura wyjątkowo jej smakowały.

Przeciągnęła się leniwie. Nie miała na nic ochoty. Dochodziła dziewiąta, a to oznaczało, że powinna właśnie pojawić się na komendzie. Olkowski pewnie już wchodził, ale w tyłek inspektorowi, przedstawiając mu wyniki sekcji zwłok. Biedak, mimo usilnych starań nie znajdzie uznania w oczach przełożonego. Grzegorz Lubomirski, zwany przez wszystkich Grzechem, nigdy nie krył niechęci do podkomisarza. Sam był jego przeciwieństwem: wysoki i wysportowany; uważał, że policjant powinien wzbudzać wyglądem respekt. Pomimo pięćdziesiątki na karku wciąż zachował wzorową sylwetkę, a wynikami testów sprawnościowych bił na głowę większość podwładnych.

Niechętnie wstała z łóżka. Doczłapała do łazienki, umiejętnie lawirując między porozrzucanymi na podłodze ubraniami. Bałagan jednak nie był jej największym problemem. Odziedziczone po rodzicach mieszkanie od wielu lat domagało się remontu, o czym najlepiej świadczył zbyt cienki strumień wody płynący z odkręconego kranu. Dawno już sobie obiecała, że odłoży trochę gotówki i przywróci lokum do odpowiedniego stanu, ale od rozwodu pieniądze przestały się jej trzymać.

Artur namawiał ją do sprzedaży czteropokojowego mieszkania i kupienia czegoś mniejszego w nowym budownictwie. Pewnie miał rację, ale nie potrafiła rozstać się z miejscem, w którym spędziła prawie całe życie. Każdy kąt miał swoją historię. Dobrze jej się kojarzył nawet ten cholerny kran, z którego woda ciurkała, jakby rury trawił zaawansowany rak prostaty. To z niego nalewali z bratem wodę do balonów, a później zrzucali je z ósmego piętra na przechodniów.

Ze wspomnień wyrwał ją dzwonek telefonu. W pierwszym odruchu odwróciła się w stronę sypialni, ale się zatrzymała. Potrzebowała jeszcze chwili dla siebie. Szybki prysznic, papieros i kawa postawią ją na nogi. Zamknęła drzwi łazienki, by nie słyszeć irytującej melodyjki. Obstawiała, że to Olkowski, który nie dość, że wczoraj pracował do późna, to dziś z samego rana rwał się do obowiązków. Czasem żal było na niego patrzeć, jak wypruwa sobie żyły.

***

Odświeżona wsiadła do samochodu. Intuicja jej nie zawiodła – to podkomisarz trzykrotnie próbował się z nią skontaktować. Nie oddzwoniła. Po przyjeździe na komendę powie, że od rana pracowała w terenie i nie słyszała dzwonka telefonu. Nie będzie to nawet kłamstwem, bo rzeczywiście zmierzała do mieszkania Patryka Brzozowskiego – budowlańca, który miał pracować w palmiarni. A że jej ranek zaczął się nieco później? Ten fakt zamierzała przemilczeć.

Mieszkanie Brzozowskiego znajdowało się w starej kamienicy tuż przy alei Grunwaldzkiej. Stec nie potrafiła sobie wyobrazić, jak wygląda życie w sąsiedztwie tak ruchliwej ulicy. Sama narzekała na ruch, ale ulicę Obrońców Wybrzeża trudno było nawet porównywać z wiecznie zakorkowaną trasą łączącą Gdańsk z Gdynią.

Po drodze próbowała się dodzwonić do pracownika Her-Budu. Jego telefon był wyłączony. Zdawała sobie sprawę, że to bezcelowe, ale zostawiła wiadomość na poczcie głosowej. Policyjny nos coraz mocniej podpowiadał, że znalezienie mężczyzny stanowiło klucz do rozwiązania sprawy. Ludzie bez powodu nie zapadają się pod ziemię. Brzozowski albo sam zamordował tę kobietę, albo podzielił jej los. Majster pasował do portretu psychologicznego sprawcy nakreślonego przez Artura. Jako umysł ścisły mógł żywić niechęć do zabobonów. Poza tym uczestniczył w tylu nudnych projektach Her-Budu, że mógł wreszcie nie wytrzymać i zabawić się w artystę.

Uśmiechnęła się do swoich myśli. Szybko jednak spoważniała.

– No, bez jaj – westchnęła.

Założyła, że przy alei Grunwaldzkiej nie będzie gdzie zostawić samochodu, ale konieczność parkowania równoległego przy ulicy Majkowskiego wytrąciła ją z równowagi. Miejsca wprawdzie powinno wystarczyć, tyle że nawet w znacznie mniejszym fiacie nie radziła sobie z tym manewrem. Koledzy z komendy tłumaczyli, jak powinna patrzeć w lusterko boczne i w którym momencie skręcać kierownicą, ale nie potrafiła tego spamiętać.

Ku własnemu zdziwieniu udało jej się za pierwszym razem.

– Może jednak cię polubię – powiedziała, poklepując kierownicę. – Nie jesteś brzydki, szkoda byłoby przerabiać cię na konserwy.

Podbudowana drobnym sukcesem, wysiadła z samochodu. Konsekwentnie nie płaciła za parkowanie. Wizyta u Brzozowskich nie powinna zająć więcej niż pół godziny. Nawet jeśli dostanie mandat – cóż, zawsze może porozmawiać z kolegami z drogówki. Znała tam dobrze parę osób, a jedną nawet bardziej niż dobrze.

Podeszła do klatki i na domofonie wybrała odpowiednie nazwisko.

– Słucham – usłyszała kobiecy głos, lekko zniekształcony przez głośnik.

– Dzień dobry. Komisarz Agata Stec, jestem z policji. Chciałam z panią porozmawiać w sprawie zaginięcia męża.

Po krótkiej chwili usłyszała brzęczenie domofonu. Pchnęła drzwi i weszła na klatkę schodową.

Brzozowscy mieszkali na drugim piętrze starej, ale zadbanej kamienicy. Agacie przypadły do gustu drewniane schody i bogato rzeźbiona balustrada. Przyzwyczajona do śmierdzących

papierosami i wilgocią korytarzy falowca, z zazdrością spoglądała na ściany, na których próżno było szukać wulgarnych wpisów lokatorów wyrażających sympatię lub antypatię do gdańskiej Lechii.

Drzwi były uchylone, z mieszkania wyglądała ubrana w zielony szlafrok pulchna blondynka po czterdziestce. Agata nie musiała o nic pytać. Podkrążone oczy kobiety zdradzały nieprzespaną noc. Wyglądała, jakby większą jej część przepłakała.

– Dzień dobry – powtórzyła komisarz.

– Znaleźliście go?

– Niestety, nie. Przyjechałam zadać pani kilka pytań. Możemy wejść do środka?

Kobieta przepuściła ją w drzwiach. Wchodząc do mieszkania, Stec zastanawiała się, jak rozpocząć rozmowę. Czuła się jak lekarz informujący rodzinę zmarłego o nieudanej operacji. Tego elementu pracy nie lubiła najbardziej. Zbyt łatwo udzielały jej się emocje rozmówców.

– Rozumiem, że jest pani żoną Patryka Brzozowskiego?

Kobieta skinęła głową.

– Później będę potrzebować pani dowodu osobistego, żeby spisać dane, ale najpierw porozmawiajmy. Zapewne słyszała pani o ciele znalezionym w palmiarni?

– To nie mój Patryk – żachnęła się.

– Kiedy ostatni raz pani z nim rozmawiała?

Brzozowska spuściła wzrok. Wyglądała, jakby miała się rozpłakać. Agata nigdy nie umiała odnaleźć się w takich sytuacjach. Nie wiedziała, czy próbować uspokoić rozmówczynię, dać się jej wypłakać, czy wręcz przeciwnie – postawić ją do pionu. Sprawa była łatwiejsza, gdy w grę wchodziło przesłuchanie mazgajowatego podejrzanego, wówczas jej porywczy charakter sprawdzał się wyśmienicie.

– Żeby go znaleźć, potrzebuję jak najwięcej szczegółów – oznajmiła łagodnym tonem. – Proszę odpowiedzieć na pytanie: kiedy ostatni raz pani z nim rozmawiała?

– Wczoraj…

– Kiedy dokładnie? Rano? Wyszedł normalnie do pracy? Mówił coś? Zachowywał się dziwnie? A może później dzwonił? Wiem, że to trudne, ale im więcej mi pani powie, tym więcej będę mogła zdziałać.

– Zjadł śniadanie, wypił kawę i pojechał. – Kobieta spojrzała na Agatę wzrokiem pełnym rozpaczy. – Czekałam z obiadem, jak w telewizji powiedzieli o tej zamordowanej kobiecie. Patryk… Błagam, znajdźcie go.

Patrzyła na nią, jakby oczekiwała zapewnień, że jej mężowi nic nie grozi. Stec była jednak odmiennego zdania. Jeśli Brzozowski nie był mordercą ani jego wspólnikiem, to najprawdopodobniej miłośnik koniczyny potraktował go jako zbędną przeszkodę, którą należało usunąć. Chyba że…

– Zaraz, zaraz… – Czuła, że wpadła na właściwy trop. – Powiedziała pani, że mąż pojechał samochodem? Przecież do parku ma kilka minut spacerem. Czy tego dnia pracował w innym miejscu?

– Zawsze jeździ samochodem. Po zrobieniu pomiarów w parku jedzie do biura, żeby popracować przy komputerze. Mówiłam mu, że nic się nie stanie, jak wróci piechotą do

domu, zje coś normalnego i dopiero potem pojedzie do Gdyni, ale dla niego cenna jest każda minuta.

– I gdzie parkował? Potrzebuję markę samochodu i numer rejestracyjny.

Brzozowska zmarszczyła czoło.

– Srebrna nubira. Ale numer rejestracyjny… – Podrapała się po spiętych w kitkę włosach. – Nie wiem… GD, ale co dalej, pojęcia nie mam.

– Na pewno pani sobie przypomni – odpowiedziała Agata, ukrywając zniecierpliwienie. – Może ma pani gdzieś zdjęcie pojazdu?

– Zdjęcie? Nie wiem… Może tak.

Kobieto, weź się w garść, Stec ponagliła ją w myślach. Twój mąż być może walczy o życie, a ty, zamiast działać, płaczesz nad jego losem. Policjantka nie oczekiwała od wszystkich kobiet, by szły w jej ślady, ale drażniła ją bezradność. Na miejscu Brzozowskiej poruszyłaby niebo i ziemię, byle tylko odnaleźć męża.

– Proszę się skupić. Każda minuta jest na wagę złota.

Korciło ją, by samej wejść do salonu i przetrząsnąć wszystkie szafki. Na szczęście Brzozowska, zamiast dalej stać jak słup, ruszyła w głąb mieszkania. Komisarz podążyła jej śladem. Ze zdziwieniem stwierdziła, że wystrój mieszkania bardziej pasował do małżeństwa emerytów niż do czterdziestolatków – w oknach wisiały staromodne zasłony w kolorze bordo, dywan pamiętał czasy PRL-u, podobnie jak zestaw wypoczynkowy potrzebujący tapicera.

– To mieszkanie po teściach – powiedziała Brzozowska. Najwyraźniej zauważyła zaciekawienie Agaty. – Od dawna zbieramy się do remontu, ale Patrykowi ciągle brakuje czasu. Obiecywał i obiecywał, że wreszcie skrzyknie kilku chłopaków, ale na razie skończyło się na gadaniu.

Z szafki wyjęła opasły album w brązowej okładce. Wyglądał, jakby mieściła się w nim historia całego rodu Brzozowskich.

– Chyba nie chce pani teraz tego przeglądać? – spytała Stec. – To przecież może zająć kilka godzin. Nie robili może państwo zdjęć komórką albo aparatem cyfrowym?

– Patryk w pracy to chyba tak robi, ale osobiście wolę tradycyjne zdjęcia. Może to banał, ale takie fotografie mają duszę. Zresztą niech sama pani spojrzy. – Kobieta obróciła album w stronę policjantki. – Tu, na samej górze, jest zdjęcie naszego Krzysia. Pewnie gdyby teraz żył, śmiałby się ze mnie, że tak sobie lubię usiąść w fotelu i wspominać stare czasy, ale…

Tego już za wiele, stwierdziła komisarz. Brzozowska zupełnie odpłynęła. Zamiast tracić z nią czas, lepiej zadzwonić do Her-Budu i tam dopytać o numer rejestracyjny samochodu. Poza tym daewoo dawno już wycofano z produkcji i na drogach jest ich stosunkowo niewiele.

– Dziękuję za rozmowę – weszła kobiecie w słowo. – Jeśli pani sobie coś przypomni lub wydarzy się coś istotnego dla sprawy, proszę do mnie dzwonić.

Wyjęła z portfela wizytówkę i jej podała.

– Ale jak to? To już?

– Niedługo przyjedzie do pani ktoś z komendy i dokładnie spisze zeznania. Proszę być

dobrej myśli.

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i ruszyła do wyjścia. Jeszcze chwila z tą pogrążoną we własnym świecie kobietą, a policjantka wykrzyczałaby jej w twarz, co sądzi o siedzeniu w szlafroku i czekaniu nie wiadomo na co. Brzozowska nawet nie zadała sobie trudu, by okrążyć park w poszukiwaniu nubiry, dlatego Agata postanowiła zrobić to osobiście przed powrotem na komendę.

Wsiadając do samochodu, wyjęła telefon i wybrała numer Biernata. Odebrał już po dwóch sygnałach.

– Dzień dobry, pani Agato – usłyszała jego pogodny głos. – Mam nadzieję, że ma pani dobre wieści.

– Nie mam żadnych. Próbuję namierzyć samochód Patryka Brzozowskiego. Srebrne daewoo nubira. Codziennie dojeżdżał nim do pracy, może pańska sekretarka mogłaby dotrzeć do jego numerów rejestracyjnych?

– A to policja sama nie potrafi tego zrobić?

Zacisnęła dłonie na kierownicy. Oczywiście, że mogła użyć oficjalnej drogi, ale trwałoby to zbyt długo.

– A pan nie wie, że nie odpowiada się pytaniem na pytanie?

– Nie chciałbym, żeby pani mnie przesłuchiwała w charakterze oskarżonego – zaśmiał się do słuchawki. – Dobrze, zaraz poproszę sekretarkę, żeby przejrzała dokumentację, ale niczego nie obiecuję. Przez to morderstwo zwaliło nam się na głowę mnóstwo…

– Proszę mi wysłać SMS-a – przerwała mu i zakończyła rozmowę. – Ty pieprzony dupku – dodała.

Zdenerwowana włączyła się do ruchu. Biernat może i na początku zrobił na niej dobre wrażenie, ale szybko pokazał prawdziwą twarz. Jak większość mężczyzn, postrzegał kobietę w mundurze jako przebraną panienkę gotową na ich rozkazy. Kiedy jeszcze patrolowała ulice i rzeczywiście codziennie wkładała mundur, nie było dnia, żeby nie słyszała komentarza w stylu: „Proszę mnie ukarać” albo „Z takich ładnych rączek przyjmę każdy mandat”. Na komendzie nauczyła już wszystkich, że takie odzywki kończą się kopniakiem w krocze lub wykręconą ręką.

Jadąc wolno Rybińskiego, wypatrywała srebrnego daewoo. Początkowo planowała objechać park Oliwski, ale plątanina dróg jednokierunkowych zmusiła ją do zmiany decyzji. Mniej czasu zajmie przejście wszystkiego piechotą niż krążenie tam i z powrotem po drogach z bezsensownie zorganizowanym ruchem, uznała.

Zaparkowała samochód na Cystersów i wysiadła. Już miała ruszyć wzdłuż ogrodzenia, gdy jej uwagę przykuł stojący kilka metrów dalej mężczyzna. Było w nim coś znajomego.

Na pierwszy rzut oka wyglądał zwyczajnie – ot, ojciec któregoś z ganiających za piłką chłopców. Sęk w tym, że pozostali rodzice siedzieli po drugiej stronie płotu, poza tym nieznajomy, zamiast obserwować mecz, skupiał uwagę na widowni. Agata podeszła bliżej, by dokładniej mu się przyjrzeć. Rozpoznała go dopiero po dłuższej chwili, dokładnie wtedy, gdy obrócił twarz w jej stronę.

– Jasna cholera – rzuciła pod nosem, odwracając się do niego plecami.

Zdążyła w ostatniej chwili. Jeszcze sekunda, a nawiązaliby kontakt wzrokowy. To on był wczoraj u Artura, teraz jednak nie miał możliwości, by dostrzec jej twarz.

Robert… Robert… Próbowała sobie przypomnieć, czy brat wymówił nazwisko pacjenta. Na tę niezapowiedzianą wizytę Artur zareagował wyjątkowo nerwowo. Szybko sobie z tym poradził, ale znała go na wylot, potrafiła rozpoznać, kiedy choćby na ułamek sekundy tracił kontrolę nad sytuacją. Jak nikt inny cenił sobie równowagę w życiu i nawet drobne jej zachwianie burzyło jego spokój.

Próbując nie zwracać na siebie uwagi, wróciła z powrotem do samochodu. Tak jak przypuszczała, nieznajomy jej nie zauważył i wrócił do obserwacji widowni. Uporczywie przypatrywał się jednej z kobiet, wyjątkowo głośno dopingującej graczy. Agacie zdawało się, że mężczyzna porusza ustami, jakby mówił sam do siebie. Coraz bardziej intrygowało ją, czego pacjent Artura szukał w okolicach miejsca zbrodni.

Choć nigdy nie rozmawiała z bratem o jego klientach, to doskonale wiedziała, że nie są to ludzie z typowymi zaburzeniami. Od zawsze lubił wyzwania, a przypadki opisywane w jego książkach mroziły krew w żyłach. Stec wcale by nie zdziwiło, gdyby większość jego pacjentów ostatecznie kończyła jako mordercy, gwałciciele lub samobójcy, choć wolała wierzyć, że Artur pomaga im wychodzić na prostą.

W pierwszej chwili chciała zadzwonić do brata i wypytać go o tajemniczego Roberta, ale szybko odrzuciła ten pomysł. Niczym ksiądz na spowiedzi zachowywał sekrety pacjentów dla siebie, co zresztą nie przeszkadzało mu opisywać w książkach co ciekawszych przypadków. Nigdy nie podawał nazwisk, skupiał się na – jak to zwykł określać – „nieodgadnionych meandrach ludzkiej psychiki”.

Przez pięć minut nie wydarzyło się nic interesującego. Chłopcy dalej ganiali za piłką, głośna fanka wciąż dopingowała, a Robert nie odrywał od niej wzroku. Podczas obserwacji Agata otrzymała wiadomość z numerem rejestracyjnym poszukiwanego samochodu.

Nie odrywając wzroku od mężczyzny, wybrała numer Karola Olkowskiego. Podkomisarz odebrał po pierwszym sygnale.

– No, kurwa, wreszcie – rzucił na powitanie. – Dodzwonić się do ciebie nie idzie. Gdzie jesteś? Od godziny Grzechu czeka na ciebie w gabinecie.

– A umówił się na spotkanie?

– Nie rób sobie jaj. Mamy tu urwanie dupy, a ty się gdzieś szlajasz. Ustaliliśmy tożsamość ofiary. Studentka medycyny z Wejherowa, dwadzieścia lat. Stary kazał nam razem jechać do jej rodziców i o wszystko wypytać.

Mecz chyba dobiegł końca, bo rodzice wstali z miejsc. Robert, niczym bohater starych filmów szpiegowskich, mocniej nasunął czapkę na czoło i udawał, że szuka czegoś w telefonie, ale cały czas zerkał w stronę kobiety, której się wcześniej przyglądał.

– I co, czekasz na mnie? To urocze.

– Zaraz będę na miejscu, ale nie myśl sobie, że nie powiem o tym Grzechowi.

– Dobra, dobra. Słuchaj, mam numer rejestracyjny samochodu Brzozowskiego, majstra z palmiarni. Facet zapadł się pod ziemię i znalezienie go jest dla mnie ważniejsze niż wypytywanie pogrążonych w żałobie rodziców. Dasz sobie z nimi radę. Zaraz wyślę ci te

numery, to nadasz je na centralę.

– Sama nie umiesz? Znajdź sobie sekretarkę.

Pacjent Artura niczym spłoszona zwierzyna schował się za drzewem. Agata nie musiała zgadywać powodu dziwnego zachowania mężczyzny, gdyż obserwowana kobieta obróciła się w jego stronę. Zwykła, ubrana w szary płaszcz, nie wyróżniała się niczym szczególnym. Sprawiała wręcz wrażenie zaniedbanej i przemęczonej. To raczej wykluczało Roberta jako potencjalnego gwałciciela, bo wokół znajdowało się co najmniej pięć atrakcyjniejszych i młodszych kobiet.

– Jesteś tam? – krzyknął do słuchawki Olkowski.

– Nie mam teraz czasu. Rozejrzę się tu jeszcze, a potem jadę na komendę. Ten samochód to nasz priorytet.

– No, nie wiem. Są już wyniki sekcji zwłok. Miałaś rację, koniczyny wcześniej zaimpregnowano w glicerynie. Nie zdążyłem dokładniej wczytać się w papiery, ale mamy do czynienia z pieprzonym artystą.

– Teraz już wiesz, dlaczego ja jestem komisarzem, a ty podkomisarzem. Bądź miły dla rodziców tej dziewczyny i koniecznie nadaj blachy samochodu Brzozowskiego. Srebrne daewoo nubira.

Coś odpowiedział, ale rozłączyła się w połowie zdania. Jak sama powiedziała, priorytetem był samochód Brzozowskiego, ale intuicja nakazywała obserwację dziwnie zachowującego się mężczyzny. Bez cienia wątpliwości ukrywał się przed kobietą, jednocześnie nie spuszczając jej z oczu. Może to były mąż, pomyślała. Skoro uczęszczał do Artura, to równie dobrze sąd mógł uznać go za niepoczytalnego i zakazać zbliżania się do syna i byłej żony. W takim wypadku powinna go wylegitymować i przekazać sprawę obyczajówce, a nie tracić czas na zaspokajanie własnej ciekawości.

Powoli dochodziło do niej, że to właśnie robi. Normalnie machnęłaby na typa ręką i zajęła się pracą, ale fakt, że był to pacjent Artura, dodawał całej sprawie pikanterii. Tej części życia brata Stec była najbardziej ciekawa, bronił jej bowiem niczym fortecy. Każde pytanie, nawet najdrobniejszą wzmiankę błyskawicznie ucinał tekstami o etyce, tajemnicy zawodowej czy profesjonalizmie. Gdyby tak udało jej się postawić Robertowi oskarżenie, wówczas psycholog nie miałby wyboru i musiałby uchylić rąbka tajemnicy.

Przesłała Olkowskiemu wiadomość od sekretarki Her-Budu. Minęło kolejne pięć, a może nawet dziesięć minut. Nieznajomy wciąż obserwował kobietę, która stała teraz z młodym małżeństwem przed szkołą, najwyraźniej czekając na syna. Stec już miała dać za wygraną, gdy wreszcie chłopcy wyszli z budynku. Kobieta w szarym płaszczu ucałowała jednego z nich i wzięła od niego plecak. Chłopak nie oponował, co więcej, wydawał się z tego powodu zadowolony. Ruszyli ulicą i minęli samochód policjantki. Ich śladem, niczym cień, podążał podejrzany mężczyzna.

Agatę przeszedł dreszcz emocji. Czuła się jak za dawnych lat, gdy z ukrycia obserwowała pomniejszych dilerów, by dotrzeć do dostawców. Mimo przypływu adrenaliny wspomnienie dawnych akcji nie wywołało w niej pozytywnych skojarzeń. Owszem, ostatecznie dorwała kilku hurtowników, ale emocje, które dusiła w sobie, widząc, jak pieprzeni dilerzy wciskają

narkotyki małolatom, co wieczór zmuszały ją do sięgnięcia po kieliszek. Resztką woli zmuszała się do zaniechania natychmiastowej akcji, tłumacząc sobie, że schwytanie płotki nie uchroni tych wszystkich dzieciaków, bo nie minie tydzień, a szczeniaka wypuszczą na wolność albo w jego miejsce stanie kolejny młodziak żądny łatwej gotówki.

Tym razem też ją korciło, by wysiąść z samochodu i zgarnąć typa pod byle pretekstem. Czterdzieści osiem godzin w celi może wybije mu z głowy głupie pomysły. Podczas aresztowania mogłaby przez przypadek zbyt mocno wykręcić mu rękę, żeby zapamiętał lekcję na dłużej.

Mężczyzna, jakby czytając jej w myślach, zawrócił nagle i ruszył w przeciwną stronę. Kobieta w szarym płaszczu prowadziła syna wzdłuż ulicy Cystersów, podczas gdy Robert szybkim krokiem przeszedł na drugą stronę Kanapariusza i kierował się dalej ulicą Polanki. Stec, zaintrygowana zwrotem akcji, wysiadła z samochodu. Wątpiła, by facet ją rozpoznał, nie widziała jednak innej przyczyny jego nagłego spłoszenia.

Nie zapominaj, że to pacjent twojego brata, powtarzała w myślach, śledząc mężczyznę.

Naiwnością byłoby przypięcie mu łatki zwykłego zboczeńca. Po zastanowieniu uznała, że teza o byłym mężu podglądającym żonę i syna też nie wchodziła w grę. W końcu miała do czynienia z przypadkiem „nieodgadnionych meandrów ludzkiej psychiki” – cokolwiek kryło się za tym stwierdzeniem.

Zaintrygowana podążała za mężczyzną. Sam fakt, że Robert poprzedniego dnia odwiedził swojego psychologa, mógł świadczyć o jego gorszym stanie psychicznym. Znając charakter brata, Agaty wcale by nie zdziwiło, gdyby karą za niezapowiedzianą wizytę było zakończenie terapii. Artur grubą kreską oddzielał życie prywatne od zawodowego, przekroczenie tej granicy było rzeczą niedopuszczalną. Robert na pewno zdawał sobie z tego sprawę, a mimo to postanowił zaryzykować. Pytanie tylko: dlaczego?

Mężczyzna nie zwalniał tempa. By nie stracić go z oczu, podbiegła kilka metrów. Przedpołudniowa godzina nie sprzyjała śledzeniu podejrzanego – wystarczyło, by się obrócił, a dostrzegłby podążającą jego śladem policjantkę. Chodniki świeciły pustkami, nie licząc nastoletniej dziewczyny wyprowadzającej psa. Robert ani razu nie odwrócił głowy, cały czas mknął przed siebie, jakby zapomniał o żelazku podłączonym do kontaktu. Po kilkunastu metrach skręcił w brukowaną ulicę Obrońców Westerplatte, gdzie rosnące po obu stronach drzewa stanowiły swego rodzaju osłonę dla policjantki. Agata zatrzymała się jednak tuż przy sygnalizacji świetlnej.

– O, w mordę – powiedziała na głos z niedowierzaniem.

Z kieszeni wyjęła telefon komórkowy i wybrała numer znajomego technika.

– Co tam? – usłyszała po chwili. – Raport powinnaś mieć już na biurku.

– Bierz chłopaków i ruszcie dupę na skrzyżowanie Polanki i Obrońców Westerplatte. Mamy samochód do przeszukania.

Podeszła do zaparkowanego przy ulicy srebrnego pojazdu. Za szybą widniała przepustka umożliwiająca parkowanie samochodu na terenie dzielnicy Oliwa bez konieczności uiszczania opłaty.

– Nie lepiej go odholować na parking policyjny? – zapytał technik.

Nie odpowiedziała. Na krawężniku na wysokości drzwi kierowcy dostrzegła czerwone ślady. Niewielkie krople wyglądały jak zaschnięta krew. Drugi, niemal identyczny ślad widniał z tyłu samochodu.

– Powiedziałam, że macie ruszyć dupy – odpowiedziała. – Obstawiam, że w bagażniku mamy trupa.

Rozdział V

Głupia bladź odpuściła. Gotów był nagiąć dla niej swój kodeks i użyć ostrza w nieuzasadnionym przypadku, ale w końcu zatrzymała się i pozwoliła mu odejść. Nie miał wątpliwości, że to Artur ją nasłał. Psycholog znał jego tereny łowieckie i najwyraźniej postanowił go przetestować, jakby poprzedniego wieczoru niedostatecznie go upokorzył. Mazur potrzebował jego pomocy, a on z uśmiechem na ustach wypiął się na niego i kazał przeczekać noc. Potraktował go jak byle śmiecia, jak rzuconego przez dziewczynę małolata, który nie potrafi poradzić sobie z emocjami. Przecież chodziło o coś więcej. Pościł długie miesiące, a gdy wreszcie mógł zaspokoić żądze, ktoś odebrał mu posiłek od ust. Nie to jednak było najważniejsze.

W palmiarni doznał czegoś w rodzaju przebudzenia. Patrząc na ciało przywiązane do pnia daktylowca, poczuł, że obcuje z czymś wielkim. Otworzyły mu się oczy. Wcześniej myślał o sobie jak o artyście, ale teraz zrozumiał, że odcinając pępowiny jak maszyna, działał niczym zwykły rzemieślnik. Artyzm, dbałość o szczegóły, spektakularne dekorowanie ciała – tego właśnie było mu trzeba.

Kilka następnych godzin było koszmarem. Obicie prostytutki tylko wzmogło poczucie głodu. Gwoździem do trumny okazało się zachowanie Kamińskiego, choć udał się do niego w największej potrzebie. Chciał się podzielić swoim odkryciem i poprosić o radę. Nie mógł dłużej czekać, nie mógł stać w cieniu i zadowalać się namiastką życia. W nim też płynęła krew artysty i musiał pokazać światu swój prawdziwy talent.

Nie przespał ani minuty. Artur nie przyjął go w gabinecie, ale nie przeszkodziło mu to w wyrażeniu swoich opinii wewnątrz głowy Mazura. Na reakcję matki nie trzeba było długo czekać. W swoim stylu rozpoczęli bitwę na argumenty. Tym razem stanął po stronie matki. Sam w to nie wierzył, ale trafiały do niego jej argumenty. Twierdziła, że drzemie w nim potencjał, ale zamiast rozwijać talent, Robert tłamsi go w trakcie sesji terapeutycznych; że Kamiński celowo działa na niekorzyść jej syna. Sugerowała skrywaną zazdrość, którą psycholog rzekomo żywił wobec pacjenta. Pod pozorem udzielania pomocy odzierał go z marzeń i skazywał na życie w ukryciu.

Pierwszy raz od wielu lat Robertowi brakowało matki. Ona jedna wierzyła w jego zdolności. Zabicie jej też było dla niego przebudzeniem, tak przynajmniej zdawało mu się do tej pory, teraz jednak miał coraz większe wątpliwości. To Artur pchnął go do tego czynu. Podjudzał, karmił obietnicami nowego życia i wyzwolenia z toksycznych objęć, podczas gdy w rzeczywistości odebrał mu jedyną bliską osobę. W odpowiedniej chwili odpłaci

psychologowi pięknym za nadobne. Poznał już odwiedzającą go kobietę, pozostaje tylko ją namierzyć i zapoznać z wygłodniałym ostrzem. Najpierw jednak musiał dokończyć to, co zaczął.

Przyjazd do Oliwy był błędem. Poprzedniego dnia podczas spisywania zeznań usłyszał, jak jego niedoszła ofiara podaje policjantowi adres zamieszkania, mógł teraz złożyć jej wizytę towarzyską. Sam posłużył się fałszywymi danymi. Trzeba było od razu jechać do jej mieszkania, uznał. Wcześniej tłumaczył sobie, że w środku natknie się na męża i syna i będzie musiał zabić całą trójkę. Było to sprzeczne z ideą przecinania pępowiny, toteż odstąpił od tej decyzji. Teraz jednak gotów był wyrżnąć całą kamienicę, byle oddać hołd nieznanemu artyście i podążać jego śladem. Kto wie, może nowy idol zwróci na Mazura uwagę? Może dostrzeże jego talent i zaczną współpracować?

***

Zaparkował tuż obok astry należącej do kobiety w szarym płaszczu. Sylwia Kozłowska – tak przedstawiła się policjantowi – mieszkała w kamienicy przy ulicy Haffnera. Mazur za namową psychologa zazwyczaj zostawiał samochód kilka przecznic od planowanego miejsca zbrodni, ale tym razem nie dbał o środki ostrożności. Skoro zamierzał przeciwstawić się Kamińskiemu, to równie dobrze mógł zlekceważyć resztę jego zaleceń.

Drzwi do budynku były uchylone. Wziął to za dobrą monetę. Czując przyspieszone tętno, wszedł na drugie piętro i stanął przed mieszkaniem nadopiekuńczej mamuśki. Ręce drżały mu z podniecenia. Był przygotowany na artystyczną dekorację jednego ciała, ale w środku pewnie też znajdował się nastolatek. Trochę go szkoda, tylko że i tak nie było już dla niego ratunku. Minęło zbyt wiele lat. Dzieciak po śmierci matki, zamiast odetchnąć pełną piersią, pewnie spędzałby godziny na cmentarzu i wypłakiwał morze łez. Pieprzony niewdzięcznik, zamiast dziękować wybawicielowi, oskarżałby go o morderstwo. Tak, postanowione! Szczyl też pożegna się z życiem, dzięki temu o tej zbrodni będzie głośno we wszystkich stacjach telewizyjnych.

Mazur uśmiechnął się i zapukał do drzwi. Po chwili usłyszał zgrzyt przekręcanego klucza. Wyobraził sobie ostrze wbite w brzuch kobiety, przekręcane w identyczny sposób.

Otworzyła Sylwia. Tak jak zakładał dzień wcześniej, pod płaszczem miała znoszoną bluzkę, za dużą co najmniej o dwa rozmiary; pewnie miała kamuflować wystający brzuszek. Zdziwiona twarz kobiety była wręcz rozczulająca.

– To pan? – spytała. – Co pan tu… Skąd zna pan mój adres?

– Dostałem w szkole. Przepraszam, że przychodzę bez uprzedzenia, ale to sprawa niecierpiąca zwłoki.

Dał jej szansę, by wpuściła go do środka. Chciał zachować się jak na dżentelmena przystało i nie wpychał się na siłę.

– Coś się stało?

– Chodzi o mojego syna. Podobno dzisiaj posprzeczał się o coś z Krystianem i pani syn… – Udał zakłopotanie. – Nie będę owijał w bawełnę. Skończyło się na podbitym oku i dwóch szwach.

Przyjemnie było obserwować proces myślowy kobiety. Jej zaczerwieniona twarz przedstawiała poszczególne fazy: od szoku przez niedowierzanie po wstyd.

– To niemożliwe – wyszeptała wreszcie. – Nie mój Krystek. Na pewno by mi powiedział.

– No, niestety. Mój syn jest niższy od niego prawie o głowę, zatem szanse w tym pojedynku miał raczej mizerne. Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie oskarżam o nic Krystiana. Zależy mi tylko, by chłopcy nauczyli się załatwiać sprawy w nieco bardziej cywilizowany sposób. Przez piętnaście minut próbowałem wyciągnąć od syna, kto go tak załatwił. Teraz czeka na dole w samochodzie. Może moglibyśmy…

Kobieta otworzyła szerzej drzwi i gestem zaprosiła go do środka. Mazur uśmiechnął się szeroko. Równie dobrze mogła od razu odchylić głowę i wskazać mu, gdzie ma ciąć nożem.

– Zaraz zawołam Krystka – wymamrotała. – W głowie mi się nie mieści. To na pewno jakaś pomyłka.

Zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku, po czym gestem zaprosiła go dalej. Była to pierwsza wizyta Roberta w domu przyszłej ofiary. Zmiana scenerii całkiem mu odpowiadała. Nie musiał się spieszyć, nerwowo rozglądać ani porzucać wciąż ciepłego ciała. Po wszystkim będzie mógł napawać się widokiem. Artur nie miał racji, twierdząc, że składanie wizyt ofiarom to zły pomysł. Najwidoczniej wcale nie był taki nieomylny.

Sylwia zaprowadziła go do salonu. Pokój wyglądał przeciętnie. Panował w nim porządek, tylko na stoliku kawowym leżały dwa czasopisma o grach komputerowych. Robert domyślał się, że młody Kozłowski mógł dowolnie rozrzucać swoje rzeczy, a nadopiekuńcza mamusia i tak później wszystko zbierała i segregowała. Wcale by się nie zdziwił, gdyby chłopak po treningu ciskał w kąt plecak z przepoconymi ubraniami. Sam tak robił. Nawet gdy już studiował, mama zbierała jego brudne skarpetki z podłogi.

– Zaraz przyprowadzę Krystiana – oznajmiła kobieta, zostawiając go samego w salonie.

Mężczyzna włożył rękawiczki i rozejrzał się po pomieszczeniu. Nie zdziwiła go konsola podłączona do telewizora ani zestaw kilkudziesięciu gier ustawionych w oszklonej gablocie. Na ścianach, prócz reprodukcji *Słoneczników* van Gogha, rozwieszono rodzinne zdjęcia ze wspólnych wypadów. Uwagę Mazura przykuła jedna z fotografii. Wykonana gdzieś nad morzem, przedstawiała mężczyznę z dwoma wyszczerzonymi chłopcami. Jednym z nich bez wątpienia był Krystian, ale o istnieniu drugiego Robert nie miał pojęcia. Dzieliło ich nie więcej niż trzy lata.

Po chwili do pokoju wróciła Sylwia.

– Krystian mówi, że z nikim się nie bił – oświadczyła. – Nie mam powodów, by mu nie wierzyć, to taki grzeczny chłopiec. Może pański syn coś pomieszał?

– Krystek ma brata? – spytał Robert, ignorując słowa kobiety.

– Słucham?

– Na tym zdjęciu jest dwóch chłopców, a na innych tylko jeden. Dlaczego?

– O czym pan mówi?

Zdjęcie nie dawało mu spokoju. Chłopcy nie byli do siebie podobni, mogli być kuzynami lub kolegami, ale Mazur czuł, że przypadkiem natrafił na rodzinną tajemnicę, która mogła rzucić nowe światło na toksyczną miłość, jaką Sylwia otaczała syna. Może drugi z chłopców

zginął?

– Halo! – Kobieta podeszła bliżej. – Słyszy mnie pan?

– Kim jest drugi chłopiec? – Pokazał palcem fotografię.

– Wcale mi się to nie podoba. Proszę wyjść…

Urwała, gdy zacisnął dłonie w rękawiczkach na jej szyi. Z przyzwyczajenia chciał od razu wyjąć nóż i przeciąć pępowinę, ale przecież nie musiał się spieszyć.

– Kim jest drugi chłopiec? – powtórzył. – Krystian miał brata?

Kobieta walczyła o oddech, dlatego nie winił jej za brak odpowiedzi.

– Teraz lekko poluzuję uchwyt. – Lewą dłoń zdjął z szyi kobiety i zasłonił jej usta. – Ani słowa, bo na twoich oczach zatłukę chłopaka. Kiwnij głową na „tak” lub pokręć na „nie”. Macie dwóch synów?

Zamiast odpowiedzieć, zaczęła się szamotać jak ryba schwytana w sieć. Żałosne nieskoordynowane ruchy tylko odbierały jej energię. Nie miała szans, by wyrwać się z jego uścisku. Robert przesunął dłoń tak, by zasłonić jej nos, i patrzył, jak kobieta wytrzeszcza oczy w panice i próbuje krzyczeć. Rzecz jasna, bez skutku. W końcu przestała się szarpać i zwróciła na niego błagalne spojrzenie. Oczy miała przekrwione, poprzetykane żyłkami, białka lekko żółtawe. Z obrzydzeniem odwrócił wzrok. Uznał, że szkoda tracić z nią czas, postanowił na spokojnie porozmawiać z Krystianem.

– Teraz grzecznie zaśniesz – powiedział, ponownie chwytając ją oburącz za szyję. – Nie myśl sobie jednak, że to już koniec. Wkrótce się zobaczymy.

Nóż w wewnętrznej kieszeni kurtki domagał się ofiary. Przyzwyczajony do szybkich akcji, będzie musiał nauczyć się cierpliwości, by rozkoszować się wydłużonym spektaklem. To jak zmiana diety, pomyślał Mazur. Zamiast połykać hamburgery, wchodzę do wykwintnej restauracji i przed daniem głównym pobudzam apetyt przystawkami. Zobaczysz, szybko do tego przywykniesz.

Kobieta bezwładnie osunęła się w jego ramionach. Dla pewności przytrzymał ją jeszcze kilka sekund, po czym ułożył ciało na podłodze. Nieprzytomna wyglądała niepozornie. Aż dziwne, że pod tą powłoką kryła się toksyczna istota żerująca na potomku. A może potomkach?

Gdzieś tam siedzieli niczego nieświadomy Krystian i… jego brat. Myśl o drugim synu Kozłowskich wywołała w Robercie ciekawość. Skoro było dwoje dzieci, to dlaczego widniały razem tylko na jednym zdjęciu?

Zaintrygowany ruszył do pokoju Krystka. Chłopiec siedział przed komputerem ze słuchawkami na uszach, z zapałem stukając w klawiaturę. Był sam. Sądząc po wypiekach na twarzy, nie odrabiał pracy domowej. Obok łokcia miał brudny talerz po kanapkach. Plecak, z którego wysunęły się książki, leżał w kącie. W pokoju stało jedno łóżko. Tylko jedno. Jedno biurko, jedna szafa na ubrania i jeden komputer. Mazur wrócił na korytarz i zajrzał do pozostałych pomieszczeń. Nikogo więcej nie znalazł, poza tym żaden inny pokój nie wyglądał na dziecięcy.

Jeszcze bardziej zaintrygowany wrócił do chłopca. Niczego nieświadomy Krystian wciąż stukał w klawiaturę. Robert stanął tuż za nim i przez ramię spojrzał na monitor.

– Co to za gra? – spytał, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Chłopak odwrócił się ze złością w oczach. W jednej chwili zastąpiło ją zdziwienie, kiedy zamiast kochanej mamusi ujrzał obcego faceta.

– Co pan… – Zdjął słuchawki.

– Pytałem, co to za gra. Bardzo ładna grafika.

Nastolatek odsunął się na krześle.

– Twój brat też lubi grać? W innych pokojach nie widziałem komputerów, pewnie musicie się dzielić. Często się o to spieracie?

– Ja nie… – Krystian bezradnie spojrzał w kierunku drzwi. – Mamo?!

– Twoja mama zaraz przyjdzie. Nie zastanawiało cię nigdy, dlaczego poświęca ci tyle czasu i uwagi? Nie pomyślałeś, że to trochę dziwne? Przecież wyręcza cię praktycznie we wszystkim. Miałeś brata, prawda? Dlaczego jest tylko na jednym zdjęciu? Dlaczego nie ma własnego pokoju?

Dzieciak nie odpowiadał, tylko patrzył na niego, wytrzeszczając oczy.

Typowy osaczony maminą miłością chłopak, stwierdził Mazur. Zamiast wstać, odepchnąć obcego faceta, kazać mu wypierdalać, zrobić cokolwiek, wolał siedzieć na tyłku i wyczekiwać pomocy rodzicielki. Tak, dla niego nie było już ratunku.

– Pan jest ojcem kogoś z mojej klasy, tak? – spytał wreszcie Krystian. – Już mówiłem mamie, że z nikim się nie biłem. W ogóle nie kojarzę, żeby dziś doszło do jakiejś przepychanki.

– A potrafiłbyś komuś przyłożyć? Jesteś wysoki, ale założę się, że zaciskając palce w pięść, wtykasz kciuk do środka. Wiesz, że uderzając kogoś taką pięścią, od razu złamiesz sobie palec? Wątpię zresztą, byś zebrał się na odwagę, nawet jeśli od tego będzie zależeć twoje życie.

Podszedł bliżej i zamachnął się na chłopca. Ten odruchowo zasłonił twarz dłońmi i podniósł kolano, żałośnie kuląc się przed uderzeniem.

– Mamo! – krzyknął.

Robert potrząsnął głową.

– Przecież jesteś prawie mojego wzrostu. Spróbuj chociaż stawić mi opór. Mama już ci nie pomoże.

Łzy spływające po policzkach Krystiana ostatecznie utwierdziły mężczyznę w przekonaniu, że spóźnił się z interwencją. Chłopak przeistoczył się już w bezradną ofiarę losu, która przed komputerem z uśmiechem na ustach potrafi wymordować całe miasto, a w świecie rzeczywistym od razu ucieka pod maminą sukienkę. Jaką rolę w tym wszystkim odegrał ojciec? Skupiony na pracy nie zauważył, jak kastrują mu syna? A może nie mieszkali razem? Może Kozłowscy podzielili się dziećmi?

– Nie uderzę cię, ale przestań płakać. – Mazur opuścił rękę. – Nie zrobię krzywdy tobie ani twojej matce. Słyszysz?

Szczyl łkał jak mała dziewczynka. Jeszcze chwila, a ze strachu popuści w spodnie.

– Krystek, ogarnij się! Musisz być dzielny, słyszysz?

Chłopiec pokiwał głową, ale wciąż trząsł się jak galareta.

– Zaraz sobie pójdę, chyba że dalej będziesz się tak zachowywał. Mam do ciebie kilka pytań. Odpowiedz na nie, a masz moje słowo, że sobie pójdę. Dobrze?

– Mhm…

– Gdzie jest twój ojciec? Mieszkacie razem?

– W pracy. Wraca koło szóstej wieczorem.

Szkoda, stwierdził w myślach Mazur. Gdyby rodzina była rozbita, Krystian po uwolnieniu od toksycznej matki trafiłby do ojca, który silną ręką i za pomocą pasa zdołałby wyprowadzić go na prostą. Skoro jednak Kozłowski przez tyle lat nie dostrzegł zmian zachodzących we własnym synu, to nie było o czym mówić.

– A ten chłopak ze zdjęcia w salonie? To twój brat? A może kuzyn?

Dzieciak otworzył usta, ale nie wydobył z siebie żadnego dźwięku. Przerażony spojrzał w kierunku korytarza. Mazur ciężko westchnął.

– Miałaś poczekać w salonie – rzucił, nie odwracając się. – Taki przykład dajesz synowi?

Miarka się przebrała. Zbyt długo kazał czekać schowanemu w kieszeni ostrzu. Zamiast smakowitych przystawek dostał czerstwy chleb i twarde jak kamień masło. Nie miał zamiaru dłużej tego tolerować. Smarkacz zaraz znowu zaleje się łzami, a matka będzie żałośnie błagać o litość. Głupia bladź nigdy nie pojmie, że w tej historii to ona odgrywa rolę czarnego charakteru.

– Zostaw go… – Usłyszał za plecami płaczliwy jęk.

Głos ugrzązł kobiecie w gardle, gdy nóż jednym ruchem zakończył życie jej syna. Krew trysnęła na monitor, na którym główny bohater gry oczekiwał na rozkaz. Ubrany w skórzaną kurtkę, ze strzelbą w dłoniach, nie miał pojęcia, że jego przygoda dobiegła końca.

– Game over – stwierdził Mazur.

Kozłowska padła na kolana. Jej gra dopiero się rozpoczęła.

Rozdział VI

Nie potrafiła określić targających nią emocji. Nigdy wcześniej nie miała z tym problemu. Znała kilkanaście odcieni wkurwienia, zazwyczaj przeplatanych znużeniem, krótkimi chwilami podniecenia lub alkoholowego szaleństwa i wyrzutami sumienia, które domykały krąg, przechodząc płynnie w jeden z rodzajów wkurwienia. Teraz jednak męczyło ją coś zupełnie innego. Powinna odczuwać ekscytację z powodu coraz bardziej zagmatwanej sprawy, podczas gdy spotkał ją… zawód. Inaczej nie potrafiła tego nazwać.

Spektakularna zbrodnia w palmiarni rozbudziła w niej pokłady energii, które po znalezieniu ciała Patryka Brzozowskiego rozpłynęły się w powietrzu. Zwłoki mężczyzny były takie zwyczajne. Wciąż nie znała wyników sekcji, ale technik poinformował ją o niewielkim nakłuciu na szyi denata. Najprawdopodobniej zabójca wstrzyknął mu truciznę i zamknął zwłoki w bagażniku, by móc w spokoju przygotować swoje dzieło. Dlaczego tak po prostu porzucił ciało? Mógł przecież zabrać je do pracowni i przygotować w odpowiedni sposób. Nie rozumiała, dlaczego odpuścił, mając w rękach materiał do pracy.

– Agata? – Olkowski pomachał jej dłonią przed oczami. – Pobudka. Teraz nasza kolej.

– Co? – spytała oszołomiona.

Podkomisarz pokręcił głową z dezaprobatą, po czym wstał i wyszedł na środek sali. Stec poczuła na sobie spojrzenia policjantów, w tym stojącego w kącie inspektora. Najwidoczniej Grzechu skończył swój monolog, podczas którego odpłynęła myślami. Wzięła głęboki wdech i dołączyła do Karola.

W pomieszczeniu znajdowało się około dwudziestu funkcjonariuszy. Prócz Agaty próżno było szukać tam innej kobiety. Nie to jednak deprymowało policjantkę. Niedosyt związany z nieudekorowanym ciałem Brzozowskiego zupełnie ją rozbił, choć zdawała sobie sprawę, że to irracjonalne.

– Pan inspektor jak zawsze trafił w punkt – zaczął Olkowski.

Kiedy indziej klepnęłaby go w plecy i powiedziała, żeby skoczył do apteki po wazelinę, teraz jednak nie miała ochoty na żarty i przemilczała lizusostwo kolegi.

– Sekcja zwłok potwierdziła nasze wcześniejsze podejrzenia – ciągnął. – Morderca przyszył do ciała Natalii Szulc czterolistne koniczyny w ogromnej ilości. Rośliny wcześniej zaimpregnowano, dzięki temu nie zwiędły i zachowały żywy kolor; w tym celu użyto roztworu gliceryny. Technicy, zdejmując ciało z palmy, uszkodzili wiele listków, co tylko obrazuje, jak ostrożnie i precyzyjnie musiał postępować morderca, by nie uszkodzić żadnego podczas przyszywania kolejnych. W organizmie dziewczyny wykryto sporą ilość

pankuronium, zwanego potocznie pavulonem. Nie znaleziono śladów gwałtu, przemocy ani żadnych tkanek pod paznokciami. Na szyi widoczne jest nakłucie. Morderca wstrzyknął ofierze środek paraliżujący, by później w spokoju zająć się swoim dziełem. Można powiedzieć, że był delikatny.

– Zapewne to samo wstrzyknął Patrykowi Brzozowskiemu, pracownikowi ekipy budowlanej. Ciało znaleźliśmy przed dwiema godzinami zamknięte w bagażniku jego samochodu, zaparkowanego w pobliżu palmiarni – wtrąciła Agata. – Pewność uzyskamy po sekcji zwłok, ale to tylko formalność. Nietrudno zgadnąć, że miejsce zbrodni zostało wybrane celowo.

Inspektor pokiwał głową. Podczas relacji Olkowskiego nie spuszczał wzroku z Agaty. W przeciwieństwie do większości kolegów nie bała się przełożonego, choć jego przenikliwe spojrzenie nieco ją deprymowało. Wolała, kiedy krzyczał i wyzywał wszystkich od idiotów. Wtedy przynajmniej wiedziała, jak się zachować.

– Rodzina ofiary nie ma pojęcia, kto może być sprawcą. – Olkowski ponownie przejął pałeczkę. – Twierdzą, że córka nie miała żadnych wrogów. Nigdy też nie wspominała ani o czterolistnych koniczynach, ani o żadnych innych talizmanach szczęścia. Pytanie: kogo szukamy? Dlaczego komuś tak bardzo zależało na użyciu koniczyny? Należy się skupić na osobach interesujących się astrologią, New Age, tymi wszystkimi znakami zodiaku i innymi przesądami. Skoro facet zadał sobie tyle trudu, by wykonać amulet szczęścia, to może wcześniej wysyłał już subtelniejsze komunikaty? No i pytanie, gdzie zebrał tę koniczynę? Jeśli kupił od firmy ogrodniczej, to znacznie zawęziłoby pole poszukiwań. Może sam ją wyhodował, a to by znaczyło, że dysponuje wiedzą botaniczną.

Gdyby nie rozmowa z bratem, Stec zapewne tylko pokiwałaby głową. Teraz też najchętniej zakończyłaby naradę i spróbowała w spokoju poukładać myśli, ale wyczekujące spojrzenie Lubomirskiego sugerowało, że tak łatwo jej nie odpuści.

– Jestem innego zdania – stwierdziła, występując krok do przodu. – Sami pomyślcie, komu by się chciało zbierać tyle koniczyny, nasączać każdy listek gliceryną, a potem mozolnie przyszywać je do ciała tak, by się nie uszkodziły? To syzyfowa praca. Osobiście uważam, że do takiego poświęcenia skłonna jest osoba, która chce przeciw czemuś zaprotestować.

– Że co? – Olkowski nie krył zdziwienia.

– Sam zobacz. Jesteś chudy jak szkapa. Wszyscy się z ciebie śmieją. Co by się musiało zdarzyć, żebyś zaczął wreszcie chodzić na siłownię?

– Musiałby go chłopak rzucić – odezwał się ktoś z zebranych, co wywołało salwę śmiechu.

– A może gdyby pobił go gimnazjalista? – zastanawiał się kolejny.

Cała sala zaczęła rechotać. Olkowski momentalnie poczerwieniał na twarzy. Agacie nie zależało na takiej reakcji, ale sama nie potrafiła ukryć uśmiechu.

– Cisza! – zareagował inspektor, uderzając otwartą dłonią w stół.

Jedno słowo wystarczyło, by uspokoić policjantów. Wszyscy momentalnie umilkli.

– Jeszcze ktoś odezwie się bez pozwolenia, to żadna siłownia mu nie pomoże – dodał, po czym spojrzał na Agatę. – Stec, do czego zmierzasz?

– To może prościej… – Zmieniła taktykę. – Kto głośniej krzyczy: zwolennicy czy

przeciwnicy rządu? – Użyła argumentu przedstawionego przez brata. – Chodzi mi o to, że łatwiej zmotywować się do ciężkiej pracy i wyrzeczeń, gdy działamy przeciw komuś. To nienawiść pozwala przetrwać najcięższe chwile. Dlatego uważam, że koniczynę należy traktować jako aberrację.

Większość policjantów, wraz z inspektorem, zmarszczyła brwi. Nikt jednak nie ośmielił się spytać, co oznacza to tajemnicze określenie.

– W naturze koniczyna występuje w formie trzylistnej – kontynuowała Stec. – To, co większość ludzi uznaje za symbol szczęścia, w rzeczywistości jest dziwną mutacją, odchyleniem od normy, wynaturzeniem.

– Czyli gość się wkurwił, że z dziwadła robi się obiekt westchnień? – dopytał Grzechu.

– Jak to wcześniej powiedział Karol, pan inspektor jak zawsze trafił w punkt. – Puściła oko do kolegi. – A tak na serio, to uważam, że powinniśmy szukać osoby głośno wyrażającej sprzeciw wobec wszystkiego, co ma związek z przesądami. Może to być naukowiec, może nawet biolog, z pewnością umysł ścisły. Skoro ma dostęp do silnych leków mogących służyć jako trucizna, to w kręgu zainteresowania powinni się znaleźć lekarze.

– Sprawdzimy oba tropy. – Inspektor pokiwał głową z uznaniem. – Dziś chcę dostać raport z sekcji zwłok tego pracownika firmy remontowej. Dokładnie przeszukajcie jego samochód. Chcę też wiedzieć, dlaczego ten pojeb zostawił ciało majstra w bagażniku, zamiast poddać je chorym zabiegom. No i czemu akurat palmiarnia?

Agata skinęła głową. Sama chciałaby znać odpowiedź na te pytania. Spokoju nie dawały jej też zupełnie nowe dla niej emocje.

***

– Jest wybredny – rzucił Artur jakby od niechcenia.

Zadzwoniła do brata od razu po naradzie. O ile nie miała złudzeń co do skuteczności policyjnych profilerów – kojarzyli jej się z amerykańskimi filmami, w których psychologiczny portret mordercy najczęściej i tak nie posuwał śledztwa do przodu – o tyle jej wiara w Artura była niezachwiana; wielokrotnie udowodnił, że potrafi spojrzeć na problem w nieszablonowy sposób.

– A coś więcej? – dopytywała. – W sensie, że lubi posługiwać się ciałami kobiet?

– Niekoniecznie. Tak na szybko trudno ocenić. Gdybyśmy mieli kolejną uprzednio spreparowaną ofiarę, to moglibyśmy szukać między nimi cech wspólnych, a tak błądzimy w ciemnościach. Zbyt mało danych.

Westchnęła. Wyszła z komendy, by przewietrzyć umysł. Większość jej kolegów była już po lunchu, a ona nie zaliczyła nawet śniadania. Zjedzenie posiłku w bistro po drugiej stronie ulicy wydawało się dobrym pomysłem, ale jeszcze lepszym było wykonanie telefonu do brata po radę. Teraz sama jednak nie wiedziała, czego tak naprawdę od niego chce. Pomimo rozpoznawalnego nazwiska i kilku książek na koncie nie był przecież jasnowidzem. Często zaskakiwał błyskotliwymi uwagami, ale w tym wypadku rzeczywiście nie sposób było wyciągnąć konkretnych wniosków.

– Widziałam dzisiaj twojego pacjenta – zmieniła temat. – Tego, który wczoraj cię

odwiedził. Pewnie zasugerowałam się twoimi książkami, ale jest w nim coś niepokojącego. Stał przed parkiem Oliwskim i obserwował jakąś kobietę. Trwało to z dziesięć minut, potem nagle odwrócił się na pięcie i dał w długą.

– Może cię zauważył i zrobiło mu się głupio?

– Możliwe. Rozumiem, że nie uchylisz rąbka tajemnicy w jego sprawie? Co go tak przypiliło, że wpadł bez zapowiedzenia?

W odpowiedzi usłyszała jednoznaczne chrząknięcie. Tak naprawdę ciekawość dawno jej przeszła, ustępując miejsca pustce czy też rozczarowaniu po znalezieniu ciała Brzozowskiego. Być może to właśnie o tym powinna porozmawiać z Arturem. Nie wiedziała jednak, jak ruszyć ten temat. Nie poprosi przecież brata o poradę psychologiczną. I tak zapewne wysłałby ją do któregoś ze znajomych; nieraz wspominał o zgubnym wpływie pracy z rodziną.

– No dobrze, braciszku. Nie będę cię dalej męczyć.

– Nie ma problemu. Przykro mi, że nie mogłem pomóc. Mam nadzieję, że jestem w błędzie, ale myślę, że nie będziesz długo czekać na kolejną ofiarę.

– Trzymaj się. Jak coś, to zadzwonię. Pa.

Schowała telefon do kieszeni spodni. Jeszcze przed chwilą planowała zjeść coś pożywnego, ale kiedy stanęła przed drzwiami bistro, straciła nagle apetyt. O ile w środku czuła pustkę, o tyle żołądek wydawał się wypchany po brzegi. Mimo to nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Błyskawicznie pożałowała tej decyzji. Był tam. Siedział trzy stoliki dalej. Uśmiechnięty, opowiadał coś z charakterystyczną dla siebie energią. Zawsze żywo gestykulował. Nawet prognoza pogody brzmiała w jego ustach niczym mrożąca krew w żyłach historia. Nic dziwnego, że na imprezach otaczał go wianuszek kobiet. Sama swego czasu dała się oczarować tą spontanicznością i humorem. Kupowała jego historyjki tak samo jak siedząca teraz przed nim blondwłosa lafirynda. Czyżby aż tak popsuł mu się gust?

Michał zdawał sobie sprawę z ryzyka spotkania z byłą żoną, mimo to ze wszystkich knajp w Trójmieście wybrał akurat tę sąsiadującą z komendą. Komisarz nie wiedziała, czy podejść do stolika i się przywitać, czy też bez słowa zdzielić dupka przez głowę czymś twardym, tak jak uczyniła to, gdy przyłapała go na zdradzie. Samo obicie mu buźki nie zaspokoiło wtedy żądzy zemsty, chwyciła więc kluczyki, wsiadła do ukochanego samochodu Michała i pojechała na opuszczony plac, gdzie oblała granatowe audi benzyną i podpaliła. Do dziś wspomnienie płomieni trawiących przedłużenie męskości Steca poprawiało jej humor. Może czas na powtórkę?

Stała tak przy drzwiach dłuższą chwilę, nie mogąc się zdecydować. Wizja oblania eksmęża gorącą kawą wydawała się wyjątkowo kusząca, to by jednak znaczyło, że dała się dupkowi sprowokować. Cokolwiek chciał osiągnąć, nie powinna dać mu satysfakcji. Już sam fakt, że przyszedł tu z głupią siksą, nie wystawiał mu najlepszego świadectwa. Po co zniżać się do jego poziomu?

Raz jeszcze obrzuciła byłego męża wzrokiem. Nie zmienił się przez tych kilka miesięcy. Miał na sobie koszulę, którą sama mu kupiła, i skórzaną kurtkę – pamiątkę ze szczenięcych

lat, której nie pozwalała mu nosić. Nie dość, że była za duża, to kojarzyła jej się z tandetnymi strojami motocyklistów z amerykańskich filmów. Michał Stec nosił tę skórę jeszcze w liceum, gdy wymykał się z domu na rockowe koncerty. Walkę o indywidualność przypłacił wówczas siniakami i ucieczkami przed okoliczną łobuzerką, tak przynajmniej opowiadał, choć z perspektywy czasu Agata miała wiele przesłanek, by traktować te historie z dystansem.

Wyszła na zewnątrz i wróciła na komendę, rezygnując z jedzenia. Najchętniej strzeliłaby kolejkę lub dwie, ale czekało ją jeszcze sporo pracy. Ta przyjemność musiała poczekać, co nie oznaczało jednak, że Agata nie mogła ulżyć sobie w inny sposób.

– Olkowski! – krzyknęła od progu.

Podkomisarz stał obok ekspresu do kawy w towarzystwie dwóch innych policjantów. Wyglądał na rozbawionego, choć na dźwięk własnego nazwiska spiął się niczym uczeń wywołany do tablicy.

– Podejdź do mojego biurka! – zawołała.

– Zaraz. Daj dopić kawę.

– Teraz, kurwa! A pozostała dwójka ruszać dupy i zrobić coś pożytecznego, chyba że wszyscy chcecie skończyć na ulicy.

Spojrzała wyzywająco na Karola. No, odszczeknij coś, ponaglała go w myślach. Daj mi powód, by uwolnić emocje i zrównać cię z ziemią.

– Co ty taka nerwowa? – odezwał się jeden z towarzyszących mu policjantów. – Okres masz? Zwal se konia czy coś.

Cała trójka zarechotała.

Aspirant sztabowy Jarosław Wrzos głupkowatym komentarzem ocalił głowę Olkowskiemu, w zamian podkładając własną. Mierzący niemal dwa metry policjant wcześniej już rzucał podobnymi tekstami, co zwykle kończyło się wulgarną wymianą zdań, teraz jednak nie pojął w porę, że należało odpuścić.

Karol, przeczuwając, co się święci, odsunął się na bok. Stec nawet na niego nie spojrzała. Wolnym krokiem podeszła do wyszczerzonego w uśmiechu policjanta. Tym razem dobrze wiedziała, jakie buzują w niej emocje. Zamiast nieokreślonej pustki w jej żyłach płynęło wkurwienie w najczystszej postaci.

– Może tobie zwalę, co? – spytała.

Nie dała mu czasu na odpowiedź. Z całej siły wyprowadziła cios kolanem w krocze. Dryblas momentalnie zgiął się wpół. Trzymany przez niego kubek upadł na ziemię, zalewając mu kawą spodnie i buty.

– Patrzcie go, jaki wyrywny – dodała Agata i chwyciła policjanta za głowę, przyciskając ją do swojego podbrzusza i wykonując ruchy imitujące stosunek oralny, po czym go odepchnęła. – Może tak się zabawiasz z kolegami, ale u mnie nie masz szans. Jeszcze jedno słowo, a tak cię zegnę, że wyliżesz własne jaja, zrozumiano?

Odwróciła się na pięcie. I tak przedstawienie trwało zbyt długo. Za chwilę z gabinetu wyskoczy Grzechu i wezwie ją na dywanik. Nie dalej jak dwa miesiące temu tłumaczyła się z wybicia zęba jednemu z podejrzanych i obiecywała, że będzie trzymać nerwy na wodzy.

– Olkowski… – Spojrzała na podkomisarza. – Jeśli skończyłeś już przerwę, to zapraszam do mojego biurka. A ta dwójka niech posprząta po sobie, bo zalała całą podłogę.

Mówiła spokojnie, choć wciąż buzowały w niej emocje. Poniżenie gburowatego kolegi przyniosło tylko częściową ulgę. Zdawała sobie sprawę, że Karol w niczym nie zawinił, dlatego siadając przy biurku, obiecała sobie, że nie zruga go przy pierwszej okazji.

Druga okazja to jednak zupełnie inna historia, dodała w myślach.

– Opowiedz mi więcej, co mówili rodzice tej dziewczyny z palmiarni – poprosiła, gdy mężczyzna zajął krzesło po drugiej stronie biurka. Wyglądał na przestraszonego. – Kiedy ostatni raz widzieli córkę?

– Zniknęła dwudziestego dziewiątego sierpnia. Trzy dni wcześniej. Zaginięcie zgłosili po dwudziestu czterech godzinach.

– I naprawdę nic nie podejrzewają? Co mówiła przed wyjściem? Dokąd szła, przecież miała jeszcze wakacje. Może była z kimś umówiona?

Olkowski usiadł wygodniej na krześle, choć wciąż był spięty i gotowy na atak.

– Nic nie powiedziała – odparł. – To typowa rodzina, każdy śniadanie je osobno. Matka twierdzi, że mogła pójść do którejś z koleżanek, ale nie potrafiła nawet podać ich nazwisk. Technicy już odczytali dane z telefonu. Zarówno w dniu zaginięcia, jak i poprzedniego wieczoru dziewczyna z nikim nie rozmawiała.

– A Facebook? Dzieciarnia teraz komunikuje się głównie przez ten, no… – Urwała. Nie potrafiła przypomnieć sobie nazwy aplikacji.

– Messenger? To nie takie proste. Bez nakazu prokuratora nic nie zdziałamy.

Stec odnotowała w głowie pierwszą okazję do zrugania kolegi po fachu. Zasłanianie się prokuratorem było najczęstszą wymówką leniwych policjantów, którzy zamiast obejść system, woleli działać schematycznie, a najlepiej nic nie robić. Oczywiście było w tym trochę racji. Stec podczas wcześniejszych spraw współpracowała z dwoma prokuratorami. Obaj zachowywali się jak typowi urzędnicy: nie wychodzili w teren i wyciągali tylko oczywiste wnioski. Dla nich liczyła się statystyka, w trudniejszych przypadkach brakowało im inicjatywy. Co innego, jeśli policjant w trakcie śledztwa choćby w najmniejszym stopniu przekraczał kompetencje – wówczas w prokuratorze uruchamiały się głęboko ukryte pokłady energii, by w imię poprawności politycznej wymierzyć sprawiedliwość i opowiadać o tym we wszystkich możliwych mediach. Tylko Grzechu potrafił wymusić na nich odpowiedni nakaz, ale Agata wolała zachować tę furtkę na inną okazję.

– Nauczę cię fachu policjanta – powiedziała, wstając od biurka. – Raz jeszcze porozmawiamy z rodzicami tej dziewczyny. Weź sobie notes i obserwuj, a może kiedyś dostaniesz upragniony awans.

Kątem oka zerknęła na Wrzosa, wciąż zgiętego wpół. Z ulgą stwierdziła, że złość i pustka, które wcześniej odczuwała, ustąpiły miejsca policyjnej ciekawości. W razie kolejnego przypływu gniewu w odwodzie wciąż miała Olkowskiego.

***

Rodzice Natalii Szulc mieszkali w czteropiętrowym bloku w Wejherowie. Ich córce same

dojazdy na uczelnię zabierały ponad godzinę w jedną stronę, mimo to pierwszy rok zakończyła bez żadnej dwói w indeksie. Potrafiła też wygospodarować czas na udział w kołach naukowych i pracę w agencji modelek. To ostatnie rodzicom się nie podobało – tak przynajmniej twierdził podkomisarz, kiedy streszczał Agacie całą rozmowę.

– I nie sprawdziłeś tej agencji? – spytała z niedowierzaniem, gdy dojechali na miejsce. – Przecież to wymarzone miejsce do wynajdywania młodych i atrakcyjnych dziewczyn.

– Poczekaj. Sprawdziłem, ale ostatni raz była tam przeszło pół roku temu. Rozmawiałem z szefem. Gość ledwo ją kojarzył. Albo nie miała czasu, albo posłuchała rodziców i darowała sobie marzenia o karierze na wybiegach w Mediolanie.

– I tak po prostu odpuściłeś? Oj, Karol, Karol… Dałeś mi właśnie drugą okazję.

– Że co?

– Nic, nic. – Uśmiechnęła się do własnych myśli.

Wysiedli z samochodu i ruszyli w stronę klatki schodowej. Budynek nie wyróżniał się niczym szczególnym. Jeden z wielu wzniesionych w latach dziewięćdziesiątych bloków, które z niewiadomych powodów odmalowano na zielono i różowo. To, co niegdyś było smutną szarą masą, teraz wyglądało jak pozbawiona ładu i składu zbieranina przypadkowych plam.

Drzwi na trzecim piętrze otworzyła zapłakana matka ofiary. Agata uciekła wzrokiem, byle tylko uniknąć zrozpaczonego spojrzenia kobiety. Trzypokojowemu mieszkaniu nie zaszkodziłoby odświeżenie ścian i wymiana mebli, ale i tak wyglądało lepiej niż lokum policjantki.

Anna Szulc zaprowadziła ich do salonu, co chwila pociągając nosem.

– Przecież wszystko już powiedziałam – oznajmiła, gdy usiedli na wysłużonym narożniku.

Ubrana w dresowe spodnie i bluzę, wyglądała jak wrak człowieka. Jej obecny wygląd nijak się miał do uśmiechniętej kobiety uwiecznionej na rozwieszonych w korytarzu fotografiach. Na podstawie wieku Natalii Agata szybko wyliczyła, że wykonano je najwyżej pięć lat temu, choć gospodyni wyglądała, jakby minęło trzy razy tyle. Brak makijażu i przetłuszczone włosy spięte gumką domykały wizerunku pogrążonej w żałobie matki.

– Zajmiemy pani tylko chwilę – odpowiedziała spokojnie Stec. – Obiecuję, że robimy wszystko, co w naszej mocy, by dorwać tego skurwy… – Ugryzła się w język.

– Skurwysyna – dopowiedziała drżącym głosem Szulc.

– Nie ukrywam, że kluczowe są ostatnie godziny przed wyjściem Natalii. Według pani zeznań córka nie powiedziała, dokąd się wybiera. Bardzo proszę spróbować sobie przypomnieć cokolwiek z tego poranka. O której pani wstała?

– Nie wiem… – Kobieta schowała twarz w dłoniach.

Stec najchętniej kazałaby jej zostać w tej pozycji. Nie musiałaby wówczas utrzymywać z nią kontaktu wzrokowego.

– Dwudziesty dziewiąty sierpnia to był wtorek. Nie szła pani wtedy do pracy?

– No, szłam. Nie wiem… Zawsze wstaję o siódmej, kiedy Jacek wychodzi z domu. On musi dojechać do Gdyni, długo mu to zajmuje. Ja mam pięć minut piechotą do sklepu.

– Czyli wstała pani o siódmej. Co później? Najpierw idzie pani do łazienki? Może

papieros lub kawa?

Karol patrzył na nią jak na wariatkę. Wcale mu się nie dziwiła. Normalny policjant dawno by już odpuścił, ale normalny policjant nie był siostrą znanego w całym kraju psychologa, który uczył ją, jak wyciągać z ludzi informacje. W obliczu wielkiego stresu, jakim bez wątpienia była śmierć córki, Anna Szulc mogła wyprzeć z pamięci pozornie nieistotny szczegół. Dzięki odtworzeniu jej poranka krok po kroku zachodziła szansa, że coś sobie przypomni. Nie stanowiło to głównego powodu wyjazdu do Wejherowa, ale skoro już Agata pofatygowała się osobiście, to grzechem było nie spróbować swoich sił w przesłuchaniu świadka.

– To zależy – odpowiedziała kobieta. – Jak łazienka jest wolna, to biorę prysznic, a jak jest… to znaczy, jak była zajęta przez Natalię, to parzyłam kawę.

Przekrwione oczy kobiety znów zaszły łzami. Agata czuła, że powoli sama zaczyna się rozklejać.

– A tamtego dnia jak było?

– No… Natalka się malowała, więc poszłam do kuchni. Potem zwolniła łazienkę. Pamiętam, że minęłyśmy się w progu i rzucił mi się w oczy jej makijaż.

– Był mocniejszy niż zwykle? Użyła innych kolorów?

– No właśnie nie. Siedziała tam dobre piętnaście minut, a wyglądała, jakby nałożyła tylko puder. Chciałam nawet ją spytać, co tak skromnie, ale się spieszyłam. Jak wyszłam z wanny, już jej nie było.

– Zazwyczaj malowała się wyraźniej, tak?

Kobieta skinęła głową. Z trudem powstrzymywała płacz. Jeszcze chwila, a nie wytrzyma i zaleje się łzami.

– Była pani bardzo pomocna – oświadczyła komisarz. – Jest jeszcze jedna sprawa. Powinniśmy sprawdzić komputer pani córki. Być może przed wyjściem z kimś się kontaktowała przez portale społecznościowe albo mailowo. Tylko że…

– Nie mamy nakazu – wtrącił Olkowski.

W pierwszej chwili chciała go zrugać, ale reakcja Szulc sugerowała, że mężczyzna dobrze zrobił, mówiąc prawdę. Kobieta wyglądała, jakby powstrzymała atak histerii i – przynajmniej na chwilę – odzyskała kontrolę nad emocjami. Bez słowa wstała i wyszła na korytarz. Policjanci ruszyli jej śladem. Po drodze komisarz ponownie przyjrzała się zdjęciom przedstawiającym rodzinę Szulców w komplecie. To zatrważające, jak człowiek może się zmienić przez kilka dni, pomyślała.

Sypialnia Natalii nie odbiegała wyglądem od reszty mieszkania. Od razu było widać, że w domu się nie przelewa. Biurko, łóżko, szafa nosiły wyraźne ślady użytkowania, ale nie można było powiedzieć, że wyglądały, jakby zaraz miały się rozpaść. W pokoju nie było telewizora ani sprzętu muzycznego, za to leżący na biurku laptop wyglądał na nowy. Duża średnica ekranu sugerowała wysoką cenę.

– To prezent za dostanie się na studia – oznajmiła Szulc. – Teraz do nauki nie wystarczają podręczniki i notatki, wzięliśmy więc z mężem kredyt i kupiliśmy takie cudo. Tylko nie wiem, jak to…

– Spokojnie – wtrąciła Agata, kładąc kobiecie dłoń na ramieniu. – Ja się tym zajmę. Skoro to jej prywatny komputer, to pewnie się nie wylogowała.

Usiadła przy biurku Natalii i po chwili weszła na jej profil na portalu społecznościowym. Dziewczyna miała siedemdziesięciu dwóch znajomych. Nie należała do osób aktywnych w sieci. Żadnych nowych wpisów na ściance, zdjęć ani nawet udostępnień postów znajomych, zupełnie jakby żyła w innym świecie niż jej rówieśnicy. Ostatnią wiadomością opublikowaną na tablicy były życzenia bożonarodzeniowe.

Stec weszła w prywatne wiadomości dziewczyny. Tych też było jak na lekarstwo. Na szczęście media jeszcze nie podały tożsamości ofiary z palmiarni, dzięki temu skrzynka nie została zalana spamem od znajomych. Ostatnia wiadomość przyszła dwudziestego ósmego sierpnia – dzień przed zaginięciem studentki. Pochodziła od Aleksandry Nowak. Atrakcyjna, ciemnowłosa dziewczyna wyglądała na rówieśniczkę denatki.

O ile sama konwersacja nie wnosiła niczego do śledztwa – ot, zwykła pogaduszka dziewczyn na temat nadchodzącego semestru – o tyle profil Aleksandry rzucił nowe światło na sprawę.

– Koleżanka, z którą rozmawiała, jest modelką – stwierdziła Agata. – Pani Anno, czy córka współpracowała z agencją Pink & Black?

– No tak. Mówiłam już podczas pierwszej rozmowy, że bardzo mi się to nie podobało.

Stec rzuciła podkomisarzowi jednoznaczne spojrzenie. Nie zdążyła jednak otworzyć ust, gdy w kieszeni poczuła wibracje telefonu. Co się odwlecze, to nie uciecze, pomyślała, zerkając na wyświetlacz.

A może jednak…

– Tak, panie inspektorze?

– Jest trup. Rzuć wszystko w cholerę i przyjeżdżaj. Ten pojeb podobno znowu odstawił jakąś szopkę.

Takiego tempa się nie spodziewała. Choć odganiała tę myśl, to przeszedł ją dreszcz ekscytacji. Nowe ciało, nowe poszlaki, nowa adrenalina. Można zatracić się bez reszty, byle tylko nie mieć czasu na rozpamiętywanie widoku byłego męża.

Rozdział VII

Ręce wciąż drżały mu z podniecenia. Zrobił to. Niespełna godzina pracy, by wreszcie poczuć spełnienie. Wcześniejsza forma odcinania pępowiny wydawała mu się teraz żałosna i nic nieznacząca. Owszem, wyswobodził wiele dzieciaków z toksycznych objęć matek, ale robił to anonimowo, przez co nie potrafił w pełni oddać się pracy. Dopiero nieznany artysta z palmiarni otworzył mu oczy, wskazał drogę i umożliwił obcowanie z prawdziwym pięknem. Czuł się jak uzdrowiony ślepiec. Jego życie nabrało sensu. Wreszcie widział cel, a co więcej – wiedział, co zrobić, by go osiągnąć.

Jak na pierwszy raz poszło mu całkiem zgrabnie. Wprawdzie narobił sporo bałaganu, ale to nie miało dużego znaczenia. Następnym razem lepiej się przygotuje: kupi folię ochronną, weźmie zapasowe ubranie, żeby nie musiał pożyczać ciuchów od męża swojej ofiary, a przede wszystkim sprawi sobie ostrzejszy nóż.

To akurat wydawało mu się najtrudniejsze. Wiele razem przeszli z tym wysłużonym ostrzem, począwszy od odcięcia pierwszej pępowiny i uwolnienia się spod jarzma własnej matki, przez dziesiątki, jeśli nie setki godzin polowania na kolejne toksyczne kobiety, aż po wspólne dokonanie tego ostatniego, zapierającego dech w piersiach dzieła. Jak po tym wszystkim mógłby je odstawić? Tak po prostu wyrzucić do śmietnika i sprawić sobie nowszy model? A może oprawić w ramkę i powiesić w salonie?

Kiedy jechał samochodem, przyłapał się na tym, że czeka na matczyną radę. Ta jednak się nie pojawiała. Rodzicielka milczała od kilku godzin, tak samo jak Kamiński, który powinien przecież wygłaszać te swoje przemądrzałe monologi w jego głowie, żeby mu udowodnić, jak wielka dzieli ich przepaść. Może oni też wpadli w zachwyt nad tym, co zrobił z ciałem Kozłowskiej? Może uznali, że ich zadanie dobiegło końca, i nie będą go więcej niepokoić?

Dochodziła szesnasta, zaraz będzie mógł opowiedzieć o wszystkim psychologowi na żywo. Wolałby wcześniej wpaść na chwilę do domu, wziąć prysznic i przebrać się w swoje ciuchy, ale nie miał tyle czasu. Spodnie Kozłowskiego były trochę za duże, koszula za to leżała idealnie. Na szczęście zdołał zmyć krew ze swoich butów, bo sama myśl o noszeniu cudzego obuwia napawała go obrzydzeniem.

Zaparkował obok czarnego lexusa Kamińskiego. Mazur doskonale pamiętał, kiedy pierwszy raz przyjechał z wizytą do znanego z gazet i telewizji psychologa. Widok luksusowego samochodu i domu, który pomieściłby cztery wielodzietne rodziny, wzbudził jego szacunek, ale i obawy. Uważał wtedy ludzi sukcesu za sarkastycznych, skupionych na sobie dupków. Artur jednak szybko go do siebie przekonał. Nie oceniał go po wyglądzie ani

po zdezelowanym fiacie seicento, którym przyjechał. Robert nawet się nie zorientował, kiedy odsłonił prawdziwą twarz i zamiast wygadywać bzdury o sennych wizjach, przyznał, że osacza go własna matka.

Do wczoraj traktował Kamińskiego jak cholernego guru, nieomylnego przewodnika, który za rękę prowadził go przez życie. Teraz jednak coś się w nim przewartościowało. Sam już nie wiedział, czy zabicie matki było dobrym pomysłem. Wprawdzie otworzyło mu drzwi do nowego życia, ale cóż, skoro z ciasnego pokoju wydostał się tylko na nieco obszerniejszy, wciąż zamknięty teren. Dopiero dzisiaj brama naprawdę stanęła przed nim otworem i świat ukazał mu się w całym jego pięknie. Dom Kamińskiego wciąż wyglądał oszałamiająco, ale nie był już obiektem westchnień, lecz stał się celem do osiągnięcia. Nie minie rok, a nazwisko Mazur będzie znaczyć więcej niż Kamiński, a on, Robert, zamieszka w domu dwukrotnie większym od tego, w którym mieszka psycholog.

Zapukał do drzwi. Zwykle przychodził do Artura z problemem lub naglącą potrzebą wyrzucenia z siebie negatywnych emocji, teraz jednak szczerze się uśmiechał. Pomijając dom psychologa, luksusowy samochód i drogie ubrania, w zasadzie nie różnili się od siebie. Byli na tym samym poziomie. Mogli rozmawiać jak równy z równym. A wkrótce szala przechyli się na korzyść Roberta.

– Witaj, Arturze – powiedział, gdy tylko ten uchylił drzwi.

Kamiński, ubrany w szary, prążkowany garnitur za kilka tysięcy złotych, zazwyczaj witał go protekcjonalnie. Teraz jego mina warta była miliona dolarów – wyglądał, jakby zobaczył ducha.

– Dzień dobry – odpowiedział na pozór spokojnie, ale Mazur usłyszał w jego głosie zdziwienie i niepewność. – Przyszedłeś w samą porę. Zapraszam.

Jak zawsze ruszyli długim korytarzem. Robert uważnie przyglądał się wykończonym w drewnie ścianom i wiszącym na nich obrazom. Nie przemawiały do niego abstrakcyjne malowidła wyglądające, jakby malarz na ślepo rozlewał farbę po płótnie, ale uznał, że obecnie panuje taka moda i należy się do niej dostosować. Wkrótce odwiedzi kilka trójmiejskich galerii i wykupi najdroższe dzieła. Kto wie, skoro już odkrył w sobie talent, to może sam też coś namaluje? Kiedyś czytał kryminał o człowieku spuszczającym krew z ofiar i malującym nią obrazy, czemu on też nie mógłby pójść tą drogą?

– Przepraszam za wczorajsze najście – powiedział, gdy weszli do gabinetu.

Uniesione kąciki ust psychologa zagotowały Robertowi krew w żyłach. Był na siebie wściekły. Jak mógł zacząć w ten sposób? Stary Mazur wiecznie przepraszał – a to za spóźnienie, a to za niewykonanie zadania domowego czy nieostrożne działanie podczas polowania. Ale to już przeszłość. Nowy Robert Mazur nie będzie przed nikim spuszczał wzroku. Ten etap został zamknięty wraz z zabójstwem Kozłowskiej i jej syna.

– Od tego właśnie chciałbym zacząć – odpowiedział Kamiński. – Usiądź. Musimy sobie wyjaśnić kilka spraw.

Nic nie muszę, odparł w myślach Robert, ale posłusznie zajął miejsce na wskazanym przez psychologa fotelu.

– Wczoraj zachowałeś się bardzo nieodpowiedzialnie – kontynuował Artur. – Dobrze

wiesz, że nasze spotkania nie przypominają typowych sesji terapeutycznych. Nie muszę ci chyba tłumaczyć, że twoje czyny, choć powodowane dobrymi intencjami, nie są pozytywnie odbierane przez społeczeństwo.

– Do czasu. Wkrótce wszystko się zmieni.

– Dojdziemy do tego. Najpierw jednak wróćmy do wczorajszego wieczoru i jego konsekwencji. Widzisz, nie bez powodu przyjmuję tak małą liczbę pacjentów. Nie interesują mnie typowe przypadki, skupiam się na indywidualnościach.

Wreszcie powiedział coś mądrego, stwierdził Robert. Doskonale wiedział, do czego zmierza psycholog. Ludzie traktują jego misję jak zwykłe morderstwa i najchętniej zamknęliby go w wariatkowie, trzeba zachować szczególną ostrożność, bla, bla, bla. Równie dobrze mogli porozmawiać o pogodzie.

– Słuchasz mnie? – Głos psychologa przywrócił go do rzeczywistości.

Mazur nawet nie zauważył, kiedy Kamiński wstał z fotela i stanął tuż przed nim. Najwyraźniej na chwilę całkiem odpłynął.

– Tak, tak – odparł po chwili. – Spokojnie. To już się nigdy nie powtórzy. Wtedy byłem pod wrażeniem tej kobiety z palmiarni i nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Teraz już wszystko jest pod kontrolą. Jeśli pozwolisz, to opowiem ci…

– Robert! – Podniesiony głos Kamińskiego wbił mężczyznę w fotel.

Terapeuta mocno chwycił go za koszulę i pociągnął do góry. Tego nie było w planach. Nie tak miała wyglądać ich rozmowa. To Robert miał dominować i udowodnić, że nastała nowa era. Era Roberta Mazura.

– Powiem to tylko raz – stwierdził Artur spokojnym, acz podniesionym głosem, jakby karcił niesforne dziecko. – Nie kręć się w pobliżu parku. Ta kobieta, którą wczoraj u mnie poznałeś, to policjantka. Nie musisz wiedzieć nic więcej. Ona cię dzisiaj widziała, rozumiesz?

Robert skinął głową.

– Nie, nie rozumiesz. – Psycholog cisnął nim z powrotem na fotel. – Wydaje ci się, że rozumiesz, ale w rzeczywistości nie masz pojęcia, co się wokół ciebie dzieje. Nie widzisz konsekwencji swoich czynów. Po coś tam polazł? Chcesz być jak ten morderca? Próbujesz go naśladować?

Skąd to wiedział? Robert był zszokowany. Ale nie, nie naśladować, lecz podążać wyznaczoną przez niego drogą. Kopiowanie to robota dla rzemieślników, on natomiast zamierzał zostać artystą. Stworzyć dzieło na miarę mistrza. Inspirować się nim, wspomagać go, wzbudzić jego zainteresowanie. Zostać równorzędnym partnerem.

Wyprostował się w fotelu i uniósł wyżej podbródek.

– Chcesz ze mną rozmawiać czy nie? – spytał zimno.

Dawny Robert Mazur skuliłby się i czekał na kolejne ciosy. Skomlałby, przepraszał i błagał o ostatnią szansę. Mina psychologa była tego najlepszym dowodem. Jeszcze przed chwilą wyglądał, jakby chciał wyrzucić Roberta na ulicę, a teraz, prócz zdziwienia, w jego oczach widać było zainteresowanie oraz… szacunek.

– Tak też myślałem. – Poprawił na sobie wygniecioną przez Kamińskiego koszulę. – O nic

się nie bój, potrafię o siebie zadbać. Usiądź i porozmawiajmy jak dorośli. Emocje są tu zupełnie niepotrzebne.

Artur posłusznie wrócił na swój fotel. Powinien jeszcze przeprosić za wybuch, ale Mazur tym razem postanowił mu darować. W końcu nie co dzień pacjent, którego do tej pory psycholog miał za śmiecia, wynosił się ponad przeciętność i zrównywał z nim poziomem.

– Skoro już opanowałeś emocje, to opowiem ci o moim dzisiejszym dniu. Owszem, pojechałem do parku Oliwskiego i widziałem twoją znajomą. Nie o niej jednak chciałem rozmawiać, lecz o przebudzeniu, którego doświadczyłem. Pominę szczegóły – usłyszysz o nich w telewizji – ale musisz wiedzieć, że wreszcie odnalazłem sens. Sam chyba widzisz, że jestem innym człowiekiem. Nawet matka odpuściła i nie męczy mnie swoimi radami. Przyznam jednak, że przez chwilę mi tego brakowało.

– Co zrobiłeś?

– Poszedłem drogą wyznaczoną przez mistrza. W zasadzie mógłbym już sobie darować te nasze rozmowy, ale raz, że cię lubię, a dwa, że w mieszkaniu tej kobiety… – Przerwał, przyglądając się terapeucie. Sama wzmianka o tym, że Robert wszedł do czyjegoś mieszkania, wyraźnie wzburzyła Kamińskiego. No proszę, pan opanowany i profesjonalny już po raz drugi okazał ułomność. Jak tak dalej pójdzie, to wkrótce zamienią się rolami i to Artur będzie prosił dawnego pacjenta o pomoc.

– Chodzi o to, że zaszło tam coś niezwykłego – kontynuował, nie kryjąc satysfakcji. – Zauważyłem pewne zdjęcie. Nie wiem, może to za sprawą przebudzenia, ale zacząłem dostrzegać więcej. Do tej pory nie zastanawiałem się, dlaczego toksyczne matki tak bardzo krzywdzą dzieci – po prostu brałem nóż i odcinałem pępowinę – ale ta fotografia dała mi do myślenia. Kozłowski był na nim z dwoma chłopakami. Sęk w tym, że w mieszkaniu nie było śladu po drugim synu. Ani kobieta, ani jej otumaniony pępowiną dzieciak nie chcieli mi powiedzieć, co się stało z drugim chłopcem. Mogę tylko zgadywać, że doszło do tragedii, po której Kozłowska za wszelką cenę chciała utrzymać Krystiana przy sobie.

– Zabiłeś go?

Pytanie psychologa wytrąciło Mazura z równowagi. Jakie to w ogóle miało znaczenie, czy zabił Krystiana, czy nie? Chodziło przecież o coś znacznie ważniejszego, by nie powiedzieć – fundamentalnego.

– Dowiesz się z telewizji – odpowiedział, próbując ukryć wzburzenie. – Albo od twojej znajomej – dodał po chwili z ironicznym uśmieszkiem. – Chodzi o to, że zacząłem dostrzegać drugie dno, kumasz? Nie chcę rozgrzeszać Kozłowskiej, ale rozumiem, czym się kierowała. Ta fotografia. Muszę, po prostu muszę wiedzieć, co spotkało drugiego chłopaka.

Kamiński sięgnął po notatnik. Rzadko zapisywał coś podczas rozmów, dlatego Robert powtórzył sobie w myślach wypowiedziane przed chwilą słowa. Co tak bardzo zainteresowało terapeutę, że postanowił to zanotować?

– Ten drugi chłopiec był tylko na jednym zdjęciu? – dopytał Artur.

– Tak. To właśnie zdziwiło mnie najbardziej.

– Co dokładnie wtedy poczułeś? Tylko ciekawość? Może coś więcej?

– Nie wiem… Trudno powiedzieć. Nóż rwał się do pracy. – Mazur patrzył na Artura

z lekką irytacją. Psycholog wciąż coś zapisywał, jakby notował każde słowo. Z jednej strony jego zainteresowanie było przyjemne, z drugiej jednak Robert czuł się nieswojo. Może powiedział coś głupiego?

– Skup się – ponaglił go Kamiński. – Przypomnij sobie tę chwilę. Co dokładnie robiłeś? Gdzie stałeś? Gdzie była ta kobieta?

– No… stałem w salonie. Byłem sam. Na ścianie wisiały *Słoneczniki* van Gogha. Potem zobaczyłem to zdjęcie. Nie wiedziałem, czy to brat, kuzyn, czy może przyjaciel. Chłopcy nie byli do siebie zbytnio podobni.

– Co było dalej?

– Wróciła Kozłowska. Zapytałem ją o zdjęcie, ale spojrzała na mnie jak na wariata. Zaczęła coś bełkotać, że mam wyjść; musiałem się nią zająć. Potem zachowywała się zupełnie bez sensu, Krystian zresztą też. Zamiast odpowiedzieć na proste pytanie, płakał i wołał mamusię.

Psycholog pokiwał głową. Nigdy wcześniej nie zadawał tak dokładnych pytań, nie mówiąc już o ciągłym notowaniu.

– Jak wyglądał ten chłopiec ze zdjęcia? – spytał, nie odrywając wzroku od zapisków.

– Bo ja wiem? Normalnie.

– Spróbuj sobie przypomnieć coś więcej. Jak był ubrany? Nosił okulary? Jakiego koloru miał włosy? Może miał jakiś znak szczególny, pieprzyk albo bliznę?

– Sam już nie wiem. Okularów nie miał. Ubrany był jak to na plaży, w same kąpielówki.

– A znaki szczególne? Może to coś drobnego, ledwie dostrzegalnego zwróciło twoją uwagę, na przykład blizna na policzku.

Słowa Kamińskiego zmroziły Mazurowi krew w żyłach. Nerwowo poprawił się w fotelu. Rzeczywiście, szczyl miał ciemniejszy ślad na twarzy. Coś tu jednak nie grało. Psycholog nie mógł przecież trafić w ciemno.

– Skąd wiesz? – spytał.

– O czym?

– O bliźnie pod okiem. Sam nie zwróciłem na nią uwagi, dopiero teraz, jak to zasugerowałeś, to sobie przypomniałem. Rzeczywiście miał niewielką szramę na policzku. Byłeś tam? Co to ma znaczyć? Szpiegujesz mnie?

Psycholog zamknął notatnik. Robert nerwowo przełknął ślinę. Sytuacja wymknęła mu się spod kontroli. Ciekawość zżerała go od środka. Musiał zerknąć, co Kamiński tam zapisał. Skąd wiedział o bliźnie na policzku? W co sobie z nim pogrywał?

– Pojedziesz teraz na grób matki – oświadczył psycholog tym swoim spokojnym, irytującym tonem.

– Po co? Skąd wiedziałeś o bliźnie?

– Pojedziesz na grób matki. Potem do mnie zadzwonisz.

– Nie, kurwa!

Wstał z fotela, gotów wyrwać psychologowi notes z dłoni. Nikt nie będzie sobie pogrywał z Robertem Mazurem. Nie teraz, kiedy wszystko wreszcie nabrało sensu. Dlaczego Kamiński zawsze musiał się we wszystko mieszać? Dlaczego po prostu nie przyklasnął mu

i nie życzył szczęścia?

– Usiądź – oznajmił Artur.

– Nie, kurwa. Mów wszystko albo…

Urwał, gdy psycholog wstał z miejsca. Jeszcze chwilę wcześniej Mazur mógł wyjąć nóż i zakończyć tę farsę, teraz jednak zupełnie go zamurowało. Chciał coś powiedzieć, wrzasnąć, rzucić się Kamińskiemu do szyi, tymczasem usiadł grzecznie z powrotem na fotelu i spuścił wzrok.

– Pojedziesz na grób matki – powtórzył Artur. – Potem zadzwonisz do mnie i ustalimy kolejne kroki. Teraz daj mi swój telefon.

Mazur oddał komórkę. Czuł obecność matki. Była blisko. Czekała tylko na odpowiednią chwilę, by skomentować zajście. Ona jedna go rozumiała. Ona jedna dostrzegała więcej.

– Włożyłem ci nową kartę – usłyszał głos Kamińskiego. – Masz tam wgrany mój numer. Inny niż ten, którego do tej pory używałeś. Zadzwonisz do mnie z cmentarza. Będzie dobrze. Zrobiłeś ogromny postęp. Przejdziemy przez to razem.

Robert poczuł dłoń na swoim ramieniu.

– Jestem z ciebie dumny.

Rozdział VIII

W życiu nie widziała podobnej rzezi. Krew była wszędzie: na ścianach, telewizorze, stole, suficie, oknach – gdziekolwiek spojrzeć, wszystko obryzgane czerwienią. Stec nawet nie wiedziała, że z jednego człowieka można wycisnąć aż tyle. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak po czymś takim mąż ofiary ma wysprzątać mieszkanie tak, by nie został żaden ślad. Kolejny raz stwierdziła, że na oględziny miejsca zbrodni lepiej przyjść z pustym żołądkiem.

– Co to za chory skurwysyn? – spytała, odwracając wzrok od zamordowanej kobiety.

Oddałaby wszystko, byle tylko wrócić do męczącego poczucia pustki. Wolała już zwykłe zwłoki w bagażniku niż… No właśnie, co?

Przybita do ściany kobieta miała rozpruty brzuch i wyjęte wnętrzności. W przeciwieństwie do ciała pozostawionego w palmiarni morderca nie zajął się ofiarą z dbałością. Cięcia wykonano nierówno, chaotycznie, jakby tępym i niedostosowanym do tego celu ostrzem. Ślady na szyi kobiety też dowodziły fuszerki. Wstępne oględziny wykazały, że przyczyną zgonu było uduszenie w wyjątkowo brutalny sposób. Gdyby nie fakt, iż zmarła Sylwia Kozłowska była jedną z pierwszych osób, które znalazły ciało Natalii Szulc, komisarz stwierdziłaby, że obu morderstw nic ze sobą nie wiąże. Ten właśnie fakt i ciało chłopca sugerowały jednak coś innego.

U stóp rozpiętej na ścianie kobiety leżał martwy nastolatek z rozciętym gardłem. Sądząc po śladach w sąsiednim pokoju, chłopaka zabito przed komputerem, a później przeniesiono do salonu. Tam też morderca przygotował swoje dzieło. Agata tylko przez chwilę przyglądała się chorej dekoracji, miała jednak pewność, że szybko nie wyrzuci z głowy widoku chłopca z szyją oplecioną wnętrznościami matki. Obrzydliwie obślizgłe jelita niezdarnie przyszyto do macicy kobiety, a właściwie do jej fragmentu, gdyż tę część ciała akurat rozpruto.

– To ma być metafora pępowiny? – spytała.

Olkowski tylko wzruszył ramionami.

– Aż się nie chce wierzyć, że dokonał tego ten sam człowiek. Dlaczego tym razem działał tak chaotycznie? Przecież z Natalią Szulc obchodził się jak z jajkiem. Zero obrażeń, zero krwi, nie to, co… – Machnęła ręką, wskazując całe pomieszczenie. – To nie ma sensu.

– Psychol to psychol – odparł podkomisarz. – Nigdy nie zgadniesz, co takiemu strzeli do łba. Nie będę mógł zasnąć przez kilka najbliższych nocy. Chryste, przecież rozmawiałem z tą kobietą zaledwie wczoraj.

– Co chciał nam powiedzieć? Tu też chodzi o jakąś aberrację?

Ponownie spojrzała na zmasakrowane ciała. Przez chwilę rozważała, czy sposób, w jaki przytwierdzono kobietę do ściany, mógł nawiązywać do ukrzyżowania. Sugerowały to przebite gwoździmi nadgarstki, ale ułożenie rąk bardziej jej się kojarzyło z *Człowiekiem witruwiańskim* – słynnym rysunkiem Leonarda da Vinci. Próżno jednak było szukać dalszych odniesień do dzieła włoskiego mistrza.

– To nie ma sensu – powtórzyła. – Chyba że specjalnie przygotował to wszystko, by wyglądało jak dzieło chorego psychicznie. Tylko po co?

Druga zbrodnia miała powiedzieć coś więcej o mordercy, ale zamiast odpowiedzi przyniosła kolejne pytania. Ofiara była znacznie starsza od Natalii Szulc i nie miała figury modelki. Sprawca tym razem nie zostawił na ciele żadnych roślin ani symboli. Skoro – jak założyła wcześniej Stec – porzucił ciało Patryka Brzozowskiego, bo nie pasowało do jego zamysłu, to gdzieś musiał istnieć wspólny mianownik pomiędzy pierwszą i trzecią zbrodnią, coś więcej niż fakt, że ofiara znalazła poprzednie ciało, inaczej zwyczajnie by ją zabił, bez tej całej szopki.

– Trzeba sprawdzić, czy znała Natalię Szulc – rzuciła do Olkowskiego.

– W agencji dla modelek raczej sobie nie dorabiała. – Podkomisarz wyszczerzył zęby w głupawym uśmiechu.

– Widzę, że humor ci dopisuje. To dobrze, bo czeka cię długi wieczór.

Stec podeszła do ciała chłopca. Zabicie dziecka nie pasowało jej do wizerunku mordercy z palmiarni. Im dłużej przebywała w mieszkaniu Kozłowskich, tym większe dopadały ją wątpliwości, czy rzeczywiście obu zbrodni dokonał ten sam człowiek. To jakby porównać malowany miesiącami obraz z jakimś bohomazem, uznała.

– Może to naśladowca? – spytała, nie odrywając wzroku od ciała nastolatka. – Albo mniej utalentowany asystent? Coś jak inteligentna, błyskotliwa ja i mój niewyrośnięty przydupas od czarnej roboty.

– Nawet nie zaczynaj. Grzechu wyjdzie z siebie, jak usłyszy coś takiego. Dość mamy problemów z jednym psycholem. Jeśli w telewizji zaczną gadać o dwóch, to w ogóle nie dadzą nam żyć. Już samo to, że zabito świadka, nie wygląda zbyt dobrze.

Agata przygryzła wargę, tknięta nagłą myślą. Olkowski złapał jej spojrzenie.

– Nie martw się, już wysłałem patrole do wszystkich pozostałych osób, które widziały ciało w palmiarni, pani inteligentna i błyskotliwa.

Policjantka pokiwała głową z uznaniem.

– Dobrze, trzeba im zapewnić ochronę. Ale to tutaj… – Westchnęła. – Zupełnie tego nie rozumiem. Obie zbrodnie łączy tylko użycie wnętrzności jako elementu mocującego. Reszta to zupełne nieporozumienie. Spójrz tylko na te cięcia. – Wskazała rozpruty brzuch denatki. – Gołym okiem widać, że ktoś odstawił fuszerkę. Nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego facet, który tygodniami zbierał koniczyny i impregnował je w glicerynie, nagle daje się ponieść emocjom. Dlaczego nie użył pavulonu, tylko dusił ją gołymi rękoma? To już nawet majstra, którego uznał za niepotrzebnego, zabił w bardziej cywilizowany sposób.

– Daj spokój. Znajdźmy męża, przepytajmy sąsiadów i zmywajmy się stąd. Wystarczy mi wrażeń jak na jeden dzień.

Stec odsunęła się, by przepuścić techników. Dwóch mężczyzn wyswobodziło ciało chłopca z oplatających je jelit. Dwaj kolejni próbowali odczepić kobietę od ściany. Komisarz wolała na to nie patrzeć.

– Nie wiem, może to lesbijka? – wypaliła głośno, zwracając na siebie uwagę wszystkich policjantów w pomieszczeniu.

– Do zdjęć pozowała z synem i mężem, to raczej wątpliwe – odparł Olkowski. – A nawet jeśli, to co z tego? Rodzice Szulc nie wspominali o nietypowych preferencjach córki.

– Szukam aberracji. Czasem słyszy się o pomysłach, by umożliwić parom homoseksualnym adopcję dzieci. Może facet odkrył prawdziwą naturę Kozłowskiej i postanowił ją ukarać? Tylko czemu w tak brutalny sposób? Co go oburzyło do tego stopnia, że nie opanował emocji?

Ciężko westchnęła. Obok technicy wciąż próbowali zdjąć zwłoki ze ściany. Komisarz już miała ich zrugać za uszkodzenie ciała, gdy jej uwagę przykuła fotografia Kozłowskich. Zmrużyła oczy i podeszła bliżej.

– Szary płaszcz – mruknęła. – Ja pierdolę!

– Co? – spytał Olkowski. – Nosiła chyba inny rozmiar, ale jak chcesz, to bierz, póki mąż nie wróci.

– Normalnie nie wierzę. Ona… – Agata przeniosła spojrzenie na ciało zamordowanej kobiety. Dopiero teraz ją rozpoznała. – Widziałam ją dzisiaj w pobliżu parku Oliwskiego. Ten skurwiel ją śledził.

Olkowski coś powiedział, ale nie słuchała. Wyminęła podkomisarza i wyszła na korytarz. W głowie huczało jej od natłoku myśli. Widziała go. Widziała mordercę. Śledziła go, naiwnie wierząc, że facet się nie zorientuje. Pozwoliła mu uciec. Doprowadził ją do samochodu Brzozowskiego, jakby wcześniej zaplanował całą tę gonitwę. Może też specjalnie odwiedził Artura dzień wcześniej, bo wiedział, że akurat wtedy ją tam zastanie?

– Agata? – Poczuła dotyk na ramieniu.

Odwróciła się. Podkomisarz patrzył na nią jak na wariatkę. Który to już raz dała mu po temu powód? Może to przez brak snu, stres i niezdrową dietę, a w zasadzie jej brak, chyba że jeden posiłek dziennie można nazwać dietą. A może rzeczywiście stopniowo traciła nad sobą kontrolę.

– Agata! – powtórzył Olkowski. – Co z tobą?

– Nic – odpowiedziała. – Muszę jechać. Przepytaj męża i sąsiadów. Wezwij któregoś z chłopaków do pomocy, tylko nie Wrzosa. Upewnij się, że pozostali świadkowie są bezpieczni.

Powinni też sprawdzić trop prowadzący do agencji modelek, ale w obliczu nowych informacji mogło się to okazać zbędne. Raz już pozwoliła uciec mordercy, bo skupiła się na tym, co było wówczas drugorzędne. Teraz nie popełni podobnego błędu.

***

Pierwszy raz dwulitrowy silnik forda na coś się przydał. Nawet nie wiedziała, że potrafi przyspieszyć do setki w tak krótkim czasie, wciąż jednak przeszkadzały jej duże gabaryty

samochodu, uniemożliwiające sprawne wymijanie pozostałych uczestników ruchu. Wprawdzie kierowcy na dźwięk policyjnego koguta ustępowali z drogi, ale niektórzy robili to wyjątkowo nieporadnie. Co chwila gwałtownie hamowała i wykonywała trudne dla siebie manewry.

– Szybciej, kurwa! – krzyknęła.

Zaledwie kilka godzin wcześniej myślała, że fajnie byłoby postawić zarzuty pacjentowi Artura, bo brat musiałby udzielić jej wtedy informacji na temat swojej pracy, teraz jednak oddałaby wszystko, by go w to nie mieszać. Znał tożsamość mordercy, a to znaczyło, że był kluczowym świadkiem i zarazem potencjalną ofiarą.

– No jechać, do cholery!

Artur nie odbierał telefonu. Oczyma wyobraźni widziała, jak Robert wstrzykuje mu truciznę i zanosi go do warsztatu, gdzie zamierza dokonać swego największego dzieła, opus magnum, do czego miałby się posłużyć znawcą ludzkiego umysłu. Zdawała sobie sprawę, że brat od dawna pracował z trudnymi przypadkami, ale nie wiedziała, czy gdyby odkrył, że ma do czynienia z prawdziwym psychopatą, to brnąłby dalej w terapię, czy zgłosiłby sprawę na policję. Stawiałaby raczej na pierwszą opcję.

Brutalny mord na Kozłowskiej był tylko zasłoną dymną. Morderca w ten sposób się przedstawił i zdradził swoje zamiary. Nic dziwnego, że działał szybko i chaotycznie. Kobieta pewnie zobaczyła coś, czego nie powiedziała policji, a co mogło stanowić zagrożenie dla mordercy.

Policjantka odganiała tę myśl, ale wątpiła, by zastała brata w domu. Skoro psychopata działał tak sprawnie, to z pewnością przewidział jej ruch i tylko czekał, aż rozhisteryzowana przyjedzie do domu Artura.

Zahamowała z piskiem opon.

– Zjeżdżaj! – krzyknęła i w ostatniej chwili zatrzymała się przed czerwoną toyotą. Prowadzącą ją kobietę tak przestraszył policyjny kogut, że nie potrafiła ruszyć spod świateł. Stec wcale jej w tym nie pomagała, wciskając przeciągle klakson.

Była już tak blisko. Od domu brata dzieliło ją tylko pięć minut spokojnej jazdy. Miała nadzieję, że dojechawszy na podjazd, zobaczy zdziwioną minę brata. Zamiast od progu zalać go pretensjami z powodu nieodbierania telefonu, mocno go przytuli. Tylko on jej został. Był, jaki był, ale zawsze znajdował dla niej czas na rozmowę. Lubiła myśleć, że też ją kocha i jej potrzebuje, choć to ona zawsze wychodziła z inicjatywą. Po wszystkim, jak już złapie mordercę, a Artur zakończy promocję książki, pojadą razem do Barcelony, nawet jeśli będzie musiała siłą zaciągnąć go do samolotu.

Gwałtownie podjechała pod dom brata. Czarny lexus stał na swoim miejscu. Nie wyłączając syreny, Stec wysiadła z samochodu i podbiegła do drzwi. Cokolwiek czekało ją po drugiej stronie, była gotowa. Wyjęła pistolet z kabury i nacisnęła dzwonek.

– Otwieraj – szepnęła. – Błagam, otwórz te cholerne drzwi.

Sekundy ciągnęły się w nieskończoność. Jeszcze chwila, a wybije szybę i wejdzie do środka. Nie wybaczy sobie, jeśli coś się stanie Arturowi. Zamiast zawierzyć intuicji i skuć gnoja, gdy miała okazję, zatrzymała się przy tej cholernej nubirze. Zła decyzja kosztowała

już życie niewinnej kobiety i dziecka, a teraz zagrażała najważniejszej osobie w życiu Agaty.

Uderzyła pięścią w drzwi. Była wściekła na brata, że nie dał jej kluczy do domu. Nigdy nie prosił o podlanie kwiatów, choć w ramach promocji książki wyjeżdżał niekiedy nawet na dwa tygodnie. Kto wtedy opiekował się domem? Najwyraźniej miał przyjaciół, którym ufał bardziej niż siostrze, choć nigdy ich nie poznała.

Ruszyła w stronę okna, gdy nagle drzwi się uchyliły. W progu stanął Artur. Ubrany w szary, prążkowany garnitur wyglądał, jakby właśnie wychodził do studia telewizyjnego. Najważniejsze, że był cały i zdrów.

– Co ty odpierdalasz?! – krzyknęła wbrew wcześniejszemu postanowieniu, że nie wyskoczy z pretensjami.

Zdziwiona mina brata dodatkowo ją zirytowała. Niczego nieświadomy, czekał tylko, aż pacjent go zamorduje, wypruje z niego wnętrzności, po czym przyszyje mu do skóry czterolistne koniczyny albo inne gówno mające dać wyraz jego chorym poglądom.

– Po co ci telefon, skoro i tak nie odbierasz?! – Pchnęła drzwi, otwierając je szerzej. – Osiwieję przez ciebie, ty pieprzony dupku!

Objęła brata i mocno go przytuliła. Pomimo wściekłości czuła ulgę. Z serca spadł jej ogromny ciężar. Pociągnęła nosem, próbując powstrzymać łzy.

– Co się dzieje? – spytał Artur.

Jak on potrafi mnie zdenerwować, stwierdziła, wciąż ściskając go z całej siły. Co się dzieje?! Ma czelność pytać, co się dzieje? Sam jej to powinien powiedzieć. Ale to dopiero za chwilę. Potrzebowała tych kilku sekund bliskości, by odzyskać rezon. Później, gdy wypyta brata o Roberta i zabierze go w bezpieczne miejsce, tak go opieprzy, że zawsze już będzie odbierał telefony od siostry. I to po pierwszym sygnale.

– Możesz chociaż wyłączyć syrenę? – spytał. – Zaraz zbiegną się wszyscy sąsiedzi.

– Zaraz.

Odwzajemnij uścisk, dodała w myślach. Pogłaszcz mnie po włosach, zrób coś, żebym poczuła twoją bliskość. Nie wiem, kurwa, chociaż poklep po plecach, a nie stoisz jak słup. Jak na psychologa wyjątkowo słabo odczytywał jej potrzeby.

***

Artur parzył najlepszą herbatę na świecie. Stec z ciepłych napojów pijała tylko kawę – najczęściej i tak już zimną – ale u brata poznawała nowe smaki. Tym razem podał jej mieszankę ziół, które rzekomo pomagają na skołatane nerwy, choć policjantka wątpiła, by cokolwiek, prócz schwytania mordercy, było w stanie ją uspokoić.

– To niepojęte – stwierdził Artur, gdy streściła mu ostatnie pół godziny swojego życia. – Jadąc do mnie, musiałaś przeżywać okropne męki. Ta bezradność...

– Będziesz teraz rozkładał moje emocje na czynniki pierwsze?

Jak widać, ziółka na niewiele się zdały. Wprawdzie Agata doszła już do siebie, ale wciąż najchętniej przetrzepałaby bratu skórę.

– Masz rację, przepraszam – odparł spokojnie. – Uważam jednak, że mylisz się co do Roberta. Nawet jeśli dopuścił się tej zbrodni, w co osobiście wątpię, to prędzej ucieknie na

drugi koniec świata, niż obierze mnie za kolejny cel.

– Czy ty zupełnie ogłuchłeś? Mam wierzyć, że przypadkiem odwiedził cię akurat wtedy, kiedy jedliśmy razem kolację? Potem kolejny zbieg okoliczności skierował go do parku Oliwskiego, gdzie zapatrzył się na kobietę będącą świadkiem głośnego morderstwa i na jej syna, którzy po kilku godzinach skończyli jako pieprzone „dzieło sztuki" chorego psychicznie zjeba? Nie mówiąc już o kolejnym przypadku, kiedy to, niby uciekając przede mną, naprowadził mnie na samochód Brzozowskiego? No, rzeczywiście, zupełnie przesadzam z tymi swoimi podejrzeniami.

Kamiński uśmiechnął się w charakterystyczny dla siebie sposób. Nie lubiła tego grymasu. Widziała w nim arogancję. Równie dobrze mógł nazwać ją rozhisteryzowaną panikarą, a jej obawy szukaniem na siłę sensacji. Dobrze jednak wiedziała, czym w rzeczywistości się kierował. Jego pobłażliwość dla sprawcy wynikała z obawy o reputację: co to za psycholog, który nie wykrył u pacjenta ciężkiej choroby psychicznej? A może wręcz ją podsycał? Mediom niewiele trzeba, by zniszczyć człowiekowi życie w imię wzrostu wskaźników oglądalności.

Na usta cisnęły jej się same przekleństwa. Skoro Artur kpił sobie z jej obaw, też postanowiła zabawić się jego kosztem.

– Masz dwa wyjścia – oznajmiła z poważną miną. – Albo wprowadzasz się do mnie, albo ja do ciebie. Muszę mieć cię na oku, dopóki nie przymknę tego gnoja.

– Nie ma takiej możliwości – odparł.

– Chcesz się założyć? Już dawno miałam zamiar cię prosić o przygarnięcie. W moim mieszkaniu muszę zrobić gruntowny remont. Trudno o lepszą okazję. Klucze dam ekipie, a sama przekimam u ciebie parę nocy.

Nawet powieka mu nie drgnęła. Wciąż się uśmiechał. Miała ochotę chwycić go za poły marynarki i potrząsnąć nim z całej siły. Nigdy nie rozumiała jego oszczędności w okazywaniu uczuć. Kiedyś zażartowała, że pewnie mają innych ojców, na co oczywiście zareagował jedynie wymownym spojrzeniem.

– Dobra, mniejsza o to. – Machnęła ręką. – Smaczna herbatka, ale pora złapać tego psychola. Co o nim wiesz? Potrzebuję wszystko: nazwisko, numer telefonu, adres.

Mężczyzna wyjął komórkę z wewnętrznej kieszeni marynarki i spojrzał na wyświetlacz. Przez krótką chwilę sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Nie zmarszczył czoła, nie uniósł brwi ani nie przeklął pod nosem, ale Agata dostrzegła moment zawahania.

– Dzwonił? – spytała.

Artur spojrzał na nią, udając zdziwienie. Pewność siebie wróciła.

– Skąd taki pomysł? – spytał. – Sprawdzam jego numer. Weź coś do pisania, to podyktuję. Z góry uprzedzam, że zawsze rozmawialiśmy tylko na żywo, nigdy do mnie nie dzwonił. Sama widziałaś, że woli wpadać bez zapowiedzi.

Uniosła brew z niedowierzaniem.

– Nigdy nie zadzwonił, tak? To niby jak umówił się po raz pierwszy?

– Przyszedł na spotkanie autorskie, sam zaprosiłem go do siebie – odparł spokojnie Artur.

Jeśli kłamał, to robił to perfekcyjnie. Darowała sobie komentarz. Gdyby nie był jej bratem,

wyrwałaby mu telefon i sprawdziła, co też tak zaniepokoiło go chwilę wcześniej, zamiast tego sięgnęła po długopis i notatnik do kieszeni.

– A nazwisko i adres? – spytała, gdy Artur podyktował ciąg liczb i schował telefon.

– Muszę cię rozczarować, ale nie wymagam od pacjentów podawania danych osobowych. Z tego, co mówił w trakcie sesji, zgaduję, że mieszka w starej części Wrzeszcza. Wspominał o problemach z przeciekającym dachem; nie potrafił namówić pozostałych lokatorów kamienicy na naprawę. Nic więcej nie wiem.

– Kiedy ma kolejną wizytę? Rozmawiałeś z nim po naszej kolacji?

– Zazwyczaj przychodzi w poniedziałki o dwudziestej. Jeśli chcesz, to mogę do niego zadzwonić i zaprosić go na spotkanie dzisiaj wieczorem.

Policjantka odstawiła kubek z herbatą na stolik. Była rozczarowana. Inaczej wyobrażała sobie rozmowę z bratem. Była pewna, że uzyska od niego adres mordercy i samodzielnie zakończy sprawę. Bez podstawowych danych będzie musiała opowiedzieć o wszystkim Lubomirskiemu, który nie potraktuje psychologa ulgowo. Chciała chronić brata, ale nie dawał jej wyboru.

Dzwonienie do Roberta nie miało sensu, uznała po krótkim namyśle. Wszystko starannie zaplanował, toteż wątpliwe, by dał się nabrać na tak prostą sztuczkę. Zapewne używał telefonu na kartę, którą dawno już wyrzucił. Dla pewności jednak wysłała Olkowskiemu wiadomość, by spróbował namierzyć mordercę po numerze telefonu.

– Co to w ogóle za człowiek? – spytała, odłożywszy komórkę na stół. – Muszę wiedzieć wszystko. O czym rozmawialiście? No i przede wszystkim jakim cudem nie zauważyłeś jego problemów? Przecież potrafisz prześwietlić człowieka jak pieprzony rentgen.

– Przeceniasz moje umiejętności. Był u mnie zaledwie trzy razy. To mi jednak wystarczy, by stwierdzić, że człowiek jego pokroju nie byłby w stanie dokonać zbrodni w palmiarni. Zwyczajnie nie miałby do tego cierpliwości.

– Fakty temu przeczą. Był w parku Oliwskim. Śledził kobietę, która znalazła ciało, a następnie ją wypatroszył i owinął jej wnętrzności wokół szyi dziecka. Przypominam ci też, że doprowadził mnie do samochodu Brzozowskiego.

Artur uśmiechnął się szerzej. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego wstał i ruszył w kierunku korytarza. Agata podążyła za nim wzrokiem.

– Zaraz do ciebie wrócę – rzucił przez ramię. – Przyniosę moje notatki z gabinetu, by nie pominąć żadnego szczegółu.

Skinęła głową i spojrzała na komórkę, by odczytać wiadomość od Olkowskiego. Domyślała się treści SMS-a, ale i tak oburzenie Karola poprawiło jej humor. Zawsze w takich sytuacjach podkomisarz się żalił, że nie jest sekretarką i ma ważniejsze sprawy na głowie, mimo to posłusznie wykonywał jej polecenia, nawet jeśli oznaczało to pracę do późnych godzin nocnych. Gdyby choć raz się postawił, stwierdził, że nie będzie dłużej popychadłem, wtedy zapewne by mu odpuściła i sama zajęła się nużącymi zadaniami, jak choćby przesłuchiwaniem sąsiadów. Chyba że akurat trafiłby na jej gorszy dzień, wówczas nie chciałaby znaleźć się w jego skórze.

„Też cię kocham”, odpisała, po czym wstała i podeszła do okna. Czekanie było jedną

z tych rzeczy, których szczerze nienawidziła. Bezczynność doprowadzała ją do szału. Czuła, jak każda upływająca sekunda oddala ją od mordercy. Spojrzała w stronę drzwi. Artur dawno już powinien był wrócić. Kto jak kto, ale pan porządnicki zawsze wszystko odkładał na swoje miejsce, toteż wątpliwe, by przerzucał szuflady w poszukiwaniu notatnika.

Wyszła na korytarz i ruszyła w stronę gabinetu. Mijając kuchnię, przypomniała sobie, że od rana nic nie jadła. Korciło ją, by zajrzeć do lodówki, stwierdziła jednak, że lepiej będzie naciągnąć brata na coś ciepłego. Skoro tak ją zdenerwował, to niech przynajmniej przyrządzi smaczną kolację. Dobre wino też nie zawadzi.

Po chwili stanęła przed gabinetem. Drzwi do pomieszczenia były zamknięte.

– Artur? – Nacisnęła klamkę. – Jesteś tam?

Zamiast odpowiedzi usłyszała głośny hałas. Instynktownie sięgnęła po broń i szybko weszła do środka, rozglądając się uważnie. Po chwili schowała pistolet do kabury. W pomieszczeniu nie było nikogo prócz brata. Stał twarzą do niej, opierając się obiema rękami o blat biurka.

– Wszystko w porządku? – spytała, podchodząc bliżej. – Co to był za huk?

– Miałaś poczekać w salonie.

– Tak, ale… – Urwała.

Nigdy wcześniej nie widziała go tak zdenerwowanego. Wyprostował plecy, podniósł z biurka brązowy notatnik i ruszył w jej stronę. Wyglądał, jakby chciał zabić siostrę na miejscu. Stanął tuż przed nią i obrzucił ją zimnym spojrzeniem.

– Musisz nauczyć się szanować cudzą prywatność – powiedział.

– Pomyślałam, że…

– Wracamy do salonu. – Wszedł jej w słowo. – Powiem ci wszystko, co wiem, a potem pozwolisz mi popracować.

Rozdział IX

Kamiński rozłączył się w połowie zdania. Wcześniej mówił cicho i niewyraźnie, przez co Robert nie słyszał połowy słów. Drżącymi dłońmi ponownie wybrał numer psychologa. Bezskutecznie.

To wszystko nie miało sensu. Musiało mu się coś pomylić. Może to zły cmentarz? W końcu nazwisko Mazur jest dość popularne. Taki choćby Ireneusz Mazur trenował nawet polską kadrę siatkarzy, a Edwarda Mazura swego czasu poszukiwano w sprawie zabójstwa generała Papały. Zachodziło więc duże prawdopodobieństwo, że grób, przed którym stał, należał do innej rodziny. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że prócz zmarłej w dwa tysiące trzynastym roku Elżbiety i jej męża Stanisława, który pożegnał się ze światem piętnaście lat wcześniej, spoczywał tam również Robert Mazur?

– To jakiś absurd – wymamrotał mężczyzna. – Robert Mazur, urodzony dwudziestego trzeciego kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku, zmarł pierwszego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku. Bez sensu.

Zdezorientowany usiadł na sąsiedniej płycie nagrobnej. Daty śmierci jego rodziców się zgadzały, tylko skąd ta informacja o jakimś sześciolatku? To miał być żart? Kolejny etap terapii? Kamiński specjalnie go tu skierował, musiał zatem wiedzieć coś więcej. Kazał do siebie zadzwonić, ale najpierw nie odbierał, a potem oddzwonił, nagle się rozłączył i zostawił go z głową pełną pytań. O co w tym wszystkim chodzi?

– Robert Mazur… – powtórzył na głos. – Robert Mazur… Robert Mazur… Robuś…

Przed oczami stanął mu mały chłopiec w zbyt dużych granatowych sztruksach na szelkach. Śmiesznie się złościł, gdy Robert chwytał za szelki, mocno je naciągał i puszczał. Gdzieś dalej stała mama. Jak zawsze ubrana w kolorową sukienkę, przygotowywała coś w kuchni. Czuł zapach pieczonych jabłek…

***

Pamiętał zapach pieczonego ciasta. Razem z młodszym bratem czaili się, by po cichu ukraść gorący kawałek. Tym razem mama była jednak czujna i odczytała ich zamiary. W ramach kary za łakomstwo kazała im nakryć do stołu dla sześciu osób. To akurat, zamiast zezłościć Roberta, bardzo go uradowało. Dodatkowe talerze oznaczały wizytę dziadków, a wizyta dziadków oznaczała słodki upominek, zwłaszcza w tak wyjątkowy dzień.

Razem z bratem wyjęli najładniejszy obrus. Obok na kanapie drzemał ojciec. On akurat wyjątkowo nie lubił, gdy przychodzili dziadkowie, dlatego chłopcy starali się nie narobić

hałasu. Tata ostatnio miewał humory i lepiej go było nie drażnić. Z pracy wracał zdenerwowany i podpity. Początkowo mama mu to wypominała, ale po którejś kłótni przestała komentować jego zachowanie.

Dziadkowie przyszli kilkanaście minut przed czasem. Ojciec siedział jeszcze w wannie, a mama kończyła przygotowywać jedzenie, obowiązki gospodarza spadły więc na Roberta. Chłopiec zaprowadził gości do salonu. Przejęty rolą, wskazał miejsca przy stole, ale babcia od razu zaczęła przesuwać talerze.

– Kobiety tak już mają – westchnął dziadek. – Dzięki temu mamy trochę czasu dla siebie. Co tam, chłopcy, u was słychać?

Robert nie zdążył odpowiedzieć, gdy z łazienki dobiegł ryk ojca. Nigdy wcześniej nie słyszał tylu przekleństw naraz. Połowy słów nawet nie rozumiał, ale domyślał się ich znaczenia. Tak jak domyślał się powodu wzburzenia ojca.

– Gdzie ja to, kurwa, teraz kupię?!

– O co ci znowu chodzi? – odpowiedziała mama. – Nie strasz dzieci. Poza tym rodzice już przyszli. Choć raz mógłbyś…

– To po chuj mi wszystko wylałaś?!

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Głupia bladź! Nie mogę już na ciebie patrzeć.

Ojciec, owinięty tylko ręcznikiem, stanął w progu salonu. Robert spuścił głowę, ale czuł na sobie jego wzrok. Powinien był się przyznać. Powinien wykrzyczeć ojcu w twarz, że to on odkrył tajną skrytkę pod wanną i wylał zawartość schowanych tam butelek. Nie miał jednak odwagi. Strach paraliżował i odbierał mowę. Nieważne, że chciał dobrze. Nieważne, że marzył o fajnym Dniu Dziecka. Nieważne, że potrzebował trzeźwego ojca, a nie podpitego, gadającego do siebie lub wiecznie śpiącego pijaka. Koniec końców i tak oberwało się mamie, a on nie potrafił wziąć odpowiedzialności za swoje czyny. Był tchórzem.

Na szczęście tym razem obyło się bez większej kłótni i rękoczynów. Ojciec ubrał się i poszedł w długą. Wróci późnym wieczorem lub – przy odrobinie szczęścia – dopiero nad ranem. Młodszy z braci nie rozumiał, co się stało, i obżerał się ciastem. Robert stracił apetyt.

– Powinnaś coś z tym zrobić – radziła mamie babcia, gdy wszyscy usiedli do stołu. – Tak przecież nie można żyć.

– To przejściowe. Stasiu ma problemy w pracy i musi jakoś odreagować.

– Rok temu mówiłaś to samo.

– Mamo, daj spokój. Wszystko jest dobrze.

– Ty to nazywasz „dobrze”? Zaraz go wyrzucą z pracy za picie. Kto wie, do czego wtedy będzie zdolny. Myśl o dzieciach. Myśl o przyszłości.

Robert uważnie słuchał rozmowy. Nie podobały mu się słowa babci. Zawsze mówiła to samo, ale nigdy w towarzystwie ojca. Kiedy wchodził do pokoju, nabierała wody w usta. Sama nie miała odwagi pomóc córce, potrafiła tylko wygłaszać te swoje mądrości, a potem wracała do siebie i zostawiała ich na pastwę losu.

Dziadek przynajmniej nie udawał, że obchodzi go cała ta sytuacja. Sam nie wylewał za

kołnierz, ale zamiast robić awantury, opowiadał po pijaku żarty, nawet jeśli zazwyczaj rozśmieszał nimi tylko samego siebie.

– Może Henryk zabierze chłopców na spacer, a my spokojnie porozmawiamy? – zaproponowała babcia.

Robert spojrzał na mamę, dając do zrozumienia, że nie ma ochoty wychodzić z domu, ale entuzjastyczna reakcja młodszego z braci bardziej na nią podziałała.

– Mógłbyś, tato? – spytała.

– Oczywiście. Zjadłem trzy kawałki ciasta, to najwyższa pora trochę się poruszać. Zagramy w piłkę, co? – Mrugnął do chłopców.

Gdyby wtedy posłuchała Roberta. Gdyby choć raz wzięła pod uwagę jego zdanie, zamiast jak zawsze faworyzować młodszego syna. Gdyby zostali w domu, zamiast włóczyć się z dziadkiem po osiedlu…

***

Mazur wyjął nóż i zaczął skrobać płytę nagrobną. Niezawodne narzędzie zbrodni niebezpiecznie wygięło się w kontakcie z kamieniem, mimo to naciskał mocniej. Musiał wymazać stamtąd swoje imię. Musiał położyć kres głupiemu żartowi, by odzyskać równowagę. Był przecież tak blisko. Odnalazł sens w życiu. Odnalazł własną drogę i mistrza gotowego otworzyć przed nim wszystkie drzwi. Dlaczego Kamiński wszystko popsuł?

Ostrze ślizgało się po powierzchni kamienia, tylko lekko je zarysowując. W tym tempie zajmie to kilka godzin, ale Mazur nie widział innej możliwości. Razem z nożem dokonali już tak wiele, więc i tym razem musiało im się udać. Później wróci do Kamińskiego i raz na zawsze zakończy terapię. Po tym spotkaniu Artur nie będzie już w stanie udzielić pomocy nikomu.

***

Gra w piłkę z dziadkiem oznaczała spacer na plac zabaw i mecz jeden na jeden z młodszym bratem. Starszy pan w tym czasie kupował gazetę i siadał na ławce, wcale nie interesował się wnukami. Robertowi zwykle to nie przeszkadzało, ale tego dnia nie miał ochoty na żadne zabawy, zwłaszcza że musiał podkładać się słabszemu i wolniejszemu sześciolatkowi.

– Pokop sobie sam – rozkazał.

– Nie. Ty stań na bramce, a ja będę strzelał.

– Innym razem.

– Ale proszę! Ty będziesz Schumacher, a ja Maradona.

Chłopiec kopnął piłkę. Robert chwycił ją bez najmniejszych problemów. Przewaga trzech lat zazwyczaj czyniła go niepokonanym. Najlepszym tego dowodem była blizna na prawym policzku sześciolatka – pamiątka po zabawie w bokserów. Zbyt mocno odepchnął wtedy brata, a on uderzył głową w oszkloną szafkę.

– Nawet nie umiesz dobrze strzelać – stwierdził, po czym wykopał piłkę najdalej, jak tylko

potrafił. – Potrenuj sam. Ja muszę pogadać z dziadkiem jak dorosły z dorosłym.

Nie zważając na pretensje brata, ruszył w stronę ławki. W rzeczywistości nie miał dziadkowi nic do powiedzenia, ale musiał coś nazmyślać, by wymigać się od gry. Wolał już słuchać nudnego gadania dziadka o polityce i gospodarce – Robert nie odróżniał tych dwóch terminów.

– Tak dziadek nie spali kalorii – powiedział, zajmując wolne miejsce obok.

– Skąd ta pewność? – Starszy pan spojrzał na niego znad gazety. – Mój mózg pracuje ze zdwojoną mocą i zużywa energię potrzebną do przebiegnięcia kilku kilometrów. Nie wierzysz mi? – Złożył gazetę. – Sam zobacz. W życiu nie uprawiałem sportu. Piwo piję przy każdej nadarzającej się okazji, nie mówiąc już o jedzeniu ciast, a przecież wiesz, że babcia piecze najlepsze na świecie. Moi rówieśnicy mają brzuchy jak balony, a ja? Nic. Zero.

Robert uśmiechnął się do dziadka. W jego oddechu wyczuwał znajomy zapach, co by znaczyło, że oprócz gazety kupił jeszcze coś, co wprawiło go w dobry humor.

– Po co w ogóle pić alkohol? – spytał, spuszczając wzrok. – Przecież to ohyda.

– A co, próbowałeś?

– Raz, jak wylewałem ojcu… Dziadek nie powie nic mamie, dobrze?

– Masz to jak w banku. Mężczyźni muszą trzymać się razem, w przeciwnym razie kobiety wejdą nam na głowę. – Poklepał chłopca po ramieniu. – A co do twojego pytania, to trudno mi odpowiedzieć. Jesteś jeszcze za młody, żeby to zrozumieć, ale przyjdzie czas, że dostrzeżesz plusy zimnego piwka czy wódeczki. W pewnym momencie mężczyznom nie pozostaje nic innego, jak pójść do baru i topić smutki.

Chłopiec nic z tego nie rozumiał. Wcale nie był za młody. Mama ciągle mu powtarzała, że jest za duży na wygłupy i musi zachowywać się jak dorosły. Czy do tego zaliczało się picie alkoholu? Z dwojga złego wolał już to niż papierosy. Raz z kolegą zapalili jednego na spółę, potem zebrało im się na wymioty. Nieważne, że starsi chłopcy kopcili jak kominy, żeby zaimponować dziewczynom – nikt nigdy nie zmusi Roberta, by wciągał do płuc tę duszącą chmurę dymu.

– Ale jak to nie pozostaje nic innego? – dopytał. – Przecież jest wiele rzeczy. Dziadek na przykład lubi czytać gazety. Ja…

Urwał, nie wiedząc, co powiedzieć. Jakby się dłużej nad tym zastanowić, to rzeczywiście trudno mu było znaleźć coś fascynującego. Coś, co nadawałoby życiu sens. Owszem, lubił grać w piłkę, ale bez przesady. Fajnie było oglądać nagie modelki na zdjęciach, ale czy można to robić przez całe życie? Może dziadek miał jednak rację?

– Sam widzisz, chłopcze. Może jesteś już mądrzejszy, niż zakładałem.

Zza pleców wyjął niewielką buteleczkę i pociągnął z niej kilka łyków.

– Ale to przecież jest takie niedobre.

– Niektórzy rozcieńczają wódkę sokiem. Moim zdaniem to dobre dla mięczaków. Dla maminsynków, co to nie mają dość odwagi, by wyjść do baru, rozumiesz? Nie powtarzaj tego mamie, ale uważam, że to właśnie przez matki musimy pić. Czasem odnoszę wrażenie, że one celowo tak nas wychowują. Potem wyrastają z nas tacy ojcowie jak twój: nieporadni, niepotrafiący odnaleźć się w życiu. Na każdym kroku czeka nas rozczarowanie. Ale może

gadam głupoty, co?

Robert wzruszył ramionami. Po chwili uznał, że lepiej już bawić się z bratem, niż słuchać wywodów dziadka. Zeskoczył z ławki.

– Wracam do… – Urwał.

Nigdzie go nie było. Na placu zabaw biegały tylko dwie dziewczynki. Kilka metrów dalej starszy mężczyzna wyprowadzał jamnika na spacer. Robert nie pamiętał imienia psa. Kiedyś się z nim bawił, ale szybko stracił zainteresowanie, bo zwierzę nie potrafiło aportować ani wykonywać żadnych sztuczek.

– Zniknął… – szepnął przerażony.

***

– No, znikaj! – wrzasnął wściekły mężczyzna.

Sam nie wiedział, czy krzyczy do wyrytego w kamieniu napisu, czy do własnych wspomnień. W obu przypadkach był na straconej pozycji.

Pamiętał dalszy przebieg zdarzeń. Brat zaginął. Robert zaginął. Jak długo by nie ścierał tego imienia z płyty nagrobnej, nie zmieni tego faktu. Szukali go wszyscy, ale nie natrafiono na żaden ślad, jakby chłopiec rozpłynął się w powietrzu. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Początkowo zgłaszali się ludzie, którzy twierdzili, że mają ważne informacje, szybko jednak wyszło na jaw, że szukali tylko łatwego zarobku. Po którymś takim rozczarowaniu ojciec zupełnie pękł i wpadł w alkoholowy ciąg. Nie potrafił pogodzić się z faktem, że nie może nawet pochować własnego syna. Prawo nie pozwalało uznać zaginionego chłopca za zmarłego do ukończenia przez niego dwudziestych trzecich urodzin, czego ojciec już nie doczekał. Dopiero po wielu latach matka mogła formalnie przeprowadzić procedurę i symbolicznie wyryć imię Roberta na nagrobku obok nazwiska świętej pamięci męża. Dziesięć lat później dołączyła do nich i zostawiła starszego syna samego.

– Nie, kurwa!

Ostrze nie wytrzymało. Złamało się w połowie, podobnie jak on sam, bo nie dawał już rady. Mimo to nie chciał się poddać. Nie potrzebował przeklętego zdrajcy, który zostawił go samego na polu bitwy. Dawno już powinien był go zastąpić. Teraz kupi sobie nóż z prawdziwego zdarzenia.

– Ja jestem Robert! – krzyknął, uderzając pięścią w płytę. – Ja jestem Robert!

Po kilku ciosach poczuł silne pieczenie. Dłonie miał opuchnięte i zakrwawione. To jednak nic w porównaniu z bólem rozdzierającym go od środka. Próbowano odebrać mu tożsamość, wyrwać duszę i skazać na życie w obcej skorupie. Nie mógł na to pozwolić. To on był prawdziwym Robertem Mazurem. Nie jego brat. On w ogóle nie miał brata!

Płyta ustąpiła dopiero po serii kopnięć. Najpierw odłamał się narożnik, kolejne ciosy niszczyły kłamliwe informacje. Nie ustępował. Fragment z wyrytym imieniem Roberta pękł na pół, ale Mazurowi wciąż było mało. Obrócił się w stronę sąsiedniego nagrobka.

– Panie, co pan robisz?! – usłyszał nagle krzyk.

Podniósł wzrok i zobaczył patrzącą na niego z oburzeniem starszą kobietę. Przez chwilę nie odpowiadał, po czym ruszył nagle w jej stronę. Nikt mu nie będzie przeszkadzał.

Staruszka zrobiła kilka kroków do tyłu, najpierw niepewnie, ale widząc jego zdecydowanie, przyspieszyła. Z kieszeni płaszcza wyjęła komórkę i krzyknęła:

– Dzwonię po policję!

Rzeczywiście, dotknęła kilka razy wyświetlacza i podniosła telefon do ucha. Mazur się zawahał. Ogarniająca go wściekłość nieco osłabła. Nie powinien teraz zwracać na siebie uwagi policji.

Kobieta wysokim głosem zażądała, aby natychmiast przyjechał na cmentarz radiowóz, i spojrzała triumfalnie na Roberta. Odwrócił się. Nie mógł sobie pozwolić na zatrzymanie, ale też nie ucieknie jak spłoszony nastolatek. Nie da staremu babsku satysfakcji. Miał po prostu co innego do załatwienia.

Z uśmiechem na ustach wyszedł na parking. Trochę to trwało, ale odnalazł na nowo wewnętrzną równowagę. Cokolwiek Kamiński próbował ugrać, szykując tę farsę, będzie mocno zawiedziony. Wprawdzie szlag trafił nóż, ale przecież i tak Robert planował kupić coś nowego. Przynajmniej nie będą go męczyć z tego powodu wyrzuty sumienia.

Dopiero w samochodzie poczuł piekący ból. Całe dłonie były pokryte krwią, a zdarta skóra na kostkach przybrała brzydką sinoczerwoną barwę. W takim stanie nie powinien pokazywać się psychologowi. Artur od razu wyciągnie nieprawidłowe wnioski i zacznie mówić coś o wyparciu, mechanizmach obrony czy przywoła inne mądrze brzmiące terminy, którymi żonglował w swoich książkach. Kiedyś to działało na Roberta, ale wszystko się zmieniło, odkąd natrafił na ciało w palmiarni.

Przeszły go ciarki na samą myśl, że mógł zignorować tamte nastolatki. Mało brakowało, a dałby wówczas za wygraną i po prostu wrócił do domu. Dalej trwałby w zawieszeniu, w ułudzie szczęścia, w której od lat utrzymywał go terapeuta. Ile jeszcze by wytrzymał, nim przestałby walczyć i stwierdził, że odcinanie pępowin do niczego nie prowadzi? Miesiąc? Rok? Wreszcie dotarłoby do niego, że w pojedynkę nic nie zdziała; że w miejsce jednej odciętej pępowiny wyrastają kolejne; że toksyczne matki mnożą się jak pieprzone króliki. Jak więc nie nazwać tego, co go spotkało, przeznaczeniem?

Po chwili namysłu stwierdził, że od razu odwiedzi Kamińskiego. Nieważne, że psycholog źle go oceni. To, co planował z nim zrobić, zmiecie wszystkie jego argumenty. Mazur utrzyma go przy świadomości, pozwoli mu patrzeć, jak jego ciało zamienia się w prawdziwe dzieło sztuki. Znowu się przy tym ubrudzi krwią, nie widział więc sensu, by najpierw wracać do domu i wkładać świeże ubrania. U Artura czekała przecież garderoba pełna drogich koszul i garniturów, które psychologowi nie będą już więcej potrzebne.

– Dawno mówiłam, żebyś to zrobił – usłyszał głos matki.

Przez chwilę czekał na odpowiedź Kamińskiego, ta jednak nie nadeszła.

– Trudno o lepszy dowód na jego kapitulację – uznała kobieta. – Wreszcie wyrzucimy go z naszego życia. Dość już namieszał. A ta sztuczka na cmentarzu? Cios poniżej pasa.

– Nigdy go nie lubiłaś – odpowiedział, odruchowo zerkając na pusty fotel pasażera.

– Dziwisz się? Manipulował tobą. Sterował jak marionetką.

– Ty wcale nie byłaś lepsza.

Zapadła błoga cisza. Nie musiał nawet krzyczeć, by wyrzucić ją z głowy. Wystarczył

trafny argument. Teraz wydawało się to takie proste, choć wcześniej, do spółki z Kamińskim, dręczyła go całe noce.

W tym momencie odkrył coś jeszcze: przed laty przeciął tylko fizyczną pępowinę. Ta mentalna wciąż oplatała jego szyję i dopiero kiedy odnalazł we wszystkim sens, nauczył się stawiać jej opór. Tu nie pomoże najostrzejszy nawet nóż. Potrzebny jest zdrowy umysł i jasny cel w życiu. Robert nie mógł się doczekać, aż opowie o wszystkim psychologowi.

***

Zastosował się do wcześniejszych rad Kamińskiego i nie wjechał na podjazd przyszłej ofiary, lecz zaparkował na ulicy kilkanaście metrów dalej. Mało brakowało, a podekscytowany wpadłby na znajomą psycholog, która akurat wychodziła z jego domu. Na szczęście stała tyłem do Roberta i zdążył w porę usunąć się na bok. Przyczajony, obserwował, jak kobieta całuje Artura w policzek i wsiada do samochodu.

Zachowanie policjantki zupełnie zbiło go z tropu. Dlaczego tak często odwiedzała Kamińskiego? Dlaczego całowała go w policzek? Psycholog zazwyczaj unikał kontaktu cielesnego, tym razem nie zareagował jednak negatywnie. Odpowiedź wydawała się oczywista: kobieta nie była zwykłą znajomą, lecz kimś bliższym.

Dalej wszystko potoczyło się niemal automatycznie. Robert poczekał, aż policjantka odjedzie, po czym wrócił do samochodu i ruszył jej śladem. Sam nie do końca rozumiał swoje działanie, ale czuł, że postępuje słusznie. Mimo okrutnego żartu, którego dopuścił się psycholog, Robert wciąż go cenił. Tylko z Kamińskim mógł szczerze porozmawiać. Nierozsądnie byłoby go zabijać. Zajmie się raczej jego kochanką. Jeśli Artur rzeczywiście jest taki mądry i wyjątkowy, to dostrzeże prawdziwy artyzm i wreszcie zacznie traktować Mazura z szacunkiem. Jeśli nie… Cóż, co się odwlecze, to nie uciecze.

Po kilkunastu minutach zatrzymał samochód na parkingu przy Obrońców Wybrzeża. Przez chwilę myślał, że policjantka go rozgryzła, bo zamiast zaparkować, zatrzymała się przed wolnym miejscem, włączyła kierunkowskaz, po czym nagle ruszyła do przodu. To samo powtórzyła kilka metrów dalej. Dopiero trzecie miejsce przypadło jej do gustu.

Robert z uśmiechem patrzył, jak kobieta wchodzi do jednej z klatek schodowych falowca. Nie mógł tak po prostu pójść i wsiąść razem z nią do windy. Znała jego twarz, musiał utrzymywać większy dystans. Na szczęście dzięki zewnętrznym korytarzom śledzenie jej okazało się wyjątkowo prostym zadaniem – nawet stojąc na dole przed budynkiem, mógł zobaczyć, gdzie dokładnie mieszka znajoma Kamińskiego.

Swoją drogą dziwne, że tak zamożny i lubiący otaczać się luksusem człowiek traci czas na babkę z falowca, stwierdził. Pewnie nawet nie miała co na siebie włożyć, kiedy zapraszał ją na eleganckie kolacje do restauracji, gdzie butelka wina kosztuje co najmniej połowę jej pensji. Poza tym o czym mógł rozmawiać ze zwykłą policjantką? Jakie mieli wspólne tematy? Postanowił wypytać ją o to, gdy już się nią zajmie. Mogła być cennym źródłem informacji.

Światło zapaliło się na korytarzu na siódmym piętrze. Tam też mężczyzna dostrzegł znajomą sylwetkę. Poczuł satysfakcję. Wiedział już, gdzie mieszka kochanka psychologa,

mógł się więc przygotować. Powinien przeprowadzić to wszystko w odpowiedni sposób. Tym razem nie będzie działał spontanicznie. Chodziło nie tylko o wiadomość, którą wyśle Arturowi, lecz także o możliwość zwrócenia na siebie uwagi mistrza.

Uświadomił sobie, że będzie to pierwsze morderstwo, w trakcie którego nie odetnie żadnej pępowiny. Rewelacyjna okazja, by nowym ostrym nożem odciąć się od przeszłości.

Rozdział X

Nie pamiętała, kiedy ostatni raz obudziła się bez charakterystycznego bólu głowy i suchości w ustach. Wreszcie wstała rano z łóżka jak normalny człowiek, mimo to wcale nie czuła się dobrze. Z kacem przynajmniej potrafiła walczyć, czego nie mogła powiedzieć o męczących ją wątpliwościach. Etyka zawodowa nakazywała złożyć szczegółowy raport o pacjencie Artura, co w praktyce oznaczało wciągnięcie brata w śledztwo i narażenie na ataki mediów. Chciała go chronić. Już samo jego wczorajsze zachowanie świadczyło o stresie, który przeżywał. Zawsze był szorstki i oszczędny w okazywaniu uczuć, ale poprzedniego dnia, gdy weszła do jego gabinetu, spojrzał na nią zupełnie inaczej. Stec znała to spojrzenie. Zimne, stalowe, powodujące ciarki na całym ciele. Wielokrotnie widziała je u najgorszych zwyrodnialców, gotowych dla kaprysu poderżnąć komuś gardło. Artur oczywiście nigdy nie podniósłby na nią ręki, ale nie chciała zrazić do siebie ostatniej bliskiej osoby.

Mogła ewentualnie liczyć na to, że Lubomirski załatwi wszystko po cichu, ale zawsze znajdzie się żądny rozgłosu albo łapówki policjant, który powiadomi znajomych dziennikarzy. Cała komenda wiedziała, kim jest brat Agaty, a przynajmniej połowa w przeszłości miała z nią utarczki i mogła donieść o sprawie mediom tylko w celu wyrównania z nią rachunków. Artur nigdy by jej tego nie wybaczył.

Próbowała siebie przekonać, że nie usłyszała wczoraj nic istotnego. Brat odbył trzy sesje z podejrzanym, ale nie zdążył wniknąć w szczegóły. Kilkakrotnie podkreślał, że jego pacjent nie mógł popełnić zbrodni w palmiarni, a to znaczyło, że nie poznał go zbyt dobrze. Nawet on nie dostrzegł prawdziwej twarzy mordercy. Określił mężczyznę jako ciapowatego, niezdecydowanego odludka o słomianym zapale i problemach z koncentracją. To właśnie skłonność do szybkiego porzucania podjętych inicjatyw miała dyskwalifikować go jako podejrzanego. Stec była innego zdania.

Po prysznicu wmusiła w siebie dwie grzanki i kubek kawy. Szykując się do wyjścia, podjęła decyzję. Na razie nie widziała powodu, by wspominać komukolwiek o udziale Artura w tej sprawie.

***

Na komendę i tak przyjechała jako jedna z ostatnich. Olkowski siedział już przy biurku i żywiołowo stukał w klawiaturę. Miała z nim kilka spraw do omówienia, ale najpierw chciała dokładniej zapoznać się z dokumentacją zdjęciową zbrodni w palmiarni. Morderca musiał mieć ważny powód, aby zabić jednego ze świadków. Być może Sylwia Kozłowska

nie zeznała wszystkiego podczas przesłuchania? Może widziała sprawcę, kiedy uciekał z miejsca zbrodni?

– Cześć, Karol – rzuciła, siadając przed komputerem.

– A to nowość – odparł złośliwie. – Pani komisarz w pracy o godzinie dziewiątej? Stało się coś?

– Może się stać, jak nie zachowasz swoich mądrości dla siebie.

– Zamówiłem już ochraniacze na jądra. A tak poważnie, ten numer, który wczoraj mi dałaś, to ślepy trop. Od kilku dni jest nieaktywny, nie sposób go namierzyć. Przycisnąłem znajomego i załatwił mi billingi, ale… – Sięgnął po kartkę leżącą przy klawiaturze i podał ją Agacie. – Sama zobacz.

Rzeczywiście, na wydruku nie widniały żadne połączenia.

– Czyli co? Facet z nikim się nie kontaktował? – spytała.

– Na to wychodzi. Nawet call center nie zawracało mu głowy. Skąd w ogóle wzięłaś ten numer? Może twoje źródło cię wkręca?

– Może… – Włączyła komputer. – Daj mi pół godzinki. Muszę coś sprawdzić.

Brat wspominał, że nigdy nie rozmawiał z Robertem przez telefon. On po prostu mógł dać mu fałszywy numer. To tylko utwierdziło komisarz co do słuszności podjętej decyzji. Na tym etapie Artur nie wniósłby niczego do śledztwa.

Przez kilka minut przeglądała foldery na dysku, nie mogąc znaleźć odpowiedniego. W końcu lekko zirytowana spojrzała na Karola.

– Gdzie są zdjęcia z palmiarni? – spytała.

– W chmurze.

– To chyba wiatr je rozwiał, bo nigdzie ich nie ma.

– Widać, że rzadko pracujesz na komputerze. Musisz wejść… – Ciężko westchnął, wstając z krzesła. – Szybciej będzie, jak sam to zrobię.

Podszedł do jej biurka, pochylił się nad klawiaturą i szybko otworzył folder ze zdjęciami. Wyczuła od niego całkiem przyjemny zapach.

– Mama kupiła ci perfumy na urodziny? – zażartowała.

– A co, podobają się?

– Całkiem, całkiem. Jak ci jeszcze dokupi ubrania dla dorosłych, to kto wie, może zaczną się za tobą oglądać gimnazjalistki.

– Bardzo śmieszne. Już chyba wolę, jak przychodzisz do pracy po dwunastej.

Wrócił na swoje miejsce i dodał coś pod nosem, ale Agata była już skupiona na zdjęciach. Nie za bardzo wiedziała, czego szukać. Technicy zabezpieczyli wszystkie ślady, ale niewykluczone, że Kozłowska znalazła coś przed nimi. Tylko dlaczego miałaby to zataić?

Komisarz zaczęła przeglądać kolejne fotografie, ale szybko sobie przypomniała, dlaczego zwykle unikała dokumentacji z miejsc zbrodni. Odnosiła wrażenie, że ciągle ogląda ten sam kadr. Zdjęcie prawej dłoni denatki, zdjęcie prawej dłoni denatki od wewnętrznej strony, zbliżenie na paznokcie prawej dłoni denatki, zbliżenie na nadgarstek prawej dłoni denatki, lewa dłoń denatki… Zupełnie jak fotografie robione przez zakochanych we własnym dziecku rodziców, nierozumiejących, że innych ludzi nie obchodzi każda sekunda życia ich

maleństwa. Sama w trakcie wyjazdów pstrykała dziesiątki ujęć tego samego miejsca, ale później nikogo nimi nie zadręczała!

Cierpliwość nie była jej mocną stroną. Przewijając fotografie, wróciła myślami do brata. O ile teraz mogła go chronić, o tyle po schwytaniu Roberta prędzej czy później wypłynie temat terapii. Co więcej, dupek na przesłuchaniu z pewnością wyzna, że spotkał Agatę w domu psychologa, przez co spadnie na nią lawina konsekwencji.

A może przesadza? W końcu nieważne, co mówią o tobie w mediach, ważne, żeby mówili. Podobno najłatwiej jest wypromować się na skandalu – popularność jej brata mogła nagle wzrosnąć. Setki coachów stanęłoby w kolejce po takiego pacjenta, byleby tylko dostać się przed kamery. W kręgach psychologów może przyszyją Arturowi łatkę nieudacznika, ale co z tego, skoro jego książki będą się sprzedawać jeszcze lepiej.

Dobrnęła wreszcie do zdjęć przedstawiających coś więcej niż fragmenty ciała denatki. Niemal na każdym na pierwszym planie widniała ogromna palma. W tle przewijały się różne osoby, w tym dwie ubrane na czarno nastolatki. To przypomniało komisarz o dodatkowej ochronie dla świadków morderstwa. Skoro Robert zabił Kozłowską, to życie pozostałych też było zagrożone. Sprawą zajął się Olkowski, ale biorąc pod uwagę jego umiejętności w wyciąganiu informacji, Agata powinna sama porozmawiać z każdym ze świadków. U rodziców Natalii dał przykład ignorancji. Nie dość, że odpuścił temat komputera, to nie dopytał matki o szczegóły, przez co przegapił fakt o wyjątkowo delikatnym makijażu dziewczyny w dniu zaginięcia. Stec nie wiedziała, czy ta informacja do czegoś się przyda, ale bardziej chodziło o zasadę: jeśli chce, żeby coś było zrobione dobrze, sama musi to zrobić.

– Trzeba będzie pojechać do tej agencji modelek – rzuciła, przeskakując kolejne zdjęcia.

– No – odparł Olkowski. – Przez to zamieszanie wczoraj zapomniałem wysłać kogoś do Her-Budu i Zarządu Dróg i Zieleni. Cały wieczór spędziłem z Kozłowskim. Trudno było cokolwiek z niego wyciągnąć.

Aż tylu osób nie zamierzała przesłuchiwać osobiście, ale mąż denatki wydawał się priorytetem. Sylwia mogła mu powiedzieć coś więcej o znalezionych zwłokach.

– Wyciągnąłeś coś z niego? Żona na pewno rozmawiała z nim o palmiarni.

– Oczywiście, że o tym rozmawiali, ale facet albo jej wtedy nie słuchał, albo wczoraj był tak roztrzęsiony, że wszystko zapomniał. Trzeba dać mu ochłonąć i jeszcze raz do niego podjechać.

Akurat wyświetliło jej się zdjęcie Kozłowskiej stojącej przed palmiarnią w szarym płaszczu. Wyglądała na roztrzęsioną. Obok niej stał Karol w towarzystwie jednego z techników. Ci z kolei byli rozbawieni, jakby zamiast na miejsce zbrodni wpadli do baru. Na kolejnych ujęciach widać było, jak kobieta rozmawia z Olkowskim, który wreszcie spoważniał. Technik najwyraźniej wziął się do pracy, bo zniknął z kadru, w jego miejsce pojawił się za to ktoś inny. Nie miał na sobie munduru, co sugerowało, że był drugim świadkiem. Rysy twarzy były niewyraźne.

Kolejne zdjęcie nie pozostawiało już wątpliwości.

– O, w mordę – rzuciła, nie wierząc własnym oczom.

Dla pewności przybliżyła twarz mężczyzny. Bez wątpienia był to ten sam człowiek, który dwa dni wcześniej odwiedził Artura.

– Nie wierzę.

– Co jest? – dopytał Olkowski.

– Ten facet. – Obróciła monitor w stronę kolegi i wskazała palcem Roberta. – To jest drugi świadek?

– No. Właśnie, zapomniałem ci powiedzieć. Wczoraj wysłałem do niego patrol, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku. Na miejscu usłyszeli, że nikt taki tam nie mieszka. Osobiście spisywałem dane z dowodu, więc o pomyłce nie może być mowy.

Agata nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zawsze mówiło się, że morderca lubi wracać na miejsce zbrodni, ale to była już przesada.

– Co o nim wiemy? – wykrztusiła.

– W zasadzie to niewiele. Jacek Mrok, rzekomo zamieszkały przy ulicy Kartuskiej. Spacerowali z Kozłowską po parku, kiedy te dwie dziewczyny zaczęły krzyczeć, że w palmiarni są zwłoki. Poszedł na miejsce, upewnił się, że to nie głupi żart, i razem z Kozłowską poczekali na policję. To samo zeznała kobieta.

Jacek Mrok, powtórzyła w myślach. Zapewne posłużył się fałszywym dowodem osobistym. Arturowi też mógł podać nieprawdziwe dane, ale wolała już nazywać go Robertem.

– Czyli znał Sylwię Kozłowską?

– No właśnie nie. Od razu ci mówiłem, że ten typek był dziwny. Ciągle zerkał na zwłoki. Podobno zagadał tę babkę, bo ich dzieci chodzą do tej samej klasy. Nie zdążyli dłużej porozmawiać.

Od nadmiaru informacji rozbolała ją głowa. Pacjent Artura bez wątpienia miał problemy psychiczne, ale żeby po zabiciu ofiary i umieszczeniu jej w takim miejscu zagadywać obcą kobietę w parku? Zapewne tylko czekał, aż ktoś znajdzie ciało, by móc wcielić się w rolę postronnego świadka i z bliska obserwować reakcję ludzi na swoje dzieło. Psychol tak się podniecił, że wieczorem musiał o wszystkim opowiedzieć terapeucie. A może przyjechał do Artura w innym celu?

– Chwila, chwila. – Zaintrygowana spojrzała na Olkowskiego. – Co z tymi smarkulami? Znalazły ciało około szesnastej, tak?

– No, tak.

– A jak długo siedziały w palmiarni? Mówiłeś, że były wstawione, więc musiały tam spędzić trochę czasu.

– Z tego, co pamiętam, to siedziały tam od trzynastej. Dopiero po trzech godzinach zauważyły zwłoki. Aż dziwne, że nie padły wcześniej. Alkohol i duchota powinny je zwalić z nóg, ale widocznie dzisiejsza młodzież ma mocniejsze organizmy.

Czyli Robert czekał w parku co najmniej trzy godziny, policzyła w głowie. Z iloma osobami mógł w tym czasie rozmawiać? Ile razy zerkał w kierunku palmiarni, wyczekując wezwania pomocy? Bez wątpienia Artur mylił się co do niego. Co jak co, ale braku cierpliwości nie można mu było zarzucić.

– Po co ci to wszystko? – spytał Olkowski.

– Rozmawiałeś z mordercą, panie podkomisarzu. Zebrałeś od niego zeznania i wypuściłeś go wolno.

– Że niby ten Mrok?

Skinęła głową. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– Skąd ta pewność? – spytał wreszcie podkomisarz. – To jego numer mi przesłałaś? Kto ci go dał?

– Trzeba wydrukować zdjęcia i rozesłać służbom. Najlepiej też dać to do telewizji. Ten zjeb może zaatakować ponownie.

– Skąd to wszystko wiesz?!

Nie mogła odpowiedzieć na to pytanie. Jeszcze nie teraz.

– Nie twój interes – warknęła. – Pojedziemy do szkoły i porozmawiamy z wychowawcą chłopca. Szanse są minimalne, ale a nuż ktoś go skojarzy, skoro kręcił się w okolicy. Potem pogadamy z Kozłowskim.

Olkowskiego spławiła bez problemu, ale czekała ją znacznie trudniejsza rozmowa. Skoro zdjęcie Roberta miało trafić do mediów, potrzebna była zgoda Lubomirskiego i prokuratora prowadzącego śledztwo. O ile z Grzechem jeszcze mogła sobie poradzić, o tyle drugi z mężczyzn mógł stanowić barierę nie do przejścia.

***

– Chyba cię popierdoliło – oznajmił spokojnie inspektor.

– Wiem, jak to brzmi, ale mam stuprocentową pewność. Proszę mi zaufać.

Grzechu patrzył na nią zza biurka. Na jego miejscu rzuciłaby w samą siebie segregatorem i kazała wrócić z konkretami. Te jednak musiała zachować dla siebie. Przynajmniej te prawdziwe…

– Wiemy tylko tyle, że facet podał fałszywe dane i rozmawiał z denatką. Być może – powtarzam – być może podszywał się pod ojca kolegi z klasy zamordowanego chłopca. To za mało, Stec. Prokurator wyśmieje mnie na starcie.

– Widziałam go, jak gmerał przy samochodzie Brzozowskiego – skłamała. – Przeszukiwałam okolice parku Oliwskiego i natknęłam się na niego. Gdy podeszłam bliżej, odwrócił się i ruszył w przeciwną stronę. Nie ja przesłuchiwałam świadków w palmiarni, nie widziałam wcześniej jego twarzy. Dopiero teraz, przeglądając zdjęcia, skojarzyłam fakty. To musi być on.

Lubomirski zmrużył oczy i spojrzał na nią uważnie. Nie czuła się komfortowo, kłamiąc przełożonemu prosto w oczy, ale wiedziała, że ten argument go przekona.

– Czyli oboje z Olkowskim mieliście mordercę i pozwoliliście mu zwyczajnie odejść? To właśnie mam powiedzieć prokuratorowi? Może jeszcze chcecie za to dostać premię? Nie zaciekawiło cię, czego ten typ szukał przy samochodzie?

– Mój błąd. Zobaczyłam ślady krwi i wyłączyło mi się myślenie. W głowie miałam tylko Brzozowskiego.

Inspektor wciąż patrzył na nią badawczo. Dopiero teraz stwierdziła, że może jednak jej

pomysł wcale nie był taki genialny. Gdyby miała więcej czasu, wymyśliłaby coś sensowniejszego, przecież po schwytaniu mordercy kłamstwo wyjdzie na jaw. Było już jednak za późno na zmianę zdania.

– To jak będzie? – spytała. – Czas działa na naszą niekorzyść.

Grzechu machnął ręką.

– Na kilometr widać, że ściemniasz, ale prokurator powinien to łyknąć. Ucieszy się, że będzie mógł podać gorącą wiadomość do telewizji. Włoży swój pieprzony garniturek i zacznie udawać zaangażowanego w sprawę.

– Dziękuję, szefie.

– Nie dziękuj, tylko złap mordercę. Jak się okaże, że byłaś w błędzie, to nie muszę chyba mówić, jakie poniesiesz konsekwencje. Ośmieszony prokurator uderzy prosto w ciebie, ja nie zamierzam nadstawiać karku. Wrócisz do wystawiania mandatów, Stec, a z tego, co pamiętam, nie byłaś w tym najlepsza.

Taka możliwość nie wchodzi w grę, stwierdziła w myślach. Raz jeszcze podziękowała inspektorowi, po czym wyszła na korytarz. Tam już czekał gotowy do wyjazdu Olkowski. Jemu też będzie musiała wcisnąć tę bajeczkę. Wprawdzie brakowało w niej wyjaśnienia, w jaki sposób weszła w posiadanie numeru Roberta, ale po drodze przekona podkomisarza, żeby zapomniał o tym nic nieznaczącym fakcie i nie wspominał o nim Lubomirskiemu.

***

Rozmowa z wychowawczynią Krystiana Kozłowskiego nie przyniosła żadnych rezultatów. Kobieta twierdziła, że nigdy nie widziała Roberta. Oczywiście żaden z uczniów nie nosił nazwiska Mrok, co tylko potwierdzało tezę o sfałszowanym dokumencie tożsamości. Nauczycielka zobowiązała się przekazać zdjęcie mordercy wszystkim nauczycielom i poprosić, by rozpoczęli lekcje od ostrzeżenia uczniów przed grasującym w okolicy niebezpiecznym przestępcą.

Niezrażona pierwszym niepowodzeniem komisarz kazała Olkowskiemu jechać prosto do Kozłowskiego. Szansa, że doszedł do siebie po niespełna dwudziestu czterech godzinach, była nikła, ale Stec musiała mu pokazać zdjęcie Roberta i wypytać o jak najwięcej szczegółów z jego ostatniej rozmowy z żoną.

– A jak idzie z botanikami? – spytała Karola, gdy dojeżdżali na miejsce. – Wspominałeś też o astrologach i innych nawiedzonych wierzących w jednorożce.

– Niby kiedy miałem ich szukać? Cały czas coś się dzieje.

– Jeszcze dziś trzeba wysłać wszystkim zdjęcie poszukiwanego. Dla świętego spokoju pokażmy też fotki w Her-Budzie i tej agencji zieleni czy jak to się tam nazywało. Może kiedyś awanturował się o tę palmę.

– Mhm. To od razu wyślij szefowi prośbę o płatne nadgodziny, bo nie mam zamiaru robić dłużej za friko.

– Materialista – mruknęła.

Korzystając z wolnej chwili, wysłała zdjęcie Roberta MMS-em do Jacka Biernata – właściciela firmy budowlanej, w której pracował Brzozowski. Do wiadomości dołączyła

prośbę, by przesłał fotografię do wszystkich pracowników z pytaniem, czy kiedykolwiek widzieli podejrzanego. Nie spodziewała się, by w czymś to pomogło, tym bardziej zaskoczyła ją błyskawiczna reakcja przedsiębiorcy.

– Dzień dobry. – Odebrała połączenie. – Mam nadzieję, że…

– Pani się chyba coś pomyliło – odpowiedział, wchodząc jej w słowo. – Najpierw numery rejestracyjne samochodu Patryka, teraz to. Może od razu mam kupić sobie mundur i znaleźć za was mordercę?

– Źle mnie pan zrozumiał…

– Nie, to pani źle mnie zrozumiała. Owszem, deklarowałem pomoc, ale nie mam czasu odwalać za was roboty. Już sam fakt, że nazwa naszej firmy pojawiła się w telewizji w związku z tą sprawą, jest niedopuszczalny. Nie ma pani pojęcia, przez co teraz przechodzimy. Proszę więcej do mnie nie dzwonić ani nie pisać. Jeśli ma pani pytania, to proszę przyjść z nakazem. Do widzenia.

Chciała coś powiedzieć, ale rozłączył się, zanim doszła do słowa. Siedzący obok Olkowski zerknął na nią ze zdziwieniem. Pierwszy raz był świadkiem, jak ktoś ją przegadał; z pewnością opowie o tym wszystkim na komendzie. Na szczęście wjeżdżali już na parking przy Haffnera, nie miał zatem czasu wypytywać o szczegóły.

– Miejmy to już za sobą – westchnęła, wysiadając z samochodu.

– Jeśli sądzisz, że nie spytam, z kim rozmawiałaś, to jesteś w błędzie.

– A mało to dupków na świecie?

Podkomisarz ewidentnie miał ochotę kontynuować rozmowę, ale chyba dostrzegł ostrzegawczy błysk w jej oczach, bo przełknął kąśliwą ripostę. Agata zdecydowanie nie była w nastroju do żartów. Gdyby nie perspektywa rozmowy z Pawłem Kozłowskim, musiałaby się na kimś wyładować. Biernat podniósł jej ciśnienie, ale za chwilę czekała ją przeprawa ze zdruzgotanym wdowcem, któremu psychopata zamordował żonę i dziecko, po czym zbezcześcił ich zwłoki. Oczyma wyobraźni już widziała zapuchnięte oczy mężczyzny i łzy spływające mu po policzkach. Ten obraz dominował nad emocjami.

– Tylko bez głupich komentarzy – uprzedziła kolegę, wciskając dzwonek do drzwi.

Olkowski zrobił zdziwioną minę, jakby nie wiedział, o co jej chodzi. Po chwili usłyszeli zgrzyt klucza przekręcanego w zamku i drzwi otworzyły się na oścież. Nawet jeśli podkomisarz rzeczywiście planował powiedzieć coś głupiego, to wygląd Kozłowskiego ostatecznie wybił mu ten pomysł z głowy.

– Dzień dobry, komisarz Agata Stec – wydukała policjantka. – Przyszliśmy… chyba nie w porę.

Mężczyzna oparł się o framugę. Ubrany w czarny szlafrok, nieogolony i z rozczochranymi włosami wyglądał, jakby od rana wypił co najmniej jedną butelkę wódki. Nieobecny wzrok i alkoholowe wyziewy z ust nie zapowiadały owocnej rozmowy. Będzie dobrze, jeśli wybełkocze kilka sensownych zdań, uznała Agata.

– Wiem, że to trudny dla pana okres, ale potrzebujemy pana pomocy – kontynuowała. – Przyjedziemy do pana jutro, proszę do tego czasu nie pić już alkoholu. Chyba zależy panu na złapaniu mordercy pańskiej rodziny?

Wątpiła, by cokolwiek dotarło do mężczyzny, który całą uwagę skupił na utrzymywaniu pionu, w czym pomagały mu drzwi. Jak na razie w przesłuchiwaniu świadków ponosili klęskę za klęską.

***

Dawno już nie przepracowała tylu godzin z rzędu. Monotonne zajęcia na komendzie wyczerpywały bardziej niż praca w terenie. Wracając do domu, policjantka marzyła już tylko o zimnym piwie i gorącej pizzy. Żadnych rozmów, żadnych myśli, totalny reset. Może dobry film w telewizji albo chociaż ogłupiające kabarety, które wprawdzie nie rozśmieszały, ale przynajmniej mózg się przy nich wyłączał.

Szybko jednak zrozumiała, że dzień jeszcze nie dobiegł końca.

– A to dupek – westchnęła, stając w połowie korytarza.

Odruchowo zacisnęła pięści. Ostatnie, czego było jej trzeba po ciężkim dniu, to spotkanie z byłym mężem. Ubrany w tę swoją cholerną skórzaną kurtkę, opierał się o drzwi jej mieszkania i… nie wierzyła własnym oczom – czytał książkę. Kiedy jeszcze byli w związku, nigdy nie widziała, by czytał coś innego niż sportowe artykuły w sieci. Nawet te zazwyczaj przewijał do komentarzy internautów, które interesowały go najbardziej.

– A ty co, udajesz intelektualistę? – warknęła, podchodząc bliżej. – Po coś tu przylazł?

– Też się cieszę, że cię widzę. Musimy pogadać.

Zamknął książkę i włożył ją sobie pod pachę.

– Nic nie musimy. Spieprzaj, bo zaraz stracę cierpliwość.

– Daj mi chociaż dojść do słowa. Wystarczy pięć minut.

Wyglądał inaczej niż zwykle. Zamiast nonszalanckiego uśmiechu na jego twarzy widać było powagę. Agata zdawała sobie sprawę, że to mogła być tylko sztuczka, ale w spojrzeniu Michała dostrzegła coś przejmującego. Mimo wielu negatywnych cech był wyjątkowo inteligentny i błyskotliwy – w przeciwnym razie nigdy nie wyszłaby za niego za mąż.

– Przesuń się – burknęła, wyjmując klucze. – Jedną minutę już straciłeś.

Otworzyła drzwi i wpuściła go do środka. Momentalnie pożałowała decyzji. Dawno już miała posprzątać, ale zawsze wypadało coś pilniejszego. Wieczne odkładanie tego na później musiało wreszcie doprowadzić do kłopotliwej sytuacji. Korytarz wyglądał jak po przejściu tornada. Wykluczone, by wpuściła go dalej. Strach się bać, jaki syf panował w kuchni czy salonie.

– Niewiele się tu zmieniło – stwierdził Michał, zamykając za sobą drzwi i rozglądając się z lekkim uśmiechem. – Mieszkasz sama?

– Zastanów się jeszcze raz, czy na pewno w ten sposób chcesz spożytkować swoje cenne pięć minut.

– Dobra, dobra. – Uniósł dłonie w uspokajającym geście. – Nie strzelaj. Przyszedłem zakopać topór wojenny.

Wyglądał, jakby czekał na jej odpowiedź. Być może założył, że zapomniała już, jak bzykał rudowłosego babsztyla w ich małżeńskim łóżku. Agata wyrzuciła potem komplet kołder, poszewek, prześcieradło, nawet materac. Chciała też roztrzaskać stelaż na drobny mak, ale

względy finansowe ostudziły jej zapał.

– Będę ojcem – wypalił nagle. – Sam jeszcze nie ułożyłem sobie tego w głowie. Pomyślałem, że przed rozpoczęciem najważniejszego testu w życiu powinienem uporządkować zaległe sprawy. Przepraszam, Agata. Mam nadzieję, że…

– Że co? – weszła mu w zdanie. – Zupełnie padło ci na mózg? Może chcesz jeszcze mnie poprosić, żebym została matką chrzestną?

– Uspokój się. Przyszedłem…

– Nie obchodzi mnie, po co tu przyszedłeś. Wypieprzaj stąd!

– Ale…

Urwał, gdy go spoliczkowała.

– Coś jeszcze? – spytała, z trudem powstrzymując się od mocniejszego uderzenia.

Spojrzał na nią z powagą, ignorując zaczerwieniony policzek.

– Chciałem ci to sprezentować. – Wyciągnął w jej stronę czytaną wcześniej książkę.

Stec chwyciła ją i spojrzała na okładkę. Na widok tytułu zagotowała się w środku jeszcze bardziej.

– *Gruba kreska, czyli jak pogodzić się z przeszłością* – przeczytała na głos. Podniosła wzrok na byłego męża i uśmiechnęła się szeroko. – Bardzo miło z twojej strony, że dbasz o moje dłonie.

Nie zdążył zastanowić się nad sensem jej wypowiedzi, gdy zdzieliła go książką w skroń. Poradnik liczył dobre kilkaset stron i był oprawiony w grubą okładkę, cios musiał zatem być mocno odczuwalny.

– Co ty? – jęknął, osłaniając ramieniem głowę przed kolejnym uderzeniem.

– Wynocha! – Wściekle wymachiwała książką, bijąc na oślep. – Wypieprzaj z mojego domu! Wypieprzaj z mojego życia!

Tym razem dotarło do niego, że pora wychodzić. Wciąż osłaniając się rękoma, dopadł do drzwi i wybiegł na korytarz. Stec korciło, by pobiec za nim i wcisnąć mu ten pożal się Boże poradnik w gardło, ale tylko trzasnęła drzwiami. Sąsiedzi i tak wytykali jej hałasowanie po nocach, nie chciała fundować im kolejnej atrakcji rodem z brazylijskiej telenoweli.

Co za bezczelny typ, pomyślała, opierając się plecami o drzwi. Co ja w nim widziałam? Muszę się napić.

W dłoniach wciąż trzymała książkę otrzymaną od Michała. Nie wiedziała, co z nią zrobić, więc po prostu cisnęła ją w kąt. Zawsze mogła się przydać na namolnych domokrążców lub świadków Jehowy. Zresztą w całym tym bałaganie i tak wcale nie kłuła w oczy.

Rozdział XI

Z zainteresowaniem przyglądał się mimice mężczyzny prowadzącego program. Imponowało mu, jak prezenter do perfekcji opanował sztukę udawania zainteresowanego tematem, a gdy tylko wyczuwał, że jego gość zaczyna przekraczać magiczną granicę absurdu, błyskawicznie wkładał maskę cynika. Same cięte riposty zagwarantowałyby mu tylko wizerunek skandalisty, a takiego stacja telewizyjna już miała w swoich szeregach, toteż poszedł o krok dalej: mieszał empatię z ostrym humorem, dzięki czemu zyskał sympatię większości telewidzów.

Towarzysząca mu kobieta nie przykładała zbyt dużej wagi do wizerunku. Niezainteresowana mechanizmami rządzącymi rynkiem mediów, beztrosko wyrażała własne zdanie, co w oczach większości widzów czyniło z niej arogancką i zapatrzoną w siebie zołzę. Ratowały ją charyzma i dystans do samej siebie. Niewysoka i pulchna, stanowiła przeciwieństwo współczesnych dziennikarek, co paradoksalnie windowało ją w rankingach popularności – właśnie dzięki temu gospodyniom domowym łatwiej było się z nią utożsamiać.

Artur cierpliwie czekał na swoje wejście, nie spuszczając wzroku z prowadzącego. Ten, w przeciwieństwie do swojej koleżanki, prezentował się wyśmienicie. Wysoki, dobrze zbudowany, ubrany w błękitną marynarkę i białą koszulę wpuszczoną w modnie przecierane dżinsy, zawsze wybijał się na pierwszy plan. Artura fascynowało, jak po latach pracy przed kamerami mężczyzna uwierzył, że jest osobą, którą w rzeczywistości tylko odgrywał. Wyuczone zachowania zastąpiły naturalne odruchy. Nawet w przerwach reklamowych zachowywał się identycznie jak podczas transmisji na żywo. W jego przypadku maska stała się nową twarzą – przytwierdzona na stałe do skóry, przejęła kontrolę nad gospodarzem. Nic dziwnego, że jego małżeństwo legło w gruzach. W dniu ślubu był zupełnie innym człowiekiem. To, co większość nazywała uderzeniem wody sodowej do głowy, w rzeczywistości stanowiło konsekwencję długotrwałego noszenia maski. Osoba stojąca za jego przemianą odwaliła fuszerkę, bezpowrotnie zmieniając osobowość mężczyzny. Na ekranie wprawdzie wciąż był ulubieńcem gawiedzi, ale w warunkach domowych stał się zwykłym dupkiem.

– Zaraz pójdzie prognoza pogody – usłyszał Artur w słuchawce. – Będzie miał pan cztery minuty, by zająć miejsce na kanapie. Proszę usiąść na środku. To ważne.

Nie zamierzał wyprowadzać kobiety z błędu. Wskazówki dotyczące zajmowania miejsc ulegały zmianie co kilka lat, toteż nie przywiązywał do nich wagi.

W studio przygasło światło, goście wstali i ruszyli w stronę wyjścia. Kamiński uśmiechnął się do swojej poprzedniczki, która w trakcie wejścia antenowego żywiołowo opowiadała o trendach w modzie w nadchodzącym sezonie jesienno-zimowym. Po raz kolejny doszedł do wniosku, że powinien zaprzestać udziału w tego typu programach. Do formuły dostosowanej do przeciętnego telewidza bardziej pasowali coachowie, którzy z wyuczonym uśmiechem opowiadają, jak rzucić palenie, wywalczyć podwyżkę lub awans, poderwać nieznajomą w barze czy zwalczyć strach przed wystąpieniami publicznymi.

– Dzień dobry – powiedział, siadając z boku kanapy.

– Witamy, witamy – odpowiedziała prezenterka. – Mamy jeszcze dwie minutki.

Młoda dziewczyna zebrała puste szklanki ze stołu oddzielającego gości od prowadzących i położyła na nim kilka egzemplarzy książki Kamińskiego. W drodze powrotnej zatrzymała się i spojrzała na psychologa.

– Proszę usiąść na samym środku – powtórzyła do mikrofonu przyczepionego do słuchawek.

Kamiński skinął głową i zmienił pozycję. Uważał to za głupotę, ale nie chciał dziewczynie psuć krwi. Dość już stresował ją główny prowadzący, który zamiast zająć miejsce, zagadywał dwie stażystki.

– Wczoraj wieczorem skończyłam czytać pańską książkę – powiedziała redaktorka, ukradkiem zerkając na partnera. – Muszę przyznać, że zrobiła na mnie piorunujące wrażenie.

– Miłe zaskoczenie – odparł Artur. – Większości wywiadów udzielam osobom, które nie mają pojęcia, o czym rozmawiamy. Równie dobrze sam mógłbym przygotować pytania i odpowiedzi.

– Michałek raczej nie miał czasu na lekturę. No, ale on akurat nie potrzebuje przygotowań, by wypaść rewelacyjnie.

Artur uśmiechnął się przepraszająco do dziennikarki i z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął telefon, by się upewnić, że wyłączył głos i wibracje. Na ekranie dostrzegł nieodebrane połączenie od siostry i napisaną przez nią wiadomość: „Mam słynnego brata! *:*:*:*:*”.

Minęły cztery dni od ich ostatniego spotkania, a to oznaczało, że na kolejny wieczór przypada nieszczęsna rodzinna kolacja. Miał zamiar poprosić wtedy siostrę, by odwołała regularne patrole policji wokół jego domu, zwłaszcza że nie wyraził na nie zgody. Rozumiał troskę Agaty, lecz codzienne telefony i tak już wystarczająco nadwerężały jego cierpliwość. Był wdzięczny, że przemilczała znajomość brata z podejrzanym, ale po opublikowaniu zdjęć Mazura jego pacjent zapadł się pod ziemię i Kamiński nie mógł kontynuować swojej pracy.

– Wchodzi czołówka – usłyszał w słuchawce. – Dziesięć sekund!

Prowadzący zajął swoje miejsce i z uśmiechem oczekiwał na wejście.

– U nas za oknem nie widać tego słońca – zaczął, nawiązując do prognozy pogody pokazywanej widzom w trakcie przerwy programu. – Gościmy za to prawdziwego specjalistę od ludzkich umysłów, więc jeśli macie coś do ukrycia, lepiej wyjdźcie do kuchni i zaparzcie sobie herbatę. Odwiedził nas pan Artur Kamiński, wybitny psycholog, autor wielu książek, człowiek, który prześwietli was nawet z odległości kilkuset kilometrów. Witamy.

Czerwona lampka zaświeciła się na kamerze skierowanej naprzeciwko Artura.

– Dzień dobry – odparł terapeuta. – Dziś nie będziemy mówić o ukrywaniu tajemnic, więc bez obaw.

– No właśnie. Na stoliku widzę pańską najnowszą książkę. Już sam tytuł brzmi zachęcająco: *Zakotwiczeni*. Może pan naszym widzom przybliżyć, o czym traktuje ten poradnik?

Artur z uśmiechem przełknął zniewagę. Gdyby nie kamery, dosadnie wyjaśniłby niekompetentnemu rozmówcy, czym różni się jego twórczość od poradników. Sęk w tym, że zapewne i tak argumenty odbiłyby się od muru ignorancji. Nie wszystko jednak było stracone. Szeroki uśmiech współprowadzącej sugerował, że kobieta rozróżniała tę subtelną różnicę. Sam fakt, że po tylu latach nie przesiąkła jeszcze telewizyjną manierą, czynił z niej ciekawy obiekt badań. Artur postanowił nawiązać z nią kontakt i zaprosić ją po programie na darmową sesję.

– Nie nazwałbym tej książki poradnikiem – odpowiedział spokojnie. – To bardziej studium konkretnych przypadków. Każda opisana rozmowa wydarzyła się naprawdę. Oczywiście zmieniłem nazwiska i niektóre fakty, aby zadbać o anonimowość pacjentów, ale wciąż jest to czysta prawda.

– Rozumiem. Gdy słyszę o zakotwiczeniu, to od razu widzę statki wpływające do portu. Czy ludzi tak samo można zakotwiczyć?

Nie sposób wymyślić bardziej oczywistego pytania, pomyślał Kamiński.

– Generalnie pojęcie kotwiczenia w psychologii obecne jest od wielu lat – odparł spokojnie. – Dziś przeżywa szczyt popularności dzięki modzie na coachów i trenerów osobistych. Od razu mówię: tu nie chodzi o kotwicę w takim rozumieniu. To, co współcześnie określa się tym mianem, jest tylko prostą wizualizacją, wypracowaniem konkretnego obrazu, który, przywołany w odpowiednim momencie, ma nam o czymś przypomnieć. Przykładowo, chce pan jeść mniej słodyczy, więc wybiera pan sobie konkretną osobę, najlepiej pożywiającą się w wyjątkowo obrzydliwy sposób – ten ktoś wpycha sobie zbyt dużo do ust, tłuszcz cieknie mu po brodzie, resztki jedzenia pozostają na wargach i tak dalej – następnie utrwala pan sobie ten obraz i gdy stanie przed dylematem: kupić ciastko czy nie, przywołuje pan swoją kotwicę.

– Rozumiem, czyli…

– Nie, nie rozumie pan – wszedł redaktorowi w zdanie. – Tego typu pseudokotwice to czysty nonsens. Osoby wmawiające swoim klientom, że w ten sposób mogą poradzić sobie z problemami, są zwykłymi oszustami, hochsztaplerami, w rzeczywistości wyrządzają ludziom krzywdę. Ci pożal się Boże specjaliści wmawiają ludziom, że z depresją wygrasz poprzez codzienne spacery i pozytywne myślenie. Meandry umysłu są zbyt zawiłe, by poradzić sobie z problemem w tak prosty sposób.

– Inaczej miałabym talię osy – wtrąciła redaktorka, rozbawiona miną kolegi.

Dziennikarz z trudem ukrywał irytację. Psycholog czytał w nim jak w otwartej księdze. To było studio Michała. Królestwo, w którym nikt nie ośmielał się mu przeciwstawiać, a tu jakiś pisarzyna publicznie podważył jego autorytet. Co gorsza, ów pisarzyna ubrany był

w garnitur lepszej marki.

– Mnie uderzyły niektóre wypowiedzi pańskich pacjentów – dodała kobieta. – Czytając, miałam wrażenie, że zamiast relacjom z sesji, przyglądam się wywiadom z seryjnymi mordercami. To niesamowite, że człowiek potrafi zapomnieć prawie cały swój życiorys i stworzyć sobie w głowie nową wersję siebie.

– To wcale nie taka rzadka reakcja obronna. Umysł, jeśli nie potrafi poradzić sobie z niektórymi faktami, zwyczajnie je wypiera.

– Michał też będzie chciał wyrzucić z głowy tę rozmowę. – Klepnęła mężczyznę w plecy. – Z wrażenia aż zaniemówił. Zakotwiczył na dobre.

Redaktor wyglądał, jakby chciał się odgryźć psychologowi, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że nie tego oczekują widzowie. Zapewne powtarzał sobie, że nie stało się nic strasznego i powinien przejść do kolejnego etapu rozmowy. Może nawet jego doradca przerobił z nim temat kotwicy i facet właśnie ją przywoływał, żeby opanować nerwy. Ta myśl rozbawiła Kamińskiego.

– Możemy żartować, ale to poważny problem – odpowiedział. – Niezręcznie mi o tym mówić między prognozą pogody i przepisami na dziesięć dań z dyni. Każdy z nas chce o czymś zapomnieć, wymazać wszystko gumką i nie zaprzątać sobie głowy przeszłością, ale przychodzi taki moment, kiedy musimy się z nią zmierzyć.

– Trudno o lepsze podsumowanie – wtrącił prowadzący. – Polecamy państwu najnowszą książkę Artura Kamińskiego zatytułowaną *Zakotwiczeni*. W ramach promocji odwiedzi pan wiele miast, by zaoferować czytelnikom możliwość uzyskania podpisu zarówno na tej, jak i na poprzednich pańskich książkach. Gdzie można pana spotkać?

Zgrabnie przeskoczył do kolejnego etapu rozmowy. Kilka metrów dalej na swoją kolej czekały już dwie elegancko ubrane kobiety. Zapewne właśnie otrzymały instrukcje, które miejsca zająć na kanapie. W tle kucharz przygotowywał wariacje na temat dyni. Telewizyjne życie toczyło się w najlepsze.

***

Artur z ulgą wsiadł do samochodu. Sama rozmowa w studio trwała zaledwie pięć minut i trzydzieści sześć sekund, ale żeby się odbyła, musiał poświęcić cały dzień. Jedynym plusem było nawiązanie znajomości z dziennikarką, która podekscytowała się na samą myśl o indywidualnej sesji. Pierwsze spotkanie wprawdzie odbędzie się za pośrednictwem Skype’a, ale kolejne Kamiński miał nadzieję przeprowadzić twarzą w twarz.

Tymczasem czekała go inna rozmowa. Agata już dwukrotnie próbowała się z nim połączyć.

– Ale go pocisnąłeś! – krzyknęła do słuchawki, zanim zdążył przebrzmieć pierwszy sygnał.

– Nie przesadzajmy. Po prostu gadał głupoty.

– Nie przesadzajmy? Poczerwieniał jak burak, aż ta babka musiała zareagować. Chyba już cię tam więcej nie zaproszą.

Nie chciał wyprowadzać jej z błędu i chwalić się nawiązaniem kontaktu ze

współprowadzącą. Siostra od razu zaczęłaby żartować o romansie. W rzeczywistości nie zależało mu na występach w telewizji śniadaniowej, ale zdawał sobie sprawę, że z łatwością mógłby z pomocą dziennikarki załatwić sobie własny program, w którym omawiałby problemy widzów. To ucieszyłoby jego agenta, choć sam Artur i tak już uważał, że stał się zbyt rozpoznawalny, a to w znacznym stopniu utrudniało mu pracę.

– Nie będę tęsknić za dojazdami do Warszawy – odparł. – Poza tym konkurencja nie śpi. Mój agent wydzwoniłby inne stacje.

– No tak. Kurde, wiesz co? Skoro już jesteś celebrytą, to może załatw mi jakiś program. Mogę jeździć z kamerzystą na akcje. Przynajmniej pieniądze będą lepsze.

– Trochę za dużo przeklinasz jak na standardy telewizyjne.

– Oj, nie pierdol – zaśmiała się. – Przynajmniej będzie realistycznie.

– Pogadamy jutro, dobrze? Teraz chcę jak najszybciej wrócić do domu. Mam jeszcze trochę pracy.

– Tylko jedź ostrożnie, braciszku. Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Ciekawe, pomyślał. Wyznanie miłości świadczyło o kiepskim samopoczuciu Agaty. Kamiński wątpił, by stała za tym stagnacja w prowadzonym przez nią śledztwie. Niepowodzenia zawodowe zwykle wywoływały u niej wściekłość. Szukała wówczas ratunku w alkoholu, co zazwyczaj kończyło się nawiązaniem kolejnej przypadkowej znajomości w barze. Oczywiście mogła po prostu dopaść ją melancholia po opuszczeniu nad ranem mieszkania obcego faceta, którego imienia nawet nie kojarzyła – w takim wypadku musiałaby udowodnić samej sobie, że jest zdolna do głębszych uczuć, a ponieważ takimi darzyła brata, postanowiła mu to wyznać. Bardziej jednak prawdopodobne, że chodziło o byłego męża. Przez telefon wspomniała, że Michał złożył jej niedawno niezapowiedzianą wizytę. Najwyraźniej wciąż ją to męczyło.

Niemal czterogodzinna podróż była świetną okazją do zaplanowania jutrzejszej kolacji. Zazwyczaj decydował się na kaloryczne potrawy z mięsa, by zapracowana policjantka zjadła coś pożywnego, ale tym razem miał inny pomysł. Najlepszym sposobem na wyprowadzenie siostry z melancholijnego stanu wydawało się przeniesienie jej do iście filmowej scenerii. Pomimo upodobania do kina akcji Agata co najmniej pięć razy obejrzała *Jedz, módl się, kochaj* i za każdym razem dochodziła do takiego samego wniosku: trzeba kiedyś wyruszyć w identyczną podróż. Wprawdzie Artur nie planował wyjazdu, ale potrafił odwzorować scenę, w której bohaterka grana przez Julię Roberts zaprasza znajomych na kolację, by pod gołym niebem rozkoszowali się karczochami po rzymsku, melonem w prosciutto i makaronem carbonara – oczywiście w wersji oryginalnej, z sosem z żółtek, a nie ze śmietany. Do tego podałby toskański trunek pochodzący z winnicy Chioccioli. Pomimo niewygórowanej ceny to wino charakteryzowało się bogatym smakiem i bukietem. Jakość zawdzięczało dwuetapowym zbiorom – część winogron zrywano we wczesnej fazie dojrzewania i wykorzystywano do innych celów. Dzięki temu pozostałe owoce mogły swobodnie wygrzewać się w pełni toskańskiego słońca. Właściwe zbiory też odbywały się dwuetapowo, o czym Artur przekonał się osobiście podczas wizyty w tej znamienitej

winnicy, gdzie pomagał w sortowaniu najdorodniejszych sztuk. Z owoców odrzuconych w tej fazie powstawały wina stołowe, sprzedawane pod inną marką.

Zanim jednak Artur kupi składniki i zajmie się przyrządzaniem kolacji, musi załatwić jeszcze jedną sprawę. Specjalnie na tę okazję spakował do bagażnika adidasy i sportowe ubranie, by nie chodzić po lesie w eleganckim garniturze.

***

Spacer wzdłuż Wisły przypominał mu wizytę na targu. W obu przypadkach celem było zebranie składników, których używał do wykonania czegoś wyjątkowego. Tym razem, zamiast wybierać świeże warzywa, szukał wzrokiem odpowiednich roślin. Przede wszystkim zależało mu na wysokich paprociach. Do niedawna w swej ignorancji nie zdawał sobie sprawy z liczby odmian tej rośliny. Długie godziny spędzone nad albumami botanicznymi upewniły go, że szukał narecznicy samczej, zwanej też *Dryopteris filix-mas*. Ostatecznie zadowoli go także większość przedstawicieli rodziny narecznicowatych, aczkolwiek wolałby unikać kompromisu, bo nie potrafił w stu procentach przewidzieć konsekwencji. Dwa dni wcześniej, gdy przez całe popołudnie przeczesywał okolice Motławy, natknął się tylko na znacznie ciemniejszą odmianę narecznicy mocnej, ale kontrast pomiędzy ciemnymi liśćmi a łuskowatymi łodygami był zbyt duży, by brać tę roślinę pod uwagę.

Brak wprawy utrudniał dostrzeżenie matowozielonych liści, odpowiednio szerokich i pierzastych. Był niemal pewien, że po drodze minął podobną do poszukiwanej odmianę *Barnesii*, wyróżniającą się charakterystycznie pofalowanymi liśćmi. Tak drobny szczegół w teorii mógł nie mieć żadnego wpływu na efekt końcowy, ale Kamiński miał jeszcze czas, by znaleźć odpowiedni okaz.

Rozdział XII

Dawno już powinna była pojechać na komendę, lecz wciąż tkwiła przed telewizorem. Ubrana w piżamę, leżała na kanapie i przeskakiwała z kanału na kanał. Wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że ma ich tak wiele. Samych sportowych naliczyła dziewięć. O dziewięć za dużo. Wielokrotnie obiecywała sobie, że ograniczy pakiet do minimum, by pozbyć się w ten sposób jednej z ostatnich pamiątek po Michale, ale odwlekała to w nieskończoność. Podobnie wyglądała sprawa ze sprzedażą konsoli byłego męża wraz z zestawem gier, bardziej pasującym do gimnazjalisty niż poważnego mężczyzny.

Sama nie wiedziała, dlaczego nie potrafi zebrać się w sobie. Zazwyczaj w takich momentach uciekała w pracę, ale perspektywa tłumaczenia się przełożonemu z braku wyników wcale nie dodawała skrzydeł. Jeszcze kilka dni temu nic nie zapowiadało stagnacji. Zdjęcie mordercy rozpowszechniono w mediach, w kolejce do przesłuchania czekało kilkunastu świadków… Wszystko jednak stanęło w miejscu. Mąż Kozłowskiej nie trzeźwiał, a przyciśnięty do ściany wybełkotał, że nic nie pamięta z rozmowy z żoną, współpracownicy Brzozowskiego i urzędnicy z Zarządu Dróg i Zieleni też nic nie widzieli, a przez agencję mody Pink & Black przewijało się tyle dziewcząt, że nikt nie kojarzył zamordowanej Natalii Szulc.

To ostatnie nie dawało Agacie spokoju. Gdyby nie Sylwia Kozłowska, mocniej przycisnęłaby właściciela agencji, bo wyglądał na śliskiego gościa. Matka Krystiana nie miała jednak nic wspólnego z modelingiem, ten trop wydawał się więc fałszywy, zwłaszcza że przesłuchana w charakterze świadka Aleksandra Nowak, ostatnia osoba, która kontaktowała się z Natalią, zeznała, że nigdy nie widziała Roberta, a w trakcie pracy nie dochodziło do żadnych niepokojących zdarzeń. Co więcej, Natalia odwiedziła agencję zaledwie kilka razy, co zaowocowało tylko jednym kontraktem na sesję reklamową.

Agata dokładnie prześwietliła zleceniodawcę, który prócz Natalii zatrudnił cztery inne dziewczyny. Była to firma wynajmująca sprzęt wodny. Modelkom zrobiono zdjęcia w skąpych strojach kąpielowych, próżno jednak było szukać w tej sprawie drugiego dna. Stec wypytała pozostałe dziewczyny, które wzięły udział w sesji, a także fotografa, makijażystkę i właściciela firmy – wszyscy wydawali się nie mieć nic wspólnego ze sprawą.

O zastoju w śledztwie najlepiej świadczył milczący telefon. Nawet Olkowski dał za wygraną i tylko czekał na następny krok mordercy. Mimo to Agata wciąż wracała myślami do firmy Pink & Black, a także do tego, że Natalia w dniu zaginięcia wyszła z domu niemal bez makijażu. Właściciel agencji konsekwentnie utrzymywał, że nawet nie kojarzy ofiary

z palmiarni. Bez nakazu odmówił ujawnienia jakichkolwiek informacji, co tylko wzmogło czujność policjantki. Zdawała sobie jednak sprawę, że ma związane ręce. Inspektor drugi raz nie zaryzykuje i nie wyda nakazu przeszukania na ładne oczy.

Wstukiwała właśnie w laptopie adres strony internetowej agencji, gdy usłyszała dzwonek do drzwi. Zaklęła po cichu. Nieumalowana, w piżamie, nie miała najmniejszego zamiaru otwierać komukolwiek. Ściszyła telewizor, by nieproszony gość nie zarejestrował jej obecności. Po chwili rozległ się kolejny dzwonek, a po kilkunastu sekundach zawibrował telefon. Stec nie znała numeru dzwoniącego, ale odebrała.

– Tak, słucham? – powiedziała ściszonym głosem.

– Dzień dobry, Poczta Kwiatowa. Pani Agata Stec?

– Tak. O co chodzi?

– Mam dla pani przesyłkę i czekam pod drzwiami.

Zaniemówiła z wrażenia. Kwiaty? Dla niej? Od kogo? Przez chwilę było jej miło, ale szybko skojarzyła fakty – najwyraźniej Michał drugi raz próbował „uporządkować zaległe sprawy”.

– Już otwieram – rzuciła, po czym zakończyła połączenie.

W korytarzu narzuciła na siebie kurtkę, by zakryć kłopotliwy strój. Wolała nie oglądać się w lustrze. Czas najwyższy wziąć prysznic i wrócić do życia, pomyślała, otwierając drzwi.

– Dzień dobry – powiedziała do młodego uśmiechniętego chłopaka. Dzieciak nie był niczemu winny, zatem nie zamierzała się na nim wyżywać. – Dołączony jest jakiś liścik?

– Nic. Po prostu bukiet. – Wyciągnął w jej stronę czerwone róże.

Agata przyjrzała im się uważnie, po czym przeniosła spojrzenie na kuriera.

– Proszę je odesłać. Zależy mi, żeby nie trafiły z powrotem do kwiaciarni, tylko do osoby, która je zamówiła. Jest to możliwe?

– Ale dlaczego? – Chłopak wyglądał na zmartwionego. – Przecież są bardzo ładne. Nawet jak facet jest nachalny, to nic nie zaszkodzi przyjąć takie kwiaty. Fajnie będą wyglądać w mieszkaniu.

– Mimo wszystko proszę odesłać je do nadawcy. Dołączę liścik, proszę poczekać.

Przymknęła drzwi i rozejrzała się dokoła. Nie miała pod ręką żadnych kartek. Z pomocą przyszła książka sprezentowana przez Michała. Już drugi raz okazała się przydatna, stwierdziła, wyrywając pierwszą stronę.

W salonie znalazła długopis. Siedząc nad kartką, zastanawiała się, jak dosadnie wytłumaczyć byłemu mężowi, by dał jej wreszcie spokój. Po przeszło minucie gorączkowego myślenia napisała, by wsadził sobie kwiaty w dupę, a każde rozcięcie spowodowane kolcem róży potraktował jak pocałunek na do widzenia. Zdawała sobie sprawę, że nie był to szczyt elokwencji, nie chciała jednak, by kurier zbyt długo na nią czekał. Dopiero teraz zrozumiała, jak ciężko ma jej brat, który w trakcie spotkań z czytelnikami musi na szybko wymyślać kilkadziesiąt różnych dedykacji.

– Proszę dopilnować, by trafiło to do rąk nadawcy – wyjaśniła, oddając kurierowi kartkę.

– Dobrze. Szkoda, bo bukiet jest bardzo ładny.

– Mam nadzieję, że pan nie będzie miał z tego powodu problemów. Jak trzeba, to

zadzwonię do pana szefa i wyjaśnię sprawę.

– Nie trzeba, ale dziękuję. Ktokolwiek panią wkurzył, jest głupi i ślepy. Życzę miłego dnia.

Nieoczekiwany komplement wywołał uśmiech na jej twarzy. Miłe słowa słyszała zazwyczaj tylko od podpitych mężczyzn w barze, którzy nawet nie udawali, że kadzą jej bezinteresownie. Pozytywnie nastawiona wróciła do komputera i odnalazła witrynę Pink & Black. Już na stronie startowej kłuło w oczy zdjęcie skąpo ubranej dziewczyny zalotnie spoglądającej w stronę obiektywu. Stec nie znosiła tego typu promocji. Uważała, że uwłaczają kobietom. O ile była w stanie zrozumieć stawianie na goliznę w reklamach samochodów czy walk bokserskich, o tyle nie pojmowała, czym kierował się na przykład taki właściciel firmy oferującej blachodachówkę, promujący swoje produkty plakatami, na których były półnagie laski.

W galerii zdjęć znajdowały się fotografie kilkuset modelek. Aleksandra Nowak wzięła udział w wielu sesjach. Zapewne pracowała tam od dłuższego czasu i cieszyła się powodzeniem u klientów. Nigdzie jednak nie było zdjęcia Natalii Szulc, a to potwierdzało tezę o braku powiązania agencji ze śmiercią dziewczyny. Mimo to policjantka weszła w kolejną zakładkę z referencjami. Już sama ich liczba świadczyła o wysokich obrotach firmy. Jeśliby dodać do tego logotypy marek znanych w całym kraju, słowa właściciela Pink & Black nabierały coraz większego sensu. Trudno, by pamiętał dziewczynę, z którą współpracował tylko raz, skoro codziennie przez jego biuro przewijały się dziesiątki modelek. Policjantka już miała dać za wygraną i wyłączyć komputer, gdy w oczy rzuciło jej się znajome logo.

Doświadczenie zawodowe nauczyło ją nie wierzyć w istnienie przypadkowych zrządzeń losu. Może Kozłowska nie miała żadnych powiązań z agencją modelek, ale komisarz nie mogła zignorować faktu, że Her-Bud korzystał z usług tej firmy. Co więcej, Biernat zataił ten fakt podczas przesłuchania, choć policjantka wprost spytała go o Pink & Black, co w połączeniu z gburowatym zachowaniem mężczyzny sugerowało, że mógł przemilczeć coś jeszcze. Nawet jeśli trop do niczego jej nie zaprowadzi, Stec miała okazję zrewanżować się za ostatnią rozmowę z Biernatem.

***

Po niespełna godzinie zaparkowała pod siedzibą Her-Budu. Samochód właściciela stał na swoim miejscu, dlatego szybkim krokiem minęła recepcję i ruszyła w kierunku gabinetu Biernata.

– Proszę poczekać – usłyszała za plecami głos recepcjonistki.

Zignorowała kobietę, która szybkim krokiem rzuciła się za nią. W korytarzu Agata minęła dwóch młodych mężczyzn. Na jej widok przerwali rozmowę. Ubrani w czarne spodnie wyprasowane w kant i niemal identyczne koszule w kratę, pasowali do projektowanych przez siebie budynków – nudnych i powtarzalnych jak kolejne odcinki telenoweli. Jednego z nich kojarzyła z przesłuchań. Podobnie jak pozostali pracownicy odpowiadał na pytania, jakby trzymał się otrzymanych wcześniej wskazówek.

– Halo, proszę pani! – zapiszczała recepcjonistka, nie dając za wygraną. – Pan dyrektor ma teraz spotkanie!

– Nie wątpię – odparła pod nosem komisarz, po czym otworzyła drzwi do gabinetu.

Zastała Biernata wpatrzonego w okno i rozmawiającego przez telefon. Po chwili odwrócił się i spojrzał na nią z nieukrywanym zaskoczeniem. Nie mogła odmówić mu uroku osobistego. Dobrze dopasowana marynarka i koszula typu slim podkreślały jego wysportowaną sylwetkę.

– Tak nie można! – Recepcjonistka chwyciła ją za ramię. – Przecież wołałam panią.

Ucichła, gdy mężczyzna machnął na nią ręką, nakazując, by sobie poszła. Policjantce wskazał natomiast fotel naprzeciwko swojego biurka. Komisarz zajęła miejsce, po czym zamarła. Na blacie stał szklany wazon z kwiatami. Czerwone róże, dokładnie te same, których nie przyjęła od kuriera. W bukiet wciśnięto liścik.

– Osobiście tego dopilnuję – powiedział Biernat do telefonu.

Absurdalność sytuacji nie pozbawiła Agaty zimnej krwi. Po krótkiej chwili doszła do siebie i zaczęła obserwować mężczyznę. Stał twarzą do niej, nie było więc możliwości, by niezauważenie usunęła kłopotliwy liścik.

Po cholerę wysyłał kwiaty, zastanawiała się, czekając, aż Biernat wreszcie spojrzy w inną stronę. Skąd znał adres? Na wizytówce miała podany tylko telefon i skrzynkę mailową. Musiał zapytać Olkowskiego albo innego policjanta. Tylko po co?

– Proszę o nic się nie martwić – tłumaczył dalej biznesmen, podchodząc do wciąż otwartych drzwi, by je zamknąć. – Pozostałe projekty nie są zagrożone opóźnieniami. Trzymam rękę na pulsie.

Agata wykorzystała tych kilka sekund i chwyciła liścik, po czym wsunęła kartkę do kieszeni spodni. Wciąż istniało ryzyko, że Biernat zdążył przeczytać wiadomość wcześniej, wątpiła jednak, by wówczas włożył ją z powrotem do bukietu.

– Oczywiście. – Mężczyzna podszedł do biurka i usiadł w fotelu. – Bardzo dziękuję za rozmowę. Pozdrawiam, do usłyszenia. – Odłożył komórkę, westchnął ciężko, kręcąc głową z dezaprobatą, po czym spojrzał na Agatę i dodał: – I tak od rana do nocy, każdego dnia. Sama pani widzi, że mamy tu urwanie głowy. Nie usprawiedliwia to jednak mojego zachowania. Proszę również wybaczyć ten bukiet. Pomyślałem, że przynajmniej w ten sposób odkupię winy, ale widocznie nie był to dobry pomysł.

– Wolę tulipany – odpowiedziała spokojnie, nie dając po sobie poznać zdenerwowania. – Róże do mnie nie pasują. Są zbyt pretensjonalne.

– Będę pamiętał. Zgaduję jednak, że przyszła tu pani z innego powodu?

Przygoda z liścikiem zbiła ją z tropu. Zmierzając do gabinetu Biernata, planowała go przycisnąć i wprost oskarżyć o kłamstwo, ale wyparował z niej cały animusz.

– Zgadł pan – stwierdziła. – Chodzi o sprawę morderstwa w palmiarni. Zataił pan swoją współpracę z agencją Pink & Black, chociaż pytałam, czy miał pan z nimi jakikolwiek kontakt.

– Niczego nie zataiłem – odparł błyskawicznie. Sprawiał wrażenie oburzonego. – Nigdy z nimi nie współpracowałem.

– To jak pan wyjaśni fakt, że na ich stronie widnieje logo pańskiej firmy?

Zmarszczył czoło. Wyglądał na zaskoczonego, choć równie dobrze mógł udawać. W pierwszym odruchu sięgnął po komórkę, zmienił jednak zdanie i włączył leżącego na biurku laptopa.

– Pewnie to nieprofesjonalne – stwierdził – ale i tak już przekroczyłem granicę niezręczności, zamawiając kwiaty. Możemy więc mówić sobie po imieniu? Jacek jestem.

– Raczej nie. To nie jest towarzyska rozmowa. Proszę o odpowiedź na pytanie, co łączy pana z firmą Pink & Black? Dlaczego pan zaprzeczył, że z nimi współpracuje?

– Już mówiłem, że nie współpracuję. – Spojrzał na ekran komputera, wstukał coś na klawiaturze, po czym dodał: – Rzeczywiście, jest tam nasze logo. Co za palant! – Westchnął ciężko. – Pani komisarz, zachowałem się nie do końca w porządku, ale nie kłamałem, gdy mówiłem o braku współpracy z tą agencją.

– A logo?

– To tylko dowód ich nierzetelności. Owszem, przyznaję, złożyłem im wizytę. Szukaliśmy kiedyś firmy, która zrobiłaby nam folder reklamowy nowego osiedla. Ta agencja ma też profesjonalne studio, pojechałem więc do nich, żeby ustalić warunki współpracy. To było jakieś pół roku temu, musiałbym sprawdzić w kalendarzu. Do niczego jednak nie doszło. Facet może i oferuje konkurencyjne ceny, ale jego podejście do dziewczyn jest wręcz oburzające.

– To znaczy?

Biernat ucisnął nasadę nosa. Trwał tak dłuższą chwilę, po czym odchylił głowę i wygodniej rozsiadł się w fotelu.

– Będę szczery jak na spowiedzi, ale mam prośbę. – Poluzował sobie krawat. – Od rana przeprowadzam same nieprzyjemne rozmowy z klientami. Wczoraj do późna siedziałem i przygotowywałem odpowiedzi na ich niekiedy absurdalne pytania. Z tego wszystkiego nie zdążyłem nawet zjeść śniadania. Możemy zmienić miejsce? Proponuję szybki lunch, będę wtedy do pani dyspozycji.

– Raz już deklarował pan coś podobnego, a skończyło się na awanturze.

Agata nie narzekała na nadmiar pracy, a pusty żołądek dopominał się o śniadanie, mimo to miała obiekcje, czy przystać na propozycję biznesmena. Zbytnie spoufalanie się ze świadkiem mogło wpłynąć na sposób prowadzenia śledztwa. Biernat raz już zataił przed nią informacje i nie cofnie się przed niczym, by chronić dobre imię firmy.

– Każdy z nas popełnia błędy – odpowiedział. – Dopiero późniejsze zachowanie pokazuje, jakimi jesteśmy ludźmi. Moi pracownicy wiedzą, że przy pierwszej wpadce nie wyciągam konsekwencji, nawet jeśli ściągnie to na nas kłopoty, ale powtórzenie błędu odbieram jako przejaw głupoty i automatycznie oznacza to rozwiązanie umowy, choćby chodziło o drobnostkę.

– Czyli mam sprawdzić, czy nie jest pan głupi?

– Lepiej bym tego nie ujął.

***

Szybki lunch okazał się wizytą w niewielkiej, ekskluzywnej restauracji usytuowanej w nadmorskim pasie Sopotu. Lokal otwierano dopiero o czternastej, ale wystarczył jeden telefon Biernata, by kucharz wcześniej rozpoczął pracę i przygotował danie specjalnie dla dwojga nieplanowanych gości. Agata nie dostała do ręki karty dań, domyślała się jednak na podstawie wystroju, że ceny są astronomiczne. Ściany obito miękkim materiałem, by wytłumić wnętrze i zapewnić gościom większą prywatność, podłogę wyłożono deskami z jasnego drewna, a śnieżnobiałego obrusu aż strach było dotknąć, bo mógłby się pobrudzić. Kucharz osobiście zaprowadził ich do stolika.

– Tylko żeby nie napluł nam do jedzenia przez to, że musiał wcześniej rozpocząć pracę – zażartowała policjantka, choć tak naprawdę bardziej przejmowała się wysokością rachunku.

– Mirek? Nigdy w życiu.

– Chyba często pan tu bywa.

– Pańskie oko konia tuczy. W tym wypadku akurat tuczy głównie mnie, ale sens zdania jest zachowany.

– To pański lokal?

– Jestem współwłaścicielem. Druga połowa należy do mojego przyjaciela – kucharza, którego przed chwilą pani poznała. Początkowo razem pracowaliśmy w kuchni, ale natłok pracy w Her-Budzie zmusił mnie do przerzucenia większości obowiązków na barki Mirka. Pomału zaczynam tego żałować. Wydarzenia ostatnich dni coraz mocniej skłaniają mnie do zmiany priorytetów i powrotu do gastronomii. Marzy mi się jeszcze jeden lokal, może nawet dwa, oferujące różne potrawy, ale przyrządzane według tej samej metodologii.

Policjantka nie kryła zdziwienia. Nie potrafiła wyobrazić sobie Biernata w fartuchu. Kucharze bardziej kojarzyli jej się z ludźmi ekstrawertycznymi, pełnymi pasji i szalonych pomysłów, wygląd budowanych przez Her-Bud obiektów świadczył natomiast o braku wyobraźni i chęci do eksperymentów.

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy do stołu wrócił kucharz, trzymając w dłoniach dwa talerze.

– Krewetki z gruszką i kiwi – powiedział, stawiając danie przed Agatą i Biernatem.

Policjantka nie przepadała zbytnio za owocami morza. Ostrożnie skubnęła niewielki kawałek, szybko jednak ośmieliła się i zjadła całą krewetkę. Smakowała wyśmienicie.

– Kurde, pyszne – stwierdziła.

Biernat uśmiechnął się, patrząc, jak Agata bierze kolejny kęs.

– Nie chcę pani zanudzać banałami o świeżych produktach, ale naprawdę używamy tu tylko składników najwyższej jakości. Z przyjemnością zaoferowałbym mule, lecz w Trójmieście świeże można dostać tylko w czwartki.

– Dogadałby się pan z moim bratem. On też w gotowanie wkłada całe serce.

Wzmianka o Arturze wywołała jeszcze szerszy uśmiech na twarzy mężczyzny. Przez chwilę wyglądał, jakby chciał o coś spytać, ostatecznie tylko pokiwał głową i kontynuował posiłek. Zaraz jednak podniósł głowę.

– No nie, miałem być zupełnie szczery – powiedział. – Nie ukrywam, że słyszałem o pani bracie. O jego talencie świadczy fakt, że pomimo nawału pracy znalazłem czas, by przeczytać *Zakotwiczonych*. Nie chcę wyjść na psychofana, ale dopiero po lekturze

zdecydowałem się panią przeprosić.

Normalnie pozwoliłaby sobie na żart i spytała, czy jest gejem, nie mogła jednak zapominać, że przyszła tu, by dopytać o związek Biernata z firmą Pink & Black. Poza tym głupi żart mógłby przedwcześnie zakończyć lunch, a miała nadzieję na drugie danie – trzy niewielkie sztuki krewetek tylko zaostrzyły jej apetyt.

– Skoro już mowa o szczerości – zaczęła. – Proszę powiedzieć, co miał pan na myśli, mówiąc o oburzającym podejściu właściciela agencji do dziewczyn? Dlaczego ostatecznie zrezygnowaliście z ich usług?

– Ma pani rację, miejmy tę część rozmowy za sobą, żebyśmy mogli skupić się na przyjemniejszych rzeczach. Mirek zapewne zaraz poda nam swoje popisowe danie – pierś kaczki w zmodyfikowanym sosie hoisin.

– Brzmi nieźle, ale co z tymi dziewczynami?

Biernat otarł usta serwetką i spojrzał Agacie prosto w oczy. Tęczówki miał piwne z kilkoma ciemniejszymi kropkami.

– Nie wspomniałem o tym za pierwszym razem, bo nie chciałem jeszcze bardziej wciągać w to mojej firmy, dość już mieliśmy kłopotów. Przyznaję, postąpiłem egoistycznie. – Spojrzał w kierunku kuchni, jakby się upewniał, że przyjaciel nie usłyszy jego słów. – Tak jak mówiłem, chcieliśmy zlecić im wykonanie folderu reklamowego. Zwykle osobiście rozmawiam z nowymi partnerami biznesowymi, dlatego sam tam pojechałem. Nie będę owijał w bawełnę. Ten człowiek, Krzysztof Czaja, myli agencję modelek z agencją towarzyską.

– To znaczy?

– To znaczy, że wprost zaoferował mi przyjemny wieczór z jedną ze swoich dziewczyn jako bonus na początek współpracy. Chwalił się, że każdą sprawdza osobiście i daje stuprocentową gwarancję jakości.

Stec zatkało. Owszem, Czaja nie zrobił na niej dobrego wrażenia, ale nie podejrzewała go o stręczycielstwo. Nowak nie wspomniała o tym ani słowem, wręcz chwaliła sobie współpracę z Pink & Black. Inne dziewczyny, z którymi rozmawiała, też sprawiały wrażenie zadowolonych.

– To poważne oskarżenie – stwierdziła. – Rozumiem, że jest pan gotowy złożyć w tej sprawie oficjalne zeznanie?

– Oczywiście. Raz już zamiotłem sprawę pod dywan, a wspominałem o moim podejściu do powtarzania tych samych błędów.

Stec spojrzała przez okno. Musiała się zastanowić. Nowe informacje, choć szokujące, nie zmieniały wiele w prowadzonym przez nią śledztwie. Nielegalne praktyki właściciela agencji nie miały nic wspólnego z morderstwami. Nawet jeśli Natalię Szulc nakłaniano do usług seksualnych, to miało to miejsce wiele miesięcy przed jej śmiercią. Dziewczyna zapewne szybko przewartościowała swoje życie i skupiła się na studiach medycznych. Dupek wykorzystujący swoją pozycję zasługiwał na karę – Agata najchętniej osobiście by mu ją wymierzyła, własnoręcznie go kastrując – ale ta sprawa nadawała się dla innego wydziału.

– A oto i słynna kaczka – odezwał się Biernat, wytrącając policjantkę z zamyślenia.

Rzeczywiście, kucharz już podmieniał talerze. Widok mięsa skąpanego w ciemnym sosie odgonił natrętne myśli. Agata na własnej skórze przekonała się, jak przez żołądek można trafić do serca. Wprawdzie daleka była od zauroczenia Biernatem, ale po poznaniu jego prawdziwej twarzy mogła przejść z nim na „ty”.

Poza tym miał naprawdę ładne oczy.

Rozdział XIII

Wszystko było dopięte na ostatni guzik. Opublikowanie wizerunku Roberta w mediach zmusiło go do zachowania szczególnej ostrożności, przez co zaliczył drobne opóźnienie, ale wreszcie udało mu się wybrać odpowiednie miejsce zbrodni. Miał nadzieję, że swym spektakularnym dziełem wkupi się w łaski mistrza, który przez niekompetentnych dziennikarzy mógł żywić do niego uzasadnioną urazę. Owszem, miło było zobaczyć swoje zdjęcie w telewizji, ale przypisano mu cudze zasługi. Na szczęście wkrótce nie będzie to miało znaczenia. Udowodni mistrzowi, że dorównał mu kunsztem i techniką. Zmaże plamę powstałą na skutek ignorancji policji i głupich dziennikarzy. Co więcej, udowodni Arturowi swoją wartość i we trzech połączą siły, by dokonać ostatecznego dzieła. Przyszłość jawiła się w kolorowych barwach, a właściwie w czerwieni. Dużej ilości czerwieni.

Nowy nóż aż wibrował, chętny do pracy. Głownia ze stali nierdzewnej miała zaledwie dziesięć centymetrów długości, ale sprzedawca zapewniał Mazura, że są to idealne wymiary. Ostrze wyprowadzono szlifem wklęsłym, co rzekomo dawało znakomite efekty podczas cięcia. Przynajmniej w teorii – najważniejsze, jak sprawdzi się za kilkanaście minut.

Mazur dziwnie się czuł, obierając za cel mężczyznę. Początkowo planował uśmiercić tylko znajomą Artura, ale kiedy obserwował jej mieszkanie, natknął się na dziwnie zachowującego się mężczyznę w skórzanej kurtce. Facet najpierw przez kilka godzin czekał na policjantkę pod drzwiami, a gdy wreszcie wpuściła go do środka, szybko wybiegł z powrotem, osłaniając głowę. To rozbudziło ciekawość Roberta. Krótkie śledztwo doprowadziło go do zaskakujących informacji: znajoma Kamińskiego, Agata Stec, kilka miesięcy wcześniej rozwiodła się z Michałem Stecem, tym samym, który najwidoczniej wciąż ją nagabywał. Robert dostrzegł w tym szansę, by domknąć swoje wcześniejsze dokonania. Dość odcinania pępowin. Dość walki z nadopiekuńczymi matkami. Zamiast przeciwdziałać skutkom toksycznej miłości, należało się skupić na promowaniu zdrowych relacji.

Oczami wyobraźni widział rozwiedzione małżeństwo na nowo zespolone w akcie miłości. Tym razem połączy ich nierozerwalna więź. Dosłownie. Splecione ciała będą dalekie od wyuzdanych pozycji. Niczym bohaterowie *Pocałunku* Gustava Klimta zatracą się w miłosnym objęciu. Zastygną w bezruchu tuż przed ostatnim pocałunkiem. Ich usta nigdy się już nie odnajdą, choć będzie je dzielić tylko kilka centymetrów.

Robert godzinami wpatrywał się w najsłynniejszy obraz europejskiej secesji. Zapamiętał każdy szczegół ułożenia ciał kochanków: omdlewającą z zachwytu twarz kobiety, jej nagie ramię i odkryte od kolan w dół nogi. Jedna ręka spoczywa na karku mężczyzny, druga

obejmuje jego dłoń. Wszystko skąpane w złocie i kolorowych kwiatach. Symbol czystej miłości, którą Agata i Michał gdzieś zatracili.

Na obraz Mazur trafił przypadkiem. Szukał inspiracji nawiązujących do palmy, by w ten sposób oddać hołd mistrzowi. Przeskakując po kolejnych beznadziejnych obrazach, wreszcie natknął się na *Pocałunek*. To nie mógł być przypadek. Para kochanków na pierwszy rzut oka przypominała skąpaną w złocie palmę. Dopiero kiedy przyjrzał się dokładniej, ze złota wyłoniły się twarze i fragmenty ciał. To, co wydawało się liśćmi daktylowca, w rzeczywistości było szatami kochanków. Tak wspaniałe połączenie zwaśnionych małżonków, będące jednocześnie ukłonem w stronę mistrza, z pewnością zagwarantuje Robertowi chwałę.

Zaparkował samochód dwie ulice od baru, do którego drugi wieczór z rzędu udał się Michał Stec. Były mąż Agaty najwidoczniej należał do sentymentalnych osób, o czym świadczyła lokalizacja wybranego przez niego lokalu. Na Morenie, gdzie mieszkał, znajdowało się dziesiątki podobnych mordowni, mimo to wciąż przyjeżdżał na stare śmieci. Na pewno nie robił tego ze względu na unikatowy wystrój wnętrza, bo były tam najtańsze stoły i krzesła. Tylko zawieszony na ścianie telewizor przedstawiał nieco większą wartość, choć zamiast fajnych koncertów puszczano na nim mecze piłkarskie.

Strój Steca zmartwił Roberta. Biało-zielone barwy klubowe sugerowały, że mężczyzna przyjechał obejrzeć mecz. Nie byłoby w tym nic złego – Mazur nie widział problemu, by przeczekać dziewięćdziesiąt minut i zgarnąć podchmielonego mężczyznę, ale z plakatów przy wejściu wynikało, że pojedynek Lechii z Pogonią Szczecin zacznie się dopiero za dwie godziny.

Mazur niechętnie zmieniał ustalone plany, ale nie chciał bezproduktywnie czekać tak długo. Postanowił odwiedzić mieszkanie Agaty, które od lokalu dzieliło zaledwie kilkadziesiąt metrów. Nie spodziewał się zastać policjantki. Jak zdążył zauważyć, wracała do domu bardzo późno, czasem nawet nad ranem. Nic nie stało na przeszkodzie, by w ramach relaksu rozejrzeć się w środku i poszukać informacji o Kamińskim.

Jak na policjantkę, Stec przykładała wyjątkowo małą wagę do zabezpieczeń przed złodziejami. Nie zainwestowała nawet w drzwi antywłamaniowe z prawdziwego zdarzenia, wejście do środka okazało się zatem rozczarowująco łatwe. Był to jednak dopiero początek całej serii rozczarowań.

Już pierwszy rzut oka na korytarz wprawił Roberta w osłupienie. Po mieszkaniu w falowcu nie spodziewał się luksusów, ale bałagan, który zastał, przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Porozrzucane buty czy zwinięte i poupychane w kącie kurtki i tak były niczym w porównaniu z nieporządkiem panującym w salonie.

W pierwszej chwili przyszło mu do głowy, że ktoś go ubiegł i splądrował mieszkanie. Pokój wyglądał jak po przejściu tornada. W oczy kłuły puste butelki po piwie, z których można by ustawić sięgającą sufitu wieżę. Patrząc na to pobojowisko, nie sposób było uciec od porównań z pięknym i niemal sterylnie czystym domem Artura. Już wcześniej Mazur nie rozumiał, co psycholog widział w zwykłej policjantce, ale teraz całkiem zgłupiał.

Coś przeoczyłem, stwierdził. Najchętniej zapaliłby światło i starannie przeszukał każde

pomieszczenie, wiązało się to jednak z nadmiernym ryzykiem. Nie zdążył jej poznać. Równie dobrze ona też mogła kibicować gdańskiej Lechii i tego dnia wrócić wcześniej z pracy, by w domu obejrzeć mecz – jeśli w takich warunkach potrafiła się na czymkolwiek skupić.

Skierował się do sypialni policjantki. Tu przynajmniej po podłodze nie walały się puste butelki po piwie. Wszędzie za to były porozrzucane ubrania i stała zgrzewka wody mineralnej – pewnie lekarstwo na porannego kaca. Na szafce nocnej, obok budzika, zauważył dwie puste filiżanki po kawie.

Mazur przysiadł na skraju łóżka. Im dłużej przebywał w mieszkaniu Stec, tym większe dopadały go wątpliwości. Czy Artur pieprzył tę policjantkę w tak obskurnych warunkach? Nie przeszkadzał mu ten potworny bałagan? Przecież było go stać na wynajęcie kochance nowego mieszkania i załatwienie sprzątaczki. A może robili to tylko w jego domu lub w hotelach? Zresztą nieważne – sam fakt, że kobieta mieszkała w takich warunkach, automatycznie powinien skreślić ją w oczach psychologa. Tak starannie dobierał sobie pacjentów, to dlaczego dymał pierwszą z brzegu panienkę? Bez wątpienia chodziło o coś więcej. Coś, czego Robert wciąż nie dostrzegał.

Niesiony tą myślą wstał i podszedł do narożnej szafy. Przynajmniej ubrania w środku ułożono starannie. Wyprasowane, złożone w kostkę i pachnące płynem do płukania nie pasowały do reszty. Na wieszakach wisiały bluzki i koszule – tylko kobiece, co potwierdzało tezę Roberta, że Artur nie odwiedzał mieszkania kochanki.

Mazur nie potrafił powstrzymać się przed otworzeniem szuflady z bielizną. Widok kobiecych majtek i staników wprawił go w dziwne podniecenie. Odruchowo sięgnął po różowe stringi i przyłożył je sobie do twarzy. Wciągnął głęboko powietrze, rozkoszując się delikatnym zapachem. Dawno już nie czuł niczego podobnego. Owszem, raz na jakiś czas potrzebował wyżyć się seksualnie na prostytutce, ale skala podniecenia nigdy nie była tak duża.

Odłożył stringi na miejsce i zamknął szufladę. Wstydził się prymitywnej żądzy, która go opętała, ale nie potrafił z nią walczyć. Mimowolnie uśmiechnął się, dostrzegłszy ciśnięte pod ścianę majtki. W przeciwieństwie do świeżo wypranych, pachniały Agatą. Opanowała go przedziwna mieszanka obrzydzenia i pożądania, gdy przysunął czarne figi do nosa. Czuł ją. Czuł kochankę Artura.

Wyobraził sobie, jak psycholog powoli zdejmuje bieliznę z policjantki. Robert stał obok, patrząc, jak Artur rozbiera kobietę do naga i powoli zmierza ku jej miejscom intymnym. Agata drżała z rozkoszy. Obiema dłońmi chwyciła poręcz łóżka, wyginając się jak struna. Twarz Artura utonęła między udami kochanki, a wtedy ona spojrzała na Roberta. Pełna wyuzdania poza nie pozostawiała miejsca na niedopowiedzenia. Chciała mieć ich obu naraz. Dwóch równoprawnych, tak podobnych do siebie mężczyzn.

Mazur podszedł bliżej, co wyrwało jęk rozkoszy spomiędzy warg policjantki. Po chwili poczuł, jak dłonią masuje mu nabrzmiałe krocze. Nie oponował, gdy rozpięła mu rozporek. Odsłonięta szyja kobiety wręcz prosiła, by ją ścisnąć. Artur spojrzał na niego i się wycofał, uznając jego wyższość. Robert skorzystał z zaproszenia i usiadł okrakiem na Agacie.

Żałował, że nie ma kajdanek. Przykułby wówczas głupią bladź do wezgłowia i powoli, z satysfakcją i rozkoszą ograniczałby jej dopływ tlenu. Musiał jednak zadowolić się tym, co było pod ręką.

Czerwone wargi kobiety zapraszały go, wilgotne i lekko rozchylone. Delikatne sutki sterczały, wieńcząc krągłe piersi. Zazwyczaj skrywane pod koszulą, teraz kazały się podziwiać w pełnej okazałości, błagały o pieszczoty. Pochylił się i musnął je językiem, wywołując drżenie całego ciała policjantki. Podniósł nieco głowę, by spojrzeć kobiecie w oczy. Lekko zamglone, wpatrywały się w niego błagalnie, prosząc o więcej. Ponownie chwycił w usta sutek lewej piersi i mocno ugryzł, pozostawiając ślady zębów. Czuł, jak bardzo jest napalony, jak mało mu trzeba do osiągnięcia spełnienia. Spodziewał się jęku bólu, ale Agata tylko dyszała z rozkoszy, coraz szybciej i szybciej. Był dla niej zbyt łagodny. Należało ją ukarać. Głupia bladź, sama tego chciała. Wyciągnął dłonie ku jej szyi.

Nie zdążył jednak nawet dotknąć gardła kobiety, gdy krzyknęła przeraźliwie. Robert widział w życiu wiele orgazmów, ale z czymś takim nigdy wcześniej się nie spotkał. Policjantka wierzgała, próbowała wyrwać dłonie przyciśnięte kolanami Mazura, cały czas krzycząc wniebogłosy. Usta rozchylone w rozkoszy skrzywiły się w przeraźliwym grymasie bólu, a z kącików oczu popłynęły łzy.

– Ona jest moja. – Robert usłyszał głos psychologa.

Spojrzał w dół i błyskawicznie zeskoczył z policjantki. Nie była już jednak w stanie wykonać żadnego ruchu. Psycholog wytarł dłonią ściekającą z brody krew i uśmiechnął się szaleńczo, po czym ponownie wgryzł się w rozpruty brzuch martwej kochanki.

***

Mazur z obrzydzeniem odrzucił majtki, które wcześniej przyciskał do twarzy. Wciąż miał przed oczami widok żądnego krwi terapeuty. Ta wizja o wszystkim mu przypomniała, otworzyła drzwi, za którymi kryły się najgorsze sekrety. To Kamiński. To jego wina. Każdy jego krok, każde przesiąknięte jadem słowo prowadziło Roberta ku zatraceniu. Wszystkie intrygi, udawane dobre intencje, nakłanianie do coraz bardziej makabrycznych działań, zamordowana kobieta w palmiarni, wyimaginowana postać wielkiego mistrza i próby zdobycia jego uznania, przypadkowe spotkanie z Agatą w domu terapeuty, śledzenie Roberta przez policjantkę, rozkaz pójścia na cmentarz, gdzie na płycie nagrobnej wyryto jego własne imię… Psycholog zgrabnie nim manipulował, ale popełnił najczęstszy błąd wielkich umysłów – nie docenił przeciwnika.

Mazur wybiegł z mieszkania, nie zamykając za sobą drzwi. Każda sekunda działała na jego niekorzyść. Nie wiedział, jak długo znajdował się pod wpływem Kamińskiego, ale ten stan mógł wrócić w każdej chwili. Kwestią czasu było przebudzenie się matki lub psychologa w jego umyśle. Z nią sobie poradzi, ale Artur mógł na nowo namieszać mu w głowie.

Mecz jeszcze się nie rozpoczął. W barze nie było zbyt wielu klientów i Robert bez problemu namierzył byłego męża Agaty. Siedział z dwoma innymi kibicami i popijał piwo. Pogrążony w błogiej nieświadomości nie miał pojęcia, jak niewiele dzieliło go od śmierci.

– Musimy porozmawiać – powiedział Mazur, podchodząc do stolika.

– My się znamy? – spytał Stec.

Pozostała dwójka badawczo spojrzała na natręta.

– Jesteś byłym mężem Agaty. To pilne. Grozi wam niebezpieczeństwo.

– A ty to kto, jej nowy fagas?

Pewność siebie Michała była irytująca. Zamiast okazać Robertowi wdzięczność, patrzył na niego kpiąco. Towarzystwo dwóch kolegów zapewne dodawało mu odwagi, a on próbował im zaimponować niczym gimnazjalista.

– To zajmie pięć minut. Chodzi o Artura.

– A co, opisał mnie w książce?

– Skądś kojarzę tego typa – wtrącił jeden ze znajomych Michała.

Mazur zignorował słowa mężczyzny.

– On chce ją zabić, rozumiesz? Ciebie też, tak jak zamordował tę kobietę w palmiarni.

– Co ty, chłopie, pierdolisz? Wracaj do domu, bo zaraz ci w tym pomogę.

Idiota, niczego nie rozumiał. Nie docierało do niego, w jak wielkim był niebezpieczeństwie. Zaraz dojdzie do głosu Artur i w sobie tylko znany sposób odetnie Mazura od wspomnień, a wtedy otworzy się prosta droga do makabrycznej zbrodni.

– Wyjdźmy na chwilę. Tu się nie da rozmawiać.

– Dobra, chłopaki, dajcie mi pięć minut, bo ten zjeb będzie nam tu smęcił. – Stec wstał od stołu i skinął głową w kierunku wyjścia.

Robert nie wiedział, od czego zacząć. Szedł za mężczyzną, próbując sklecić w głowie przynajmniej pierwsze zdanie. Zdawał sobie sprawę, że ograniczony umysł byłego męża policjantki nie był w stanie szybko przyswoić nowych informacji. Niepotrzebnie zaczął od konkretów, przez co namieszał mężczyźnie w głowie. Z drugiej strony Kamiński w każdej chwili mógł dojść do głosu i postawić na swoim.

– Streszczaj się, gościu – rzucił Stec, gdy wyszli na zewnątrz.

– Chodzi o twoją byłą żonę, Agatę. Nie wiem, co Artur w niej widzi, nie wiem, dlaczego kazał mi was zabić, ale to niedługo się wydarzy. Nie zdołam nad tym zapanować.

– Chłopie, ćpałeś coś?

Ktoś ich podsłuchiwał. Mazur nie wiedział jeszcze kto, ale czuł czyjąś obecność w głowie. Nie było czasu do stracenia.

– Posłuchaj mnie! – Chwycił Steca za koszulkę. – On was zabije, słyszysz? Tak jak tę kobietę z palmiarni.

– Puszczaj, zjebie! – Mężczyzna odepchnął Roberta. – To ma być śmieszne? Agata cię wysłała? Powinienem ci wpierdolić, ale pewnie jesteś psem.

– Nic do ciebie nie dociera. Jeśli czegoś nie zrobimy, to na zawsze zastygniesz w uścisku z Agatą. Nigdy już jej nie pocałujesz. Wasze usta będą tak blisko, a jednocześnie tak daleko. Rozumiesz już? Będziecie jak ta palma.

Michał pokręcił głową.

– Powiedz Agacie, że przesadziła. Nie chce ze mną rozmawiać, OK, zrozumiałem za pierwszym razem.

Odwrócił się plecami. Robert instynktownie sięgnął po nóż. Nie miał już wątpliwości, kto podsłuchiwał ich rozmowę. Nie była to matka. Obecność psychologa utrudniała Mazurowi podjęcie decyzji. Mógł zakończyć to tu i teraz. Sprawdzić w akcji nowo zakupione ostrze. Zaskoczyłby Artura.

– Trzeba go zabić – wybełkotał. – Od razu trzeba było to zrobić, zamiast śledzić jego kochankę.

Nie patrzył już na Steca. Nie dostrzegł kolegów mężczyzny, którzy z niewiadomych powodów wyszli na zewnątrz. Nie słyszał, co mówili. Nie widział, jak się do niego zbliżają. Liczył się jedynie Artur. Gdyby tylko mógł, wyciąłby sobie fragment mózgu, w którym zagnieździł się pasożytujący na nim psycholog. Zamiast tego zrobi to, co dawno już powinien był zrobić.

Coś nagle pociągnęło go w dół. Nie zarejestrował nawet, skąd nadszedł atak. Leżał na ziemi, otoczony przez grupkę mężczyzn. Coś krzyczeli. Któryś wyprowadził cios. Piekący ból pojawił się w kilku miejscach jednocześnie. Kopali go. Odruchowo zasłonił twarz. Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że znowu jest sam. Nie fizycznie – wciąż otaczali go mężczyźni. Chyba dalej go kopali, choć nie miał już pewności. Najważniejsze, że Kamiński usunął się w cień. Nie wszystko jeszcze było stracone.

Rozdział XIV

Rzadko jechała na komendę z taką przyjemnością. Wieść o złapaniu mordercy z palmiarni wprawdzie pokrzyżowała jej plany na wieczór, ale żadna randka, nawet z tak przystojnym i zabawnym, jak się okazało podczas lunchu, mężczyzną, nie mogła konkurować z zamknięciem najważniejszej sprawy w jej karierze.

Jacek zrozumiał. Zamiast robić wyrzuty, jak zapewne zareagowałby Michał, pogratulował i życzył udanego przesłuchania. Na razie nie wspomniała, że to właśnie jej były mąż pomógł w schwytaniu poszukiwanego mordercy. Nie rozumiała jeszcze logiki ciągu zdarzeń, ale podejrzewała, że nie było to dzieło przypadku, tym bardziej że do incydentu doszło niedaleko jej mieszkania.

Robert Mazur – tak zatrzymany mężczyzna przedstawił się na komendzie – czekał na prokuratora w pokoju przesłuchań. Opieszałość urzędnika tym razem była po myśli komisarz, bo dzięki temu mogła osobiście porozmawiać z podejrzanym.

– Grzechu cię zajebie – stwierdził Olkowski, gdy poprosiła o kilka minut sam na sam z Mazurem.

Tak naprawdę nie zależało jej na pozwoleniu Karola, ale postanowiła dać podkomisarzowi iluzję decyzyjności.

– Poradzę sobie z nim – odpowiedziała. – Muszę wiedzieć, czemu zaczepiał mojego byłego męża.

– Musisz wreszcie powiedzieć prawdę, a nie wymyślać kolejne historyjki.

– Później, Karol. Prokurator może przyjechać w każdej chwili. Będę miała u ciebie dług wdzięczności.

Olkowski patrzył na nią gniewnie. Otworzył usta, jakby chciał nalegać, ale w końcu tylko machnął ręką.

– Jak tam chcesz – burknął. – Jak się Grzechu wkurzy, to ja o niczym nie wiem. Nie zamierzam za ciebie obrywać.

Puściła do niego oko i weszła do pokoju przesłuchań.

– Agata! – krzyknął na jej widok siedzący w środku mężczyzna. – Dzięki Bogu, wreszcie przyszłaś.

Reakcja Roberta nieco zbiła ją z tropu, podobnie jak wygląd mężczyzny – miał siniaki na twarzy i rozcięcie ciągnące się nad prawą brwią. Wiedziała, jak zareaguje na to prokurator. Zamiast przycisnąć gnoja i wyciągnąć od niego przyznanie się do zabójstwa dwóch kobiet i dziecka, będzie dopytywał o szczegóły zatrzymania i przypomni mu o możliwości

skorzystania z pomocy adwokata.

Swoją drogą Michał rzeczywiście dał mu do wiwatu, stwierdziła. O dziwo, wcale nie miała mu tego za złe, sama z chęcią skopałaby psycholowi tyłek.

Zamknęła drzwi i usiadła po przeciwnej stronie stołu, przyglądając się mężczyźnie, który odpowiedział jej dziwnym spojrzeniem. Jego entuzjazm nie sugerował nic dobrego.

– Szukałem cię – powiedział. – Nie mamy czasu do stracenia. Wybacz mi to, co zrobiłem w twoim mieszkaniu, ale nie byłem wtedy sobą. Teraz, gdy wydostałem się spod kontroli Artura, wreszcie wszystko widzę takim, jakim jest naprawdę. Nie wiem tylko, jak długo zdołam trzymać go na dystans.

Agata zmrużyła oczy i próbowała zrozumieć cokolwiek z bzdur, które wygadywał.

– Byłeś w moim mieszkaniu? – spytała.

– Teraz nie ma to znaczenia. Musimy powstrzymać Artura.

Plan, by uniknąć wplątania brata w śledztwo, wydawał się teraz wyjątkowo trudny do zrealizowania. Mazur albo zupełnie postradał zmysły, albo zamierzał się bronić, udając niepoczytalnego. W obu przypadkach jej kłamstwo wyjdzie na jaw, a Artur zostanie wciągnięty w sprawę.

Zaklęła w myślach, ale nie miała już na to wpływu. Zerknęła na zegar. Prokurator mógł się zjawić w każdej chwili, a ona musiała ten czas odpowiednio wykorzystać.

– Zacznijmy od początku – powiedziała. – Dlaczego zaczepiłeś mojego byłego męża? Skąd go znasz? Czego od niego chciałeś? Śledziłeś mnie?

Robert parsknął.

– Jesteś tak samo ograniczona. Nic dziwnego, że Artur chce was zabić. W ogóle mnie nie słuchasz.

– Zabić? Czemu uważasz, że mój brat chce mnie zabić?

Mężczyzna zamrugał zaskoczony i zamknął usta, które już otwierał, by coś odpowiedzieć.

– Brat? – spytał cicho.

Wyglądał na zdziwionego, jakby właśnie się dowiedział, że Święty Mikołaj nie istnieje, i to zburzyło cały jego światopogląd. Wcześniejszy entuzjazm i pobudzenie wyparowały.

– Jak to brat? – dodał głośniej. – Przecież widziałem was razem. Pocałowałaś go.

Agata wzruszyła ramionami, zirytowana. Nie miała czasu na takie głupoty.

– Co planowałeś zrobić dzisiaj wieczorem? Dlaczego byłeś w moim mieszkaniu?

Robert Mazur jakby jej nie słyszał. Zaczął masować dłońmi skronie i zamknął oczy.

– Dlaczego chciał zabić własną siostrę? – spytał.

Stec czuła, jak wyczerpuje się jej cierpliwość. W takich chwilach żałowała, że ograniczał ją regulamin. Gdyby tylko mogła dostać Mazura w swoje ręce na pięć minut. Krótka rozmowa wycięta z protokołu, bez kamery i mikrofonu, bez świadków stojących za lustrem weneckim, a błyskawicznie odzyskałby zdrowy rozsądek.

– Dlaczego ciągle powtarzasz, że Artur chciał kogoś zabić? – spytała. – Przecież ledwo go znasz. Mieliście raptem trzy sesje.

– Trzy?! – Zaśmiał się, ale najwyraźniej wywołało to ból w opuchniętej wardze, bo wykrzywił usta. – Trzy sesje? Tak ci powiedział? A to dobre. Trzy sesje to doprowadziły

mnie do zabójstwa matki. To było jakieś cztery lata temu. Spotykaliśmy się raz w tygodniu, sama sobie policz.

Poczuła, jak pieką ją policzki. Dobrze wiedziała, że powinna pociągnąć temat morderstwa matki, ale bardziej interesował ją temat spotkań Mazura z jej bratem. Rzecz jasna, rozmawiała z psychopatą, który równie dobrze mógł zaraz opowiedzieć ze szczegółami, jak jeździł na jednorożcu, ale w tej konkretnej chwili wyglądał na świadomego. A to by znaczyło, że Artur ją okłamał.

Niemożliwe, by podczas tylu sesji nie rozgryzł pacjenta. Był świetnym psychologiem – niekiedy odnosiła wrażenie, że czyta ludziom w myślach. Potrafił prześwietlić każdego w kilka minut. Tak więc któryś z nich – albo Artur, albo Mazur – kłamał. Tylko po co?

– On cię zabije, jak tę z palmiarni – dodał Robert.

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy do pomieszczenia wszedł Olkowski w towarzystwie wysokiego i dobrze zbudowanego mężczyzny. Nieznajomy w starannie skrojonym garniturze i z wymuskaną fryzurą wyglądał wyjątkowo elegancko, ogólne wrażenie psuły jednak oczy. Stec wszędzie rozpoznałaby tę charakterystyczną arogancję.

– Dzień dobry – powiedział, nawet na nią nie patrząc. – Jarosław Maj, kancelaria Maj i Partnerzy. Co tu się wyprawia?

– Zatrzymaliśmy podejrzanego… – zaczęła tłumaczyć Agata.

– Nie panią pytam. – Adwokat wszedł jej w słowo. – Panie Robercie, wszystko w porządku? Kto pana pobił? To niedopuszczalne.

Podszedł do Mazura i pochylił się nad nim, oglądając obrażenia na twarzy mężczyzny. Wyglądał na prawdziwie zaaferowanego, ale Stec zbyt dobrze znała ten typ ludzi, by dać wiarę w tanie przedstawienie. Bardziej zastanawiało ją, kto i kiedy zdążył wezwać prawnika. Mazur wyglądał na równie zaskoczonego, jak ona, co sugerowało, że stał za tym ktoś trzeci.

– Artur chce ją zabić – wybełkotał Robert.

Maj wyprostował się i położył mu dłoń na ramieniu.

– Proszę nic więcej nie mówić – powiedział. – A państwa – spojrzał na policjantów – proszę o natychmiastowe opuszczenie pomieszczenia. To jedna wielka kpina. Gdzie jest prokurator?

– Niedługo powinien przyjechać, ale…

– Żadnego „ale”. To pogwałcenie podstawowych praw obywatelskich. Nie myślcie sobie, że puszczę to płazem. A teraz proszę nas zostawić samych. Natychmiast.

Stec wstała z krzesła, z trudem powstrzymując się od komentarza. W głowie wciąż rozbrzmiewały jej słowa Mazura. Nie wierzyła, by Artur znał go od czterech lat. Z drugiej strony brat ostatnio zachowywał się dziwnie. Czy to on wezwał adwokata? Mógł chcieć w ten sposób uciszyć pacjenta, który po przyciśnięciu do muru wyznałby całą prawdę.

Cóż, chyba nie powinna była pisać Arturowi SMS-a, że schwytano Roberta.

– Pieprzony dupek – rzuciła, trzaskając drzwiami.

– Może i dupek, ale ma rację. – Olkowski wzruszył ramionami.

– Jaką rację? Ten świr przed chwilą przyznał się do zabójstwa własnej matki. Takim ludziom nie powinien przysługiwać żaden obrońca.

– Lepiej nie mów tego przy nim – odparł Karol przyciszonym głosem, wskazując głową mężczyznę idącego korytarzem.

Stec zwykła nazywać prokuratorów „elegancikami”, ale urzędnik wyglądał jak ubogi krewny adwokata siedzącego za ścianą. Niedopasowany szary garnitur sprawiał wrażenie kupionego w promocji w supermarkecie. Los też nie obszedł się z facetem łaskawie w kwestii włosów, a w zasadzie ich braku. Zamiast przyjąć to z honorem, mężczyzna zapuścił długą grzywkę, która w założeniu miała zakrywać łysinę. Teoria nijak nie przekładała się jednak na praktykę.

– Gdzie nasza gwiazda telewizyjna? – zawołał wesoło.

– Ze swoim adwokatem – odpowiedział Olkowski. – Musi pan wiedzieć, że podejrzanego zatrzymała grupka mężczyzn, którzy potraktowali go dość brutalnie. My nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

– Dostał to, na co zasłużył – skomentował z uśmiechem prokurator, po czym mrugnął znacząco. – Tylko nikomu tego nie powtarzajcie. Oficjalnie jesteśmy oburzeni dokonanym samosądem. Będziemy musieli publicznie potępić takie postępowanie. Rozumiem, że ich też zatrzymaliście? Nie chcemy, żeby nagadali głupot w telewizji.

Stec westchnęła. Powinna od razu powiedzieć, że jednym z tych mężczyzn jest jej były mąż. Lepiej, żeby się o tym dowiedział przed rozmową z adwokatem Mazura.

– Siedzą w drugiej sali przesłuchań – odpowiedział Olkowski, jak zawsze wyrywny w kontakcie z przełożonymi. – Wszystko im wyjaśniłem, ale autorytet pana prokuratora oczywiście będzie tu nieoceniony.

– Wśród nich jest mój były mąż – wtrąciła Agata.

Uśmiech zniknął z twarzy urzędnika. Okrągłe policzki ściągnęły się w gniewnym grymasie, a brwi się połączyły, tworząc równoległą linię do bruzd na czole. Wyglądał na dziesięć lat starszego niż przed chwilą.

– Twój mąż – powtórzył. – Naprawdę chcesz mi powiedzieć, że mąż komisarz prowadzącej śledztwo pobił podejrzanego?

– Były mąż – uściśliła Agata, niepewna, czy prokurator dosłyszał.

Mężczyzna parsknął i obrzucił ją gniewnym spojrzeniem.

– Gdzie, do cholery, jest inspektor Lubomirski? Muszę wiedzieć wszystko. Jak doszło do zatrzymania? Kto kogo zaatakował? Skoro pobicia dokonało kilku mężczyzn, to może damy radę po cichu wykluczyć z tego zdarzenia twojego męża? Jeden w tę czy w tamtą, co za różnica?

Nie miała siły tłumaczyć zawiłości sytuacji. Sama zresztą nie całkiem wszystko rozumiała. Z niewiadomego powodu Robert śledził jej byłego męża, być może włamał się do jej mieszkania, ale w połączeniu z kłamstwami Artura, który według podejrzanego zamierzał ją zamordować, a także z faktem, że to właśnie on mógł zatrudnić adwokata, otrzymała zestaw zupełnie niepasujących do siebie elementów.

Jednego Stec była pewna. Dalsze chronienie Artura nie miało już sensu.

– To wykluczone – westchnęła. – Zatrzymany był pacjentem mojego brata. Z jakiegoś powodu śledził mnie i najwyraźniej również mojego byłego męża. Wiem, jak to brzmi, ale

proszę mi wierzyć, mamy wszystko pod kontrolą.

– Jakim pacjentem?! – krzyknął prokurator, czerwony na twarzy. – Co tu się wyrabia? To posterunek policji czy jakaś cholerna telenowela? Co jeszcze powinienem wiedzieć? Może zatrzymany jest twoim przyrodnim bratem? Wasz ojciec miał na boku kochankę i spłodził bękarta, który po latach postanowił zemścić się na szczęśliwej rodzince? W co wy mnie wplątaliście?!

Urwał, gdy otworzyły się drzwi do pokoju przesłuchań i na korytarz wyszedł Jarosław Maj.

Sylwetki obu mężczyzn mogły posłużyć jako ilustracja dla przyszłych absolwentów prawa, uznała Agata. Jeśli kręgosłup moralny jest dla ciebie naiwnym banałem, zamiast którego wolisz luksusowe samochody, drogie garnitury i towarzystwo pięknych kobiet – nie składaj papierów na aplikację prokuratorską. Jeśli lubisz zazdrościć innym odniesionych sukcesów, samemu kisnąc w ciasnym, pozbawionym okien biurze, od ciężkiej pracy wolisz grzebanie w tonach papieru, a perspektywa wyładowania frustracji na podległych policjantach wynagradza zazdrość wobec dawnych kolegów z roku, którzy obrali inną ścieżkę i pławią się teraz w luksusie – kariera urzędnika czeka właśnie na ciebie.

– Panie prokuratorze – powiedział Maj, zamykając za sobą drzwi. – Mamy kilka tematów do obgadania.

Urzędnik wyprostował plecy i wygładził klapy marynarki, bezskutecznie próbując usunąć zagniecenia.

– Oczywiście.

– Od tej pory nikt nie rozmawia z moim klientem pod moją nieobecność. Nie muszę chyba dodawać, że wszystko, co pan Mazur powiedział wcześniej, nie zostanie użyte w sprawie z powodu nieprzestrzegania przez policję podstawowych procedur. – Znacząco spojrzał na Stec.

– Oczywiście – gorliwie powtórzył prokurator.

– Przejdźmy może w bardziej ustronne miejsce, a potem wrócimy i razem z moim klientem spiszemy zeznania. Przyda mu się trochę czasu, żeby zebrał myśli i doszedł do siebie po tym, co go spotkało.

Odprowadzając wzrokiem obu mężczyzn, Agata nie potrafiła pozbyć się wrażenia, że prokurator zaraz zacznie przepraszać adwokata. Później zapewne odbije sobie to na inspektorze Lubomirskim, który z kolei wyleje swoje żale na nią. Jej zaś pozostanie tylko Olkowski…

Spojrzała na stojącego obok podkomisarza. Tym razem nawet zrównanie go z ziemią nie poprawiłoby jej humoru. Zawaliła na całej linii.

– A ty co się tak gapisz? – burknęła.

– A więc stąd pewność, że to ten facet jest mordercą – stwierdził Karol z satysfakcją. – Opowiedział o tym na terapii?

– Nie twój interes. Gdzie jest Michał i jego pożal się Boże koledzy?

– Chyba nie chcesz…

– Który pokój?

– Szóstka, ale odpuściłbym na twoim miejscu. Grzechu i tak pewnie cię zawiesi, a w najlepszym wypadku odsunie od sprawy. Nie pogarszaj sytuacji.

Nie miała kontrargumentów. Racjonalnie byłoby wrócić do domu i czekać na wezwanie od inspektora. Racjonalne myślenie ani zimna głowa nigdy jednak nie były jej mocną stroną.

Weszła do drugiej sali przesłuchań. W środku siedziało trzech mężczyzn. Już sam widok Michała ubranego w koszulkę Lechii Gdańsk, z przewieszonym przez szyję biało-zielonym szalikiem, sprawił, że poczuła irytację. Brakło jej słów, by wyrazić wściekłość. Wszystkie przekleństwa, jakie znała, nie oddałyby gniewu, który rozrywał ją od środka. Nie wystarczyło, że zmarnował jej kilka lat życia. Musiał jeszcze wpieprzyć się w najważniejsze dla niej śledztwo i doprowadzić do tego, że przestała być bezstronna. Znajomość Artura z podejrzanym jeszcze by wytłumaczyła, ale fakt, że były mąż wraz z kolegami urządzili samosąd? To mogło pogrzebać jej karierę.

Zamknęła za sobą drzwi z głośnym trzaśnięciem.

– Czy was do reszty popierdoliło?! – warknęła.

Michał błysnął śnieżnobiałymi zębami w uśmiechu. Przeczesał dłonią włosy, jak zwykle pewny siebie.

– Agata, wreszcie jesteś.

Poczuła, że dłonie zaciska w pięści.

– Na twoim miejscu wcale bym się z tego nie cieszyła. Debile, macie pojęcie, co zrobiliście?

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Wyglądali na zdziwionych, że nie dostali orderów za odwagę. Miała rację, gdy przed laty podczas kłótni z mężem nazwała Olka i Janka dorosłymi dziećmi. Nigdy nie rozumiała, dlaczego dobrał sobie takich kumpli. Może był skończonym dupkiem, ale przynajmniej potrafił od czasu do czasu korzystać z mózgu, czego nie można było powiedzieć o jego kompanach. Pierwszego pogoniła żona po pięciu latach małżeństwa, gdy kolejny raz wyrzucono go z pracy za pijaństwo. Drugi nigdy się nie ożenił. Jak na zatwardziałego kawalera przystało, zwykł opowiadać o podbojach miłosnych, choć biorąc pod uwagę jego wątpliwy urok osobisty i wiecznie pusty portfel, te historie czerpał raczej z telewizji lub wybujałej wyobraźni. Nie bez powodu mówiło się, że z kim przestajesz, takim się stajesz – najlepiej świadczył o tym idiotyczny pomysł Michała, by podarować Agacie poradnik psychologiczny.

– Ile jeszcze będziecie nas tu trzymać? – spytał Janek. – Przegapiliśmy ważny mecz.

Komisarz zacisnęła zęby.

– Jeszcze jedno słowo, a zamknę cię na czterdzieści osiem godzin w jednej celi z amatorem męskich pośladków. Wtedy przynajmniej twoje łóżkowe historie znajdą oparcie w rzeczywistości.

To zamknęło im usta. I dobrze, miała ich serdecznie dość. Podeszła do Michała. Kolejny raz nie potrafiła odpowiedzieć sobie na pytanie, co kiedyś w nim widziała. Może i był przystojny, ale takiemu Biernatowi nie dorastał nawet do pięt. Czym ją oczarował? Bezpośredniością? Tym, jak różnił się od Artura? Jak żył chwilą i nie przejmował się przyszłością? Niemożliwe, żeby była aż tak głupia.

– Jak do tego doszło? – spytała, próbując zapanować nad nerwami.

– Sam chciałbym wiedzieć – odpowiedział. – Facet bredził od rzeczy. Myślałem, że robisz sobie ze mnie jaja i wysłałaś typa, żeby zawracał mi głowę. To Janek skojarzył gościa z telewizji, więc go spacyfikowaliśmy.

– Co dokładnie mówił? To ważne.

– Nie wiem, same bzdury. – Michał wzruszył ramionami. – Podszedł do naszego stolika, powiedział, że mnie zna, i zaczął mówić o Arturze. Było głośno, wyszliśmy więc na zewnątrz. Wtedy zaczął pieprzyć farmazony, że Artur chce cię zabić, tak jak tę babkę z palmiarni. Znał moje nazwisko, ale chyba nie wiedział, że z Arturem jesteście rodzeństwem.

Agata odniosła identyczne wrażenie. Nie zmieniało to jednak faktu, że zachowanie Mazura w dalszym ciągu wydawało się pozbawione sensu.

– Co jeszcze mówił? – dopytywała. – Wiem, że długo już tu siedzisz, ale spróbuj sobie przypomnieć.

– Sam nie wiem. Pieprzył coś o pocałunku, że nasze usta będą blisko, ale się nie dotkną, czy coś w tym stylu. Gadał też, że będziemy jak palma. Zwykły psychol i tyle.

Nowa zbrodnia, uznała policjantka. Mazur najwyraźniej chciał dokonać kolejnego morderstwa. Możliwe, że tym razem cel stanowili ona z Michałem. Niewiele wiedziała o psychologii, ale chory mężczyzna z jakiegoś powodu mógł poczuć się zdradzony przez Artura i postanowił go ukarać, zabijając najbliższe mu osoby. Ani inspektor, ani prokurator nie uwierzą w jej wersję, nie potrafiła jednak znaleźć innego wytłumaczenia. Kluczem do wszystkich odpowiedzi wydawał się być Artur, tyle że wcale nie miała ochoty z nim rozmawiać. W tym jednym przypadku wolała posłuchać zdrowego rozsądku i zostawić sprawę prokuratorowi.

Rozdział XV

Żal mu było wyrzucać karczochy. Odtwarzanie filmowej kolacji bez obecności siostry mijało się jednak z celem, toteż po dwóch dniach skapitulował i usunął kłopotliwe warzywa z lodówki. Dobrze za to zagospodarował pozostałe składniki, zwłaszcza wino.

Brak kontaktu ze strony Agaty po tym, jak lakonicznie odwołała wspólną kolację, sugerował, że dowiedziała się o jego kłamstwie na temat Mazura. Z pewnością siostra złoży mu niedługo wizytę, by wyrzucić z siebie skumulowaną złość i pretensje. Nie obędzie się bez krzyków, wyzwisk i całej masy gróźb naruszenia nietykalności cielesnej. Artur nie umiał oszacować, jak długo będzie trwać atak furii i następujące po nim załamanie. Siostra traktowała go jako jedyne oparcie, bezpieczny port, do którego zawsze mogła zawinąć w obliczu kryzysu. Nic dziwnego, że jego kłamstwo tak bardzo nią wstrząsnęło. Mimo wszystko wątpił, by w obecnym stanie wytrzymała dłużej niż trzy dni, a sama kulminacja nie powinna zająć trzech kwadransów.

Jeśli obliczenia psychologa były trafne, to do niezapowiedzianej wizyty pozostała już tylko doba. Ten czas mógł ulec wydłużeniu lub skróceniu w razie postępów w śledztwie. Ewentualne wypuszczenie Mazura powinno skutkować natychmiastowym przełomem, na który Kamiński zamierzał się przygotować.

Nic tak nie działa na skołatane nerwy, jak wykwintna uczta. Oczywiście nie od razu, bo najmniejszym wymiarem kary za podanie roztrzęsionej siostrze ciepłego posiłku byłby roztrzaskany talerz i wątpliwej urody plama na ścianie. Dopiero kiedy policjantka skończy wyładowywać złość, Artur zaproponuje jej spokojną rozmowę, a potem zasiądą do wcześniej przygotowanej kolacji.

Doszedł do wniosku, że najlepiej sprawdzą się tapas, niewielkie hiszpańskie przekąski – subtelnie przekierują myśli Agaty w stronę wspólnego wyjazdu do Barcelony, do którego naturalnie nigdy nie dojdzie, ale o tym porozmawiają kiedy indziej, gdy już opadną emocje związane ze śledztwem. Jak na śródziemnomorską kuchnię przystało, nie obejdzie się bez ryb. Artur zakupił już świeżego węgorza i turbota – z powodzeniem zastąpią mrożone krewetki czy ośmiornice. Do tego zaryzykował i zamiast nabyć słynny hiszpański ser manchego, zaufał lokalnemu producentowi z Pępowa specjalizującemu się w serach długo dojrzewających. By nie było zbyt wytrawnie, całości domkną świeże owoce i odrobina słodkości w postaci pralin z białej czekolady z migdałami, żurawiną i szczyptą startej gałki muszkatołowej, dzięki której całość nabierze ciekawego charakteru.

Tapas bez wina to jak ogień bez dymu. Oczywistym wyborem wydawało się hiszpańskie

rioja, najlepiej gran reserva, leżakujące co najmniej dwadzieścia cztery miesiące w beczce i trzy lata w butelce. Myślał o wybitnym trunku z rocznika dwa tysiące czwartego, ale mając na uwadze tempo, w jakim Agata opróżnia kieliszki, i fakt, że po wyrzuceniu z siebie emocji będzie chciała jeszcze szybciej znieczulić organizm, Artur zrezygnował z tego jakże kuszącego rozwiązania. W grę wchodził jeszcze rocznik dwa tysiące jedenasty, też uznany przez lokalne Consejo Regulador de la Denominación de Origen Calificada Rioja za doskonały, ale ostatecznie psycholog wybrał bardziej kobiece rozwiązanie – musującą cavę, tak bardzo kojarzącą się z Katalonią.

Pozostało mu jeszcze siedem minut, ale włączył komputer. Nie przepadał za sesjami prowadzonymi przez Skype'a. Główną niedogodnością był brak możliwości obserwacji całego ciała rozmówcy, widział tylko jego twarz. Oczywiście z samej miny czy spojrzenia też potrafił wiele wyczytać, ale to, jak człowiek siedzi, jak reaguje na daną sytuację, czy zakłada nogę na nogę, pochyla się do przodu, poprawia się w fotelu, bawi się obrączką – zdradzało więcej niż słowa.

Ledwie włączył program, a na ekranie pojawiła się podobizna dziennikarki. Jej zdjęcie profilowe potwierdzało dystans do samej siebie. Ubrana w meksykański kapelusz z absurdalnie szerokim rondem, pozowała do fotografii razem z dwiema młodymi, pięknymi i – przede wszystkim – szczupłymi Latynoskami, które całowały ją w oba policzki.

– Dzień dobry – powiedział, odebrawszy połączenie.

– Cześć! Jak mnie słychać?

Kobieta nałożyła na uszy sporych rozmiarów słuchawki. Siedziała tak blisko kamery w komputerze, że Artur widział każdą jej zmarszczkę. Te okalające usta sugerowały, że dziennikarka nieustannie się uśmiecha, o czym zresztą przekonał się zarówno w studio, jak i teraz.

– Wygląda pani jak komentator telewizyjny. Pełen profesjonalizm.

– Pożyczyłam sprzęt od jednego z operatorów. Pan za to jak zawsze elegancki. Widzę pana tylko do ramion, ale potrafię sobie wyobrazić, jak ta marynarka jest doskonale skrojona. Michałek to chyba od razu po nagraniu pojechał szukać nowego krawca.

Pierwsza wypowiedź i od razu komentarz dotyczący współprowadzącego, zanotował w głowie Artur.

– Jeśli to nie problem, to proponuję, żebyśmy przeszli na „ty" – powiedział. – Brudzia nie wypijemy, ale nadrobimy podczas następnego spotkania.

– Oczywiście. Mów mi Dagmara. Tylko błagam, nie zdrabniaj mojego imienia.

– By dopełnić formalności, ja jestem Artur. Skoro mamy to już z głowy, to przejdźmy do sedna. Wiesz, czym się zajmuję, wspominałaś nawet, że czytałaś moje książki. Ja niestety nie mogę powiedzieć, żebym namiętnie oglądał programy śniadaniowe, ale oczywiście twoje dokonania są mi znane. Zazwyczaj pierwsza rozmowa ma charakter ogólny, to takie obwąchiwanie się nawzajem. Ty możesz sprawdzić, czy odpowiada ci styl prowadzenia przeze mnie sesji, a ja, czy jestem w stanie ci pomóc.

Użył oficjalnej wersji, podczas gdy prawdziwa brzmiała: Ty możesz sprawdzić, czy odpowiada ci styl prowadzenia przeze mnie sesji, a ja, czy warto dla ciebie poświęcać czas.

– Wiem, że zazwyczaj pracujesz z trudnymi przypadkami – odpowiedziała. – Jak czytam twoje książki, to odnoszę wrażenie, że co drugi twój pacjent to przyszły lub skazany morderca. Sama czasem mam ochotę udusić Michałka na wizji, ale nie będziemy przecież o nim rozmawiać.

Druga wzmianka o współprowadzącym. Co więcej, przed chwilą poprosiła, by nie zdrabniać jej imienia, podczas gdy sama to robiła w odniesieniu do kolegi po fachu. W ten sposób wyrażała swoją antypatię wobec niego, choć mogła sobie nie zdawać z tego sprawy.

– Kurczę, głupio tak zacząć z grubej rury – dodała po chwili.

– Zwłaszcza że potem opiszę wszystko w swojej książce – zażartował.

– Masz chyba ciekawsze tematy. Zresztą nie musisz daleko szukać. W naszej stacji od godziny trąbią o kolejnym epickim morderstwie i udekorowanych zwłokach. Nie odbierz tego jako wścibskość, ale przed naszym spotkaniem zasięgnęłam języka i dowiedziałam się, że sprawę prowadzi twoja siostra. Książka o tym psychopacie pewnie sprzedałaby się w rekordowym nakładzie. Może nawet Michałek by po nią sięgnął, choć pewnie wolałby sam przeprowadzić wywiad z mordercą.

Artur odnotował kolejną wzmiankę o dziennikarzu. Dagmara wydawała się mieć na jego punkcie obsesję. Bardziej jednak zainteresowała go wiadomość o kolejnej zbrodni. To oznaczało, że wyjście Mazura na wolność stanowiło kwestię kilku godzin. Do tej pory Maj spisywał się znakomicie, dzięki niemu policja nawet nie zapukała do drzwi Kamińskiego. Mazur trzymał język za zębami, ale dla pewności należało przyspieszyć proces jego kotwiczenia.

– Często wspominasz o swoim koledze z pracy – odpowiedział, jednocześnie myśląc o ewentualnej wizycie Agaty. Siostra mogła wpaść w każdej chwili, a zdążył dopiero wyfiletować ryby.

– Myślisz? Nie wiem, może dlatego, że ten człowiek ostatnio coraz częściej wyprowadza mnie z równowagi. Czasem to mam ochotę na wizji zdzielić go przez łeb.

– To by nawet mogło zapewnić ci wzrost popularności.

Jego odpowiedzi były automatyczne. W głowie już planował, jak rozpuści białą czekoladę w kąpieli wodnej. Powinien też czym prędzej włożyć cavę do lodówki.

– Chyba że mi odda – odparła rozbawiona dziennikarka. – Wiesz, tak teraz myślę, że coś w tym jest. Pracujemy razem od dziesięciu lat, dasz wiarę? Gdyby ktoś mi kiedyś powiedział, że skończę jako współprowadząca program śniadaniowy, w którym większość gości to skończone barany, to postukałabym się w głowę. Z racji wyglądu zawsze wróżono mi karierę radiową, nawet dobrze mi szło. Wiesz, że to ze względu na Michała postanowiłam zaryzykować?

Pierwszy raz nie zdrobniła imienia kolegi, zauważył psycholog. Pomimo obecnej niechęci do dziennikarza wiązały się z nim dobre wspomnienia. Być może kiedyś darzyła go uczuciem, ale gdy stopniowo zmieniał się w telewizyjnego celebrytę, jej miłość przeszła w pogardę, a może i nienawiść.

– Początkowo naprawdę świetnie nam się współpracowało – ciągnęła. – Jego żarty były takie naturalne, niewymuszone. Nie to, co teraz.

– Wszyscy podlegamy zmianom.

– Tak, ale u mnie widać je tylko po coraz większych rozmiarach sukienek. – Zaśmiała się, zaraz jednak dodała całkiem poważnie: – Czasem sobie myślę, czy nie warto czegoś zmienić. Nie wiem, może wrócić do radia? Lubię też pisać, ale pieniędzy na tym nie zarobię. Chyba że wydam autobiografię ujawniającą skandale zza kulis.

Najlepiej byłoby podać surowe ryby, stwierdził Artur, udając, że słucha dziennikarki. Agata mogła jednak mieć co do nich obiekcje, dlatego dla niepoznaki lekko je podsmaży, żeby z zewnątrz nie budziły jej podejrzeń.

– Kurde, no! – Dagmara nagle podniosła głos, skupiając na sobie uwagę terapeuty. – Jak słyszę samą siebie, to aż mi wstyd. Co za banały opowiadam? Może jeszcze rzucę karierę, wyjadę w góry i tam znajdę wewnętrzny spokój. Musiałabym do tego rozwieść się z mężem i znaleźć sobie młodszego o piętnaście lat kawalera, ale to raczej nie wchodzi w grę. Przepraszam, że zaczęłam tak zanudzać.

– Pomału rozglądałem się za kawą – odparł, mrugając znacząco, by dać wyraźnie do zrozumienia, że to tylko żart. – Myślałem też, czyby nie udawać, że mam kłopoty z siecią, i przedwcześnie nie zakończyć naszej rozmowy.

– Ale wyszłam na laleczkę. Nie bierz tego na poważnie. Chyba rzeczywiście zbyt długo już prowadzę te poranne pogadanki z nudziarzami i zarazili mnie tanimi tekstami o spełnieniu i sensie życia.

– Nie bądź dla siebie zbyt surowa. Najważniejsze, że wciąż dostrzegasz absurdalność telewizyjnego świata. Nie można tego powiedzieć o wszystkich.

– Coś w tym jest. Michałek dawno już przepadł. Aż mnie korci, by zrobić zestawienie, jak się zmieniał z biegiem lat. W archiwach na pewno mają starsze nagrania, nie byłoby to wcale takie trudne. Można by o tym napisać pracę doktorską. Początkowo przed kamerą zachowywał się zupełnie normalnie. Po jakimś roku zmienił podejście, nie był już taki naturalny, ale po wyłączeniu kamer wracał do świata zwykłych ludzi. Po kilku latach coraz częściej nie bywał sobą, a teraz nie pozostał już nawet ślad po dawnym Michale. Kurde, miałam gadać o sobie, a ciągle nawijam o nim. Nie odbierz tego źle, po prostu leży mi na sercu jego los. To naprawdę był świetny, wyluzowany facet z ogromnym dystansem do samego siebie.

– W takim razie może pomożesz mu wrócić do normalności?

Dziennikarka zacisnęła usta. Jej pulchna twarz nabrała jeszcze krągłości. Artur nie wiedział, czy kontynuować rozmowę. Po Dagmarze spodziewał się bardziej interesującego tematu. Zaczęło go jednak korcić, by wykorzystać dziennikarkę i zażartować z mężczyzny, który miał siebie za chodzący ideał. To mogłoby być nawet zabawne, uznał. Zawodowe wyzwanie, rzucenie rękawicy człowiekowi stojącemu za permanentną przemianą Michała. W obliczu piętrzących się problemów taka odskocznia mogłaby pomóc Kamińskiemu w nabraniu dystansu do swojej pracy.

– Tylko że do niego nic już nie dociera – odpowiedziała Dagmara po dłuższej chwili. – Otacza się ludźmi, którzy jedzą mu z ręki, a na jakiekolwiek, nawet najdrobniejsze, słowa krytyki reaguje, jakbym co najmniej wymierzyła mu policzek.

– Może tego właśnie mu trzeba?

– W sensie – spoliczkowania? Musiałabym wejść na stołek, żeby go dosięgnąć.

Parsknęła śmiechem prosto do mikrofonu, przez co z głośników Artura dobiegł trudny do wytrzymania odgłos. Ściszył dźwięk w komputerze. Wolał już wytężać słuch, niż narażać się na ogłuchnięcie.

– Dobra, muszę to sobie wszystko poukładać w głowie – dodała. – Pewnie chcesz porozmawiać z siostrą, zamiast wysłuchiwać moich wyimaginowanych problemów. Swoją drogą, skoro znaleziono nowe ciało, to facet, którego aresztowano kilka dni wcześniej, jest niewinny?

– Nie mam pojęcia. Nie angażuję się w śledztwo.

– Raczej tak. To niezła wtopa, skoro w całej Polsce upubliczniono jego zdjęcie. Jak nic, skończy się pozwem o zniesławienie.

Nie widział potrzeby, by wyprowadzać dziennikarkę z błędu. Mazur z pewnością nikogo nie pozwie. Dał temu dowód, błyskawicznie zapominając o sesjach terapeutycznych i o pobiciu przez Steca. Jarosław Maj jak nikt inny potrafił przekonywać ludzi do milczenia.

– Przepraszam, ale nie mogę rozmawiać o sprawach związanych z moją siostrą – odpowiedział z uśmiechem. – Zaraz sobie pomyślę, że nasza rozmowa miała służyć wyciągnięciu ze mnie informacji o prowadzonym przez nią śledztwie.

– Nie, nie, przepraszam. – Dagmara lekko się zaczerwieniła, zdając sobie sprawę z natarczywości swoich pytań. – To zupełnie nie moje tematy. Co innego, gdyby zajmowała się stylizacją paznokci, fotografią lub budową domów z odpadków, wtedy na pewno poprosiłabym o jej numer. Mam nadzieję, że mimo mojego zanudzania nie skreślisz mnie z listy. Z chęcią kontynuowałabym sesje. Może przyjadę w przyszłym tygodniu do Gdańska, to porozmawiamy na żywo?

– Z ogromną przyjemnością.

– Dobra, to kończę i idę przetrawić sobie wszystko na spokojnie. Do zobaczenia.

– Do następnego.

Z ulgą zakończył rozmowę. Powinien od razu wziąć się do przygotowania przekąsek, ale najpierw sięgnął po telefon. Przed rozmową z dziennikarką wyciszył sygnał, nie słyszał zatem, jak adwokat dwukrotnie do niego dzwonił na jego drugi, znany zaledwie garstce osób, numer. Nie musiał jednak oddzwaniać, bo Maj wysłał mu krótką wiadomość: „Wypuszczają go za dwie godziny. Przetransportuję go w umówione miejsce”.

To nieco komplikowało sprawy. Maj może i działał w dobrej wierze, ale tym razem zbytnio się pospieszył. Wygodniej byłoby pozwolić policji przetrzymać Mazura jeszcze jedną dobę, a tak pogodzenie się z siostrą musiało poczekać, aż Artur załatwi bardziej naglącą sprawę.

Rozdział XVI

Pomimo świetnej lokalizacji – zaledwie kilkadziesiąt metrów od plaży i molo – kompleks apartamentów Riwiera Orłowska od kilku lat stał pusty, a sprzedaż lokali wciąż wstrzymywano. Po drodze policjantka sprawdziła, czy aby przypadkiem za inwestycją nie stała firma Her-Bud, ale tym razem Jacek nie miał żadnego związku ze sprawą. Przyjęła ten fakt z ulgą, co uświadomiło jej, jak przez dwa ostatnie dni zbliżyła się do Biernata.

Brama osiedla i wjazd do najbliższego garażu podziemnego były otwarte, ruszyła więc do środka. Cichy pisk opon, zazwyczaj ledwo słyszalny, niósł się echem w wielkiej, prawie całkiem pustej hali. Zajęte było tylko kilka miejsc postojowych. Agata zaparkowała obok jednego z radiowozów i wyszła z samochodu, lekko się wzdrygając na trzaśnięcie drzwi, które zabrzmiało nieoczekiwanie głośno.

Olkowski, czekający na nią przed drzwiami prowadzącymi na klatkę schodową, rozciągnął usta w kpiącym grymasie na widok jej miny.

– Wybudowali o jedno piętro za dużo – wyjaśnił, kiedy rozglądała się wokół. Opustoszała hala garażowa wyglądała niepokojąco.

– Czyli nikt tutaj nie mieszka? – spytała Stec.

Karol pokiwał głową.

– Sprawa ciągnie się latami. Sąsiedzi wysłali skargi i ruszyła machina. Szkoda takiego miejsca. Gdybym brał łapówki, sam z chęcią bym tu zamieszkał.

– Zatem zero świadków?

– Całość nadzoruje jeden człowiek. To on zadzwonił na policję, ale oczywiście nie widział sprawcy. Może ten Mazur ma jakieś nadnaturalne zdolności i zabija ludzi na odległość? Albo opuszcza swoje ciało i…

– Jeszcze jeden żart, a patolog będzie miał dodatkową robotę – weszła mu w słowo. – Mów lepiej, co wiemy.

Wydarzenia ostatnich dwóch dni zupełnie zbiły ją z tropu. Fala entuzjazmu spowodowana zatrzymaniem Roberta Mazura rozbiła się o ścianę w postaci prokuratora, a zaraz potem emocje policjantki przeskoczyły na przeciwny biegun, gdy dowiedziała się o roli, jaką w sprawie odegrali Michał i Artur. To w oczywisty sposób oznaczało zakończenie jej udziału w śledztwie, a być może również konieczność odkurzenia bloczków z mandatami. Tym większe było zdziwienie komisarz, gdy Mazur wycofał wcześniejsze zeznania i stwierdził, że godzinę przed zatrzymaniem wdał się w bójkę, a na pytania o męża i brata policjantki wzruszył ramionami. Zaprzeczył też, jakoby zamordował swoją matkę, choć

kilkadziesiąt minut wcześniej był tego w stu procentach pewny.

Sprawę dodatkowo utrudniał znaleziony przy mężczyźnie nóż. Technicy jednoznacznie stwierdzili, że tym ostrzem nie dokonano zabójstwa Sylwii Kozłowskiej ani jej nastoletniego syna. Brak odcisków palców podejrzanego, brak motywu i choćby jednego świadka – poza Agatą, której wiarygodność stała pod wielkim znakiem zapytania – oznaczały, że wypuszczenie Mazura na wolność było tylko kwestią czasu. Prokurator w swoim stylu umył od wszystkiego ręce i zrzucił odpowiedzialność na Lubomirskiego. On przynajmniej pozwolił sobie na szczerość, gdy powiadomił Agatę o sytuacji.

– Nie wiem, co tu się odpierdala, ale musisz to ogarnąć – oznajmił dwa dni wcześniej po zakończonym przesłuchaniu. – Prokurator przeszedł samego siebie i załatwił, by zatrzymany nie pisnął ani słowem o całym bajzlu. Nie wiem, czy zapłacił za milczenie, czy zrobił mu laskę, ważne, że cudem uniknęliśmy skandalu. Nie zmienia to jednak faktu, że nie mamy żadnych dowodów, a ten goguś w krawacie zaraz wyciągnie jedynego podejrzanego na wolność.

Stec domyślała się, że Grzechu przeceniał rolę prokuratora. To Artur za pomocą wynajętego adwokata zakneblował usta pacjentowi. Nie rozumiała zachowania brata, który najwidoczniej gotów był zrobić wszystko, byle nie powiązano jego nazwiska ze śledztwem. Coraz bardziej skłonna była wierzyć Mazurowi w sprawie czasu trwania terapii. Wniosek wydawał się oczywisty: Artur wiedział o morderstwach pacjenta i ignorował ten fakt. Materiały do książki wygrały z etyką czy zwykłą ludzką uczciwością, a skoro wolał karierę od rodziny, to nie zamierzała komplikować mu życia.

Była jeszcze druga strona medalu. Wściekła na brata, nie pomyślała nawet, że to, co odebrała jako ratowanie własnej skóry przez Artura, w rzeczywistości mogło być kołem ratunkowym dla niej. Uświadomił jej to dopiero Jacek, z którym spędziła dwa ostatnie wieczory i dzięki któremu przetrwała ten ciężki dla siebie okres. Nie zmieniało to jednak faktu, że brat okłamał ją w żywe oczy i doskonale wiedział o morderczych skłonnościach swojego pacjenta.

Wszystkie te rozważania wzięły w łeb w momencie odnalezienia kolejnego ciała. Technicy dopiero zabezpieczali ślady, ale już krążyły komentarze o bezzasadnym zatrzymaniu Mazura, który przecież nie mógł dokonać morderstwa zza krat.

– Bez wątpienia to dzieło tego samego człowieka – stwierdził Olkowski, prowadząc ją na klatkę schodową. – Nie będę psuł ci niespodzianki, ale przygotuj się na moc wrażeń.

Rzuciła mu pytające spojrzenie, lecz podkomisarz tylko pokręcił głową. Po chwili znaleźli się na najwyższym piętrze budynku. Karol otworzył drzwi do jednego z mieszkań i machnął szarmancko ręką, zapraszając ją do środka.

Agata przekroczyła próg i się rozejrzała. Apartament był w stanie deweloperskim – bez podłóg czy drzwi, z gołymi ścianami pokrytymi białym pyłem. Korytarz zalewało jasne światło wpadające przez wysokie okna. Ruszyła dalej. Kiedy doszła do drzwi salonu – jak przypuszczała, takie właśnie przeznaczenie mogła mieć ogromna przestrzeń z drzwiami prowadzącymi na taras – stanęła jak wryta, dopiero teraz rozumiejąc, co miał na myśli podkomisarz.

– Co to, kurwa, jest? – wymsknęło się jej mimo woli.

– Ludzka świeca – odparł Olkowski.

Na środku stał okrągły słup o barwie miodu, wysoki mniej więcej na półtora metra, a z niego wystawała głowa dziewczyny. Jej ciało, łącznie z końcówkami długich włosów, zatopiono w substancji przypominającej wosk.

Agata obeszła zwłoki, by przyjrzeć się twarzy denatki, skierowanej w stronę okien. Miała piękny widok, stwierdziła mimowolnie. Rzeczywiście, martwe oczy patrzyły na zatokę rozciągającą się kilkadziesiąt metrów za tarasem.

Stec podeszła bliżej. Zwłoki – a przynajmniej to, co wystawało z wosku – były pokryte opuchlizną. Dziewczyna nawet powieki miała obrzmiałe, przez co jej oczy zwężyły się do szparek. Całą twarz pokrywała czerwona wysypka.

– Wygląda jak po przegranej walce bokserskiej – stwierdził Olkowski. – Ale to nie tłumaczy spuchniętego przełyku.

Agata dotknęła dziwnego kokonu. Jej uwagę zwróciły rurki wystające z niego na kilka centymetrów. Wyglądały na ucięte. Dziewczynę podłączono do kroplówki, uznała. Morderca mógł w ten sposób utrzymywać ofiarę przy życiu, pod warunkiem że znalazł też metodę na usuwanie z jej organizmu kału i moczu.

Po drodze Stec łudziła się, że nowe morderstwo nie okaże się powiązane z dwoma poprzednimi, teraz jednak nie miała wątpliwości. Podobnie jak w palmiarni, nie sposób było znaleźć choćby kropli krwi. Prócz ciała w pomieszczeniu nie znajdowało się kompletnie nic. Gołe podłogi, brak choćby zwisającej żarówki – wszystko stwarzało niesamowite wrażenie. Wyglądało to jak w jakimś potwornym horrorze, nawet głos niósł się echem.

– Pewnie jej też wstrzyknął pavulon – stwierdziła, patrząc na opuchniętą szyję denatki. – Widać nawet ślady po igle.

Nachyliwszy się bliżej, dostrzegła coś jeszcze. Na ciele Natalii Szulc znaleziono tylko jeden ślad po ukłuciu, podczas gdy tutaj, nawet bez dobrego oświetlenia, Agata mogła wskazać trzy takie miejsca.

– Sprawdźcie, czy przyczyną śmierci nie było przypadkiem użądlenie przez pszczołę – poleciła. – I skład chemiczny tego pieprzonego kokonu. Jeśli to pszczeli wosk, a denatka zmarła na skutek wstrząsu anafilaktycznego, to nawiązanie wydaje się oczywiste.

– Znowu aberracja? – Olkowski podszedł bliżej i poskrobał substancję otaczającą ofiarę. Pod paznokciem pozostała mu odrobina materiału. – Czyli że co? Pszczoły są złe i niedobre?

– Raczej nie. Cały czas słyszy się teraz o tym, jakie to pszczoły są wspaniałe i ratują ekosystem. Idąc tym tropem, to ta dziewczyna może stanowić aberrację ze względu na swoje uczulenie.

– No, nie wiem. – Pokręcił głową. – Dość dużo osób ma alergię na pszczeli jad.

Nie zamierzała się z nim sprzeczać, zwłaszcza że nie znała jeszcze przyczyny śmierci denatki. Bardziej ją interesowało, jak Robert dokonał tego wszystkiego podczas pobytu w areszcie. Może miał pomocnika? Przez adwokata przekazał wszystkie instrukcje, po to by kolejne odnalezione ciało potwierdziło jego niewinność?

Niestety, ta teoria była mocno naciągana. Sama w nią nie wierzyła, ale nie potrafiła

pogodzić się z faktem, że Mazur był niewinny. Na własne oczy widziała, jak śledził Kozłowską, którą niedługo później znaleziono martwą. Ją samą doprowadził do samochodu Patryka Brzozowskiego. O ile jedno wydarzenie mogłaby potraktować jako przypadek, o tyle dwa zbiegi okoliczności nie wchodziły w grę.

– To bez wątpienia dzieło mordercy z palmiarni – stwierdziła na głos.

– Czyli Mazur jest niewinny.

– Tego nie byłabym taka pewna.

Otworzyła drzwi balkonowe i wyszła na zewnątrz. Widok na zatokę robił piorunujące wrażenie. Sama mieszkała niedaleko plaży na Przymorzu, ale jej okna wychodziły na supermarket i nowe wieżowce. Całkiem niedawno namawiała brata, by kupił sobie mieszkanie, skąd można by podziwiać zachody słońca nad Zatoką Gdańską. Nawet znalazła mu ciekawą ofertę – apartamenty nad Motławą; spacer na starówkę zajmował stamtąd pięć minut. Artur nawet nie spojrzał na ulotkę, tłumaczył, że potrzebuje ciszy i spokoju, a sąsiedzi za ścianą uniemożliwialiby mu pracę. Jak zawsze miał rację – to, co miało być ekskluzywnymi apartamentami dla wybranych, okazało się atrakcją turystyczną dla pijanych turystów z zagranicy, bo większość mieszkań kupiono na wynajem. Średnio raz na miesiąc słyszała od znajomych z obyczajówki o libacjach, zakłócaniu porządku i odwiedzinach prostytutek na tym osiedlu.

– Artur zawsze ma rację – stwierdziła, podziwiając niemal idealnie gładką powierzchnię wody.

Tak było od zawsze. Kiedyś irytowała ją nieomylność brata. Całe dzieciństwo się wymądrzał, czym doprowadzał ją do szału. Starszy o pięć lat, zamiast odganiać kręcących się wokół niej chłopaków, stwierdził tylko, że nie powinna być tak ufna względem kolegów. Oczywiście miał rację, co musiała mu przyznać po jednym z wieczornych spacerów, kiedy to ratowała się ucieczką przed natrętem.

– Zbyt ufna – powiedziała na głos. – Jaki nastolatek używa takiego słownictwa?

Gdy rozmawiali kilka dni wcześniej, Artur jasno stwierdził, że Mazur nie byłby w stanie popełnić zabójstwa w palmiarni. Jak powiedział, jego pacjent zbyt szybko tracił cierpliwość, nie potrafił się koncentrować i co rusz zmieniał zdanie. To miało go dyskwalifikować jako autora tak wymyślnej i czasochłonnej zbrodni. Zamiast go posłuchać, zaufała własnemu instynktowi, który zaprowadził ją w ślepą uliczkę, przez co teraz policja postawi Mazurowi tylko zarzut posługiwania się fałszywym dowodem osobistym, ale i z tego pewnie się wywinie w ramach ugody z prokuratorem.

– Co tak dumasz? – Usłyszała głos Olkowskiego. Podkomisarz podszedł do balustrady. – Zajebisty widok, nie ma co. Ciekawe, ile wołają za metr kwadratowy.

– Porównaj trzy zbrodnie – powiedziała, nie spuszczając wzroku z morza. – Co możesz o nich powiedzieć?

– Że morderstw dokonał chory psychicznie zjeb?

– Wysil się, Karol. Co mają ze sobą wspólnego? A może któreś wyróżnia się na tle pozostałych?

– Chodzi ci o tę krew na ścianach u Kozłowskich? Też o tym myślałem, zwłaszcza że nic

tam nie pasuje do tematu aberracji.

Nawet Olkowski to dostrzegał. Nikt jednak nie miał odwagi powiedzieć prawdy na głos: w Trójmieście grasowało dwóch różnych morderców, z czego jeden był psychopatycznym artystą, a drugi zwykłym psycholem.

– Mówiłeś, że podczas przesłuchania Mazur ciągle patrzył na ciało Szulc – odezwała się po chwili.

– No.

– Ja widziałam go dzień później w parku Oliwskim. A co, jeśli spodobała mu się scena rodem z filmu i też postanowił poudawać artystę? Co, jeśli jest zwykłym naśladowcą? Zabił Kozłowską w imię jakiegoś chorego hołdu dla mordercy z palmiarni, a ten wkurzył się, że jego dzieło przypisano komuś innemu, i uderzył drugi raz.

– Niby tak, ale chyba nie sądzisz, że wykonał ten kokon w jeden wieczór? Jeśli to rzeczywiście wosk, to nałożenie tylu warstw musiało mu zająć całe wieki. Poza tym ani Grzechu, ani prokurator już ci nie uwierzą. Straciłaś wiarygodność. Jesteś jedynym świadkiem w sprawie Kozłowskiej.

Trudno było odmówić mu racji. Jej teoria miała zasadniczą lukę: morderca musiał przygotowywać miejsce zbrodni od dawna. Wątpliwe, by akurat zgrał się w czasie z zatrzymaniem Mazura przez policję. Chyba że specjalnie przyspieszył proces, zrezygnował z jakiegoś istotnego elementu, byle tylko pokazać, że to jego dzieło, a nie Roberta. Do potwierdzenia tej tezy potrzebowała jednak szczegółowych wyników sekcji zwłok.

Poczuła wibracje telefonu i spojrzała na wyświetlacz. Nazwisko Lubomirskiego nie zwiastowało nic dobrego.

– Tak, panie inspektorze? – powiedziała, odwracając się do Karola plecami.

– Wypuszczamy Mazura – rzucił.

– Nie możemy. Jest winny co najmniej dwóch morderstw.

– Powiedziałem, że go wypuszczamy. Zresztą nie w tej sprawie dzwonię. Zabieraj się z miejsca zbrodni i wracaj na posterunek. Sprawę przejmuje Olkowski.

– Że co? Szefie, przecież…

– Decyzja z góry. Nieodwołalna. Ciesz się, że prokurator nie poszedł krok dalej. Dobrze ci radzę, zapomnij o wszystkim. Najlepiej weź sobie tydzień urlopu i zapij urażoną dumę. Koniec tematu.

Wcisnęła czerwoną słuchawkę. Chwilę później zadzwonił telefon Olkowskiego.

– To Grzechu – powiedział podkomisarz. – Czego chciał od ciebie?

Nie odpowiedziała. Wyminęła Karola i weszła z powrotem do środka. Przypuszczała, że może zostać odsunięta od sprawy, ale i tak ją to zabolało. Najchętniej zadzwoniłaby do brata i wylała z siebie żale, ale nie dość, że wciąż miała mu za złe kłamstwo, to jeszcze wiedziała, jaką usłyszy odpowiedź. Artur może i był nieomylny, bo, jak widać, trafnie ocenił charakter Mazura, ale błyskotliwość nie szła u niego w parze z empatią. Zamiast pocieszyć siostrę i poradzić, co powinna w takiej sytuacji zrobić, zapewne wytknąłby błędy i rozłożył jej zachowanie na czynniki pierwsze. Nie takiej rozmowy potrzebowała.

***

Dwie godziny i siedem kolejek whisky później wysiadła z taksówki pod domem Jacka. Budynek położony kilkadziesiąt metrów od siedziby Her-Budu zupełnie nie przypominał nudnych realizacji firmy. Przede wszystkim wyróżniały go kolumny, kojarzące się Agacie bardziej z greckimi czy rzymskimi budowlami. Może przymknęłaby oko na dwie umieszczone po obu stronach drzwi, ale pięć stojących wzdłuż frontowej ściany stanowiło jej zdaniem absolutną przesadę.

W ogrodzie rosło pełno słoneczników, policjantka nie miała jednak czasu podziwiać roślin, bo chwilę po naciśnięciu dzwonka domofonu rozległ się brzęczyk sygnalizujący otwarcie furtki, a w drzwiach domu stanął Jacek. Nawet z odległości kilku metrów dostrzegła uśmiech na jego twarzy. Ubrany w ciemne spodnie, w które wpuścił opinającą ciało koszulę, wyglądał, jakby oczekiwał jej przyjścia.

Niemożliwe, żeby chodził tak na co dzień po domu, pomyślała. Ona sama preferowała dres, a czasem nawet nie zdejmowała piżamy przez cały dzień. Dzwonek do drzwi zazwyczaj wywoływał u niej panikę i szybko wkładała coś, w czym nie wstydziła się nikomu pokazać.

Brzęczyk rozległ się ponownie, przypominając, że powinna otworzyć furtkę. Nacisnęła klamkę i ruszyła w stronę Jacka.

– Agata? – spytał, wychodząc jej naprzeciw. – Coś się stało?

– Na to wygląda – odpowiedziała, skupiona na tym, by mówić płynnie.

– Wejdź do środka. Mogłaś uprzedzić…

Urwał, gdy lekko nią zakołysało. Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy. W pierwszej chwili chciała zażartować o nierównym chodniku, przez który straciła równowagę, ale zrezygnowała. Wystarczyło podejść do niej, by wyczuć alkohol.

– To chyba był zły pomysł – stwierdziła. – Powinnam wrócić do domu i odespać.

– Skoro już jesteś, to wejdź. Zrobię ci coś smacznego, pewnie piłaś na pusty żołądek.

Artur powiedziałby to samo – ta myśl podziałała jak silny policzek. Czy to możliwe, że szukała partnera podobnego do brata?, zapytała samą siebie. Słyszała o dziewczynach zakochujących się w mężczyznach podobnych do ojców. Może ta zasada miała odzwierciedlenie również w przypadku starszych braci? Nawet jeśli tak, to u niej działało to chyba w odwrotną stronę. Zarówno Michał, jak i jego poprzednicy byli całkowitym przeciwieństwem Artura. Wcześniej myślała, że Jacek ją zainteresował, ponieważ zasadniczo różnił się od jej byłego męża, a to dawało nadzieję na udany związek, teraz jednak nie była już tego taka pewna.

– Agata? – Biernat podszedł bliżej i lekko dotknął jej ramienia. – Wszystko w porządku? Odleciałaś gdzieś myślami.

– Nic nie jest w porządku – odpowiedziała, próbując zignorować przyjemne mrowienie promieniujące od miejsca, w którym jej dotykał.

– Opowiesz mi o wszystkim w środku. Zjemy coś i spokojnie porozmawiamy.

Weszli do przestronnego holu. Agata poczuła ukłucie zawodu, kiedy Jacek puścił jej

ramię, by zamknąć drzwi, lecz tego po sobie nie pokazała. Rozejrzała się wokół. Obawiała się, że zobaczy kolejne kolumny czy antyczne rzeźby, ale na szczęście tutaj Biernat zrezygnował z przesadnych zdobień. Po chwili przeszli do przestronnego salonu, jego wystrój całkiem już ją uspokoił. Wprawdzie ogromne obrazy przedstawiające gwiezdne konstelacje nie przypadły jej do gustu, ale w połączeniu z designerskim narożnikiem i jeszcze bardziej designerskim żyrandolem – wyglądającym jak podwieszona do sufitu i powykręcana w surrealistyczny sposób rzeźba Salvadora Dalí – prezentowały się nadzwyczaj interesująco.

– Lubisz kosmos? – spytała, padając na kanapę. – Te wszystkie planety, ufoludki i te sprawy.

– Pytasz o obrazy? To tylko sztuka – odparł. – Kiedyś ojciec próbował zachęcić mnie do ślęczenia godzinami nad teleskopem, ale nie miałem do tego serca.

– A te kolumny na zewnątrz to po co?

Zdała sobie sprawę, że jej słowa nie zabrzmiały najlepiej. Krążący w żyłach alkohol za bardzo ją rozluźnił, przez co łatwo mogła zrazić do siebie Jacka. Byłoby szkoda, zważywszy na to, jak przyjemnie dla oka spodnie opinały jego pośladki.

– Nie jesteś pierwszą osobą, która zwróciła na nie uwagę. Kosmos mnie nie kręci, ale sztuka antyczna już tak. Gdyby tylko pozwoliła na to powierzchnia działki, postawiłbym osiem kolumn, by całość lepiej oddawała proporcje greckiego Partenonu.

– Dobrze, że w swojej firmie sam nie projektujesz budynków, bo szybko byś zbankrutował – zażartowała.

– Wtedy przynajmniej nie miałbym dylematu i skoncentrowałbym się na tym, co kocham. A skoro już o tym mowa, to zaraz przyniosę ci coś do jedzenia. Czuj się jak u siebie.

Odwrócił się i wyszedł z salonu. Odprowadziła go wzrokiem. Najchętniej powiedziałaby mu wprost, że gdyby była głodna, to wpadłaby do pizzerii albo na kebab. Normalny mężczyzna wie, że kiedy odwiedza go podpita kobieta, to lepsza okazja do przełamania pierwszych lodów już się nie pojawi. Michał na jego miejscu od razu wziąłby ją na ręce i zaniósł do sypialni.

– A po wszystkim kazałby ugotować sobie kolację – mruknęła.

Nie mając co ze sobą zrobić, wstała i podeszła do telewizora, pod którym ustawiono kolekcję filmów na DVD. Tytuły ją zaskoczyły: *Kubuś Puchatek*, *Muminki*, *Scooby-Doo*, *Smerfy* – na całej półce próżno było szukać czegoś innego niż bajki.

Zamyślona wróciła na kanapę. Nawet odurzona alkoholem potrafiła wyciągać wnioski: Jacek miał dziecko. Na jego dłoni nie dostrzegła obrączki, a więc być może rozwiódł się z żoną lub zaliczył wpadkę, tyle że o czymś takim wypadało poinformować. Do tej pory nie robiło jej różnicy, czy sypia z żonatym, czy nie, ale tym razem chodziło o coś więcej. Ten facet nie był kumplem do przygód, chyba że on traktował to inaczej.

– Wybacz tak prymitywne danie, ale nie chciałem, żebyś długo czekała – powiedział, wchodząc do pokoju z talerzem w ręku. – Miałem akurat świeże guacamole, posmarowałem nim grzanki i posypałem parmezanem. Za dziesięć minut będą gotowe kalmary.

– Masz dziecko? – spytała, ignorując jego słowa.

Biernat zmarszczył czoło.

– Co?

– Chciałam sprawdzić, czy nie ściemniałeś z tym kosmosem i czy w rzeczywistości nie masz tam całej kolekcji *Gwiezdnych wojen* i *Star Treka*, ale to, co zobaczyłam, trochę mnie zastanowiło.

Mężczyzna wyraźnie spochmurniał. Odstawił talerz na stół i usiadł obok Agaty. Policjantka odruchowo odsunęła się dalej. Dość miała kłamstw i niedopowiedzeń. Oczekiwała od niego szczerości, ale najwyraźniej chciała zbyt wiele.

– To nie tak, jak myślisz – odparł.

No pewnie, tak odpowiada każdy facet przyłapany na kłamstwie, pomyślała.

– Więc mi wyjaśnij. Masz dziecko czy nie? Jeśli nie, to po co ci te wszystkie bajki?

– To nie jest dobry moment na taką rozmowę. Wypiłaś dużo alkoholu i…

– Tak też myślałam – przerwała mu, wstając z narożnika.

– Agata, poczekaj.

Nie odpowiedziała. Ruszyła w stronę wyjścia. Pragnęła jak najszybciej wrócić do domu, by zachować przynajmniej resztki honoru. Niepotrzebnie tu przyszła. Zrobiła z siebie idiotkę. Na co w ogóle liczyła? Jadąc do Jacka, powtarzała sobie, że odsunięcie od śledztwa to nie koniec świata. Jej życie zawodowe legło wprawdzie w gruzach, ale prywatnie wreszcie zaczynała wychodzić na prostą. Jak widać, była w błędzie.

Biernat dogonił ją w korytarzu i zagrodził drzwi.

– Porozmawiajmy – poprosił.

– Przesuń się.

– Nie pozwolę ci tak tego zakończyć.

– Przesuń się, kurwa! Mam ci przypomnieć, że noszę przy sobie broń?

Zaklęła w myślach. Niepotrzebnie zaczęła go wyzywać. Tego właśnie chciała uniknąć. Jak najmniej słów. Jak najmniej gróźb. Niech nie myśli sobie, że w tak krótkim czasie zdążyła się do niego przywiązać.

– Nie chciałem o tym rozmawiać w ten sposób, ale proszę bardzo. – Chwycił ją za dłoń. – Mam, to znaczy miałem, córkę. To było siedem najpiękniejszych lat w moim życiu.

Zmrużyła oczy.

– Było?

– Ona nie żyje. – Cofnął dłoń i odsunął się od drzwi. – Zginęły razem z moją Olką dwa lata temu. Chciałem ci o tym powiedzieć, ale nie było dobrej okazji, przepraszam.

– Nie żyje? – spytała, choć słuch jej nie zawodził.

O kurwa, kurwa, kurwa!, powtarzała w głowie niczym mantrę. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wyszła na skończoną idiotkę, wścibską babę wchodzącą z butami w jego życie. Powinna go teraz przytulić? Obrócić wszystko w żart?

– To ja przepraszam – mruknęła.

– W takim razie może jednak coś zjesz i porozmawiamy spokojnie?

Skinęła głową. Nie zamierzała wciąż porównywać Biernata do Michała, ale było to silniejsze od niej. Stec z pewnością wykorzystałby jej wpadkę i próbował coś na tym ugrać.

Później wypominałby ją Agacie przy każdej możliwej okazji. Jacek wręcz przeciwnie – wiedział, że poczuła się głupio, i nie ciągnął tematu.

Razem wrócili do salonu. Nie była głodna, ale posłusznie zjadła dwie grzanki z awokado. Wolała zająć się jedzeniem niż rozmową w napiętej atmosferze. Po kilku minutach milczenia Jacek wyszedł do kuchni, by sprawdzić kalmary. Wrócił, niosąc w dłoniach szeroki półmisek z parującymi owocami morza.

– Chciałem przygotować sos słodko-kwaśny, ale nie mam do tego głowy – stwierdził. – Może to nie na miejscu, bo już sporo wypiłaś, ale co powiesz na odrobinę koniaku na rozluźnienie?

– Przynieś całą flaszkę. I tak bardziej już się nie skompromituję.

– Nie bądź dla siebie zbyt surowa. – Podszedł do szafki, wyjął kieliszki i opróżnioną do połowy butelkę. – Miałaś pełne prawo zapytać. Po prostu okoliczności nie były zbyt sprzyjające do tego typu wyznań.

Napełnił oba kieliszki i postawił jeden przed nią. Agata szybko wypiła zawartość, po czym sięgnęła po butelkę.

– Nie jestem łatwa w obyciu – stwierdziła, nalewając sobie drugą kolejkę. – Kiedyś to nawet myślałam, że podmienili mnie na porodówce. Artur jest zupełnie jak moi rodzice. Zawsze byli tacy spokojni i opanowani, nawet gdy wzywano ich do szkoły z mojego powodu. Kiedyś spytałam matkę, czy aby przypadkiem nie zdarzył jej się romans z Latynosem. Ja na jej miejscu wpadłabym w furię, ale ona nic, nawet nie podniosła głosu.

– Myślę, że wielu osobom to odpowiada. To, co dla innych jest bezmyślnym impulsywnym zachowaniem, ja uważam za fascynującą spontaniczność. Sam, jak zapewne zauważyłaś, jestem dość nudny. Nie wytrzymałbym ze sobą w jednym pokoju. Zanudzilibyśmy się na śmierć.

Dolała sobie po raz kolejny, ignorując fakt, że Jacek wypił dopiero połowę kieliszka.

– A twoja żona? – spytała, ośmielona wypitym alkoholem. – Też była taka spontaniczna?

– Nie do tego stopnia, ale owszem. – Uciekł spojrzeniem w stronę okna. – Nasza córeczka zresztą też. Wiecznie rozpierała je energia. Co ciekawe, to właśnie Ola założyła Her-Bud, podczas gdy ja, nudny i introwertyczny, zdecydowałem się otworzyć z Mirkiem restaurację.

– Ale oboje byliście architektami?

– Tak, poznaliśmy się jeszcze na studiach. Początkowo razem pracowaliśmy dla jednej firmy, ale po kilku latach poczuliśmy, że pora na zmianę. W jej wypadku chodziło o usamodzielnienie, a ja miałem po dziurki w nosie ślęczenia nad projektami. To nie była moja bajka. – Westchnął. – Koniec końców i tak trafiłem z powrotem za biurko, a restaurację prowadzę na odległość.

Wszystko układało się w logiczną całość. Agata była pełna podziwu dla determinacji Biernata, który po śmierci żony postanowił wziąć na siebie ciężar prowadzenia firmy. Stracił ukochaną osobę, a kontynuacja jej pracy była pewnego rodzaju hołdem dla niej.

Nagle poczuła się nieswojo. Dotarło do niej, że nie dorasta do pięt zmarłej żonie Jacka. Całe jej życie to alkohol i ganianie za przestępcami. Gdyby chociaż prowadziła poważne sprawy, a nie wiecznie użerała się z pijakami i drobnymi oszustami. Pierwszą, która mogła

jej otworzyć drzwi do wielkiej kariery, zakończyła spektakularną wpadką. Czym mogła zaimponować Jackowi? Nie miała większych ambicji, żadnych planów na przyszłość. Szczytem jej marzeń był wyjazd z bratem do Barcelony, gdzie prócz miejscowych alkoholi skosztowałaby kilku gorących Hiszpanów.

Potrząsnęła głową. Czas odrzucić kompleksy i skupić się na bieżącej chwili, postanowiła.

– Dlatego też myślę, żeby wreszcie odciąć się od przeszłości i sprzedać firmę – dodał po chwili Biernat.

– Moja historia jest mniej dramatyczna, ale też zaczęłam wszystko od nowa.

Przesiadła się bliżej. Wypity alkohol przyjemnie szumiał jej w głowie. Położyła dłoń na udzie Jacka. Może i nie miała mu zbyt wiele do zaoferowania, ale w tym jednym osiągnęła poziom mistrzowski. Przesunęła ją nieco wyżej.

– Co robisz? – spytał.

– A jak myślisz?

– Nie, Agata. – Odsunął się. – Nie zrozum mnie źle, ale to nie jest dobry moment.

– Jestem innego zdania. – Zagryzła dolną wargę. – Chyba że ci się nie podobam.

– To nie tak. Jesteś piękną kobietą, ale…

– Ale?

Jacek siedział już na skraju narożnika. Nie miał gdzie uciekać.

– Przepraszam, ale nie mogę teraz tak po prostu pójść z tobą do łóżka – stwierdził wprost, pozbawiając ją złudzeń. – Dopiero co rozmawialiśmy o mojej córeczce. Zrozum mnie.

Gdyby tylko mogła, ze wstydu zapadłaby się pod ziemię. Już wcześniej czuła się jak skończona idiotka, a teraz przeskoczyła na najwyższy, niedostępny dla przeciętnego człowieka poziom zażenowania.

– Sam widzisz, jaka ze mnie kretynka – powiedziała, wracając na swoje miejsce. – Po prostu chciałam…

Urwała, kiedy usłyszała swój bełkot. Nie była w stanie klarownie wyrazić swoich myśli. Może to i dobrze, stwierdziła, wstając z narożnika. Lepiej, żeby już więcej się nie kompromitowała.

Rozdział XVII

Matka nie dawała mu spokoju. Dwie doby nieustannego trajkotania wytrąciły Roberta z równowagi. Początkowo nie miał nic przeciwko niej – adwokat wynajęty przez Artura zabronił mu z kimkolwiek rozmawiać, zatem z braku laku, zamiast siedzieć w milczeniu, wolał posprzeczać się z matką. Do niej jednak nie docierały żadne argumenty. Niczym nakręcona powtarzała, by przestał kryć Kamińskiego i wyznał, że to psycholog stoi za wszystkimi morderstwami.

– Niczego nie rozumiesz – próbował wytłumaczyć. – Artur wreszcie dostrzegł we mnie potencjał. Wysłał tu tego prawnika, żeby mnie wyciągnął i oczyścił z zarzutów.

– On cię zabije! Zabije mojego kochanego synka!

– Przecież ci mówię, że dostrzegł we mnie potencjał. Razem dokończymy nasze dzieło.

– Błagam cię! Powiedz prawdę albo skończysz na palmie jak ta nieszczęsna kobieta!

Cokolwiek by powiedział, matka wiedziała swoje. Nie miał jej tego za złe, ale skoro nie potrafili znaleźć płaszczyzny porozumienia, to mogłaby wreszcie zamilknąć i pozwolić mu zebrać myśli. Przynajmniej Kamiński nie wtrącał się do rozmowy.

– No proszę, błagam, syneczku – lamentowała matka. – Ten człowiek cię skrzywdzi. Przecież wiesz, że chcę dla ciebie jak najlepiej.

– To się ucisz, muszę wszystko poukładać sobie w głowie.

Obiema dłońmi zatkał uszy. Wiedział, że nie na wiele się to zda, matka siedziała przecież w środku głowy. Na szczęście na chwilę zamilkła i miał odrobinę prywatności. Z powodu tempa ostatnich wydarzeń wszystko zaczęło mu się mieszać. Sam już nie wiedział, kto z otaczających go ludzi jest dobry, a kto zły. Dla matki było to oczywiste, ale ona nigdy nie ukrywała niechęci do psychologa.

– Bo to wcielony diabeł – wtrąciła.

– Daj mi spokój!

– Nigdy! Nie pozwolę, żeby stała ci się krzywda.

Wzmożona aktywność matki wymownie świadczyła o tym, że był w kiepskim stanie. Próbował sobie przypomnieć, czym poprzednio zamknął jej usta, ale w pamięci miał tylko zbrodnię z palmiarni. Od tego wszystko się zaczęło. Kamiński nie bez powodu wybrał park Oliwski. Wiedział, że Robert właśnie tam poszukuje swoich ofiar. Ich współpraca zawsze przebiegała w nietypowy sposób, a to najwidoczniej był jej kolejny element. Krok milowy, na który psycholog zdecydował się dopiero po kilku latach terapii. Tylko po co później kazał mu iść na cmentarz? Po co wysłał za nim własną siostrę?

– Nie myśl o tym – radziła matka. – Nie widzisz, że tańczysz, jak on ci zagra? Właśnie tego chciał, żebyś teraz się zadręczał.

– Ile razy mam powtarzać, żebyś zamilkła?

Przypomniał sobie mieszkanie Kozłowskiej. Tych kilka pięknych chwil, podczas których czuł, że żyje. Było tam jednak coś jeszcze. Coś, co podczas późniejszej rozmowy z psychologiem tak bardzo zainteresowało Artura.

– Nie wracaj do tego! Ten człowiek miesza ci w głowie.

Zignorował ją. Zdjęcie chłopca, przypomniał sobie w końcu. Blizna na policzku…

***

Nikt z sąsiadów nie widział jego młodszego brata. Ci mieszkający w bloku po drugiej stronie ulicy nawet nie kojarzyli chłopca ze zdjęcia, mimo to Robert się nie poddawał i rozszerzał pole poszukiwań o kolejne budynki, a nawet osiedla. Rodzice też robili, co w ich mocy, by odnaleźć młodszego z synów. Ojcu wprawdzie wytrzeźwienie zajęło kilkanaście godzin, ale później nie wypił nawet jednego kieliszka, koncentrował całą uwagę na poszukiwaniach.

Piłkę, którą sześciolatek miał przy sobie w momencie zaginięcia, znaleziono dwa kilometry od mieszkania Mazurów. Miało to miejsce drugiego czerwca, niecałą dobę od zniknięcia chłopca. Chwilowe ożywienie szybko opadło. Piłkę znalazło trzech ośmiolatków i od razu zaczęli rozgrywać między sobą mecz. Milicji zeznali, że leżała na placu zabaw od kilku godzin i w końcu stwierdzili, że nikt się po nią nie zgłosi. Robert nie wierzył jednak w tę wersję. Znał ich z widzenia i wiedział, że mieli sporo za uszami.

Jednego z nich dopadł jeszcze tego samego wieczoru. Siedział, jak gdyby nigdy nic, na trzepaku i rozmawiał z jakąś dziewczyną. Była nawet ładna, ale nie zmieniało to faktu, że jej obecność utrudniała szczerą rozmowę.

– Spadaj – rozkazał Robert, spoglądając na blondynkę.

– Bo co? – odburknęła, zamiast posłuchać starszego o dwa lata chłopca.

– Bo jajco. Z Piotrkiem mamy do pogadania. To nie dla bab.

– Chodzi o twojego brata?

– Głupia bladź – syknął pod nosem.

Zakaz bicia dziewczyn wydawał mu się teraz totalną głupotą. Smarkula, wiedząc, że nic jej nie grozi, mogła dalej bawić się jego kosztem. Robert najchętniej potrząsnąłby nią kilka razy i pogroził pięściami, ale od razu rozryczałaby się i pobiegła do rodziców. Takie właśnie były dziewczyny: pozbawione honoru, mocne w gębie, a gdy przychodziło co do czego, uciekały w płacz.

– Gdzie znalazłeś naszą piłkę? – spytał Piotrka, ignorując siedzącą obok szczeniarę.

– Przecież mówiłem – odparł ośmiolatek.

– Mów prawdę.

– Przecież…

Nie zdążył dokończyć, gdy Robert zepchnął go z trzepaka. Upadł plecami na betonowy chodnik. W ostatniej chwili podparł się prawą ręką i tylko dzięki temu uniknął uderzenia

głową o twardą powierzchnię. Mazur doskoczył do niego i chwycił go za koszulkę.

– Zostaw! – krzyknęła dziewczynka.

– Nie wtrącaj się! To sprawa między nami.

Tak jak zakładał, głupiej beksie nie wystarczyło odwagi, by zainterweniować. Tak ją zamurowało, że nawet nie pisnęła, gdy uderzył Piotrka pięścią w twarz.

– Mów prawdę! – krzyknął, uderzając ponownie.

Ze złamanego nosa popłynęła krew. Robert najchętniej dołożyłby mu jeszcze kilka razy, ale dał sobie na wstrzymanie. Przyszedł po informacje, a nie żeby wyżyć się na słabszym.

– Masz dziesięć sekund albo skopię cię na śmierć. Gdzie znaleźliście piłkę?

Piotrek chwycił dłonią złamany nos. Z jego oczu popłynęło kilka łez, wcale jednak nie rozryczał się jak dzieciak. Mazur podejrzewał, że silna wola ośmiolatka wynikała z obecności koleżanki. Nie mógł przy dziewczynie okazać słabości. Pewnie potajemnie się w niej podkochiwał. Kto wie, może nawet się całowali? Mazur widział na filmie, jak żołnierz torturował rodzinę wroga, którego przesłuchiwał. To mogło mieć sens. Parę razy spoliczkuje dziewczynę i Piotrek od razu zacznie śpiewać.

– Dziesięć, dziewięć… – Ostrzegawczo zacisnął pięść i wymierzył ją w leżącego chłopca. – Osiem, siedem…

Kątem oka obserwował wystraszoną gówniarę. Głupia bladź nie była nawet w stanie poruszyć ustami. Zapłakana patrzyła na leżącego ośmiolatka. Chłopak próbował wstać, ale Mazur w porę przycisnął go stopą do ziemi.

– Leżeć – warknął. – Sześć, pięć, cztery…

– Nad glinianką – rzucił nagle Piotrek.

– Co nad glinianką?

– Tam ją znaleźliśmy. Mieliśmy nic nie mówić, bo nie wolno tam chodzić.

Zakaz zbliżania się do glinianki wydali wszyscy rozsądni rodzice po tym, jak rok wcześniej utonął w niej dwunastoletni Andrzej. Tereny dawnej żwirowni wykorzystywano jako dzikie kąpielisko, ale Robert z bratem nigdy się tam nie zapuszczali.

– Kłamiesz – rzucił Mazur, gotowy do wymierzenia kolejnego ciosu.

– Naprawdę! Byliśmy tam wczoraj, bo Jurek dostał na Dzień Dziecka łódkę. Chcieliśmy zobaczyć, czy utrzymuje się na wodzie.

– Niczego więcej tam nie znaleźliście?

Piotrek pokręcił głową. Roberta korciło, by jeszcze kilka razy mu przyłożyć, ale ostatecznie cofnął rękę.

– Powiesz o tym komuś, to cię zabiję – burknął, po czym przeskoczył wzrokiem na dziewczynę i dodał: – A ciebie zgwałcę i zabiję.

***

– To brednie – usłyszał głos matki. – Nigdy nie miałeś brata. Poza tym w naszej rodzinie nie stosowaliśmy przemocy.

– Więc skąd te wspomnienia? Skąd ta płyta nagrobna?

– Wciąż tego nie rozumiesz? To psycholog. On miesza ci w głowie. Zrobił ci pranie

mózgu. Musisz to zakończyć tu i teraz.

Wstał z twardej pryczy i podszedł do krat. Niczego już nie rozumiał. Miał wrażenie, jakby do jego głowy trafiły elementy kilku różnych układanek, niekompletnych, pomieszanych, i nie sposób było złożyć z nich jeden obrazek.

– Skup się na teraźniejszości – radziła matka. – Zabijmy Kamińskiego i zacznijmy wszystko od nowa. Tylko ty i ja, jak za dawnych czasów. Ochronię cię. Ochronię mojego Robusia.

– Zamknij się – wymamrotał.

Zacisnął dłonie na kratach. Gdyby kobieta zmaterializowała się obok niego, zamiast na zimnym metalu, zacisnąłby palce na jej szyi. Nie pozwoliłby matce szybko skonać. Już raz był dla niej zbyt łaskawy i jednym cięciem zakończył żywot rodzicielki. Teraz postąpiłby inaczej.

– Nie tak cię wychowałam – oponowała. – W naszym domu nie stosuje się przemocy!

***

Cios nie był mocny, ale towarzyszący mu ból psychiczny rozdzierał Roberta od środka. Nigdy nie podejrzewał matki, że jest w stanie podnieść na niego rękę. Ojciec to co innego – wiecznie pijany awanturnik, aż dziwne, że do tej pory nie przetrzepał solidnie skóry obu synom.

– Jak mogłeś do tego dopuścić? – krzyknęła, kiedy ponownie walnęła Roberta na odlew.

Chłopcu puściły hamulce. Powstrzymywane łzy popłynęły i zalały czerwone od uderzenia policzki.

– Miałeś go pilnować! Byłeś za niego odpowiedzialny!

To nic, że był tam dziadek. Wina zawsze spadała na niego.

– No, powiedz coś! Nie stój jak cielę!

W kolejne uderzenie włożyła więcej siły. Chłopiec się zachwiał, ale utrzymał się na nogach. Wrócił do domu, by powiedzieć, czego się dowiedział, ale teraz nie potrafił wydusić z siebie słowa.

– Nie mogę na ciebie patrzeć – wrzeszczała kobieta, dysząc z wściekłości. – Zawsze musisz coś spieprzyć. Jesteś jak twój ojciec. Kropka w kropkę, pieprzeni nieudacznicy. Co zrobiłeś z moim kochanym synkiem?!

Tym razem zdążył uchylić się od ciosu. Zrozpaczona kobieta chwyciła go za ramiona i mocno nim potrząsnęła.

– Widziałam, jak zżera cię zazdrość – bełkotała. – Nie umiałeś się dzielić i przez to znienawidziłeś własnego brata, co? Zgadłam? No, co tak patrzysz?

– To boli… – wydusił z siebie.

– Boli? Czy ty w ogóle wiesz, co to ból? Zabrałeś mi ukochane dziecko. Wypaliłeś dziurę w moim sercu! Jak śmiesz mówić o bólu?!

Pchnęła go na ścianę. Stracił równowagę i uderzył tyłem głowy o boazerię.

***

– Straciłem wtedy przytomność – szepnął.

– To brednie – odpowiedziała matka. – Nigdy nie podniosłabym na ciebie ręki.

Obraz matki nadmiernie troskliwej, obdarzającej go toksyczną miłością, mieszał się w jego głowie ze wspomnieniem kobiety pałającej nienawiścią. Raz widział ją szykującą kanapki, całującą go na dzień dobry, powtarzającą, jaki jest mądry i wyjątkowy. Po chwili jej miejsce zajmowała zupełnie obca kobieta. Ciągle zapłakana, ciągle wściekła, wyładowująca gniew na starszym synu.

– Przecież ty nigdy nie miałeś brata – tłumaczyła matka w jego głowie.

Na korytarzu usłyszał kroki. Po chwili zobaczył trzech mężczyzn. Mazur rozpoznał adwokata towarzyszącego dwóm policjantom. Prawnik wraz z Arturem najprawdopodobniej korzystali z usług tego samego krawca, bo ich eleganckie garnitury ocierały się o ideał. Już po wszystkim Robert poprosi o kontakt do tego wybitnego rzemieślnika i zleci uszycie dwóch kompletów, nawet jeśli będzie musiał zaciągnąć pożyczkę.

– Panie Mazur – oświadczył z uśmiechem adwokat. – Koniec tej szopki. Jest pan wolny.

– Nie ufaj mu. – Usłyszał w głowie Robert.

Zignorował matkę. Nie miał powodów, by nie wierzyć prawnikowi. Wybrał go Artur, czym udowodnił, że los pacjenta nie był mu obojętny. Adwokatowi zajęło to dwa dni, ale dotrzymał słowa i wyciągnął go na wolność.

– Podpisze pan kilka dokumentów, odbierze rzeczy osobiste i zapomni o ostatnich czterdziestu ośmiu godzinach.

– A pobicie? – interweniowała matka. – Przecież ci barbarzyńcy niemal zatłukli cię na śmierć! Sam zobacz, jak wygląda twoja twarz. Nie można im tego puścić płazem.

– Zamknij się – wymamrotał w odpowiedzi.

– Słucham? – spytał Maj.

– To nie do pana. Nieważne, miejmy to już za sobą. Chcę odetchnąć świeżym powietrzem i zasnąć we własnym łóżku.

Formalności zajęły ponad godzinę. Sprawy nie ułatwiała matka, co rusz komentująca zachowanie Roberta. Słysząc jej nieustanne trajkotanie, nie potrafił się skupić na wypisaniu papierów. Kiedy podawał numer PESEL, pomylił się dwukrotnie, a adres musiał spisać z dowodu osobistego. Wszystko to jednak straciło na znaczeniu, gdy razem z adwokatem opuścili areszt. Wrześniowe słońce wymazało złe wspomnienia, a nóż, który wrócił na swoje miejsce, aż rwał się do pracy.

Sam już nie wiedział, jaki powinien być jego następny krok. Najprościej byłoby powrócić do sprawdzonego przecinania pępowin i cieszyć się względnym spokojem. Z drugiej strony odczucia towarzyszące mu podczas zabójstwa Sylwii Kozłowskiej biły wszystko na głowę. Wciąż miał przygotowane materiały do inscenizacji ostatniego pocałunku wzorowanego na obrazie Gustava Klimta, ale użycie do tego celu siostry Artura i jej byłego męża chyba nie wchodziło już w grę.

– Nie wiedziałem, że Artur ma siostrę – rzucił nagle.

– Nie wnikam w relacje rodzinne klientów – odparł Maj.

– Ale chyba dobrze się znacie, co?

– Proszę wybaczyć, ale nie rozmawiam na tematy niezwiązane ze sprawą.

Poprowadził Roberta do samochodu. Czarne audi należące do adwokata wzbudziło podziw Mazura. Po chwili jednak mężczyzna poczuł ukłucie w sercu. Skoro Artur otaczał się tak bogatymi i dobrze wyglądającymi ludźmi, to jakim cudem miałby teraz współpracować z Robertem? Już wkrótce jego też będzie stać na drogie garnitury czy zegarki, ale na razie dysponował zaledwie minimalnymi oszczędnościami. Na dodatek przez to wszystko zupełnie zaniedbał pracę i pewnie został zwolniony.

– Nie wsiadaj! – rozkazała matka.

– Cicho bądź – szepnął w odpowiedzi.

– Nie znasz tego człowieka! Bóg jeden wie, co mu rozkazał Kamiński. Oni zrobią ci krzywdę, syneczku.

– Bzdury gadasz. Artur zrozumiał swój błąd. Pewnie jedziemy do niego. Mamy sporo do omówienia.

Wsiadł do auta. Skórzane fotele i wykończona w drewnie deska rozdzielcza robiły wrażenie. Zdaniem Roberta to właśnie elementy wnętrza mówiły najwięcej o klasie wozu. Teraz nawet drogie samochody miały na wyposażeniu mnóstwo ohydnych plastikowych detali, jakby dla właścicieli ważna była tylko moc silnika. Maj najwyraźniej znał się na rzeczy. Nie było powodu, by mu nie ufać – w końcu z kim przestajesz, takim się stajesz.

– Dokąd jedziemy? – spytał, zapinając pasy.

– Pan Kamiński życzył sobie, bym odwiózł pana do niego. Dziś będę tylko szoferem. Wolę nie uczestniczyć w tej rozmowie.

Artur dostrzegł lekki uśmiech na twarzy mężczyzny, gdy ten dziwnie zaakcentował ostatnie słowo swojej wypowiedzi. Matka Mazura oczywiście też zwróciła na to uwagę i od razu zinterpretowała po swojemu:

– Chcą cię zabić! – wrzasnęła. – Wysiądź z samochodu. Błagam cię, zrób to dla mnie. Nie mogę cię stracić.

Najchętniej powiedziałby jej coś do słuchu, ale obecność adwokata uniemożliwiała podjęcie rozmowy. Matka jak zawsze histeryzowała. Już w pierwszych klasach podstawówki próbowała zniechęcić go do wychodzenia na dwór, rzekomo czekało tam na niego mnóstwo zagrożeń. Gdyby tylko na to pozwolił, nawet w liceum odprowadzałaby go do szkoły i żegnała czułym pocałunkiem w policzek. Trzymała go pod kloszem, dogadzała mu, jak tylko potrafiła, przez co wszyscy mieli go za maminsynka. Nie mógł jednak jej zarzucić, że nie stawała w jego obronie, gdy zachodziła taka potrzeba.

***

Jak na dziewięciolatka Robert był wyjątkowo wysoki i silny. Nie miało to jednak znaczenia w starciu ze starszym o cztery lata Jurkiem. Brat Piotrka, gdy tylko dowiedział się o zajściu na trzepaku, zamienił życie Mazura w koszmar. Nie było dnia, by nie czekał na niego pod klatką schodową. Po raz pierwszy go dopadł, gdy Robert, jeszcze nieświadomy zagrożenia, udał się nad gliniankę.

Matka zupełnie straciła rozum, postanowił więc sam poszukać brata. Pochłonięty myślami

o przeszukiwaniu chaszczy, nie dostrzegł podążającego jego śladem chłopaka. Poszukiwania trwały zaledwie kilka minut, gdy poczuł mocne pchnięcie w plecy. Nie utrzymał równowagi i runął do zimnego stawu. Przerażony, szamotał się w wodzie, choć sięgała mu do klatki piersiowej. Dopiero po dłuższej chwili zdołał opanować emocje i stanął na nogi. Drżał z zimna i przerażenia, ale rozpoznał napastnika.

– Wychodź, gnojku! – krzyknął Jurek.

Mazur rozejrzał się w poszukiwaniu drogi ucieczki. Brzeg porastały wysokie chaszcze, dno było nierówne, miejscami opadało ostro w dół. Musiałby przepłynąć kilkanaście metrów do wykarczowanej części dzikiej plaży, gdzie wejście do wody było łagodne, ale przemoczone ubranie znacznie ograniczało ruchy, poza tym z zimna stracił siły.

– Wychodź, bo cię utopię! – krzyczał Jurek.

– Przyszedłem po brata! – odpowiedział Robert, obejmując się ramionami.

– Zaraz się z nim spotkasz.

Nie miał niczego do obrony. W bezpośrednim starciu starszy i silniejszy nastolatek zgniótłby go jak muchę. Ucieczka też nie wchodziła w grę. Nawet gdyby zdołał wyminąć napastnika, to w przemoczonych ubraniach nie dobiegłby do domu, chłopak pewnie szybko by go dogonił. Musiał jakoś wyrównać szanse.

– Nie mogę wyjść – rzucił, wyciągając dłoń w stronę Jurka.

– To sobie tam stój. Mnie się nigdzie nie spieszy.

– No, weź.

Patrzyli tak na siebie dobrą minutę, aż Jurek wreszcie podał mu rękę. Robert, zamiast skorzystać z pomocy i wyjść na brzeg, zaparł się nogą i z całej siły pociągnął starszego chłopca w swoim kierunku i ten z impetem runął do wody.

Reszta potoczyła się błyskawicznie. Mazur wspiął się na brzeg i nie spoglądając za siebie, ruszył biegiem do domu. Woda chlupała mu w butach, ubranie nieprzyjemnie przywarło do ciała, ale on nie zwracał uwagi na to wszystko aż do momentu, gdy wbiegł do mieszkania – wtedy adrenalina opadła i wreszcie poczuł się bezpieczny. Była to jednak tylko iluzja bezpieczeństwa.

– Gdzieś ty był?! – wrzasnęła na powitanie matka. – Jak ty wyglądasz?!

Nie zdążył odpowiedzieć, gdy podeszła i zdjęła z niego przemoczoną koszulkę. Nie było w tym ani śladu matczynej troski o zdrowie dziecka. Po chwili zdjęła mu z nóg buty i spodnie. Robert drżał z zimna. Marzył o ciepłej kąpieli lub choćby o ręczniku, by mógł się wytrzeć. Zamiast tego kobieta siłą ściągnęła mu majtki.

– Skoro nie szanujesz ubrań, to od dziś tak będziesz chodził po domu – oznajmiła, zbierając ciuchy z ziemi.

Skulił się z zimna. Obiema dłońmi zasłonił genitalia.

***

– Minął zjazd do domu Kamińskiego! – zaalarmowała matka, wyrywając go z zamyślenia.

Robert nie wiedział, czy zareagowała z prawdziwej troski, czy w obawie przed powrotem kolejnych wspomnień. Przypominało mu to oglądanie filmowej adaptacji książki o jego

życiu. Postacie i scenariusz różniły się od oryginału. Sielanka dzieciństwa zmieniła się w koszmar, a dodatkowy bohater w postaci młodszego brata był wymysłem reżysera.

– Dokąd jedziemy? – spytał Robert. – Do Artura trzeba było skręcić w prawo.

– Pan Kamiński nie będzie się już z panem spotykał we własnym domu. Policja nie powinna widzieć was razem.

– Ale jak to?

– Spokojnie. Zaraz będziemy na miejscu.

– Czyli gdzie?

– Nie mogę tego zdradzić. To element naszego kontraktu.

Robertowi nie spodobał się ton mężczyzny. Biła od niego arogancja. Kamiński też podczas ostatniego spotkania zachowywał się w podobny sposób. Może jednak matka miała rację? Może obaj planowali się go pozbyć?

– Pytałem, dokąd jedziemy – rzucił stanowczo, gotów wysiąść z samochodu na najbliższych światłach.

– Zaraz będziemy na miejscu – powtórzył adwokat.

– Nie będziesz tak ze mną rozmawiał! Nikt już nie będzie tak ze mną rozmawiał.

Maj go zignorował. Jechali ulicą Słowackiego w stronę obwodnicy. Jak na złość, przejechali skrzyżowanie na zielonym świetle, a najbliższa sygnalizacja świetlna znajdowała się dopiero na wysokości Ikei.

– Masz ostatnią szansę – powiedział Robert. – Dokąd jedziemy?

– Nie zostałem upoważniony do przekazywania takich informacji. – Adwokat zjechał na lewy pas i przyspieszył do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. – Prywatnie mogę tylko powiedzieć, że powinien pan okazać więcej wdzięczności. Bagno, z którego pana wyciągnęliśmy, mogło pochłonąć pana na zawsze. Potrójne morderstwo. Co ja mówię, poczwórne, przecież przyznał się pan do zamordowania matki. Za coś takiego nie ma innego wyroku niż dożywocie.

Arogancki cham, stwierdził Mazur. Zdążył już znienawidzić pewnego siebie adwokata. Niemożliwe, żeby Artur przyjaźnił się z kimś takim. Pewnie Maj był pieskiem na posyłki, któremu się zdawało, że drogie ciuchy zrobią z niego kogoś ważnego. Nic z tych rzeczy. Kamiński był zbyt mądry, żeby nie prześwietlić aroganckiego dupka już na pierwszej rozmowie.

Dojechali do świateł. Przed nimi stały dwa inne samochody. Robert odpiął pas bezpieczeństwa, po czym chwycił za klamkę. Drzwi ani drgnęły.

– Proszę otworzyć – zwrócił się do kierowcy. – Dalej nie jadę. Z Arturem skontaktuję się osobiście. Mam jego tajny numer.

– Przykro mi, ale to nie wchodzi w grę. Zobowiązałem się dowieźć pana na miejsce.

– Proszę otworzyć! – Robert podniósł głos.

Kolor świateł zmienił się na zielony. Adwokat wrzucił pierwszy bieg. Przekonany o swojej doskonałości, nie docenił przeciwnika. Robert sięgnął po schowany w kieszeni nóż – bez pośpiechu, by kierowca tego nie zauważył. Najchętniej rozpłatałby szyję gburowatemu lalusiowi, ale tak postępują zwykli mordercy. Może adwokat ma żonę, przyszło mu do

głowy. Wtedy to z nich dwojga mógłby stworzyć artystyczną instalację.

Zaraz jednak zmienił zdanie.

– Nie zasługujesz na uwiecznienie w pocałunku – stwierdził na głos. – Tacy jak ty powinni ginąć w samotności.

– Słucham?

W odpowiedzi Robert wbił mężczyźnie nóż w udo. Adwokat krzyknął głośno i puścił kierownicę. Mazur żałował, że nie może dłużej popatrzeć na zdziwioną minę prawnika. Najchętniej uciąłby mu język, żeby więcej nie mówił do innych tym swoim wyniosłym tonem.

– Nigdy nam nie dorównasz – stwierdził Robert, wyjmując zakrwawione ostrze z ciała mężczyzny. – Potraktuj to jako wypowiedzenie umowy.

Rozdział XVIII

Miała wrażenie, że czaszka jej pęka. Doświadczenie podpowiadało, by nie ruszała się z łóżka i przeczekała jeszcze co najmniej godzinę. W przeciwnym razie do bólu głowy i suchości w ustach dołączą zawroty głowy, których nieuchronną konsekwencją było zwrócenie treści żołądkowej do toalety. Postanowiła jednak zaryzykować. Bezczynne wylegiwanie się groziło rozpamiętywaniem poprzedniego wieczoru, a każde wspomnienie zażenowanej miny Biernata, gdy odrzucał jej zaloty, popychało ją do sięgnięcia po butelkę.

W sumie czemu nie, uznała, ostrożnie podnosząc się z łóżka. Na komendzie nie miała nic do roboty. Grzechu zalecił tygodniową kurację alkoholową, więc tak naprawdę wykonywałaby tylko zalecenie przełożonego. O ile pamięć jej nie myliła, w lodówce miała jeszcze dwa piwa, w sam raz, żeby poradzić sobie z chwilową niedyspozycją. Później weźmie prysznic i zejdzie na dół po butelkę czegoś mocniejszego.

Postawiła nogi na podłodze, po czym, zamiast do kuchni, szybkim krokiem skierowała się do łazienki. Oddałaby wszystko, by prócz strawionego jedzenia wyrzucić z siebie także wstyd i wstręt. Nie mogła tak dalej żyć. Przyzwyczajona do niezobowiązujących relacji z mężczyznami, nie dostrzegła możliwości, by wrócić do normalnego życia. Wygrała los na loterii, ale zamiast go spieniężyć, wymieniła na gwarantowaną nagrodę pocieszenia. Wszyscy normalni faceci w jej wieku dawno już założyli rodziny. Pozostali tylko nieudacznicy, zatwardziali kawalerowie lub psychopaci, których Stec w życiu poznała aż nadto. No i rozwodnicy, ale samo to, że raz już zawiedli jako głowa rodziny, skreślało ich z listy kandydatów na męża. Szczytem marzeń samotnych kobiet w wieku Agaty byli wdowcy. To nie oni zawiedli w małżeństwie, tylko los zawiódł ich. Zazwyczaj wokół takich mężczyzn kręciła się zgraja harpii oferujących wsparcie i ciepłe obiadki, w nadziei że któraś z nich wygra wyścig i zajmie miejsce świętej pamięci małżonki. Biernat zapewne przepędził wszystkie kandydatki, a gdy wreszcie dał sobie szansę i otworzył się przed kobietą, ta okazała się płytka i próbowała zaciągnąć go do łóżka.

– Pieprzona idiotka – wycedziła, spuszczając wodę.

Nie mogła patrzeć na swoje odbicie w lustrze. Nie chodziło nawet o przetłuszczone włosy, podkrążone oczy czy niezmyty wieczorem makijaż – z tym wszystkim poradziłaby sobie w pół godziny. Gorzej było z nienawiścią wobec idiotki, którą miała przed sobą. Gdyby tylko mogła, chwyciłaby ją za włosy i rozbiła jej czaszkę o umywalkę. Miała dość takiego życia. Dość kaca. Dość wyrzutów sumienia. Dość Agaty Stec.

Płukała usta wodą, gdy usłyszała dzwonek do drzwi. Zignorowała go. Ktokolwiek stał po

drugiej stronie, nie chciał mieć z nią teraz do czynienia.

Po kilkunastu sekundach zadzwonił jej telefon. To zadziwiająco przypominało sytuację sprzed paru dni, gdy pod drzwiami czekał na nią kurier z czerwonymi różami. Wówczas uznała, że to kolejny głupi pomysł Michała, więc odesłała bukiet do nadawcy wraz ze specjalnymi życzeniami. Już wtedy zachowała się lekkomyślnie i tylko cudem uniknęła kompromitacji w oczach Biernata, do którego wróciła przesyłka. Może gdyby wtedy przeczytał liścik, ich znajomość by się zakończyła, nim Agata zdążyła coś do niego poczuć?

Telefon nie przestawał dzwonić. Policjantka z trudem doczłapała do szafki nocnej, gdzie obok trzech brudnych filiżanek po kawie leżała komórka. Spodziewała się zobaczyć nazwisko Olkowskiego, którego z nerwów przed prowadzeniem pierwszej samodzielnej sprawy zapewne złapała biegunka. Wyświetlony numer nic jej jednak nie mówił.

Odebrała połączenie i przyłożyła telefon do ucha.

– Słucham?

– Dzień dobry, Poczta Kwiatowa. Tym razem mam tulipany. Chce pani dołączyć liścik do nadawcy czy po prostu odesłać je z powrotem?

– Czekaj pan!

Pospiesznie wyłączyła komórkę i ruszyła w kierunku drzwi. Nie czuła motylków w brzuchu, nie miała ochoty tańczyć ani śpiewać – pomimo radości męczący ją kac nie pozwalał na jakąkolwiek formę ekspresji. Otworzyła drzwi, zanim pomyślała, by narzucić na siebie choćby kurtkę.

– Dzień dobry… – zaczął chłopak, po czym zawahał się na jej widok. – Wszystko w porządku?

– Mam grypę.

– Oczywiście. To jak będzie, tym razem przyjmuje pani kwiaty czy odsyłamy?

Bez słowa wzięła od kuriera bukiet. Herbaciane tulipany, bez żadnych ozdób, wyglądały jak świeżo zerwane z łąki. Agata najchętniej zanurzyłaby w nich nos i zaciągnęła się zapachem, ale groziło to kolejnym atakiem mdłości. Jej uwagę za to przykuł dołączony liścik.

Tym razem bez kolców, więc ewentualne wsadzanie ich sobie w tyłek obędzie się bez większych obrażeń. Mam jednak nadzieję, że przyjmiesz bukiet i dasz się zaprosić dzisiaj na kolację w mojej restauracji.

J.B.

Nie wierzyła własnym oczom. Jacek najwyraźniej zdążył przeczytać wiadomość dołączoną do róż, mimo to nie zareagował, gdy Agata po cichu ją usunęła. Miał pewnie niezły ubaw. Nie dał nic po sobie poznać, choć pewnie przez cały lunch śmiał się z jej głupoty.

– Mogę przez pana wysłać coś do nadawcy? – spytała.

– W sensie – kwiaty? To powinno przejść przez centralę, ale dla pani mogę zrobić wyjątek i zawieźć prezent po godzinach pracy.

– Byłabym bardzo wdzięczna. Sam pan widzi, że jestem trochę niedysponowana. Zapłacę z góry, ewentualną resztę proszę potraktować jako napiwek.

– Jasna sprawa. Co takiego mam kupić?

Skoro Jacka trzymały się żarty, to nie mogła być mu dłużna. Komunikat musiał być prosty i czytelny.

– Kaktusa – odpowiedziała, nie kryjąc uśmiechu.

***

Podwójna kawa i zimny prysznic zrobiły swoje. Tak przynajmniej wolała myśleć, choć zdawała sobie sprawę, że za poprawę jej stanu psychicznego i fizycznego odpowiadały stojące w wazonie kwiaty. Oznaczałoby to jednak, że zdążyła już uzależnić się od Jacka.

Przez dłuższy czas nie potrafiła znaleźć odpowiedniego miejsca na bukiet. Wszędzie panował bałagan. Ostatecznie sprzątnęła śmieci ze stołu, przetarła blat i ustawiła wazon w centralnym punkcie. To był dopiero początek zmian w jej życiu. Egzystencjalne rozterki znad muszli klozetowej wdrożyła w życie. Koniec dawnej Agaty. Pierwszym krokiem było wysprzątanie całego mieszkania.

***

– Na początek wystarczy salon – stwierdziła po trzydziestu minutach, opadając na kanapę.

Tłumaczyła sobie, że brak sił był spowodowany kacem, ale godziny spędzone za biurkiem, zamiast na ulicy, też zrobiły swoje. Przedwczesne osądzenie Mazura i cała otoczka związana z zatrzymaniem mężczyzny mogły jednak sprawić, że Agata wkrótce wróci do dawnej formy, bo nic tak nie wpływa na kondycję, jak codzienne patrole.

Kolejną konsekwencją sprawy Mazura był konflikt z bratem, jeśli konfliktem można nazwać SMS-a, w którym odwołała wspólną kolację. Zawsze uważała, że z Arturem różnią się niemal pod każdym względem i tylko jedną cechę mieli wspólną – oboje byli strasznie uparci. Impas między nimi mógłby ciągnąć się tygodniami, ale tym razem to ona postanowiła schować honor do kieszeni i wyciągnąć rękę na zgodę. Wciąż miała bratu za złe, że ją okłamał, ale sama też mogła zachować się inaczej. Wystarczyło spytać, dlaczego ukrył przed nią informację o trwającej kilka lat terapii Roberta, zamiast od razu się obrażać. Na pewno miał swoje powody; może chciał ją chronić albo po prostu spanikował. Była wówczas przekonana, że Mazur stał za zbrodnią w palmiarni, a idiotyczne zachowanie Michała z kolegami i udział w sprawie Artura mogły ją odsunąć od prawie zakończonego śledztwa. Teraz, gdy wszystkie znaki wskazywały na niewinność Mazura, przynajmniej w sprawie pierwszego morderstwa, kłamstwo brata przestało mieć znaczenie. Mogłaby spróbować wyciągnąć od niego informacje o przeszłości kłopotliwego pacjenta. Na komendzie nikt jej nie wierzył, ale wciąż była przekonana, że to właśnie Mazur zamordował Sylwię Kozłowską i jej syna.

Sięgnęła po telefon i wybrała numer brata.

– Agata? – usłyszała w słuchawce.

– A co, już skasowałeś mój numer, że pytasz?

– Spodziewałem się ciebie wczoraj.

Uśmiechnęła się. Niby nic wielkiego, ale fakt, że pan nieomylny źle ją ocenił, poprawił jej humor. Artur nie miał pojęcia o Jacku, toteż nic dziwnego, że się pomylił. Gdyby nie Biernat, po odsunięciu od sprawy z pewnością odwiedziłaby brata.

– Wypuścili twojego pacjenta. Wynajęty przez ciebie adwokat spisał się na medal.

– Zrobiłem to z myślą o nas. Wiem, że jesteś na mnie zła, ale nie miałem wyboru.

– Oboje wiemy, że ten człowiek powinien gnić za kratami. Był w moim mieszkaniu, śledził Michała i cały czas mówił, że zamierzasz mnie zabić. Dalej chcesz go kryć?

– To bardziej skomplikowane.

– Skomplikowane?! – Nie wytrzymała i podniosła głos. – Przyznał się do zabójstwa własnej matki. Podobno doskonale o tym wiedziałeś. Jasne, zrobiłam błąd, zbyt szybko wyciągnęłam wnioski i oskarżyłam go o zabójstwo z palmiarni. Ale teraz mam pewność, że to on zabił Kozłowską i dzieciaka, rozumiesz? Morderca z palmiarni przynajmniej odurzał ofiary pavulonem, a ten zjeb ciął ich na żywca. Trzeba go zamknąć, nim znowu zaatakuje.

– Zostaw tę sprawę. Maj już omówił wszystko z prokuratorem. Nie wyciągną wobec ciebie żadnych konsekwencji.

Najchętniej cisnęłaby telefonem o ścianę. Doprowadziłoby to jednak do eskalacji konfliktu, a nie w tym celu dzwoniła.

– Dobra, mniejsza o to – stwierdziła. – Skoro zapraszasz, to wpadnę do ciebie jutro. Z towarzystwem. Przygotuj kolację dla trzech osób. Pa!

Zadowolona z siebie rozłączyła się, zanim zdążył odpowiedzieć. Potrzebowała wsparcia, by w trakcie następnej rozmowy nie skoczyć bratu do gardła. Jacek zresztą wypowiadał się o nim w ciepłych słowach, nie powinien zatem mieć nic przeciwko kolacji z celebrytą, zwłaszcza że tak zachwycał się jego książkami.

Spojrzała na tulipany. Rozmowa z Arturem napompowała ją energią, którą mogła spożytkować na wysprzątanie reszty mieszkania, i gdyby nie protekcjonalny ton brata, zapewne wzięłaby się do szorowania łazienki, ale sprowokowana, chciała mu udowodnić, że zna się na swoim fachu. Może i odsunięto ją od sprawy, nikt jej jednak nie zabroni prywatnego śledztwa.

Wybrała numer Olkowskiego.

– Agata? – usłyszała w słuchawce.

– Ty też? Wszyscy pokasowaliście mój numer?

– Nie rozumiem.

Zakłopotanie podkomisarza od razu poprawiło jej humor. Oczami wyobraźni widziała, jak z wypiekami na twarzy ślęczy nad dokumentacją i próbuje coś z tego wszystkiego wywnioskować.

– Nieważne – odparła. – Mów lepiej o wynikach sekcji. Miałam rację?

– Chyba sobie jaja robisz. Zostałaś odsunięta.

– Karol, nie denerwuj mnie. Oboje wiemy, że bez mojej pomocy sobie nie poradzisz. Zamiast marnować czas, lepiej powiedz, co wiemy.

Usłyszała głośne westchnięcie. Podkomisarz zapewne otarł spocone czoło i nerwowo rozejrzał się po komisariacie.

– Wstrząs anafilaktyczny – powiedział ściszonym głosem. – Tylko nie mów tego nikomu. Prokurator wydał zakaz przekazywania informacji. Telewizja i tak już zrobiła wielką aferę.

– A ten kokon wokół ofiary?

– Pszczeli wosk. Miałaś rację. Nakładany cienkimi, pojedynczymi warstwami.

– Warstwami? Przecież to było grube na kilkanaście centymetrów!

– No. To wszystko jest tak pojebane, że nie wiem, od czego zacząć śledztwo.

– W taki razie zacznij od początku. Kim jest ofiara?

– Karolina Sykut. Dwudziestolatka z Chorzowa. Studiowała na Uniwersytecie Gdańskim i mieszkała w akademiku. Kontaktowaliśmy się już z jej rodzicami. Oni nawet nie zgłosili zaginięcia, bo rzadko rozmawiali z córką. Współlokatorka dziewczyny w ogóle nie przejęła się zniknięciem koleżanki.

Rówieśniczka Natalii Szulc, stwierdziła Agata. Zbyt wcześnie, by na tej podstawie wyciągać wnioski, ale stanowiło to kolejne potwierdzenie tezy, iż obie te zbrodnie nie miały nic wspólnego z morderstwem w mieszkaniu Kozłowskich.

– Dziękuję Bogu, że nie musiałem rozmawiać z rodzicami tej dziewczyny – kontynuował podkomisarz. – Jej ciało unieruchomiono w pozycji pionowej za pomocą stelażu. Przed nałożeniem wosku wpięto w żyły kroplówki i zainstalowano cewnik.

– Więc trzymał ją tam przez dłuższy czas?

– Patolog nie ma pewności, ale twierdzi, że tkwiła tak ze trzydzieści dni. Trzydzieści jebanych dni, rozumiesz?! W tym czasie otaczał ją woskiem. Brak śladów przemocy. Nie znęcał się, w sumie to nic z nią nie robił, aż wreszcie użądlenia pszczół dokończyły dzieła. Naliczyliśmy pięć śladów po ukłuciach. Dziewczyna się udusiła.

– Straszna śmierć – stwierdziła Stec.

– W tym przypadku śmierć była dla niej wybawieniem. Wyobraź sobie, że przez okrągły miesiąc nie jesteś w stanie nawet zgiąć palca. Można oszaleć.

– I co planujecie?

– Jesteśmy w czarnej dupie. Facet jest jak duch. Żadnych śladów, żadnych świadków. Trzymał dziewczynę przez miesiąc w pustym mieszkaniu, a cieć nawet się nie zorientował. Dopiero wczoraj dostrzegł uchylone drzwi i wszedł do środka. Wcześniej cały czas były zamknięte.

Morderca chciał, by znaleziono ciało, stwierdziła Agata. Być może przedwcześnie zakończył cierpienia ofiary, by przekazać mediom, że zatrzymany przez policję człowiek nie był winny przypisywanych mu zbrodni. Mimo presji czasu był na tyle staranny, by nie pozostawić po sobie żadnych śladów.

– Co radzisz? – spytał Olkowski. – Grzechu mówi, żeby olać te aberracje. Cały czas uważa, że mówimy o jednym mordercy i czterech ofiarach.

– Gówno prawda. Dobrze o tym wiesz.

– Ale co radzisz?

– Nie wiem, Karol. Może przepytaj pszczelarzy. Facet użył mnóstwo wosku, musiał go skądś brać. Na razie nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

– Dobra myśl. Biorę się do roboty. Tylko pamiętaj, nie mów nikomu o naszej rozmowie.

– Jasne. Powodzenia. Daj znać, jak dowiesz się czegoś nowego.

Od razu po zakończonej rozmowie usiadła do komputera i weszła na stronę Pink & Black. Dawno już miała osobiście porozmawiać z właścicielem, ale wydarzenia ostatnich dni zepchnęły sprawę zboczeńca na dalszy plan. Przeglądała zdjęcia modelek w poszukiwaniu denatki. Opuchlizna zniekształciła twarz ofiary, dlatego Agata musiała klikać myszką na zdjęcie każdej brunetki i po kolei odczytywać dane osobowe. Sprawę ułatwiłaby wyszukiwarka, ale na stronie agencji jej nie było.

Po pierwszych dwóch stronach straciła cierpliwość. Zamiast tracić czas na śledztwo, od którego i tak została odsunięta, powinna szukać dowodów obciążających Mazura. Tylko to mogło poprawić jej wizerunek w oczach inspektora i prokuratora. Poza tym zamierzała udowodnić bratu, że jego metody nie zawsze są najskuteczniejsze.

Na trzeciej stronie zorientowała się, że klika na zdjęcia zaledwie co drugiej brunetki. Zazwyczaj takie czasochłonne zadania cedowała na Olkowskiego, teraz jednak ich relacje służbowe mogły ulec zmianie. Grzechu wprawdzie za nim nie przepadał, ale jeśli Olkowskiemu uda się zakończyć sprawę seryjnego mordercy, którą Agata zawaliła, na pewno awansuje Karola na stanowisko komisarza.

Mechanicznie kliknęła na zdjęcie kolejnej modelki. Już miała cofnąć się do strony głównej, gdy jej wzrok przykuło nazwisko dziewczyny.

– Karolina Sykut – przeczytała na głos, ucieszona, że trafiła akurat na to, czego szukała.

Bez opuchlizny – i przed śmiercią – dziewczyna wyglądała ślicznie. Mały zadarty nosek, piwne oczy i sięgające łopatek włosy czyniły z niej prawdziwą piękność. Koleżanki pewnie szczerze jej nienawidziły; dałaby głowę, że wzdychali do niej wszyscy chłopcy z roku.

Nie zastanawiając się ani chwili, policjantka popędziła do sypialni, gdzie zdjęła z siebie dres i cisnęła go w kąt pokoju. Tu jeszcze nie sprzątała, mogła więc sobie pozwolić na odrobinę bałaganiarstwa. Włożyła dżinsy i koszulkę z krótkim rękawem, narzuciła kurtkę i wybiegła z mieszkania.

Pełna emocji ruszyła schodami na parking. Miała w garści dowód na poparcie swojej tezy o dwóch mordercach. Natalia Szulc i Karolina Sykut pracowały dla tej samej agencji, a jej właściciel dopuszczał się stręczycielstwa. Jacek to potwierdzi. Tylko będzie musiała go poprosić, by nie wspominał o tym, co łączy jego samego z Agatą. Inspektor nie zniósłby informacji o powiązaniu policjantki z kolejnym świadkiem.

Wsiadła do samochodu, zamiast jednak przekręcić kluczyk w stacyjce, ścisnęła kierownicę z całej siły.

– I co teraz? – mruknęła. – Co zamierzasz? Skuć gnoja i zawieźć na komendę? Skopać mu dupę? Siłą zmusić do zeznań?

Odsunięto ją od sprawy. Dawna Agata zlekceważyłaby ewentualne konsekwencje i poszła na żywioł, co zapewne skończyłoby się na obiciu zboczeńcowi gęby i zaciągnięciu go siłą na

posterunek. Teraz nie mogła sobie na to pozwolić. Wydarzenia ostatnich dni znacznie osłabiły jej pozycję. Najważniejsze było dobro śledztwa, a nie prywatne ambicje, uznała w końcu.

Wybrała numer Olkowskiego.

– Co jest? – Odebrał po drugim sygnale.

– Jedź do agencji Pink & Black. Aresztuj Krzysztofa Czaję.

– Pod jakim zarzutem?

– Sprawdziłam bazę modelek. Znalazłam Sykut, rozumiesz? Mamy powiązanie między ofiarami.

– A Kozłowska? Mówiłem ci już, że Grzechu łączy wszystkie sprawy z jednym sprawcą.

– Kurwa, Karol…

Zaczęła żałować podjętej decyzji. Dawna Agata może i była lekkomyślna, ale przynajmniej działała, zamiast siedzieć bezczynnie. Karolowi brakowało jaj, żeby przeciwstawić się przełożonemu.

– Mam świadka, który zezna, że Czaja wykorzystywał seksualnie modelki – dodała po chwili. – Facet bawi się w alfonsa. Morderca może być z nim powiązany. Może facet wystawia mu dziewczyny? Trzeba gościa przycisnąć.

– Jesteś pewna? Przed aresztowaniem muszę mieć zeznania świadka na piśmie. Nie możemy pozwolić sobie na wpadkę.

Prowadzi śledztwo od niespełna doby, a już zachowuje się jak rasowy urzędas, pomyślała Agata. Pewnie zamiast zwykłej koszuli włożył garnitur z bierzmowania, a kanapki na drugie śniadanie zastąpił sałatką z tofu.

Przełknęła złośliwy komentarz i odpowiedziała:

– Jestem pewna. Wyślij kogoś do siedziby Her-Budu i załatw zeznania Biernata. Nieformalnie przyznał, że właściciel Pink & Black proponował mu usługi swoich modelek.

– Nieformalnie?

– Karol, do cholery. Wystawiam ci gościa, a ty, zamiast podziękować, szukasz dziury w całym. Gramy w tej samej drużynie czy nie? Sam fakt stręczycielstwa nie stanowi dowodu w sprawie, ale można na tym oprzeć taktykę podczas przesłuchania. Przyciśnij go. Powiedz, że to koniec jego firmy, chyba że zacznie współpracować. Musi coś wiedzieć o mordercy. Może to któryś z jego klientów albo współpracowników. Potem i tak trzeba będzie przesłuchać modelki i przekonać je do zeznań. No i oczywiście raz jeszcze przesłuchaj Aleksandrę Nowak. Może nawet ją nastrasz, że jeśli nie pomoże nam w sprawie, to wyjdzie na jaw, w jaki sposób zarabiała oprócz pozowania.

– Przeginasz.

– Zrób, jak mówię, inaczej niczego z nich nie wyciągniesz. Muszę kończyć. Daj znać, jak poszło.

– Jasne, dzięki. Rozumiem, że do pracy dzisiaj nie przychodzisz?

– A mam po co? Trzymaj się.

Zakończyła rozmowę, po czym napisała Jackowi krótką wiadomość, że może się spodziewać odwiedzin policji.

Rozdział XIX

Druga sesja z dziennikarką przyniosła oczekiwane rezultaty. Kobieta wbrew wcześniejszym deklaracjom nie przyjechała do Trójmiasta, dlatego ponownie rozmawiali za pośrednictwem Skype'a, na dodatek przez szesnaście minut opowiadała o Michale, jego humorach, mechanizmach rządzących światkiem mediów, narkotykowych imprezach celebrytów i skandalach dotyczących ludzi, których nawet nie kojarzył. Wysłuchał tego wszystkiego cierpliwie, mając w pamięci postawiony przed sobą cel. Gdyby nie to, zapewne zakończyłby rozmowę po pięciu minutach i pod pretekstem dzielącej ich odległości przekierował kobietę do znajomego terapeuty z Warszawy, ale ciekawość, czy mu się uda, przeważyła. Na dodatek uwielbiał to uczucie, kiedy ludzie poddawali się jego wpływowi, dawali się kształtować niczym ugniatana dłońmi glina, a Dagmara stanowiła wymarzony obiekt do tego typu działań. Kilka umiejętnie zadanych pytań i niby od niechcenia rzuconych komentarzy powoli kierowało dziennikarkę na odpowiednie tory.

Zazwyczaj po sesji dawał sobie godzinę na regenerację, ale tym razem nie mógł sobie pozwolić na taki luksus. Ponadplanowa wizyta miała się rozpocząć o jedenastej, Arturowi pozostało jeszcze siedem minut, ale nie zdążył nawet zaparzyć kawy, gdy przez kuchenne okno dostrzegł parkującego czarnego peugeota 508 – najnowszą zabawkę ordynatora jednego z gdańskich szpitali.

Kamiński obserwował, jak mężczyzna w średnim wieku wychodzi z limuzyny i trzaska drzwiami. Granatowy garnitur opinał potężne brzuszysko. Z roku na rok obwód pasa lekarza rósł w zatrważającym tempie. Jeszcze trzy lata temu Olgierd Bukowski mógł uchodzić za atrakcyjnego, dziś przypominał odzianą w garnitur kluchę. Gdyby nie pełny portfel i rozrzutność, nie spojrzałaby na niego żadna kobieta.

Psycholog wrócił do parzenia kawy. Po chwili usłyszał dzwonek do drzwi. Nie zareagował, skupiony na perfekcyjnym przygotowaniu napoju. Do sesji pozostało jeszcze dokładnie cztery minuty i trzydzieści sekund i zamierzał je odpowiednio wykorzystać. Stojącemu pod drzwiami lekarzowi przydałoby się co najmniej pół godziny na ochłonięcie, ale ta krótka chwila i tak nieco go przytemperuje.

Po drugim dzwonku mężczyzna zaczął pukać do drzwi. Artur wyjął telefon z kieszeni spodni. Tak jak zakładał, po chwili na wyświetlaczu odczytał nazwisko ordynatora. Odebrał połączenie.

– Tak, słucham? – powiedział, wciągając aromat świeżo zaparzonej kawy.

– Stoję pod twoimi drzwiami. Byliśmy umówieni.

– Już idę. Daj mi sekundę.

Rozłączył się i schował telefon z powrotem do kieszeni. Do kawy najlepiej pasowało coś słodkiego, z lodówki wyjął zatem przygotowaną dwa dni wcześniej pralinę. Ostały się już tylko dwie, na wieczorną kolację z siostrą przyrządzi coś innego. Wczoraj zrobił już zakupy, ale ponieważ nie wiedział, z kim przyjdzie Agata, był zmuszony improwizować. Korzystając z wysypu grzybów, zaplanował zupę z borowików z kluskami. Po zaspokojeniu pierwszego głodu gości poda pieczeń w sosie grzybowym, ziemniaki Hasselback i sałatkę warzywną. Wciąż jednak nie miał pomysłu na deser, a nieplanowane wcześniej spotkanie z pacjentem nie ułatwiało mu życia.

Olgierd kolejny raz zadzwonił do drzwi. Kamiński spojrzał na zegarek. Pozostały mu jeszcze dwie minuty – w sam raz, by usiąść, wypić espresso i zagryźć praliną. Nie myślał jeszcze o napojach na wieczór, ale włoskie primitivo wydawało się odpowiednie do grzybów. Być może partner Agaty przywiezie ze sobą wino, tylko że sądząc po poprzednich znajomościach siostry, Kamiński spodziewał się zgrzewki piwa lub niepijalnego napoju winopodobnego z Bułgarii.

Upiwszy ostatni łyk kawy, zjadł pralinę, odłożył filiżankę do zmywarki i wyszedł na korytarz. Ostatnie, czego teraz potrzebował, to uspokajanie nadwrażliwego pacjenta. Mimo to z uśmiechem otworzył drzwi.

– Już jestem – powiedział, zapraszając mężczyznę do środka.

– Wreszcie. Myślałem, że zapuszczę tu korzenie.

Artur zignorował komentarz ordynatora.

– To nie zajmie dużo czasu – powiedział Bukowski, stając w korytarzu. – Za pół godziny nadzoruję operację, więc będę się streszczał. Coś ty, kurwa, odstawił z tą książką?

– Czytałeś?

Zaskoczenie na twarzy Kamińskiego nie było udawane. Doskonale znał lekarza i preferowane przez niego sposoby spędzania wolnego czasu, wśród których próżno było szukać czytania książek. Oprócz jedzenia i alkoholu Bukowski lubił też młode dziewczyny i żużel, co w połączeniu z ciągłymi nadgodzinami i potrzebą przespania co najmniej ośmiu godzin na dobę wypełniało harmonogram ordynatora co do minuty. Z dziewczynami wiązało się jeszcze jedno jego hobby, z powodu którego regularnie przyjeżdżał na sesje do Artura.

– No, czytałem i do teraz mną telepie – odpowiedział Bukowski. – Jak mogłeś? Myślisz, że zmienisz moje imię i już możesz wszystko opisywać?

Mężczyzna spocił się ze złości. Czerwony na twarzy, wyglądał, jakby zaraz miał eksplodować.

– Może jednak przejdziemy do gabinetu? – zaproponował Artur.

– Nie mam czasu. Powinienem przyjechać tu z adwokatem i pozwać cię za zniesławienie. Przecież jak to się wyda, to będę miał przejebane. Myślisz, że ludzie nie potrafią kojarzyć faktów? Ilu jest ordynatorów w Gdańsku, co? Każdy każdego zna z imienia. Jeździmy na wspólne grille, a nasze żony umawiają się na plotki.

– Chwaliłeś się komuś swoimi nietypowymi zainteresowaniami?

– Nie, kurwa! Tego by jeszcze brakowało.

– To nic ci nie grozi. Chodź. – Położył mu dłoń na ramieniu. – Przejdźmy do gabinetu i porozmawiajmy spokojnie.

Mężczyzna sapał ze złości, ale posłusznie poszedł za gospodarzem. Pomimo potu ściekającego po skroni nie wydzielał gryzącego zapachu. Dla Artura była to niewielka pociecha. I tak po zakończonym spotkaniu będzie musiał przewietrzyć dom po papierosowym smrodzie, jaki zawsze towarzyszył Bukowskiemu.

– Siadaj. – Wskazał mężczyźnie fotel dla klientów.

– Mówię przecież, że się spieszę. Beze mnie nie zaczną operacji.

– No to stój, ja usiądę.

Zajął swój fotel. Doskonale wiedział, że otyły lekarz i tak zaraz usiądzie. Równie dobrze Bukowski mógł od razu zadzwonić do szpitala i uprzedzić, że spóźni się co najmniej kwadrans.

– Czego ode mnie oczekujesz? – spytał Artur.

– Odkręć to.

– Odkręcić? Ale jak? Mogę wydać oświadczenie, że opisany przeze mnie Adam W. nie jest Olgierdem Bukowskim. To wystarczy?

– Kpisz sobie ze mnie?

Mężczyzna postąpił do przodu. Żarty w obecnej sytuacji nie były najlepszym pomysłem, ale Artur nie potrafił się powstrzymać.

– Nie – odparł spokojnie. – Szukam rozwiązania. Próbuję ci uświadomić, że mleko się rozlało i na twoim miejscu nie robiłbym z tego problemu. Wszyscy traktują to, co piszę, jak fikcję. Ludzie nie wierzą, że tacy… – Uśmiechnął się i odchrząknął. – Że tacy zwyrodnialcy chodzą bezkarnie po ulicy. W innym wypadku dawno już wtargnęłaby tu policja.

– No, ale ta wzmianka o działce w Sobieszewie… Przecież wszyscy moi znajomi tam przyjeżdżają!

– Znają cię od wielu lat. Jesteś przykładnym mężem i ojcem. Wszyscy cię szanują. W pracy jesteś autorytetem. Kto niby miałby wpaść na pomysł, że raz do roku pozwalasz sobie na chwilę słabości?

– Nie wiem, kurwa. Nic już nie wiem.

Wbrew swoim wcześniejszym słowom Bukowski usiadł w fotelu. Zapięty guzik marynarki niemal wystrzelił, naprężony do granic wytrzymałości. Mężczyzna wciągnął nieco brzuch i rozpiął marynarkę.

– Teraz mam stracha, że ktoś będzie mnie obserwował – wyznał po chwili zadumy. – Nie wiem nawet kto. Żona. Syn. Może ktoś z pracy.

– Mają powody, żeby ci nie ufać?

– A bo ja wiem? Teraz wszyscy szukają na wszystkich haków. Strach pójść do burdelu, bo a nuż ktoś tam zainstalował kamerę. Kiedyś to mogłeś złapać pielęgniarkę za tyłek i nikt tego nie komentował. A teraz? Zapomnij.

Oburzenie Olgierda rozbawiło psychologa. Nawet po przeczytaniu rozdziału opisującego jego własne życie nie zrozumiał, jak przez lata spaczyło się jego postrzeganie świata. Cały czas uważał, że gwałt nie jest niczym złym, a tych, którzy donoszą policji na gwałcicieli,

nazywa szumowinami. W jego przypadku żadne kotwiczenie nie wchodziło już w grę. Artur traktował go jak zawodową porażkę, pierwszy przypadek, któremu mógł się tylko przyglądać. Z czasem zdołał delikatnie skorygować zachowanie mężczyzny, ale nic więcej nie był w stanie zdziałać. Ostatecznie opisał go w książce jako niepodatnego na terapię, zepsutego do szpiku kości, nadającego się tylko do eksterminacji. Dla takich jednostek powinni przywrócić karę śmierci, stwierdził w podsumowaniu rozdziału. Tym większe było zdziwienie psychologa, że Bukowski po przeczytaniu książki skupił się na ewentualnej dekonspiracji jego tajnego hobby, ignorując przy tym opinię autora o nim samym.

– A inni pacjenci nie mają do ciebie pretensji? – spytał Olgierd. – Przecież przedstawiłeś ich jako totalnych odchyleńców.

– Etyka zawodowa zabrania mi rozmawiać na tematy związane z moimi klientami.

– Etyka? – Mężczyzna zaśmiał się, przez co opasły brzuch zatrząsł się niczym galareta. – Toś teraz powiedział. Przecież gdybyś postępował etycznie, to zgłosiłbyś mnie na policję. A resztę psycholi odstrzeliłbyś na miejscu.

– Mylisz pojęcia moralności i etyki zawodowej. Nie będziemy jednak o tym rozmawiać. Jeśli to wszystko, to proponuję zakończyć nasze dzisiejsze spotkanie. Zdążysz jeszcze na operację.

– Dobra, już, już, nie obrażaj się. Mam tu coś dla ciebie, panie etyczny. – Bukowski sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął niewielki plastikowy woreczek. – Anestezjolog to mój dobry kumpel, ale więcej już tego nie wyciągnę. W ogóle na co ci pankuronium? Bawisz się w łowcę skór?

– Dziękuję – odpowiedział psycholog, wstając z fotela i biorąc do ręki paczuszkę.

– No nie bądź taki tajemniczy. Chciałbym wiedzieć, za co nadstawiam karku. Od tej afery w Łodzi wszyscy są przeczuleni na punkcie pavulonu. Na przyszłość mogę ci załatwić mniej kontrowersyjne środki. Jedna tabletka wrzucona do wody delikwentki i jest twoja na cały wieczór.

Artur cierpliwie stał nad rozmówcą, czekając, aż przestanie mówić i opuści jego dom. Ordynator najwyraźniej uznał, że zorganizowanie trudno dostępnego środka automatycznie uprawniało go do przejścia z psychologiem na stopę koleżeńską. Psycholog nie potrafił sobie wyobrazić, że można wyciągnąć bardziej mylne wnioski.

***

Zaparkował pod starym blokiem na Zaspie. Kojarzył te okolice z lat dziecięcych, gdy samotnie przemierzał obce osiedle, patrząc na twarze i próbując odgadnąć myśli mijanych ludzi. W pobliżu jego mieszkania zbyt często odnajdywała go Agata i zmuszała do wspólnych zabaw, z których nie czerpał najmniejszej przyjemności. Poza tym już jako dwunastolatek nudził się sąsiadami – ich rozgryzienie było rozczarowująco łatwe, wolał wychodzić dalej, by obserwować obcych.

Wtedy jeszcze nie studiował psychologii, ale w naturalny sposób odczytywał ludzkie emocje. Nie musiał z nikim rozmawiać, by wiedzieć, kto nadużywa alkoholu czy ma problemy w pracy. Lubił przysłuchiwać się rozmowom par. W wieku czternastu lat

najbardziej interesowały go kłótnie. Z fascynacją obserwował, jak pod wpływem emocji zmienia się ludzka twarz. Szczególną uwagę zwracał na gestykulację. Już wtedy mógłby udzielać porad dorosłym. Planował pokierować karierę właśnie w tę stronę – pomagać ludziom we wzajemnym zrozumieniu, uczyć ich, jak wsłuchiwać się w partnera, lecz powtarzalność schematów szybko go znużyła, stracił zatem zapał i zaczął rozglądać się za większymi wyzwaniami.

Nie przyjechał dzisiaj na Zaspę, by wspominać dzieciństwo. Chwilę zajęło mu odnalezienie właściwej klatki schodowej. Mieszkanie, do którego zmierzał, było usytuowane na parterze. Z kieszeni wyjął portfel, po czym zadzwonił do drzwi.

Po niespełna minucie otworzyła mu kobieta ubrana w spodnie dresowe i rozciągnięty biały podkoszulek. Artur nie potrafił ocenić jej wieku. Równie dobrze mogła być zadbaną sześćdziesięciolatką, jak i zapuszczoną czterdziestopięciolatką. Nie wyczuwał papierosowego smrodu, postawiłby zatem na pierwszą z opcji.

– Dzień dobry – powiedział, spoglądając w głąb mieszkania, gdzie mignął mu drugi domownik. – Nazywam się Artur Kamiński. Przyjechałem odebrać aparat telefoniczny.

Kobieta patrzyła na niego nieufnie.

– Rozmawiałem z pani mężem albo synem. Podał mi ten adres.

– Z Jerzym?

– Nie, z panem Markiem.

– Ach, Marek. Moment.

Zamknęła mu drzwi przed nosem. Artur rozejrzał się po obdrapanej klatce schodowej. We wszystkich blokach z wielkiej płyty ściany i schody wyglądają tak samo, pomyślał. Zawsze znajdzie się kibic lokalnej drużyny, który chce ogłosić światu swój stosunek do pozostałych klubów lub do policji, przy czym określenie „stosunek” było jak najbardziej na miejscu.

Kamiński spojrzał na zegarek. Mijała już trzecia minuta, gdy wreszcie drzwi się otworzyły. W progu stanął wysoki mężczyzna, też w dresie i białym podkoszulku.

– Dzień dobry – powiedział Artur. – Rozmawialiśmy dwa dni temu o telefonie.

– Tak, tak. Wszystko jest gotowe.

Facet otworzył szerzej drzwi i sięgnął po leżący na szafce z butami aparat.

– Trochę mi to zajęło, ale działa – oświadczył.

Artur uważnie przyjrzał się czerwonej obudowie. Wyglądała dokładnie jak na zdjęciu. Na tarczy wprawdzie widać było drobne ryski, ale nie powinno to mieć żadnego wpływu na efekt końcowy.

– Wystarczy go podłączyć do gniazdka telefonicznego? – dopytał.

– Tak. Zmieniłem końcówkę, więc wejdzie. Najwięcej czasu zajęła mi zmiana wybierania impulsowego na tonowe. Od dawna już centrale nie obsługują takich starych aparatów. Musiałem od zera wbudować cały układ procesorowy i przystosować go do tego telefonu.

– Rozumiem, że w związku z dużym nakładem pracy cena końcowa wzrosła?

– No.

– W takim razie ile?

Mężczyzna podrapał się po głowie. Tacy ludzie szczerze fascynowali Artura. Niewielu elektroników potrafiło poradzić sobie z tego typu zadaniem. Inni, z którymi rozmawiał, pukali się w głowę na pytanie o dostosowanie starego aparatu telefonicznego Tulipan do obecnej technologii. Ze swoimi zdolnościami Marek mógłby znaleźć pracę w każdej fabryce sprzętu elektronicznego, a mimo to wolał siedzieć w domu i przyjmować drobne zlecenia.

– To będzie dwieście złotych – stwierdził w końcu mężczyzna z niepewną miną, jakby oczekując negocjacji.

Artur wyjął z portfela dwa banknoty stuzłotowe.

– Bardzo dziękuję – powiedział, odbierając aparat. – Być może jeszcze odwiedzę pana z innymi zleceniami.

Zadowolony wrócił na parking. Wciąż nie zdecydował się na deser, ale czuł, że pomysł sam zaraz do niego przyjdzie.

Rozdział XX

Trzeci raz zmieniała kieckę. Cała zawartość szafy nagle wydała jej się staromodna lub zbyt krzykliwa. Czuła się jak przed studniówką. Gorzej, jak przed przedstawieniem rodzicom pierwszej sympatii. W rolę spoglądającego krytycznym okiem ojca wcieli się Artur, który od progu zacznie analizować Biernata. Przed laty, gdy pierwszy raz przyprowadziła do domu chłopaka, mogła przynajmniej liczyć na wsparcie mamy.

Gdyby brat miał żonę, tego typu spotkania byłyby znacznie łatwiejsze. Albo i nie, zawahała się; kobieta, która pokochałaby Artura, na pewno byłaby równie pieprznięta, jak on, wspólne spotkania bardziej przypominałyby wtedy zbiorowe sesje psychologiczne.

Ciekawe, jak wyglądałoby ich życie intymne, pomyślała, zdejmując kolejną sukienkę. Artur chwyciłby partnerkę za dłoń i oświadczył, że nie uprawiali seksu od trzech dni, a to oznaczało potrzebę odbycia stosunku. Być może sięgnąłby nawet po dane statystyczne opisujące częstotliwość zbliżeń intymnych u przeciętnej pary z podobnym stażem. Ona dorzuciłaby garść ciekawostek z medycznego punktu widzenia, po czym razem ustaliliby harmonogram współżycia.

A może była w błędzie? Może kobieta, którą by pokochał, dotarłaby do serca Artura i odkryła w nim nowy potencjał? Może zmieniłby się w demona seksu? W swoich książkach opisywał różnorakie dewiacje, teorię miał więc opanowaną.

Z szafy wyjęła czarną sukienkę odsłaniającą plecy. Ostatni raz włożyła ją na coroczny bal policjanta, oczywiście nie pamiętała, jak się zakończył. W tym roku powinna unikać tego typu imprez. Olkowski wprawdzie obiecał, że poinformuje inspektora o tym, kto dotarł do informacji umożliwiających zatrzymanie właściciela agencji Pink & Black, ale to i tak za mało, by na nowo wkupić się w łaski Lubomirskiego.

Przed godziną rozmawiała z podkomisarzem. Zatrzymanie Krzysztofa Czai przebiegło bez problemu, ale facet do niczego się nie przyznał. Zeznania Jacka pozwoliły na postawienie alfonsowi zarzutów, ale wciąż potrzebowali zeznań pokrzywdzonych modelek. Agatę bardziej interesował związek właściciela agencji z zamordowanymi dziewczynami. Podkomisarz nie udzielił jednoznacznej odpowiedzi, ale z jego nieumiejętnych prób ominięcia tematu wywnioskowała, że na razie nie poruszył tej kwestii.

Zarzuciła rozważania, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Przyjrzała się sobie w lustrze. Tym razem kobieta po drugiej stronie wyglądała nie najgorzej.

– Przejdziesz przez to – szepnęła. – Tylko nie wypij za dużo.

***

Artur w swoim stylu przygotował wystawną kolację, do której podał drogie wino. Sprawiał wrażenie szczerze zainteresowanego, gdy Jacek komplementował potrawy i opowiadał o własnych doświadczeniach kulinarnych. Panowie wyglądali na rozluźnionych. Agata wręcz przeciwnie, była spięta i małomówna. Przysłuchując się rozmowie mężczyzn, miała wrażenie, że równie dobrze mogłaby wrócić do domu i nikt nie zauważyłby jej nieobecności.

– Byłem tam kiedyś – oświadczył Artur, gdy Jacek wspomniał o swojej restauracji. – Ponad dwa lata temu, bodajże w kwietniu.

– Skoro nie wróciłeś, to chyba nie trafiliśmy w twój smak.

– Wręcz przeciwnie. Tak już mam, że jak polubię jakieś miejsce, to boję się tam wrócić, żeby nie doznać rozczarowania. Z tego samego powodu unikam wielotomowych książek. Trudno utrzymać stały poziom przez dłuższy czas.

Komisarz wykrzywiła kpiąco usta, chowając twarz za kieliszkiem wina. Jej brat, zazwyczaj tak oszczędny w słowach, zachowywał się niczym lew salonowy. Wystarczyło, by ktoś podzielał jego pasję do gotowania i wina, a zmieniał się nie do poznania.

– Mam tak samo z książkami z młodości – odparł Jacek. – Kiedyś byłem zachwycony Bukowskim, a gdy później odświeżyłem sobie niektóre pozycje, zupełnie nie przypadły mi do gustu. To, co wcześniej odbierałem jako odkrywcze, teraz przypominało bełkot pijaka. Na szczęście Gombrowicz nawet po latach mnie zaskakuje.

– Mówisz o typowym zderzeniu młodzieńczych fascynacji z dorosłym spojrzeniem na życie.

Może jeszcze chwyćcie się za rączki i zatańczcie walca, pomyślała Agata. Wbrew wcześniejszemu postanowieniu kończyła już trzeci kieliszek wina.

– A co u Roberta, braciszku? – wtrąciła, znużona ich konwersacją. – Odzywał się? Może obserwuje nas z ukrycia?

– Agata… – Artur spojrzał na nią z naganą.

– Spokojnie, Jacek o wszystkim wie. Nawet o tym, że twój pacjent włamał się do mojego mieszkania, a ty, zamiast pomóc mi go zamknąć za kratami, załatwiłeś mu adwokata.

– Oboje wiemy, że Robert nie zamordował kobiety z palmiarni, więc zatrzymanie go było błędem. Jako jego terapeuta ponoszę za niego odpowiedzialność. Owszem, skłamałem, gdy mówiłem, od jak dawna trwała terapia, ale nie żałuję tej decyzji.

Prychnęła głośno i otworzyła usta, by odpowiedzieć kąśliwą ripostą, kiedy poczuła dłoń Jacka na swoim udzie. No tak, niepotrzebnie się unosiła. Obiecywała sobie, że nie będzie poruszać trudnych tematów, ale widok rozluźnionego Artura ją irytował. Nie oczekiwała przeprosin, niemniej jego nonszalancja i wytykanie błędu, którego mogłaby uniknąć, gdyby brat był z nią szczery, przelały czarę goryczy.

– Czyli mamy dwóch morderców? – spytał Jacek, ewidentnie próbując zapobiec kłótni.

– Nie wiem – odburknęła. – Mówiłam ci przecież, że odsunęli mnie od sprawy. Powinieneś spytać Artura. Skoro dzięki niemu wypuścili jednego mordercę, to może ukrywa też drugiego. Wcale by mnie to nie zdziwiło.

Psycholog uśmiechnął się, po czym upił łyk wina.

– Rozumiem twój gniew – odpowiedział spokojnie. – Od samego początku przekonywałem, że Robert nie mógł zamordować kobiety z palmiarni. Zlekceważyłaś moje zdanie, postawiłaś na emocje, a teraz szukasz kozła ofiarnego. Wystarczyło porównać oba miejsca zbrodni, by wyciągnąć właściwe wnioski.

Jacek nie przestawał gładzić jej po nodze. Do tej pory unikał kontaktu cielesnego, toteż nie potrafiła skupić się na rozmowie.

– Ale w telewizji wciąż mówią o jednym mordercy – powiedział.

– Tak wymyślił inspektor do spóły z prokuratorem – odparła. – Podobno informacja o dwóch sprawcach może wystraszyć ludzi. Trzymają się tej wersji, chociaż dzięki twoim zeznaniom zatrzymali właściciela Pink & Black.

– Krótkowzroczne myślenie – stwierdził Artur. – Rozumiem, że tym samym policja odrzuciła motyw aberracji?

– Prawda jest taka, że trop prowadzący do agencji jest wszystkim, co mamy. Ktokolwiek stoi za tymi zbrodniami, jest w swoich poczynaniach perfekcyjny. Podrzuciłam prowadzącemu śledztwo trop aberracji, ale nie wiem, czy pójdą w tę stronę. Znając prokuratora, to nie będzie chciał nawet o tym słyszeć.

– Chwila, chwila. – Biernat przestał dotykać jej uda i sięgnął po kieliszek. – Nie jestem na bieżąco. O jakiej aberracji mówimy? Do tej pory nie pytałem o szczegóły śledztwa, ale skoro cię odsunięto, to chyba możemy o tym porozmawiać? Może głupio to zabrzmi, ale działania tego mordercy są w pewnym sensie fascynujące.

Wypisz wymaluj drugi Artur, pomyślała policjantka. Jeśli wcześniej zastanawiała się, czy mężczyźni są do siebie podobni, to teraz nie miała już żadnych wątpliwości. Inaczej wyobrażała sobie wspólną kolację, wolała jednak opowiadać o pracy, niż kłócić się z bratem.

– Pan nieomylny – rzuciła Arturowi drwiące spojrzenie – zasugerował tezę, że czterolistne koniczyny przyszyte do ciała pierwszej ofiary mogły stanowić manifest przeciwko postrzeganiu tej rośliny jako symbolu szczęścia. Wtedy jeszcze mnie wspierał, zamiast rzucać mi kłody pod nogi.

– Rozumiem – stwierdził Jacek, ignorując drugą część jej wypowiedzi. – Czemu ktoś miałby zabijać z powodu koniczyny?

– To tylko teza. Ostatnia ofiara umarła na skutek użądleń pszczół. Nie wszyscy są uczuleni na pszczeli jad. Idąc tropem aberracji, można założyć, że tego typu alergia też jest skutkiem błędu natury.

Artur pokiwał głową i uniósł kieliszek w uznaniu dla jej toku rozumowania. Choć nie miała ochoty tego przyznać, to gest brata sprawił, że wieczór od razu stał się przyjemniejszy. Podbudowana pochwałą, ciągnęła:

– Morderca przywiązał dziewczynę do metalowego stelaża, po czym pokrył ją woskiem, warstwa po warstwie. Musiał wykazać się nie lada cierpliwością, żeby utworzyć grubą skorupę. Mowa tu nie o kilku centymetrach wosku, lecz o kilkudziesięciu. Dziewczyna żyła mniej więcej przez miesiąc, zupełnie bezczynnie.

– Jak truteń – wtrącił Artur.

– Że co? – Zmarszczyła brwi.

Zaciekawione, wręcz pełne fascynacji spojrzenie Jacka sugerowało, że on domyślił się, o co chodziło w porównaniu. Poczuła się jak idiotka.

– Truteń, samiec pszczoły miodnej – odpowiedział Artur, jakby tłumaczył coś oczywistego. – Jego jedynym zadaniem jest dostarczenie królowej nasienia. Oprócz tego nie robi zupełnie nic, aczkolwiek jego żywot trwa dłużej niż miesiąc. Nie jestem pewny, ale żyje chyba dwa razy dłużej, nim zostanie przepędzony z ula, co oznacza dla niego pewną śmierć. Tu, zamiast wypędzić ofiarę, pszczoły po prostu ją zabiły, ale znaczenie tego działania może być podobne.

– Skąd ty wiesz takie rzeczy?

Psycholog wzruszył ramionami. Siedzący po drugiej stronie stołu Jacek nie odrywał od niego wzroku. Wyglądał jak chłopczyk wpatrzony w idola. W restauracji wyznał Agacie, że czytał książki jej brata, nie spodziewała się jednak, że jest jego fanem. Dobrze, że jeszcze nie poprosił o autograf.

Nagle naszła ją pewna myśl.

– Zaraz, zaraz. – Odsunęła nieco krzesło do tyłu. – Uważasz, że zabił ją przedwcześnie? Po co? By pokazać policji, że zatrzymano niewłaściwego człowieka?

– Możliwe – odparł Artur. – Nie zagłębiałem się dokładniej w sprawę, ale z tego, co mówisz, byłoby to sprzeczne z jego portretem psychologicznym. Dba o każdy detal, postępuje bezkompromisowo. Nie powinien był pokazywać światu niedokończonego dzieła.

– W takim razie dlaczego to zrobił? – Biernat nachylił się w stronę psychologa.

Komisarz pomyślała, że powinna położyć Jackowi dłoń na udzie, teraz to w nim buzowały emocje. Zamiast tego wypiła resztkę wina z kieliszka i sięgnęła po butelkę, ta jednak okazała się pusta.

– To, co powiedziała Agata, ma sens – odparł Artur. – Sam po pierwszej zbrodni stwierdziłem, że morderca szuka rozgłosu i pragnie, by mówiono o nim we wszystkich stacjach telewizyjnych. Druga zbrodnia, dokonana przed czasem, by zasygnalizować policji, że schwytała niewłaściwego człowieka, potwierdza tę tezę. Wolę jednak myśleć, że chodzi o coś więcej niż o rozgłos. Na miejscu policji skupiłbym się na szczegółowej analizie miejsca zbrodni. Trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie: z czego sprawca zrezygnował? Co zajęłoby mu dodatkowy miesiąc, podczas którego unieruchomiona dziewczyna, niczym truteń, nie robiłaby absolutnie nic? Co takiego zrobił, by zbrodnia miała wystarczające znaczenie? To pytanie jest kluczowe, by zrozumieć, o co mu naprawdę chodzi.

– A co takiego mogłoby to być? – spytała Agata, machając w powietrzu pustym kieliszkiem z nadzieją, że brat zrozumie sygnał. – Przecież w mieszkaniu było tylko ciało, pieprzony kokon z wosku i wystające z niego rurki.

– Nie wiem. Może chodzi o grubość skorupy? Może w pierwotnej wersji miała mieć ściśle określony wygląd, ale pod presją czasu morderca zmienił zdanie?

– Odważna teoria – skomentował Jacek.

– Ale wciąż tylko teoria – podsumowała Agata. – Braciszku, przynieś może drugą butelkę wina, co? Dość tych rozmów o trupach.

Choć próbowała zmienić temat, słowa brata zrobiły na niej wrażenie. Sama nigdy by nie wpadła na to, by porównać zamordowaną dziewczynę do trutnia. Tylko że nie mogła podzielić się nową teorią z Lubomirskim. Inspektor przerwałby jej po pierwszej wzmiance o pszczołach. Na pomoc Olkowskiego też nie miała co liczyć. Dopóki nie znajdzie twardych dowodów, jest skazana na samodzielne śledztwo.

– Masz rację – odpowiedział Artur. – Zagadaliśmy się, a przecież dawno już powinienem był podać deser. Wybaczcie mi, że zostawię was na kilka minut samych, ale muszę zanieść talerze do kuchni.

Jacek wreszcie oderwał wzrok od gospodarza i spojrzał na Agatę. Policjantka potrafiła wyobrazić sobie bardziej udany wieczór, ale w porównaniu z pierwszym spotkaniem Michała z Arturem była to jedna wielka sielanka. Wówczas już po kilkunastu minutach wstydziła się za partnera. Jego prymitywne żarty i brak obycia doprowadziły wtedy do ich pierwszej ostrej kłótni, która zakończyła się – podobnie jak większość następnych – ostrym seksem. Nie miałaby nic przeciwko temu, gdyby i to spotkanie miało tak ekscytujący finisz, na to się jednak nie zanosiło.

– Przepraszam, jeśli za mocno drążyłem temat – odezwał się Jacek, gdy zostali w pokoju sami.

– Nie masz za co. Zauważyłam, że się polubiliście.

– Trudno nie lubić tak błyskotliwego człowieka. Poza tym świetnie gotuje. Z niecierpliwością czekam na zwieńczenie posiłku.

Gdyby nie ostatnia wpadka w jego mieszkaniu, przysunęłaby się bliżej i szepnęła mu do ucha, że prawdziwy deser czeka na niego w domu. Pierwszą część planu wykonała, ale zamiast szepnąć, rzuciła mu zalotne spojrzenie.

– Może i tak, ale nie rozmawiajmy o nim – powiedziała ściszonym głosem. – Przeczytałeś mój liścik. Dlaczego od razu się nie przyznałeś?

– Wtedy nie dałabyś się zaprosić na lunch.

– Pewnie miałeś niezły ubaw.

Objął ją ramieniem. Pierwszy raz, odkąd spotykała się z bratem na cotygodniowe kolacje, to ona chciała przyspieszyć zakończenie wieczoru. Zazwyczaj Artur po dwóch godzinach zaczynał wysyłać sygnały, że powinna wracać do domu. Dziś towarzystwo starszego brata było jej wyjątkowo nie na rękę.

– Kaktusa ustawiłem na honorowym miejscu – powiedział, gładząc ją po ramieniu. – Mam nadzieję, że nie była to sugestia w sprawie twoich preferencji seksualnych.

Agata zaniemówiła z wrażenia. Na szczęście – lub nieszczęście – do pokoju wrócił Artur, niosąc w dłoniach tacę ze szklanymi naczyniami. Jacek cofnął rękę i przekierował swoje zainteresowanie na zawartość salaterek.

– Jak zauważyliście, dziś na stole królowały grzyby – oznajmił psycholog. – Deser z grzybami stanowił wyzwanie. Trufle byłyby zbyt oczywiste, postawiłem zatem na niedocenianych gości z Japonii. Będą im towarzyszyć owoce i mój tajny sos. Recepturę mogę ewentualnie sprzedać twojej restauracji. – Uśmiechnął się do Jacka.

Policjantka krytycznie spojrzała na deser. Nie była już głodna, marzyła jej się konsumpcja

czegoś innego niż japońskie grzyby.

– Wyśmienite połączenie – stwierdził Jacek. – Porzeczki, maliny, arbuz i do tego grzyby.

– A wino? – spytała Agata.

– Tym razem bez alkoholu. Po jedzeniu przygotuję rewelacyjną herbatę.

Bardziej już nie mógł ostudzić jej libido. Na siłę zjadła odrobinę deseru. To, czym ekscytował się Biernat, smakowało jak kapeć przesiąknięty owocowym sokiem. Całość ratował intrygujący, słodko-pikantny sos, ale i tak nie widziała powodu do zachwytu. Ot, zwykłe owoce polane syropem.

Spojrzała na uśmiechniętego brata. Nie zachowywał się naturalnie. Nie sądziła, że kiedykolwiek będzie jej to przeszkadzać, ale Artur sprawiał wrażenie zbyt… normalnego. Z boku ich spotkanie mogło wyglądać jak typowa rodzinna kolacja, ale za dobrze znała brata, by nie podejrzewać go o ukryte zamiary.

– Rozumiem, że poznaliście się podczas prowadzenia śledztwa? – spytał, spoglądając na Jacka.

– Tak. Moja firma zajmowała się przebudową palmiarni w Oliwie.

– Przynajmniej ta tragedia ma jeden pozytywny skutek. Też jesteś rozwiedziony?

Agata zamarła. Wcześniej przeszło jej przez myśl, by uprzedzić brata o tragedii, którą przeżył Jacek, ale zdecydowała, że w ramach małej zemsty nie zdradzi mu żadnych szczegółów. Teraz żałowała swojej decyzji.

– Jestem wdowcem – odparł Biernat. Nie wyglądał na skrępowanego.

– Od jak dawna?

Policjantka nie wierzyła własnym uszom. Chciała coś wtrącić, ale ponownie poczuła dłoń Jacka na swoim udzie. Uspokajał ją. Dawał znak, że nie potrzebuje jej interwencji.

– Dwa lata – odpowiedział. – Moja żona i córeczka zginęły w wypadku.

– Ty prowadziłeś?

– Jechały pociągiem.

Bezczelność Artura osiągnęła granicę absurdu. Normalny człowiek złożyłby kondolencje i nie drążył dalej tematu, on jednak nie potrafił się opanować i zadawał coraz bardziej kłopotliwe pytania. Gdyby nie dłoń Jacka, Agata by mu porządnie wygarnęła.

– Chodzi o tę katastrofę, o której było głośno? Pod Włocławkiem? – spytał Artur. – Nie śledziłem szczegółowo sprawy, ale z tego, co pamiętam, zginęło ponad trzydzieści osób.

– Czterdzieści dwie, było ponad stu rannych. Pociąg się wykoleił, najbardziej ucierpiały wagony czwarty i szósty. Moje dziewczyny jechały w szóstym, chociaż nalegałem, by zmieniły bilety.

– Miałeś coś w rodzaju przeczucia?

– Można tak to ująć.

Jacek mocniej ścisnął Agatę, ale poza tym nie dostrzegła u niego żadnych oznak zdenerwowania.

– Ta cyfra ma dla ciebie jakieś znaczenie? – Artur nie odpuszczał.

– Z wykształcenia jestem architektem. Siłą rzeczy liczby odgrywają w moim życiu kluczową rolę.

– Ale dlaczego nie chciałeś, by twoja żona i córka jechały w szóstym wagonie? To przecież dość ważna liczba. Bóg stworzył świat w sześć dni, gwiazda Dawida ma sześć wierzchołków. Chyba że chodziło ci o znak szatana w postaci trzech szóstek.

– Nie zawsze są to trzy szóstki. W innych tłumaczeniach liczba Bestii to sześćset szesnaście, sześćset czterdzieści sześć albo sześćset sześćdziesiąt pięć.

Atmosfera stawała się napięta. Mężczyźni z uśmiechem na twarzy toczyli coś na kształt pojedynku na słowa. Agata czuła, że powinna interweniować, ciekawiło ją jednak zachowanie Jacka. I tak nie dostrzeże w nim tego, co najwyraźniej widział Artur, ale przynajmniej pozna skrywaną do tej pory twarz mężczyzny, do którego zaczynała coś czuć.

– To skąd ta awersja do szóstki? – ciągnął Artur.

– Nigdy nie powiedziałem, bym jakąkolwiek liczbę darzył sympatią lub antypatią. Stwierdziłem jedynie, że namawiałem żonę, by zmieniła wagon z szóstego na inny.

– Skoro tak ci zależało, to dlaczego odpuściłeś?

– Nie było czasu na zmianę. Zbyt późno się dowiedziałem. Pociąg już odjeżdżał.

– Nie ten, to następny. Nie należeliście przecież do ubogich. Mimo to odpuściłeś. Dlaczego? Co sprawiło, że nie posłuchałeś wewnętrznego głosu?

– Stop! – Agata uderzyła dłonią w stół. – Nie wiem, w co gracie, ale pora na interwencję sędziego. Koniec tej przepychanki. Zresztą i tak będziemy się już zbierać.

Poczuła na sobie spojrzenia obu mężczyzn. Artur wyglądał na niewzruszonego. Mina Jacka zdradzała niezadowolenie z powodu przerwanej rozmowy, zaraz jednak opanował się i uśmiechnął.

– Masz rację – odparł.

– Szkoda – dodał Artur. – Mam nadzieję, że następnym razem dokończymy ten temat.

– Braciszku, żebyś ty ze mną był tak skory do rozmowy. Może jeszcze wyjdziesz z inicjatywą wspólnego wyjazdu? Jeśli wolicie, możecie lecieć beze mnie.

– Wezwę taksówkę. Za tydzień też przyjdziecie razem?

– Za tydzień zapraszam do siebie – odpowiedział Jacek.

– Zastanowię się, czy jestem na to gotowa – wtrąciła Agata. – Było miło, ale muszę dawkować wam spotkania, bo jeszcze brat mi cię sprzątnie sprzed nosa.

***

Większość czasu w taksówce spędzili w milczeniu. Policjantka podała kierowcy swój adres w nadziei, że Jacek zaproponuje, by wpadła do niego na drinka. Tak się jednak nie stało, nie wyglądał na zainteresowanego możliwością przedłużenia wieczoru.

– Zmęczony? – spytała, gdy wjechali w aleję Grunwaldzką.

– To nie zmęczenie – odparł, wpatrzony w widok za szybą.

– A co?

– Dawno nie spędziłem tak miłego wieczoru. Twój brat ma wyjątkowy dar do wyłapywania pozornie nieistotnych szczegółów.

– Czyli będziemy teraz rozmawiać o nim?

Odwrócił się w jej stronę. Gdy się uśmiechnął, wyglądał jak w dniu ich pierwszego

spotkania. Pewny siebie, spokojny, skupiony na niej. Lubiła, gdy przybierał tę pozę. Być może tak wyglądał na co dzień, przed śmiercią żony i córeczki, pomyślała.

– Dzisiaj już się nagadałem – stwierdził, przysuwając się bliżej.

– To znaczy?

– To znaczy, że pora przejść od słów do czynów.

Dojeżdżali do falowca, gdy po raz trzeci tego wieczoru położył dłoń na jej udzie. Tym razem nie chodziło jednak o stłumienie emocji. Agata poczuła ciepło rozlewające się w środku. W tym samym momencie przypomniała sobie o bałaganie, który zostawiła w mieszkaniu.

Rozdział XXI

Stanął nago przed lustrem. Słowa matki wciąż dudniły mu w głowie.

– Skoro nie szanujesz ubrań, to od dziś tak będziesz chodził po domu – powtórzył, przyglądając się własnemu poobijanemu ciału.

Sińce na bladej skórze przybrały kolor sinozielony. Sterczące ramiona i zapadnięta klatka piersiowa pokryły się gęsią skórką. Drżał z zimna. Tak jak przed laty, zakrył dłońmi genitalia i spuścił głowę.

Znęcająca się nad nim matka nie pasowała do reszty wspomnień. Przecież zabił ją, by odciąć pępowinę, przez którą wtłaczała nadmiernie dużo miłości. Pamiętał, jak śpiewała mu do snu, wyręczała w lekcjach i obowiązkach domowych, prasowała ubrania, piekła ciasta. Ta sama kobieta nie mogła być równocześnie nadopiekuńcza i sadystyczna. Któreś z jego wspomnień nie było prawdziwe. Tylko które?

Pogładził dłonią twarz. Dwudniowy zarost nieprzyjemnie drapał w opuszki palców. Coś mu nie pasowało. Czegoś brakowało.

Wzdrygnął się na dźwięk dzwonka do drzwi. Nie oczekiwał gości, więc zignorował natręta. Odkąd wypuszczono go z aresztu, kilkukrotnie już nachodzili go prawnicy i namawiali, by powierzył im swoją sprawę. Wszyscy wpadli na ten sam pomysł: miał pozwać policję za nieuzasadnione zatrzymanie i zniesławienie, a na widok jego kiepskiego stanu zdrowia namawiali do natychmiastowej obdukcji. Posłał ich w diabły. Nie wiedział, skąd mieli jego adres, ale pewnie zdobycie takich informacji po upublicznieniu nazwiska wcale nie było trudne.

Wrócił wzrokiem do odbicia w lustrze. Twarz wyglądała inaczej, niż pamiętał. Może to zła dieta, pomyślał, przyglądając się wychudzonej sylwetce. Ubyło mu kilka kilogramów i uwydatniły się kości policzkowe. Chodziło jednak o coś innego.

Sięgnął po leżącą na podłodze kurtkę i wyjął z kieszeni nóż. Doskonale pamiętał, że Robert miał szramę pod prawym okiem. On miał szramę pod prawym okiem.

Przyłożył ostrze do twarzy. Wystarczył lekki nacisk, by przeciąć skórę. Po chwili strużka krwi popłynęła w kierunku brody. Przycisnął nóż mocniej i pociągnął w kierunku nosa. Syknął z bólu.

– Nazywam się Robert Mazur – jęknął, opuszczając dłoń. – Nazywam się Robert Mazur. Nazywam się Robert Mazur…

Rozdział XXII

Nigdy nie doświadczyła tak długiej gry wstępnej. Jacek całował ją i pieścił w nieskończoność, jakby chciał posmakować każdego milimetra jej ciała. Z początku było to przyjemne, taka miła odmiana, w końcu większość jej partnerów od razu przechodziła do sedna. Nie minęło jednak pięć minut, a zaczęła się niecierpliwić. Sprawy nie poprawiały ciągłe pytania, czy jest jej wygodnie, czy odczuwa przyjemność, czy zwolnić, czy przyspieszyć – nawet gdy przejęła inicjatywę i obaliła go na plecy, cały czas miała wrażenie, że mężczyzna się o nią bezustannie martwi. Na szczęście natura hojnie go obdarzyła, co w połączeniu z muskularnym i wyrzeźbionym ciałem rekompensowało tę nadmierną troskę.

Agata powtarzała sobie, że pierwszy raz nigdy nie jest perfekcyjny. Partnerzy muszą się poznać i dopasować. Sama jednak w to nie wierzyła. Z Michałem od razu było jak należy: pieprzyli się jak opętani, intuicyjnie, bez zadawania pytań. Co gorsza, większość przypadkowych zbliżeń z mężczyznami spotkanymi w barze wspominała lepiej niż seks z Jackiem. On pewnie odniósł podobne wrażenie, bo nad ranem szybko ubrał się, ucałował ją w czoło i wyszedł, nie wypiwszy nawet kawy. Inna sprawa, że policjantka nie miała czystych filiżanek.

– Pierwsze koty za płoty – stwierdziła, leniwie przeciągając się w łóżku.

Pomimo wieczornego rozczarowania czuła się doskonale. Bez pośpiechu wstała, wzięła prysznic i zaparzyła sobie kawę w szklance do whisky. Sprawnie ominęła wzrokiem spiętrzone naczynia i weszła do jedynego posprzątanego pokoju. Była gotowa do pracy. Nie wiedziała jednak, jak spożytkować energię. Powinna zająć się Mazurem i szukać dowodów jego winy. Ciekawa była też zeznań szefa agencji modelek. Wciąż miała numer do Nowak – koleżanki dziewczyny zamordowanej w palmiarni. Ciekawe, że podczas przesłuchania ani słowem nie wspomniała o nielegalnych praktykach Pink & Black.

Wybrała numer Olkowskiego.

– Co tam? – usłyszała w słuchawce.

– A może jakieś „dzień dobry” lub chociaż „cześć”?

– Dzień dobry. Co tam?

– To ja się pytam, co nowego.

– Chodzi ci o Pink & Black? To nie moja sprawa, przekazałem ją dalej. Facet do niczego się nie przyznaje. Postawiliśmy mu zarzuty w oparciu o zeznania Biernata, ale trzeba jeszcze namówić modelki, żeby to potwierdziły. Ja teraz nie mam do tego głowy.

– A związek agencji z dwiema zamordowanymi dziewczynami? Miałeś faceta przycisnąć.

– To bardziej skomplikowane.

Z przyjemnością zdzieliłaby Karola w łysą pałę. Nie miał nawet odwagi przyznać, że w trosce o własną dupę woli nie poruszać trudnego tematu i trzymać się narzuconej przez prokuratora wersji o jednym mordercy.

– Czyli nic z tym nie zrobisz? – dopytała.

– Na razie badam inne tropy. Cały dzień przesłuchiwałem ludzi. Wiesz przecież…

– Dobra, Karol, nie tłumacz się – weszła mu w słowo. – Podaj mi adres Mazura i możesz dalej udawać zaangażowanego w sprawę.

– Chyba sobie żartujesz. Miałaś tego nie tykać. Jeszcze ci mało? Odwalisz coś głupiego i zawieszą cię albo zdegradują.

– Dzięki za troskę, a teraz dawaj adres. Jak nie, to przyjadę na komendę i wyciągnę go z ciebie siłą. Więc jak będzie?

– Wajdeloty dwadzieścia jeden – odpowiedział ściszonym głosem. – To, co robisz, jest co najmniej głupie. Jego adwokat cię zniszczy. To cud, że jeszcze…

Rozłączyła się. Karol nie wiedział, kto opłacił prawnika, wdawanie się z nim w dyskusję nie miało sensu. Wątpiła, by ze strony Roberta cokolwiek jej groziło. Jemu najbardziej zależało na uniknięciu większego rozgłosu.

***

Bezowocne poszukiwanie wolnego miejsca na wąskich ulicach Wrzeszcza wyprowadziło ją z równowagi. Ostatecznie zaparkowała przy cukierni, na miejscu zarezerwowanym dla klientów. Na wszelki wypadek weszła do lokalu i zamówiła dwa słodkie rogaliki na wynos. Rozpoczęła nowy związek, to i wypadało jeść w miarę regularnie, uznała.

Mieszkanie Mazura mieściło się na ostatnim piętrze starej kamienicy. Agata nie znała stawek godzinowych brata, ale podejrzewała, że sięgają kilkuset złotych. Tym większe było zdziwienie policjantki, gdy stanęła pod drzwiami budynku i spojrzała na odrapane ściany, na których ktoś nieudolnie próbował zamazać graffiti. Uliczkę można by nazwać urokliwą, gdyby nie zaniedbane fasady, kraty we wszystkich oknach na parterze i krzykliwe banery okolicznych sklepów. Klienci Artura raczej nie mieszkają w takiej okolicy, myślała, wybierając na domofonie losowy numer. Nie zamierzała rozmawiać z Mazurem. Najchętniej uniknęłaby bezpośredniej konfrontacji, chyba że nie zdoła niczego wyciągnąć od sąsiadów.

– Halo? – Z przyrdzewiałego głośnika dobiegł męski głos.

– Dzień dobry. Agata Stec, policja. Proszę otworzyć, mam do pana kilka pytań.

– O co chodzi?

Komisarz westchnęła i oparła się dłonią o drzwi.

– Proszę mnie wpuścić – odparła spokojnie. – Prowadzę śledztwo w sprawie jednego z pańskich sąsiadów.

Rozległa się seria cichych trzasków, po których nastąpiła cisza. Stec odczekała jeszcze chwilę, po czym ponownie wybrała ten sam numer. Tym razem nikt nie odpowiedział. Niezrażona pierwszą próbą zadzwoniła do kolejnego mieszkania. Po kilku sekundach ktoś bez słowa otworzył drzwi. Skonsternowana, weszła do środka.

Wnętrze klatki schodowej nie odbiegało wyglądem od tego, co widziała na ulicy. Farba odchodząca płatami od ścian, wąskie, skrzypiące schody i gryzący zapach pleśni pogłębiały wątpliwości policjantki, skąd osoba mieszkająca w takim budynku miała pieniądze na sesje terapeutyczne z jednym z droższych psychologów w kraju. Często nachodziły ją podobne rozważania, gdy parkowała obok luksusowych samochodów należących do jej sąsiadów. Nawet jeśli sprowadzali je z zagranicy, to i tak pewnie kosztowały fortunę. Gdyby ona miała trochę wolnej gotówki, to w pierwszej kolejności pomyślałaby o przeprowadzce z falowca, a nie o kupnie samochodu, na którego utrzymanie nie byłoby jej stać.

Weszła po schodach na pierwsze piętro i zadzwoniła do drzwi. Otworzyły się błyskawicznie. W progu stała starsza kobieta w biało-niebieskiej podomce do kolan. Kolan sięgały też czarne skarpety naciągnięte do granic możliwości. Wyglądała na zaskoczoną widokiem Agaty, jakby spodziewała się kogoś innego.

– Dzień dobry. Komisarz Agata Stec, policja. – Pokazała legitymację. – Prowadzę śledztwo w sprawie jednego z pani sąsiadów. Mogę zająć chwilkę?

Staruszka uważnie przyjrzała się dokumentowi, po czym przeniosła na nią spojrzenie.

– Chodzi o Pawełka?

– Możemy porozmawiać w środku? – spytała Agata.

Kobieta skinęła głową i uchyliła szerzej drzwi. Policjantka skorzystała z zaproszenia.

– Wejdźmy do dużego pokoju – zaproponowała gospodyni. – Jeśli chodzi o Pawełka, to wiele pani nie pomogę. On dawno już zamknął się w sobie i nikogo do siebie nie dopuszcza.

Zapowiada się trudna rozmowa, pomyślała Stec.

Rozejrzała się po salonie. Nie przepadała za staromodnymi dywanami ani grubymi zasłonami zbierającymi kurz. Równie kiepsko prezentował się komplet wypoczynkowy z wyraźnie przetartymi podłokietnikami. Mieszkanie było jednak czyste i niezabałaganione, co nieco ją zawstydziło. Aż dziwne, że Jacek dał w ogóle radę stanąć na wysokości zadania w otoczeniu brudnych filiżanek i porozrzucanych ubrań, pomyślała z zakłopotaniem.

Usiadła na kanapie.

– Przyszłam wypytać panią o Roberta Mazura.

– Robusia? – spytała wyraźnie zaskoczona kobieta. – A to jeszcze prowadzicie tę sprawę?

– Oficjalnie zarzuty oddalono, ale musimy przepytać wszystkich sąsiadów, by uzyskać stuprocentową pewność.

– A kogo tu pytać? Większość dawno już poumierała. Tylko Józef spod piątki może pani coś powiedzieć, ale wątpię, by chciał rozmawiać z policją. Ma swoje zasady, jeszcze z poprzedniej epoki.

Komisarz wzięła głęboki wdech. Staruszka gadała głupoty, ale przynajmniej coś mówiła, a w natłoku bezużytecznych informacji mogła zdradzić coś przydatnego.

– Czyli zna pani Roberta? – dopytała.

– To był naprawdę słodki chłopiec. Pewnie z wiekiem zacząłby łobuzować, tak jak jego starszy brat.

Agata zmarszczyła brwi.

– Był? – powtórzyła za staruszką.

– Wiem, wiem. – Kobieta machnęła ręką. – Sama powtarzałam Eli i Staszkowi, że dopóki nie znajdą ciała, to nic nie jest przesądzone. Ale jak długo można żyć nadzieją?

– O czym pani mówi? Rozmawiamy o tym samym Robercie Mazurze, mężczyźnie po trzydziestce z ostatniego piętra?

Staruszka spojrzała na nią jak na wariatkę, po czym uśmiechnęła się z politowaniem.

– Czyli jednak chodzi o Pawełka – odparła.

– Rozumiem, że to bracia?

– Pawełek chyba nigdy nie doszedł do siebie po zaginięciu brata. Żal było patrzeć, jak uchodzi z niego powietrze. Rodzice mu nie pomagali. Stasiu zupełnie zatracił się w alkoholu, a Ela… Cały czas szukała Robusia.

– Czyli Robert Mazur zaginął i nigdy nie został odnaleziony?

– To było całe wieki temu. Nie pamiętam kiedy, ale jakiś czas temu w końcu uznano go za zmarłego i symbolicznie dopisano jego imię na grobie Mazurów. Staszek już tego nie doczekał.

Agata powoli zaczynała układać sobie wszystko w głowie. Robert, to znaczy mężczyzna podający się za Roberta, przyjął imię po młodszym bracie. Nie było to jeszcze przestępstwo, ale powinna oprzeć na tym śledztwo.

– A jego relacje z matką? – drążyła, mając w pamięci, że przyznał się do jej zamordowania.

– Trudno powiedzieć – westchnęła kobieta. – Ela zmieniła się po tej tragedii. Kiedyś często do nas wpadała, była roześmiana i pogodna. Trochę narzekała na męża, bo coraz częściej zaglądał do kieliszka, ale i tak bardzo go kochała. Podobnie jak synów.

– A później? Co pani wie o jej śmierci?

– Ja się w cudze życie nigdy nie wtrącałam. Ela nie chciała rozmawiać, to nie naciskałam. Niektórzy mówili, że zdziwaczała, ale wiadomo, jak to ludzie lubią gadać. Do dzisiaj mam wyrzuty sumienia, że bardziej się nimi nie zainteresowałam. Człowiek mądry po szkodzie.

Agata słuchała staruszki jednym uchem. Chciała uzyskać jak najwięcej informacji o człowieku podającym się za Roberta Mazura, ale niekoniecznie o jego nieszczęśliwym dzieciństwie. Będzie musiała później zlecić Olkowskiemu, by przejrzał papiery w urzędzie stanu cywilnego i potwierdził zmianę imienia mężczyzny.

W sumie na Olkowskiego nie ma co liczyć, uznała po chwili namysłu. Trzeba będzie znaleźć nowego człowieka od brudnej – to jest nudnej – roboty. Pomagier powinien być pracowity, punktualny, niewymagający i pozbawiony ambicji. Przydałaby się też gotowość do naciągania procedur, ale to można wypracować.

– Co takiego ludzie mówili? – dopytała, ponownie skupiając się na słowach kobiety. Wciąż żywiła nadzieję, że dowie się czegoś, co popchnie śledztwo do przodu.

– Podobno czasem z ich mieszkania słychać było krzyki i płacz. Ja tam nie wiem, bo mieszkam na dole, do mnie nic nie dochodziło.

– Myśli pani, że matka biła Pawełka?

Staruszka potrząsnęła głową ze smutkiem.

– Nie wiem, kochanieńka. Oboje całkiem się zmienili po tym feralnym dniu. Ale może nie

było tak źle, skoro Paweł mieszkał z nią do samego końca.

Policjantka oblizała wargi. Powoli zbliżały się do mniej odległych wspomnień, z których mogło wynikać coś interesującego.

– Co pani wie o śmierci Elżbiety? – powtórzyła wcześniejsze pytanie.

– Tyle, co ludzie gadali. Ona już od wielu miesięcy niedomagała. Mizerniała z dnia na dzień. Musi pani wiedzieć, że Ela była kiedyś naprawdę energiczną kobietą. Wszędzie jej było pełno. Po zaginięciu Robusia zamknęła się w sobie. Potem, gdy umarł Staszek, wydawało się, że jest lepiej. Chodziła jakby bardziej wyprostowana, czasem coś powiedziała na przywitanie. Trwało to jednak góra tydzień, po czym znowu zamknęła się w swoim świecie. Przez ostatnie miesiące nawet nie wychodziła z domu. Ludzie mówią, że któregoś ranka wzięła nóż kuchenny i podcięła sobie żyły. Nie chce mi się w to wierzyć, bo jak przyjechała policja i pogotowie, to zaszłam do ich mieszkania i widziałam, że miała krew na szyi.

– Policja nie prowadziła sprawy?

– Coś tam prowadzili, ale co oni mogli ustalić? Ciało znalazł Paweł. Z mieszkania nic nie zginęło. Tu nawet ksiądz Mateusz nic by nie poradził.

Kobieta zaśmiała się z własnego żartu. Agata uśmiechnęła się z grzeczności. Rzadko trafiała na tak rozmowne osoby, więc nie chciała pospieszać staruszki.

– My tu gadu-gadu, a zaraz zaczną się *Fakty* – oznajmiła gospodyni. – Obawiam się, że w niczym więcej pani nie pomogę.

– Skoro ogląda pani wiadomości, to zapewne widziała zdjęcie Ro… – Agata odchrząknęła. – Pawła Mazura.

– Widziałam, widziałam, a co miałam nie widzieć? Od razu do niego zaszłam, ale nikt mi nie otworzył.

– I myśli pani, że on byłby w stanie…

– Co? Zabić?

Stec skinęła głową.

– Głupoty pani wygaduje. To bardzo porządny chłopiec. Zamiast obrażać go w telewizji, moglibyście mu jakoś pomóc. Sama wiem najlepiej, jak to jest nie mieć do kogo ust otworzyć. Jestem już stara, niewiele czasu mi zostało, ale Pawła czeka jeszcze całe życie. Powinien kogoś sobie znaleźć, tylko jak ma to zrobić, skoro przypięliście mu łatkę mordercy?

– Podczas przesłuchania przedstawił się jako Robert Mazur – powiedziała Agata. – Takie dane widniały też w jego dowodzie osobistym i prawie jazdy. Słyszała pani kiedykolwiek, by matka zwracała się do niego imieniem zaginionego brata?

– Co też pani za dyrdymały opowiada? Przecież… – Kobieta nagle urwała.

– Coś pani sobie przypomniała? – drążyła policjantka. – Każdy szczegół może być ważny.

– Czasem zachodzi do mnie Sławek, nasz listonosz – odpowiedziała staruszka po chwili wahania. – Wspominał, że raz w miesiącu przynosi polecony do Roberta Mazura, ale oboje uznaliśmy, że to czyjeś niedopatrzenie. Teraz, jak o tym myślę, to rzeczywiście Ela czasem wołała przez okno do Pawełka, żeby wracał do domu. Może tak być, że mówiła na niego

Robuś. Sama już nie wiem.

– Proszę sobie przypomnieć jak najwięcej szczegółów. Może Paweł przejawiał skłonność do agresji? Wdawał się w bójki?

– Do czego pani zmierza? – Kobieta się skrzywiła. – Od tego wszystkiego rozbolała mnie głowa.

– Mazur po aresztowaniu przyznał się do zabicia własnej matki. Wiem, jak to brzmi, ale proszę się zastanowić, czy rzeczywiście mogło do tego dojść. Sama pani wspominała, że Elżbieta nie wychodziła z domu. Może była przetrzymywana?

Kobieta obrzuciła Agatę gniewnym spojrzeniem. Wyglądała na szczerze urażoną. Komisarz potrafiła rozpoznać, kiedy należy zakończyć przesłuchanie. I tak wyciągnęła ze staruszki więcej, niż zakładała.

Rozdział XXIII

Nie przepadał za okresem następującym bezpośrednio po premierze książki. Życie na walizkach, ciągłe wywiady, dziennikarze w kółko pytający o to samo, spotkania autorskie z czytelnikami, próby umówienia się z nim na indywidualne sesje – wszystko, co powinno łechtać jego ego, w rzeczywistości go nużyło. Zastanawiał się, czy nie zaprzestać publikowania kolejnych pozycji. Wizja wydawała się kusząca, ale żal mu było zostawiać tematy, które same wpadały mu w ręce.

Było zbyt wcześnie, by wyciągać wnioski, ale przypadek Jacka Biernata bardzo go zainteresował. Nie mógł odmówić mężczyźnie determinacji. Gotów był zawrócić w głowie Agacie, byle tylko spotkać się z Arturem osobiście. Jako brat Kamiński zapewne powinien ostrzec siostrę, ale stan jej emocji był równie interesujący, jak owdowiały przed dwoma laty Biernat. Urażona duma z powodu odsunięcia od śledztwa, złość na ostatniego członka rodziny za to, że ją okłamał, pragnienie doprowadzenia sprawy Mazura do końca i udowodnienia, że właściwie go oceniła… Do tego dochodziło kiełkujące uczucie do Biernata – istny koktajl emocji, którego ostatecznego smaku nawet on nie był w stanie odgadnąć.

Był już w pobliżu restauracji, do której zaprosił go Jacek w tajemnicy przed Agatą, gdy usłyszał dzwonek telefonu. Jak na ironię, dzwoniła siostra.

– Właśnie o tobie myślałem – powiedział zgodnie z prawdą, odebrawszy połączenie.

– Aha, uważaj, bo ci uwierzę.

– Nie ufasz starszemu bratu? Dałem ci jakiś powód?

– Artur, nie jestem w nastroju do żartów. Wczoraj było miło, ale nie myśl sobie, że ci wybaczyłam. Masz jednak szansę, by się zrehabilitować.

Artur dostrzegł Biernata. Machnął do niego ręką, po czym wskazał na telefon. Mężczyzna porozumiewawczo skinął głową. Miał na sobie szary garnitur, ciemniejszą o dwa tony kamizelkę i błękitną koszulę. Artur cenił sobie dobry styl, który w dzisiejszych czasach był rzadkością.

– W czym mogę ci pomóc? – spytał, podążając wolnym krokiem w stronę nowej sympatii Agaty.

– Chodzi o Mazura. Rozmawiałam z jego sąsiadami. Wiedziałeś o młodszym bracie?

– Przechodziliśmy już przez to. Nie mogę ujawniać szczegółów sesji.

– Czyli wiedziałeś. Z tego, co rozumiem, Mazur przejął imię po młodszym bracie. Po co mógł to zrobić?

– Agata…

– To inaczej. Wyobraź sobie zupełnie hipotetyczny przypadek. Jest sobie kilkuletni chłopiec, nazwijmy go Arturem. Albo Arturkiem. No więc ten chłopiec ma młodszego brata, który pewnego dnia ginie bez śladu. Rodzice chłopców są załamani. Ojciec pije, a matka dziwaczeje, przejawia agresywne zachowania wobec Arturka: czasem na niego krzyknie, czasem zdzieli go pasem. Czy ten chłopiec, niesiony wyrzutami sumienia, może próbować wcielić się w zaginionego brata? Po pierwsze, pragnie miłości matki, a po drugie, szuka ucieczki od napiętej atmosfery w domu. Czy wchodzi w grę rozdwojenie jaźni lub coś w ten deseń?

Kamiński przystanął z wrażenia. Nie podejrzewał siostry o tak wnikliwą analizę. Była bliska dotarcia do prawdy, jemu zajęło to długie miesiące pracy.

Biernat palcem wskazał restaurację, po czym wszedł do środka. Artur odprowadził go wzrokiem.

– Jest to możliwe – odparł. – Ale z tak małą ilością danych możemy jedynie snuć domysły.

– No jasne. Kurde, ja wiem, że i tak nie powiesz mi prawdy, ale to nie daje mi spokoju. Możesz uznać, że po prostu zafiksowałam się na Mazurze, i pewnie będziesz miał rację. Słuchaj, tak sobie wymyśliłam, że Robert alias Paweł z powodu trudnego dzieciństwa stworzył coś w rodzaju alter ego w postaci młodszego brata. Raz jest mordercą z palmiarni: dokładnym, planującym każdy ruch, kimś w rodzaju chorego psychicznie artysty. W drugim wcieleniu traci zmysł artystyczny i drobiazgowość. Też czuje żądzę krwi, ale nie potrafi dorównać wyimaginowanemu mistrzowi, drugiej stronie osobowości jego samego. To właśnie ta druga osobowość rozmawiała z Michałem i chciała zostać aresztowana. To ona ucieszyła się na mój widok i twierdziła, że zabił własną matkę. Nie powiem tego inspektorowi, bo mnie wyśmieje i rozkaże iść na odwyk, ale czy to możliwe, żeby Mazur nieświadomie lawirował między dwoma wcieleniami i prowadził swego rodzaju dialog w postaci kolejnych morderstw?

– Przecież ostatnią zbrodnię popełniono po jego aresztowaniu.

– Gówno prawda – odparowała. – Sam wspomniałeś o trutniu. Zamordowana dziewczyna siedziała tam miesiąc i prawdopodobnie miała siedzieć drugie tyle. Wystarczyło wypuścić pszczoły i zabrać aparaturę, po czym zostawić otwarte drzwi do mieszkania, żeby cieć znalazł ciało. Mazur mógł kazać komuś to zrobić, mógł przekazać informację przez adwokata, którego zresztą sam opłaciłeś. Dzięki temu zakpił z policji i może spokojnie planować kolejne zbrodnie.

Kamiński nie wierzył własnym uszom. Oczekiwał, że siostra będzie próbowała wyciągnąć od niego informacje, podczas gdy sama przeprowadziła wnikliwą analizę umysłu Mazura. Naiwną i naciąganą, ale zaskakująco bliską prawdy.

– Więc? – spytała. – Co o tym myślisz? Bóg mi świadkiem, że jak zasłonisz się etyką zawodową, to przyjadę i skopię ci dupsko. Wiesz przecież, jakie to dla mnie ważne. Od tej sprawy zależy cała moja kariera.

– Moje zdanie nic tu nie pomoże – odparł po chwili milczenia. – Osobiście uważam, że niepotrzebnie próbujesz łączyć zbyt wiele spraw. Sama słyszysz, jak niewiarygodnie brzmi

twoja teza. Jeśli chcesz dopaść Mazura, to lepiej skup się na jednej zbrodni, zamiast działać na kilku frontach.

– Jak zawsze mądry i racjonalny. Szkoda, że niepomocny – prychnęła.

– Wiem, że w to nie wierzysz, ale naprawdę masz we mnie sprzymierzeńca.

– Braciszku, bez urazy, ale weź, nie pierdol, dobra? To przez ciebie skompromitowałam się przed przełożonymi. Gdybyś od razu był ze mną szczery, toby do tego nie doszło. W ramach zadośćuczynienia nie mógłbyś choć raz powiedzieć czegoś konkretnego? Nie zamierzam wysłuchiwać ogólników i kolejnych analiz. Myślisz, że Mazur był w stanie zamordować wszystkie te kobiety? Tak czy nie?

– Hipotetycznie tak. Ale to czysta teoria.

– Więcej mi nie trzeba. Wracaj do podpisywania książek czy bajerowania laseczek tymi twoimi drętwymi tekstami o meandrach umysłu.

– Uważaj na siebie.

Zakończył rozmowę i pokiwał głową. Tematy na książki mnożyły się w zaskakującym tempie.

W końcu skupił się na chwili obecnej i wszedł do restauracji Biernata. W lokalu nic się nie zmieniło, odkąd był tu przeszło dwa lata temu. Podczas wczorajszej kolacji udawał, że nie pamięta dokładnej daty, ale przeciwnie, świetnie zapadła mu w pamięć. Primo, ze względu na wyborny suflet, a secundo, z powodu spotkania z równie oryginalnym człowiekiem. To była sobota, trzynastego kwietnia. Stolik zamówił na dziewiętnastą, ale na miejscu był kwadrans wcześniej. Nie musiał jednak czekać. Rozmówca przywitał go wtedy w progu.

***

O Jacku Biernacie słyszał wiele od ich wspólnych znajomych, ale wcześniej nie miał okazji poznać go osobiście. Mężczyzna ubrany w dobrze skrojony stalowy garnitur sprawiał niezłe pierwsze wrażenie. Silny uścisk dłoni, wyprostowane plecy, uśmiech na twarzy – wszystko to, by ukryć zdenerwowanie. Prawie mu się udało.

– Bistro chyba nie cieszy się wielką popularnością – stwierdził psycholog, rozglądając się po pustym lokalu.

– Dzisiaj jest impreza zamknięta. Nie chcę, aby ktoś nam przeszkadzał.

– To miłe, ale czy potrzebne?

Usiedli przy stole. Po chwili zza rogu wyszedł kucharz, niosąc w dłoniach tacę z półmiskami. Artur uśmiechnął się na widok grillowanych szparagów z gorgonzolą, polędwicy wieprzowej marynowanej w sosie mango i carpaccio z małży św. Jakuba podanego z kawałkami grejpfruta. Kucharz przygotował po pięć sztuk każdej z przekąsek.

– Prawdziwa uczta – stwierdził Kamiński, rozkoszując się polędwicą.

– Eksperymenty kulinarne to moja największa słabość.

Artur uśmiechnął się znacząco do Biernata.

– Czyżby? – skomentował.

Nie zamierzał od razu przechodzić do kluczowego tematu, ale mężczyzna sam się podłożył.

– No dobra, masz mnie – odpowiedział Jacek. – Olka ma już dość mojej obsesji na punkcie liczb. Trzeba to przerwać.

O jego żonie Artur słyszał równie dużo, co o nim: charyzmatyczna bizneswoman w ciągu kilku lat zdołała od zera zbudować pozycję swojej firmy budowlanej. O stosowanych przez nią metodach, dzięki którym wygrywała przetargi, krążyły legendy, choć sama się zarzekała, że sukces zawdzięcza tylko ambicji i ciężkiej pracy.

– To może zacznij od teraz? – spytał psycholog.

Biernat westchnął.

– Gdyby to było takie proste.

– Masz tu trzy półmiski z przystawkami. Zawołaj kucharza i poproś go o podanie jeszcze jednego.

– Jest zajęty przygotowaniem głównego dania.

– Zatem sam to zrób.

Jacek uśmiechnął się nerwowo. Sama myśl o czwartym półmisku napawała go grozą. Artur od razu pomyślał, że obsesja na punkcie liczb nie jest dla niego interesującym tematem. Powinien sobie z tym poradzić każdy średniej klasy psycholog. Zdecydował, że nie będzie pracował z Biernatem. Dobry styl i talent kulinarny mężczyzny to zbyt mało, by poświęcać mu czas.

– Nie chcesz znać powodów mojego zachowania? – spytał Jacek. – Tak chyba wygląda twoja praca. Szukasz przyczyny i proponujesz rozwiązanie.

– A czy powód naprawdę jest tak istotny?

– Dla mnie tak.

– Powiedz lepiej, dlaczego chcesz z tym walczyć. Nie wierzę, że chodzi tylko o twoją żonę.

Mina Biernata sugerowała, że Artur trafił tym pytaniem w dziesiątkę. W innych okolicznościach po prostu zakończyłby rozmowę i wrócił do domu, ale smakowite przystawki sugerowały co najmniej równie dobre danie główne, dlatego nie spisywał jeszcze wieczoru na straty. W ostateczności udzieli kilku wskazówek, co nie stanowiło wygórowanej ceny za wykwintną ucztę.

– To się staje coraz bardziej kłopotliwe – powiedział w końcu Biernat. – Już na studiach miałem problemy, kiedy dostawałem czwórkę na egzaminie. To głupie, ale kilkakrotnie chodziłem do profesorów i prosiłem o możliwość poprawiania oceny albo obniżenia jej do trójki. Zazwyczaj dostawałem piątki, ale gdy miałem wątpliwości co do któregoś z pytań, profilaktycznie odpowiadałem nieprawidłowo też na kilka innych, by dostać tróję. Wolałem już oblać egzamin, niż skończyć z czwórką.

– Dlatego zrezygnowałeś z projektowania? Za dużo kompromisów?

– Poniekąd. Olka zna moją słabość i przejmowała problematyczne projekty.

– W takim razie co cię skłoniło do naszego dzisiejszego spotkania? Skąd potrzeba stawienia temu czoła?

Kucharz przyniósł butelkę gewürztraminera i nalał wina do obu kieliszków. Butelka była już odkorkowana, ale trunek zachował świeżość. Idealnie schłodzone, pełne aromatu

płatków róży i muszkatu – Artur sam lepiej nie dobrałby wina do zaserwowanych przystawek.

– Tak po prostu nie można funkcjonować – odpowiedział po chwili Jacek, gdy kucharz oddalił się od stolika. – Całe życie podporządkowuję liczbom. Nawet potrawy, które kosztujesz, zostały przygotowane zgodnie z moją autorską metodą opartą na matematyce.

– Zamiast rozpaczać, napisz o tym książkę. Gwarantuję, że sprzeda się znakomicie, a twój lokal zyska sławę. – Artur rzadko żartował ze słabości pacjentów, ale rozmowa o przyziemnych problemach Biernata psuła mu rozkosz smakowania wybornego wina doskonale komponującego się z jedzeniem. Kulinarne arcydzieło należało jeść w skupieniu.

Jacek był na tyle inteligentny, by prawidłowo odczytać sygnał. On też traktował jedzenie z należytym szacunkiem, toteż następne dziesięć minut spędzili w milczeniu. Ledwie zniknęła ostatnia przystawka, a kucharz zmaterializował się przy stoliku i sprzątnął puste półmiski.

– Prawdziwe dzieło sztuki – pochwalił go szczerze Kamiński.

– Dzisiaj bardziej odgrywam rolę kelnera – odpowiedział mężczyzna. – Większość potraw osobiście przygotował Jacek.

– W takim razie ukłony dla waszej dwójki.

Biernat poczekał, aż mężczyzna zniknie z pola widzenia, po czym oznajmił:

– Wino ma osiem lat.

– Jeśli to nie tajemnica, to będę wdzięczny za kontakt do dostawcy. Było wyśmienite.

– Nie w tym rzecz. Teoretycznie powinienem je podawać rok wcześniej. Każdy kolejny miesiąc odbiera mu intensywność. Mimo to po prostu musiałem odczekać. To jest silniejsze ode mnie.

Kamiński rozejrzał się po sali. Znając preferencje swojego rozmówcy, z łatwością rozpoznawał nieprzypadkowo dobrane elementy wyposażenia: osiem stolików, przy każdym po pięć krzeseł; trzy żyrandole oświetlające wnętrze; po trzy obrazy na każdej ze ścian – aż dziwne, że miały tradycyjne prostokątne formy, które przecież nie były w guście właściciela. Artur domyślał się, że sceny przedstawione na malowidłach też nie były przypadkowe. Pomimo skłonności do przynudzania i zbytniego skupiania się na swej osobliwej, acz nieszkodliwej nerwicy natręctw, Jacek był człowiekiem dążącym do doskonałości, co ratowało go w oczach psychologa.

– Wiesz, że zajmuję się cięższymi przypadkami niż twój – odpowiedział Kamiński. – Tobie dolega typowa nerwica natręctw, czyli zaburzenia obsesyjno-kompulsywne. Kiedyś uważano, że mają podłoże wyłącznie w psychice człowieka, ale coraz powszechniejsza jest teoria o uwarunkowaniu genetycznym.

– Moi rodzice byli zupełnie normalni, jeśli o to ci chodzi.

– Tego nie możesz być pewny. Najnowsze badania wykazały, że tego typu zaburzenia może mieć nawet do dziewięćdziesięciu procent populacji. Oczywiście, zazwyczaj są to banały w rodzaju częstego mycia rąk lub cofania się do domu, by sprawdzić, czy drzwi są zamknięte.

Biernat lekko się skrzywił.

– Chyba trochę spłycasz problem.

– Tu nie ma czego spłycać – odparł Artur, ignorując zaskoczenie na twarzy rozmówcy. – Można to leczyć na dwa sposoby. Pierwszy polega na stopniowym odwrażliwianiu pacjenta na określone bodźce; w twoim przypadku byłoby to na przykład otworzenie wina rok wcześniej czy zjedzenie czwartej przystawki. Wiem, że brzmi to banalnie, ale taka niestety jest prawda. Tobie jednak zalecałbym środki farmakologiczne; psychiatra może wypisać leki z grupy inhibitorów zwrotnego wychwytu serotoniny. To powinno załatwić sprawę, ale po ich odstawieniu może dojść do nawrotu, będziesz zatem musiał obserwować swoje zachowanie.

– Chyba sobie żartujesz! – Biernat się oburzył. – Mają mi pomóc zwykłe pigułki? Nie porównuj mnie z jakimiś nieudacznikami.

Artur kątem oka dostrzegł zbliżającego się kucharza. Nawet gdyby go nie zauważył, po chwili wyczułby aromat popisowej potrawy, o której wspominało wielu trójmiejskich krytyków kulinarnych. Pierś kaczki podaną w autorskiej wersji sosu hoisin niektórzy oceniali jako szczyt sztuki kulinarnej. To właśnie ze względu na nowatorski sos Kamiński zgodził się na kolację. Za cel postawił sobie odkrycie wszystkich składników i odtworzenie smaku potrawy w warunkach domowych.

– Nie chciałem cię urazić – odpowiedział.

Biernat nieumiejętnie ukrył grymas.

– Chyba myliłem się co do ciebie. Nasz wspólny znajomy twierdził, że stosujesz nietypowe metody pracy. Zawiodłeś mnie.

Kaczka za to smakowała wyśmienicie. Resztę wieczoru spędzili na grzecznościowej wymianie zdań. Kolację zwieńczył czekoladowy suflet z masłem orzechowym, który od tamtej pory na stałe zagościł w menu psychologa.

***

Wnętrze lokalu wyglądało dokładnie tak, jak przeszło dwa lata temu. Tragedia, która dotknęła Biernata, zapewne pogłębiła jego dolegliwość, uznał psycholog. W połączeniu z wysiłkiem, jaki mężczyzna włożył w ponowne nawiązanie kontaktu, kazało to dać mu drugą szansę. Nerwica natręctw, która przerodziła się w poważniejsze zaburzenia psychiczne, mogła stanowić całkiem ciekawy temat.

Skinął Jackowi głową i podszedł do stolika.

Rozdział XXIV

Przypadek Mazura nie dawał jej spokoju. Rozważając kolejne hipotezy, czuła, jak sama powoli odchodzi od zmysłów. Wiele razy podążała za wewnętrznym głosem, zawierzała swojemu policyjnemu nosowi, który zazwyczaj był nieomylny. Tyle że intuicja już raz przysporzyła jej problemów, mogła nawet doprowadzić do przedwczesnego zakończenia kariery. Mimo to nie dawała za wygraną. Wiedziała, że ma rację. Być może zbyt dużo czasu spędzała z Arturem, przez co sama zaczęła doszukiwać się wszędzie drugiego dna, ale każdym nerwem czuła, że Robert Mazur był winny morderstwa, i to nie jednego.

Większość wieczoru spędziła na komendzie. Inspektor co rusz bacznie na nią zerkał, co uniemożliwiało znalezienie nowego pomagiera. Tak jak założyła wcześniej, na Olkowskiego nie mogła już liczyć. Wprawdzie jeszcze nie zaczął przychodzić do pracy w garniturze, ale jasno dał do zrozumienia, że nie będzie więcej nadstawiał za nią karku.

Skazana na samodzielne grzebanie w papierach i użeranie się z urzędnikami, dotarła w końcu do dokumentacji Roberta Mazura. Jak dowiedziała się od pracownika urzędu stanu cywilnego, do zmiany imienia doszło podczas wyrabiania pierwszego dowodu osobistego. Pomimo cyfryzacji ostała się oryginalna prośba na piśmie, w której Paweł Mazur, argumentując powód zmiany, podał artykuł czwarty ustawy, w myśl której imię można zmienić w przypadku, gdy ktoś na co dzień posługuje się innym niż to, które jest wpisane do aktu stanu cywilnego.

Nie był to jeszcze dowód w sprawie, ale Agata zmianę imienia potraktowała jako potwierdzenie swojej tezy.

– Nie wiesz, kiedy przestać – skomentował Olkowski, gdy pochwaliła się nową informacją.

– A ty nie wiesz, kiedy spodziewać się kopa.

– Masz brata psychologa, poproś go o poradę. Może przepisze ci tabletki na brak zdrowego rozsądku.

– Karol… – Wstała od biurka i podeszła do podkomisarza. – Jeśli zdaje ci się, że jesteś nietykalny, to masz rację, zdaje ci się. Jeszcze jedno słowo o Arturze, a połamię ci te chude rączki.

– Jak tam chcesz. Po prostu mi ciebie szkoda – prychnął.

Naprawdę chciała go uderzyć. Z połamaniem rąk przesadzała, ale z przyjemnością chwyciłaby go za łysą czaszkę i kilka razy uderzyła nią o blat biurka. Zamiast tego wróciła na swoje miejsce.

– Nawet nie pytam, czy ustaliłeś coś więcej na temat właściciela agencji modelek – stwierdziła.

– Nie pytaj.

– Nie wiem, jak możesz lekceważyć jedyny trop. Tylko ta praca łączy obie ofiary.

– Są też identycznego wzrostu, ale co z tego? Wiele dziewczyn ma sto siedemdziesiąt dwa centymetry.

– Naprawdę chcesz to zignorować?

Wzruszył ramionami. Stec wyobraziła sobie, jak wykręca mu bark. Do chęci, by połamać mężczyźnie ręce, doszła potrzeba połamania mu wszystkich gnatów. Zostawiłaby tylko nogi, by mógł dalej wchodzić w tyłek Lubomirskiemu.

– Coś jeszcze łączy te dziewczyny? – spytała, wbijając w myślach podkomisarzowi ołówek w oko.

– Obie studiowały, ale na innych kierunkach.

– A makijaż? Ta druga w dniu zaginięcia też wyszła bez makijażu?

– A skąd mam to wiedzieć? Mówiłem ci już, że jej współlokatorka ma na wszystko wywalone.

– Daj mi jej numer telefonu.

– Chyba śnisz.

– Daj mi numer… – warknęła.

Chwyciła ołówek w dłoń, gotowa wcielić wcześniejszą wizję w życie. Olkowski najwyraźniej dostrzegł to w jej spojrzeniu, bo szybko otworzył notatnik i przepisał z niego kilka cyfr.

– Masz – rzucił zwitek papieru na biurko Agaty. – Kiedyś się doigrasz.

– A imię i nazwisko?

Pokazał środkowy palec. Gest, zamiast zezłościć, rozbawił Agatę. Parsknęła śmiechem i ruszyła w kierunku drzwi. Nie chciała rozmawiać ze świadkiem w obecności podkomisarza, poza tym Grzechu w każdej chwili mógł podejść do jej biurka, dlatego wolała wyjść na zewnątrz i przy okazji odetchnąć świeżym powietrzem. Im dalej będzie trzymać się od Lubomirskiego, tym lepiej. Spodziewała się, że inspektor szykował dla niej nowe zadanie. Nie był głupi i mimo klapek na oczach, które nie pozwalały mu dostrzec oczywistego faktu, że w Trójmieście grasuje dwóch seryjnych morderców, zdawał sobie sprawę, że jeśli nie znajdzie Agacie nowej sprawy, a najlepiej kilku spraw, komisarz nie odpuści i zrobi wszystko, by udowodnić, że miała rację.

Opuściła budynek. Odruchowo skierowała się ku knajpie, w której parę dni wcześniej widziała Michała, lecz po kilku krokach się zatrzymała. Obiecała sobie, że będzie odżywiać się regularnie, ale jakoś wcale nie była głodna.

– Nic na siłę – stwierdziła, wybierając numer wydębiony od Olkowskiego.

Wolałaby przesłuchać świadka w cztery oczy. Bezpośrednia rozmowa przynosiła zdecydowanie lepsze rezultaty. Wprawdzie podkomisarz twierdził, że dziewczyna nie wykazywała chęci do współpracy, ale na razie innego źródła informacji nie było.

– Halo? – usłyszała w słuchawce.

– Dzień dobry, komisarz Agata Stec, policja. Wiem, że już złożyła pani zeznania w sprawie zamordowania pani współlokatorki, ale mam jeszcze jedno pytanie.

– Jezu… – westchnęła głośno dziewczyna. – Jestem w trakcie sesji poprawkowej, nie mam czasu na pierdoły.

– Pierdoły? Uważa pani morderstwo koleżanki za pierdoły?

– Oj, źle się wyraziłam. O co chodzi?

– Kiedy ostatni raz widziała pani Karolinę? Wbrew pozorom to bardzo ważne pytanie.

– Serio? Zawraca mi pani głowę czymś takim? Mówiłam już, nie pamiętam.

Stec zacisnęła mocniej palce na telefonie. Co za głupia, egoistyczna siksa.

– Jaki kierunek pani studiuje? – spytała.

– Zarządzanie, ale co to ma do rzeczy?

– I co, tak planujesz w przyszłości zarządzać ludźmi? – Świadomie pominęła formę grzecznościową. – Ich tragedie życiowe też nazwiesz pierdołami? Tego was uczą na studiach?

W odpowiedzi usłyszała ciche westchnięcie.

– Mój bliski znajomy, który od wielu lat zarządza firmą, kieruje się jedną zasadą – ciągnęła Stec. – Uważa, że każdy pracownik może popełnić błąd, nawet niosący za sobą poważne konsekwencje. Najważniejsze jednak, by wyciągnął wnioski i nigdy więcej tego błędu nie powtórzył. W innym wypadku nie ma dla niego miejsca w firmie. Tak działa praktyk, który wie, jak dotrzeć do ludzi, zamiast ignorować ich problemy. Daję ci drugą szansę. Kiedy ostatni raz widziałaś Karolinę?

– Kiedy ja naprawdę nie pamiętam. Co najmniej miesiąc temu. Obie zostałyśmy na wakacje w akademiku, ale choć nie było zajęć, to wciąż się mijałyśmy. Ona miała tę swoją agencję i co rusz łapała zlecenia, ja sporo imprezowałam.

– Karolina lubiła się malować?

– A skąd mam wiedzieć? Nie byłyśmy przyjaciółkami. Po prostu mieszkałyśmy w jednym pokoju i próbowałyśmy nie wchodzić sobie w drogę.

– Czyli nie wiesz, czy przypadkiem przed zaginięciem nie zaprzestała robienia makijażu?

– Nic nie zauważyłam. Czy to już wszystko? Naprawdę nie mam teraz czasu na rozmowę. Jeśli to pilne, to proszę przyjechać wieczorem.

Przynajmniej zmieniła podejście, uznała Stec. Drobny sukces wychowawczy nie zmieniał faktu, że policjantka nie dowiedziała się nic nowego. Ale to był dopiero początek poszukiwań.

***

Naładowana energią, wróciła za biurko. Zbyła milczeniem pytające spojrzenie Olkowskiego i od razu włączyła komputer. Jeśli wcześniej miała wątpliwości, czy powinna ufać policyjnemu nosowi, który ostatnimi czasy wciągał ją w kłopoty, to teraz nabrała pewności, że owszem, powinna. Karol nie raczył kiwnąć palcem w sprawie agencji modelek, choć dowody miał na wyciągnięcie ręki. Potraktowała to jako okazję do powrotu na pełne obroty, zanim Lubomirski znajdzie jej jakieś nużące zadanie.

Weszła na stronę agencji, by wyszukać wszystkie dziewczyny o wzroście stu siedemdziesięciu dwóch centymetrów. Jej zapał nieco ostygł, gdy przypomniała sobie, że witryna nie ma funkcji wyszukiwania modelek na podstawie wybranych kryteriów. Szukając Karoliny Sykut, wchodziła w portfolio każdej brunetki. Teraz czekało ją znacznie trudniejsze zadanie, bo musiała sprawdzić wszystkie dziewczyny i zapisać dane każdej o odpowiednim wzroście.

Przed rozpoczęciem mozolnych poszukiwań postanowiła zrobić sobie przerwę na kawę.

– Fajrant? – spytał złośliwie Olkowski, gdy wstała od biurka.

– Muszę odetchnąć. Za dużo wrażeń.

– Jakich wrażeń?

– Twoja bliska obecność… Sama myśl, że mogę zedrzeć z ciebie koszulę… – Podeszła bliżej i przygryzła dolną wargę. – Odkąd przejąłeś tę sprawę, stałeś się taki męski…

– Spieprzaj.

Jęknęła z rozkoszą.

– Jesteś jebnięta – burknął, wbijając wzrok w monitor.

– Nie kuś, Karol, bo nie wytrzymam.

Odwróciła się tyłem do mężczyzny i strąciła notes leżący na rogu biurka.

– Ups… – rzuciła zalotnie.

Schyliła się nieco, kątem oka obserwując, jak Olkowski wbija wzrok w jej tyłek. Czekał tylko, aż policjantka pochyli się bardziej. Zamiast tego powoli podniosła prawą dłoń i pokazała mu środkowy palec.

– Coś ci spadło, jełopie – rzuciła, prostując plecy, i z satysfakcją ruszyła w stronę automatu z kawą.

***

Sprawdzenie profili wszystkich modelek na stronie zajęło jej blisko dwie godziny. W efekcie znalazła cztery dziewczyny. Trzy brunetki – Joanna Lis, Andżelika Kres i Katarzyna Wiśniewska – miały na koncie kilkanaście sesji. Ostatnia z modelek o wzroście stu siedemdziesięciu dwóch centymetrów, rudowłosa Dagmara Łyżwińska, nie była tak doświadczona. Na jej portfolio składało się zaledwie pięć zdjęć wykonanych w studiu, co znaczyło, że pomimo dwudziestu pięciu lat na karku dopiero zaczynała karierę.

Jeśli Stec miała rację, życie czterech dziewczyn było zagrożone. Niestety, na stronie nie podano namiarów na modelki. Jedyna droga do nich wiodła przez Pink & Black, ale recepcjonistka stanowczo odmówiła przekazania danych osobowych bez nakazu. W innych okolicznościach Agata zapukałaby do biura inspektora i poprosiła o wsparcie, ale w obecnej sytuacji mogła liczyć tylko na parę obraźliwych epitetów pod swoim adresem.

Odsunęła krzesło od biurka. Olkowski spojrzał na nią spode łba. Tym razem nie miała ochoty na słowne przepychanki. Jeśli wszystko pójdzie po jej myśli, wkrótce ich relacje wrócą do poprzedniego stanu, a wtedy dalej będzie mogła wysługiwać się podkomisarzem i zlecać mu co nudniejsze zadania. Jeśli jednak przeczucie ją zawiedzie, jest wysoce prawdopodobne, że Karol zyska wyższe stanowisko od niej.

– Gdzie jest Krzysztof Czaja? – spytała.

– W prokuraturze. Dzisiaj mają ustalić wysokość kaucji.

– Dzięki.

Czyli nici z przesłuchania, uznała zawiedziona. Planowała nakłonić mężczyznę, by współpracował z policją. W grę wchodziła jeszcze wizyta w agencji i próba przyciśnięcia recepcjonistki. Kobieta na pewno znała zapędy szefa do testowania nowych modelek i traktowania ich jak prostytutki. Być może sama też dorabiała sobie w ten sposób, co ułatwiłoby ewentualny szantaż. Agata potrzebowała tylko numerów telefonu dziewczyn, by się upewnić, że nic im nie grozi.

– Powodzenia – rzucił nieoczekiwanie Karol, jakby czytając w jej myślach.

– Zerkałeś mi przez ramię? – warknęła.

– Wystarczy zwykłe „dziękuję”.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, z gabinetu wyszedł Lubomirski i rzucił w jej kierunku ciężkie spojrzenie.

– Dokąd to, Stec? – spytał donośnym głosem.

– Po kawę – skłamała.

– To przynieś dwie. Mamy do pogadania. Dla mnie czarna, bez cukru.

Skinęła głową. Olkowski nie powstrzymywał złośliwego uśmieszku.

– Powodzenia – powtórzył.

– Dam sobie radę.

Zmierzając do automatu z kawą, ułożyła sobie w głowie zgrabną wypowiedź, którą już od progu zamierzała poczęstować Lubomirskiego. Przyzna, że ostatnie dni zupełnie ją wykończyły, i poprosi o tydzień wolnego. Grzechu powinien przystać na prośbę, choć się domyśli, że w rzeczywistości nie planowała odpoczynku. Pozostało tylko liczyć na to, że inspektor spojrzy na sprawę racjonalnie i pozwoli jej działać na własną rękę. W ostateczności przecież to ona ryzykowała karierę.

Jeśli w ogóle było jeszcze co ryzykować.

Sobie też przygotowała czarną kawę, choć wcześniej wypiła już trzy kubki. Ciągłe wychodzenie z budynku, by porozmawiać przez telefon z dala od wścibskiego Olkowskiego, groziło przedawkowaniem kofeiny. Głupio było wracać z pustymi rękoma, więc za każdym razem przynosiła kawę.

– Panie inspektorze – zaczęła, zamknąwszy za sobą drzwi. – Miał pan rację, ostatnie dni…

– Nie pierdol, Stec – wszedł jej w słowo. – Cokolwiek chciałaś mi zmyślić, zapomnij o tym. Oboje wiemy, że nie odpuściłaś.

Podeszła do biurka i podała mężczyźnie kubek. Sama upiła łyk kawy, po czym usiadła w fotelu naprzeciwko.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparła.

– Od tracenia czasu mam prokuratora. Mów, co wiesz.

– Przecież odsunięto mnie od sprawy.

– Stec, nie testuj mojej cierpliwości. To nie jest oficjalna rozmowa. Sprawę prowadzi podkomisarz Olkowski, choć słowo „prowadzi” jest w tym przypadku sporym nadużyciem.

– Chrząknął. – My sobie tylko luźno porozmawiamy i pomyślimy o twojej przyszłości. Chyba że od razu wolisz nowy przydział? Co powiesz na bójkę w barze na Zaspie? Mam też trzy kradzieże samochodów.

Uśmiechnęła się do inspektora. Wcześniejsze decyzje Lubomirskiego sugerowały, że zamienił policyjny nos na gwoździe, którymi przybił się do stołka. Najwyraźniej była to tylko zasłona dymna, by uspokoić prokuratora.

– Nim coś powiem, mam jedno pytanie: naprawdę pan wierzy, że szukamy jednego mordercy?

– Nie. Musi to jednak pozostać między nami.

– A Mazur? Wierzy pan w jego niewinność?

– Nie jestem debilem. Facet jest zdrowo walnięty, ale doskonale wiesz, że musieliśmy go wypuścić. To nie Ameryka, gdzie uniewinniają seryjnego mordercę, bo nie przedstawiono przysługujących mu praw, ale u nas też wszyscy patrzą policji na ręce. Dziennikarze tylko czekają na informacje o nadużyciach. Realia są takie, a nie inne. Trzeba się dostosować i działać po cichu. Będzie dobrze, to dostaniesz dofinansowanie do wczasów w Kołobrzegu. Dasz ciała – wylatujesz za nieprzestrzeganie regulaminu.

Nie potrzebowała dodatkowego pobudzenia, ale upiła łyk kawy. Rozsiadła się wygodniej. W duchu odczuwała głęboką satysfakcję – za takim inspektorem tęskniła. Zwątpiła w niego, ale on nie zwątpił w nią, nawet jeśli oficjalnie sprawiał takie wrażenie. Nie mogła mu jednak przedstawić wszystkich swoich pomysłów. Nawet Grzechu nie kupiłby tezy o rozdwojeniu jaźni Mazura.

– Obie dziewczyny, Natalia Szulc i Karolina Sykut, współpracowały z Pink & Black – powiedziała. – Na niekorzyść właściciela firmy świadczą też zeznania Biernata.

– Czytałem. Wiem, że to ty za wszystkim stoisz. Dobra robota. Mam tylko nadzieję, że z nim nie sypiasz? Tego byłoby już za wiele.

– Proszę mnie nie obrażać. – Udała urażoną. – Daleka jestem od oskarżania Czai, ale być może podsuwa mordercy konkretne dziewczyny? Obie zamordowane modelki miały po sto siedemdziesiąt dwa centymetry wzrostu. Być może nie jest to kwestia przypadku. Nasz poszukiwany dba o każdy szczegół i z pewnością ma konkretne wymagania co do ofiar. Przeszukałam stronę firmy i namierzyłam cztery dziewczyny o identycznym wzroście. Tyle że ich baza jest niekompletna, brakowało na przykład Szulc, która brała udział przynajmniej w jednej sesji.

– Rozmawiałaś z tymi dziewczynami? Trzeba je dyskretnie obserwować.

Wreszcie odrobina racjonalnego myślenia, odetchnęła Stec. Mężczyzna siedzący po drugiej stronie biurka przywrócił jej wiarę w przełożonych. Zdawała sobie sprawę, że oficjalnie wciąż pozostaje odsunięta od sprawy, ale przynajmniej miała pewność, że ktoś jeszcze ufa jej przeczuciom.

Wstała z fotela.

– Próbowałam wyciągnąć ich numery z agencji, ale recepcjonistka zażądała nakazu – oznajmiła. – Miałam akurat do niej jechać, gdy pan inspektor zaprosił mnie do siebie na kawę. Swoją drogą wisi pan mi dziewięćdziesiąt groszy.

Podeszła do drzwi i wychyliła się, by spojrzeć na Olkowskiego. Tak jak zakładała, podkomisarz co rusz nerwowo zerkał w kierunku gabinetu Lubomirskiego.

– Karol na mnie donosi? – spytała, nie odrywając wzroku od kolegi.

– Nie powiedział o tobie złego słowa.

– Nie wspomniał, że wydusiłam od niego numer do świadka w sprawie zabójstwa Karoliny Stec? Ani że… mogłam mu tak jakby grozić?

– Jeśli pytasz, czy kopie pod tobą, to możesz być pewna, że jest wobec ciebie lojalny. Nie wiem wprawdzie, czy ta lojalność nie wynika ze zwykłego strachu przed moją reakcją na donosicieli, ale tego się już nie dowiemy.

Spojrzała na Grzecha. Jeśli marzyła o awansie, to powinna brać przykład z tego postawnego mężczyzny. Najwyższy czas nauczyć się patrzeć na problemy z dystansu, dawać sobie szansę na moment wytchnienia i sprawdzenie, czy podążanie za instynktem nie szkodzi przypadkiem jej wizerunkowi. Powinna brać pod uwagę zdanie prokuratora i udawać, że działają na jednym froncie, szukać sobie sprzymierzeńców, zamiast na każdym kroku grozić ludziom i ich wyzywać. Wszystko to jednak przypominało bardziej politykę niż pracę w policji, a polityki unikała jak ognia.

– Musimy jak najszybciej dotrzeć do tych dziewczyn – powiedziała. – Dałoby radę wymusić na Czai, żeby kazał recepcjonistce udostępnić nam ich adresy i numery telefonów? Chyba że prokurator jest w stanie sprawnie załatwić nakaz.

– Sprawnie? – spytał Grzechu, wstając od biurka. – Mówimy o tym samym człowieku? Prędzej spodziewałbym się, że Karol znajdzie sobie dziewczynę. Czekaj na mój telefon. Jadę do prokuratury i przycisnę gościa. Będziemy w kontakcie.

***

Olkowski spoglądał na nią podejrzliwie, ale ani razu nie spytał o przebieg rozmowy z przełożonym. Korciło ją, by wytknąć koledze zbagatelizowanie informacji, które Lubomirski uznał za ważne, ale wolała poczekać na telefon od inspektora. Do tego czasu musiała uzbroić się w cierpliwość.

Miała nawet pomysł, jak spożytkować wolny czas. Zdawała sobie sprawę, że nie powinno ją to interesować, nie próbowała zrzucać winy na zboczenie zawodowe. Zwykła ciekawość zaprowadziła ją do artykułu opisującego katastrofę kolejową sprzed dwóch lat, w której zginęły żona i córka Jacka. Już pierwsze zdjęcie na stronie mroziło krew w żyłach. Pociąg miejscami wyglądał jak wygięta harmonijka, wokół leżały zakrwawione ciała.

Podczas wspólnej kolacji Artur uparcie drążył temat tragedii i zanim Agata mu przerwała, zasugerował, że Biernat ma awersję do niektórych liczb, w tym do szóstki i czwórki. Rzeczywiście, Jacek wspominał, jak namawiał żonę do zmiany wagonu i że to właśnie wagony czwarty i szósty najbardziej ucierpiały w katastrofie, a pasażerowie jadący pozostałymi uniknęli śmierci.

Do zdarzenia doszło na wysokości Włocławka. Jako przyczynę katastrofy podano zły stan torów, co w połączeniu z nadmierną prędkością pociągu i padającym nieprzerwanie od dwóch dni deszczem spowodowało wykolejenie całego składu. Na miejscu zginęło

trzydzieści osób, kolejne dwanaście zmarło po przewiezieniu do szpitala. Poniżej zamieszczono więcej fotografii z miejsca wypadku. Najgorzej wyglądał pierwszy wagon. Aż dziwne, że żaden z podróżujących nim pasażerów nie zginął, uznała Stec. Może wagony pierwszej klasy lepiej dostosowano do ewentualnych wypadków lub po prostu było tam mniej pasażerów?

Prawdziwe zdziwienie przyszło po przeczytaniu następnego akapitu.

– Najwięcej ofiar śmiertelnych znaleziono w pierwszym i drugim wagonie – powtórzyła na głos.

Może Jackowi coś się pomyliło, pomyślała. Pogrążony w żałobie wymyślił historię o pechowych liczbach, której się trzymał przez kolejne dwa lata.

Weszła w artykuł konkurencyjnego portalu, by się upewnić co do faktów, gdy zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu widniało nazwisko inspektora.

– Tak, szefie? – spytała.

– Zaraz wyślę namiary na te cztery dziewczyny. Upewnijcie się z Karolem, że wszystko z nimi w porządku. Wrócę za jakieś pół godziny i załatwię im dyskretną ochronę.

– Wreszcie coś się dzieje – stwierdziła, patrząc w kierunku Olkowskiego, który odpowiedział zaintrygowanym spojrzeniem.

– Tylko pamiętaj, że to Karol prowadzi sprawę. Możesz nim dyskretnie sterować, ale oficjalnie nie bierzesz udziału w akcji. Ciebie interesuje jedynie agencja Pink & Black i podejrzenie stręczycielstwa. Zrozumiano?

– Oczywiście. Bierzemy się do roboty.

Skinęła na Olkowskiego. Być może formalnie to on prowadził śledztwo, ale inspektor zadzwonił do niej, co dobitnie pokazywało, jak wygląda prawdziwa hierarchia.

***

Czterdzieści minut później zaparkowała samochód pod domem Dagmary Łyżwińskiej. Ładny parterowy budynek zbudowany na planie prostokąta, o śnieżnobiałych ścianach i wysokich oknach, wyglądał na niedawno postawiony. Agata nie przyjechała tu jednak podziwiać lokalnej architektury, od razu podeszła do drzwi wejściowych.

Wcześniej kilkakrotnie próbowała dodzwonić się do Dagmary. Nie odbierała telefonu, podobnie jak jej koleżanka Katarzyna Wiśniewska. Z dwiema pozostałymi modelkami udało się skontaktować. Niechętnie, ale zgodziły się niezwłocznie przyjechać na komendę. Podkomisarz zlecił Agacie odwiedzić Dagmarę w Jelitkowie, a sam pojechał do drugiej z dziewczyn.

Stec miała nadzieję, że dwudziestopięciolatka śpi w swoim pokoju. Mogła też nie słyszeć telefonu, brać akurat kąpiel lub zwyczajnie nie odbierać połączeń od nieznanych numerów, ale im więcej policjantka wymyślała potencjalnych scenariuszy, tym bardziej wierzyła w ten najczarniejszy.

Nacisnęła przycisk dzwonka. Po chwili w korytarzu zapaliło się światło, a drzwi otworzyła rudowłosa kobieta, bez wątpienia matka poszukiwanej dziewczyny. Podobnie jak córka, miała lekko kręcone włosy i mnóstwo piegów na twarzy. Widząc swoją rodzicielkę,

Dagmara nie musiała się spieszyć z robieniem kariery jako modelka; skoro były do siebie tak podobne, to mogła mieć pewność, że czas obejdzie się z nią równie łaskawie.

– Dzień dobry, komisarz Agata Stec. – Policjantka pokazała legitymację. – Czy zastałam pani córkę Dagmarę?

– Nie – odpowiedziała ze zdziwieniem kobieta. – To znaczy wyszła gdzieś przed godziną.

– Czyli dziś jeszcze pani z nią rozmawiała?

– Tak. Jezu, co się stało? Miała wypadek? – Łyżwińska złożyła ręce na piersi i z niepokojem patrzyła na policjantkę.

– Po prostu musimy jak najszybciej ją namierzyć – odpowiedziała Stec. – Proszę zadzwonić do córki.

– Oczywiście. Niech pani wejdzie. – Kobieta otworzyła szerzej drzwi, zapraszając ją do środka. – Telefon mam w salonie. Zaraz do pani wrócę.

Agata skorzystała z zaproszenia. Stojąc w korytarzu i czekając na gospodynię, wybrała numer Olkowskiego. Miała nadzieję, że jemu poszło lepiej. Odebrał już po pierwszym sygnale.

– Masz coś? – spytał podniesionym głosem.

– Jestem na miejscu. Dziewczyny nie ma w domu.

– Ja dopiero dojeżdżam. Do końca życia sobie nie daruję, jeśli jedna z nich padnie ofiarą tego popaprańca.

– To nie czas na wyrzuty sumienia. Jesteśmy w kontakcie.

Schowała telefon do kieszeni. Łyżwińska wciąż nie wracała, co dawało nadzieję, że właśnie rozmawia z córką. Policjantka weszła w głąb korytarza i rozejrzała się wokół. Porozrzucane na podłodze buty i nierozpakowane siatki z zakupami lekko poprawiły jej humor. Miło było czasem spotkać normalnych ludzi, przy których człowiek nie czuje się jak ostatni bałaganiarz, pomyślała.

– Nie odbiera! – Usłyszała załamany głos Łyżwińskiej.

Agata weszła do ładnie urządzonego salonu, w którym stała kobieta, przytulając się do mężczyzny, zapewne męża. Obydwoje wyglądali na przerażonych.

– To jeszcze o niczym nie świadczy – powiedziała Stec. – Czy wie pani, gdzie córka może przebywać?

– Nie mam pojęcia. Pytałam nawet, dokąd się tak wystroiła, bo miała na sobie wieczorową sukienkę, której wcześniej nie widziałam.

– Co odpowiedziała?

– Burknęła, że to nie mój interes, i trzasnęła drzwiami. O co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego jej szukacie? Czy coś się stało?

W drugich drzwiach salonu, zapewne prowadzących z kuchni, stanął nastolatek.

– Daga ma kłopoty? – spytał chłopak.

– Proszę się nie denerwować, nic się nie stało – odpowiedziała komisarz. – Po prostu musimy z nią porozmawiać w związku z prowadzonym śledztwem i jest to na tyle pilne, że nie możemy czekać do jutra. Próbowaliśmy skontaktować się z nią telefonicznie, ale nie odbiera, dlatego odwiedziłam państwa. – Spojrzała na nastolatka. – Na pewno nie mówiła,

dokąd idzie?

Chłopak pokręcił głową. Mężczyzna mocniej przytulił kobietę. Dagmara wyglądała jak młodsza wersja matki, panów natomiast nie łączyło żadne podobieństwo. Chłopak bardziej wdał się w matkę, po której odziedziczył kolor włosów i karnację. Nie nabrał jeszcze masy mięśniowej i wciąż rósł, ale i tak wzrostem zrównał się już z ojcem.

– Coś jej grozi? – spytał, patrząc z niepokojem na policjantkę.

– Za wcześnie, by to stwierdzić.

– Łukasz, ty coś wiesz? – Matka spojrzała na nastolatka.

Chłopak wzruszył ramionami, ale po jego minie było widać, że coś ukrywa.

– Potem wyjdzie, że ją podsłuchuję – odparł niechętnie.

– Łukasz, do cholery! – Ojciec podniósł głos.

Nastolatek westchnął i spuścił głowę.

– Nie jestem pewny, może mi się przesłyszało – powiedział. – Wczoraj rozmawiała o jakimś spotkaniu w Sopocie, w hotelu Marriott.

– Jesteś pewny? – spytała policjantka, starając się mówić spokojnie. Przed rodziną dziewczyny nie chciała okazywać targających nią emocji.

– Chyba tak. Słyszałem tylko fragment rozmowy. Daga pytała kogoś o radę, czy jechać, czy nie. Ale żeby nie było, że na nią donoszę.

Wyszła przed godziną, myślała gorączkowo Stec. Na miejsce powinna dotrzeć co najmniej trzydzieści minut temu. Jeśli spotkała się z mordercą, to ten mógł już dawno wywieźć ją w jakieś ustronne miejsce.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła wizytówkę, po czym podała ją kobiecie.

– Niech pani dalej do niej dzwoni – powiedziała. – Jak tylko odbierze lub coś sobie przypomnicie, proszę natychmiast mnie powiadomić.

Łyżwińska wyglądała, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale Agata odwróciła się na pięcie i pobiegła w stronę samochodu. Liczyła się każda sekunda.

***

Olkowski nie odbierał. Wcześniej dzwonił do niej dwukrotnie, ale pędząc aleją Niepodległości, nie słyszała dzwonka. Przyszło jej na myśl, że powinna poprosić o wsparcie, ale szybko zmieniła zdanie. Grupa uzbrojonych mężczyzn mogła narobić zamieszania i spłoszyć mordercę.

Zaparkowała tuż przy wejściu do hotelu i szybkim krokiem podeszła do recepcji. W kolejce stały trzy osoby, ale je wyminęła i zwróciła się do stojącej za ladą dziewczyny:

– Komisarz Agata Stec, policja. – Machnęła jej przed oczami legitymacją. – Proszę sprawdzić, czy jest u was zameldowana Dagmara Łyżwińska.

Blondynka ubrana w perfekcyjnie wyglądający kostium obdarzyła policjantkę nieskazitelnym uśmiechem. Zamiast odwrócić się do komputera, by przeszukać bazę gości, jak oczekiwała Agata, tylko wzruszyła ramionami.

– Nie mogę tego zrobić – oświadczyła uprzejmie.

– Że co?

– To są poufne dane i bez nakazu sądowego nie udostępniamy ich nikomu, nawet policji. Przykro mi, nie mogę pani pomóc. Poza tym wepchnęła się pani poza kolejnością.

Komisarz odwzajemniła uśmiech, licząc w myślach do dziesięciu i powstrzymując chęć wybicia pannicy przednich zębów, żeby się tak nie szczerzyła.

– Słuchaj, dziewczynko… – warknęła, próbując nie podnosić głosu. Ostatnie, czego potrzebowała, to zaalarmować wszystkich w hotelu. – Zawołaj kierownika.

Blondynka spojrzała w kierunku mężczyzny stojącego po przeciwnej stronie pomieszczenia i skinęła głową. Ten akurat rozmawiał przez telefon. Agata nie zamierzała czekać na koniec rozmowy. Zbliżyła się do faceta, który na jej widok szybko zakończył połączenie.

– Komisarz Agata Stec, policja – przedstawiła się.

Kierownik obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

– W czym mogę pani pomóc?

– W hotelu być może przebywa poszukiwany przez policję mężczyzna. Towarzyszy mu młoda dziewczyna, Dagmara Łyżwińska. Proszę sprawdzić, czy jest u was zameldowana.

– Niestety, ale bez nakazu nie mogę udostępnić pani takich danych – odpowiedział niewzruszony.

– Chyba sobie jaja robisz.

Uśmiechnął się identycznie jak wcześniej recepcjonistka. Najwidoczniej uczą ich tego na szkoleniach, pomyślała Stec. Każda stracona sekunda zmniejszała szansę na schwytanie mordercy, a ci przejmowali się formalnościami.

– Nasi goście cenią sobie spokój, proszę mówić ciszej. I proszę nas zrozumieć, to nie jest zwykły hotel. To ekskluzywne miejsce w sercu Sopotu. Gościmy przyjezdnych z całego świata i dbamy o ich bezpieczeństwo, w tym bezpieczeństwo ich danych osobowych.

Agata rozejrzała się po recepcji. W przestronnym pomieszczeniu znajdowało się około dziesięciorga gości i co najmniej tyle samo pracowników – zbyt dużo świadków, by użyć przemocy.

– Czyli mam przekazać naszemu rzecznikowi, że hotel oferuje schronienie seryjnemu mordercy i nie chce współpracować z policją? – spytała.

– Wątpię, aby rzeczywiście…

– Chyba że traktujecie to jak awangardową reklamę – weszła mu w słowo. – Ludzie lubią miejsca zbrodni, a to zapewne będzie coś wyjątkowego. Mieliśmy już ciało w koniczynach, ciało w wosku… Tak blisko plaży, to może tym razem jakiś motyw wodny?

Mężczyzna momentalnie spoważniał.

– To… – Odchrząknął i dokończył ściszonym głosem: – Szukacie TEGO mordercy?

– A to coś zmienia? Tak, szukamy TEGO mordercy. Nie znamy jego tożsamości ani wyglądu, ale powinna mu towarzyszyć dwudziestopięcioletnia Dagmara Łyżwińska.

– Momencik.

Podszedł do siedzącej za ladą blondynki. Agata obserwowała, jak wyszczerzona siksa posłusznie wystukuje coś na klawiaturze, po chwili jednak pokręciła głową. Po minie obojga Stec domyśliła się, że nie znaleźli rudowłosej modelki w bazie gości.

Mogła podać fałszywe dane, pomyślała. Albo przyjść do wynajętego przez mordercę apartamentu jako gość. Przeglądanie monitoringu zajęłoby zbyt wiele czasu i z pewnością kierownik nie udostępniłby nagrań bez nakazu, toteż policjantka wyjęła komórkę i odszukała zdjęcie poszukiwanej dziewczyny.

Podeszła do recepcji i wręczyła mężczyźnie swój telefon z wyświetloną stroną agencji Pink & Black ze zdjęciem modelki.

– Proszę dyskretnie wypytać wszystkich pracowników, czy ją widzieli – powiedziała.

Mężczyzna uważnie przyjrzał się fotografii, po czym zerknął na recepcjonistkę, która zaglądała mu przez ramię. Wymienili spojrzenia, a następnie kierownik, zamiast wykonać polecenie, pokiwał tylko głową i oddał Agacie komórkę.

– Obawiam się, że zaszła pomyłka – oznajmił.

– Jaka pomyłka? Zna pan tę dziewczynę?

– Nie osobiście, ale… – Odchrząknął. W jego oczach pojawił się dziwny wyraz, jakby zażenowania, facet przybrał jednak bardziej stanowczy ton. – To z pewnością pomyłka.

Agata zmrużyła oczy. Mężczyzna coś ukrywał, a ona nie miała na to czasu.

– W którym jest pokoju? – spytała.

– Przykro mi. Nie mogę udzielić pani takich informacji. Zapewniam jednak, że jej życiu nie zagraża żadne niebezpieczeństwo.

Stec westchnęła i otworzyła usta. Już miała podnieść głos, gdy dostrzegła stojącą za plecami mężczyzny recepcjonistkę. Ta sama blondynka, która wcześniej wyprowadziła ją z równowagi, nakreśliła palcem w powietrzu numer sto szesnaście. Stec zamknęła usta i się uśmiechnęła. Być może zbyt pochopnie ją oceniła. Nie było jednak czasu na przeprosiny.

– Jak pan chce – powiedziała, patrząc mężczyźnie prosto w oczy. – Nic mi do tego, skoro woli pan nalot dwudziestu uzbrojonych po uszy policjantów. Świetna reklama, nie ma co.

– Zapewniam panią, że nie ma takiej potrzeby.

Zadzwonił telefon na recepcji.

– Proszę odebrać – powiedziała Stec. – Nie będę dłużej zawracać panu głowy.

Odwróciła się, lecz zamiast do wyjścia, ruszyła w stronę schodów, upewniwszy się, że kierownik nie podąża za nią wzrokiem. Na szczęście zajęty rozmową telefoniczną stanął do niej plecami, a wtedy szybkim krokiem wbiegła na pierwsze piętro.

Wyjęła i odbezpieczyła broń. Słyszała bicie własnego serca. Korytarz wydawał się nieskończenie długi. Powoli stawiała kroki, jakby zamiast miękkiej wykładziny miała pod stopami zawieszoną nad przepaścią linę. W obu przypadkach niewielki błąd mógł zakończyć się śmiercią.

Powoli doszła do pokoju z drzwiami oznaczonymi numerem sto szesnaście. Nie wiedziała, co ją czeka w środku. Wyobraziła sobie Mazura rozpruwającego dziewczynie brzuch. Jeśli teoria Agaty okaże się prawdziwa, mogła stanąć naprzeciwko jednego z dwóch wcieleń mężczyzny.

Zapukała delikatnie. Gotowa kopnąć drzwi, gdy tylko się uchylą, czekała w napięciu na ruch mordercy. Nikt jednak nie odpowiedział. Po kilkunastu sekundach zapukała ponownie. Brak jakiejkolwiek reakcji zbił ją z tropu. Drzwi wyglądały na solidne. Nim je wyważy –

o ile w ogóle dałaby sobie radę – morderca zdąży uciec przez okno.

Rozejrzała się w poszukiwaniu sprzątaczki, która mogła dysponować kartą otwierającą zamki we wszystkich pokojach. Ruszyła w stronę windy, gdy za sobą usłyszała odgłos otwieranych drzwi. Odwróciła się i wycelowała z broni. Po chwili dostrzegła rudowłosą dziewczynę ubraną w czarną, elegancką sukienkę. Zarówno na twarzy Dagmary Łyżwińskiej, jak i Agaty pojawiło się zaskoczenie.

Być może wciąż czekała na mordercę, uznała Stec. Bez słowa doskoczyła do modelki i wyciągnęła ją na korytarz. Ze środka dobiegały odgłosy rozmowy i śmiech.

– Co pani?! – krzyknęła Dagmara.

Komisarz otworzyła szerzej drzwi i weszła do pokoju, trzymając w dłoniach broń. Omiotła wzrokiem całe pomieszczenie. Już po kilku sekundach zrozumiała, że nie ma do czynienia z poszukiwanym mordercą. W środku znajdowały się jeszcze dwie młode dziewczyny. Półnagie leżały na łóżku, przytulone do mężczyzny przywiązanego do wezgłowia. Na podłodze walały się porozrzucane ubrania i puste kieliszki.

Spocony grubas spojrzał na Agatę z przerażeniem.

– Co jest grane? – krzyknął. – Kim pani jest?!

Świadkiem w twojej sprawie rozwodowej, odpowiedziała w myślach. Zabezpieczyła broń i schowała do kabury. Uśmiechnęła się, wspominając zachowanie recepcjonistki. Zarówno ona, jak i kierownik wiedzieli, w jakim charakterze przyjechały do hotelu Dagmara i jej koleżanki z agencji. Blondynka postanowiła położyć temu kres, dlatego podała policjantce właściwy numer pokoju.

Dziewczyny, widząc, że Agata nie zamierza opuścić pokoju, sięgnęły po ubrania i zaczęły się ubierać, odsłaniając tym samym leżącego na łóżku mężczyznę. Erekcja widoczna w chwili, kiedy policjantka weszła do pomieszczenia, minęła i członek opadł na jądra grubasa, który bezskutecznie próbował ukryć przyrodzenie, zakładając nogę na nogę.

Stec najchętniej aresztowałaby faceta, ale nie mogła. Podobnie jak w czasach, kiedy jeszcze patrolowała ulice i bezradnie przyglądała się kwitnącej prostytucji, prawo nie zabraniało korzystania z usług seksualnych, lecz tylko czerpania korzyści majątkowych z nakłaniania innych do prostytucji. Sama kara była śmiesznie mała. Agacie zdarzało się zamykać co agresywniejszych klientów, ale i tak dziewczyny nigdy nie składały zeznań. Zastraszone, nabierały wody w usta i kolejnego wieczoru znowu wychodziły na ulicę, gdzie do ust brały znacznie więcej.

– Koniec imprezy – oświadczyła komisarz z niesmakiem. – Wy, dziewczyny, pójdziecie ze mną. A pan sobie tu poleży przywiązany do łóżka i przewartościuje swoje życie.

Grubas zaczął się miotać. Wyzywał i groził, ale jego słowa nie robiły na Agacie najmniejszego wrażenia. Pocieszała się, że przynajmniej Dagmarze nic nie grozi i na dodatek zdobyła dowody obciążające Krzysztofa Czaję, ale martwiła ją sytuacja drugiej poszukiwanej modelki. Podejrzewała, że Olkowski jej nie odnajdzie.

Rozdział XXV

Kobieta w czarnej kurteczce co najmniej od pięciu minut nie odrywała wzroku od telefonu. Mazura ciekawiło, co też tak zaabsorbowało młodą matkę, że nawet nie zerkała na bawiącego się kilka metrów dalej synka. Chłopiec wydawał się niewzruszony tym faktem. Do szczęścia wystarczył mu niewielki kijek, którym okładał niewidzialnych wrogów. Raczej prowadził w szermierczym pojedynku, bo uśmiechał się triumfalnie.

Kilka metrów dalej inna matka bardziej wczuwała się w rodzicielskie obowiązki. To w niej Robert dostrzegł zalążki toksycznej miłości. Kilkuletnia córka bawiła się z psem, który gwarantował zajęcie na długie godziny, ale kobieta, zamiast usiąść na ławce, wolała towarzyszyć dziewczynce i komentować jej zachowanie.

Mazur podrapał się po policzku. Stara blizna piekła, zupełnie jak przed laty, kiedy zranił się szkłem. Rano zauważył nawet ślady krwi na poduszce. Zakleił ranę plastrem. Nigdy nie słyszał o otwierających się na nowo bliznach, ale nie miał teraz do tego głowy, by chodzić po lekarzach.

Obserwacja potencjalnych ofiar zawsze go relaksowała. Nie planował dzisiaj odcinać pępowiny, ale lubił myśleć, że w każdej chwili może znaleźć toksyczną matkę i zakończyć cierpienia dziecka. Przypadek nadopiekuńczej kobiety nie wymagał jeszcze interwencji, Robert wstał więc z ławki i ruszył dalej.

Nogi same poniosły go w stronę palmiarni. Przeszklony budynek wciąż otaczały policyjne taśmy. Przed zabezpieczonym wejściem stała rzeźba przedstawiająca muszlę. Nie kojarzył jej, ale poprzednim razem mógł ją po prostu przeoczyć. Zebranie myśli utrudniała stojąca nieopodal grupa nastolatków, kolejno pozujących do zdjęć i żartujących na temat niedawnego miejsca zbrodni. Robert nie akceptował takiego zachowania. Nie zdążył jednak zwrócić im uwagi, gdy poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

– Witaj, Robercie – usłyszał znajomy głos.

– Artur?

Odwrócił się, nie wierząc własnym oczom. Od dłuższego czasu nosił się z zamiarem, by zadzwonić do psychologa, ale nie wiedział nawet, co mu powiedzieć. Jak przez mgłę pamiętał wydarzenia ostatnich dni. Kojarzył siostrę Kamińskiego, zatrzymanie przez policję i rozmowę z dziwnym mężczyzną w garniturze, nie potrafił jednak powiązać osób z wydarzeniami. Równie mgliście wspominał ostatnie rozmowy z psychologiem.

– Długo kazałeś na siebie czekać – odpowiedział Artur.

– Przepraszam, sam już nie wiem, co się ze mną dzieje.

Nie przepraszaj, zganił się w myślach. Byli przecież partnerami, zmierzali do wspólnego celu, ale coś wydarzyło się po drodze, jakaś nieplanowana komplikacja. Tylko jaka?

– Miałeś wypadek? – spytał Kamiński, patrząc na plaster na policzku Roberta.

– Najwyraźniej. Nic nie pamiętam. Obudziłem się rano i na poduszce zobaczyłem czerwoną plamę. Pomyślałem, że to krwotok z nosa, ale jak poszedłem do łazienki i przejrzałem się w lustrze, to zobaczyłem świeżą ranę w miejscu, gdzie zawsze miałem bliznę.

– Pamiątka po szklanej gablocie?

– Dokładnie tak. Opowiadałem o tym?

Nie pamiętał, by dzielił się z Kamińskim tą historią. Zresztą o czym tu mówić? Biegał po mieszkaniu, stracił równowagę i wyrżnął w przeszkloną gablotę. Pamiętał, jak z mamą pojechali na izbę przyjęć, gdzie czekali przeszło pół godziny, aż lekarz łaskawie znajdzie czas, by zszyć ranę na policzku. Później Robert chodził dumny, a pozostali chłopcy zazdrościli mu widowiskowej szramy pod okiem. Matka z kolei tak się przejęła, że przez dwa tygodnie mógł jeść tyle słodyczy, ile tylko chciał.

– Kiedyś wspominałeś – odpowiedział Artur. – Widzę, że poza tym jesteś w dobrej formie.

– Nie mogę narzekać – odparł Mazur zgodnie z prawdą. – Fizycznie jest super. Gorzej z pamięcią. Nie wiem, chyba powinienem odstawić alkohol.

Kamiński spojrzał na niego uważnie.

– Przejdziemy się? Opowiesz mi, co dokładnie pamiętasz, i wspólnie coś zaradzimy. Zaparkowałem samochód przed główną bramą. Może mnie odprowadzisz?

– Jasne. – Robert udawał pewnego siebie, ale znał psychologa, spodziewał się więc kłopotów.

Ruszyli wolnym krokiem w kierunku stawu, przy którym poprzednim razem rozmawiał z Sylwią Kozłowską. Był wówczas żądny krwi, ale kobieta w ostatniej chwili wymknęła mu się z rąk. Później poszli do palmiarni, gdzie znaleźli ciało. Od tego momentu pamięć Roberta zaczynała szwankować.

– Przyszedłeś szukać toksycznych matek? – spytał Artur.

– Nazwałbym to rekonesansem.

– Ale jednak zaszedłeś do palmiarni. Ciągnie cię tam.

Mazur wzruszył ramionami. Pamiętał, że przynajmniej raz, jeśli nie więcej razy, rozmawiał z Kamińskim o kobiecie porośniętej koniczyną. Do czego doprowadziła ta rozmowa? Co było później?

– Przez chwilę byłeś najbardziej poszukiwanym człowiekiem w kraju – kontynuował psycholog. – Każda stacja pokazywała twoje zdjęcie.

– Ty za to zostałeś w cieniu.

– Cały czas byłem przy tobie.

Szli wzdłuż stawu. Mazur gorączkowo się zastanawiał. Kamiński w swoim stylu nie zdradzał, o co tak naprawdę mu chodzi. Przecież nie szukał Roberta, by uciąć sobie z nim pogawędkę. Niepewność nie pozwalała Robertowi zebrać myśli.

– Może byłeś, a może nie – odparł. – Do czego zmierzasz?

– Do tego, co zawsze. Chcę ci pomóc. Wykonaliśmy już większość pracy. Została jedna rzecz. Ostatnie zadanie, wręcz egzamin.

– Co masz na myśli?

– Zaufaj mi. Wkrótce będzie po wszystkim. Gdybyś nie zaatakował adwokata, rozmawialibyśmy w innych warunkach. Oczywiście nie winię cię za to, zareagowałeś zgodnie z instynktem i jeśli już, to mogę mieć pretensje do siebie, że nie przewidziałem takiego przebiegu zdarzeń. Ale nie wracajmy do nieprzyjemnych rzeczy. Majowi przyda się kilka dni odpoczynku, a my sami, bez udziału osób trzecich, zwieńczymy wieloletnią pracę.

Mazur nic z tego nie rozumiał. Kojarzył buca w garniturze, jego arogancja działała mu na nerwy. Ale żeby go zaatakować? Arturowi musiało się coś pomylić.

Doszli do samochodu psychologa. Mężczyzna otworzył drzwi po stronie pasażera i gestem zaprosił Roberta do środka.

– Mam wsiąść? – upewnił się Mazur.

– Przygotowałem dla ciebie niespodziankę.

Nigdy wcześniej nie siedział w tym luksusowym aucie. Do tej pory Kamiński chronił prywatność, nie dopuszczał do poufałości, a teraz zaprosił go do swojego lexusa. Mazur nie mógł odmówić. Symboliczne przejście z relacji pacjent–lekarz na partner–partner wreszcie się dokonało.

Wnętrze pojazdu zaskoczyło Roberta. Pomijając wygodne skórzane fotele, które w tego typu samochodach były normą, jego uwagę przykuł nietypowy wygląd deski rozdzielczej. Pełna ostrych krawędzi i załamań, bardziej przypominała kokpit statku kosmicznego. Wrażenie potęgował sporych rozmiarów wyświetlacz, na którym widniało kilka ikonek.

– Niezłe auto – stwierdził.

– To tylko bajery.

– Może i tak, ale świadczą o dobrym guście właściciela. Sam też zamierzam kupić sobie takie cacuszko. Ile kosztowało?

Kamiński się uśmiechnął. Za kierownicą wyglądał jak rasowy model.

– Nie zaprzątajmy sobie tym głowy – odpowiedział wymijająco. – Zrelaksuj się, pomyśl o czymś przyjemnym.

O to akurat nie było trudno. W towarzystwie równorzędnego partnera – ba!, w towarzystwie prawdziwego przyjaciela – sama przejażdżka była wystarczającym powodem do uśmiechu.

***

Artur zaparkował kilkadziesiąt metrów za mostem pontonowym prowadzącym na Wyspę Sobieszewską. W najbliższej okolicy stał tylko jeden dom. Mazur przyjrzał się zapuszczonemu budynkowi, nie dowierzając, by terapeuta mógł mieszkać w takich warunkach, choćby tylko w weekendy. Jego wątpliwości szybko zostały rozwiane.

– Przejdźmy się kawałek – zaproponował Kamiński.

Robert nie oponował. Doskonale znał zwyczaje Artura, który nade wszystko cenił sobie ostrożność. Jedną z pierwszych zasad ustalonych przez niego w trakcie wspólnych sesji było

miejsce pozostawiania samochodu. Psycholog upierał się, żeby parkować co najmniej dwie przecznice od celu, a najlepiej jeździć na miejsce autobusem czy tramwajem.

Wniosek wydawał się oczywisty: przybyli tu, by dokonać wspólnie zbrodni, czynu, który scementuje ich relacje. Roberta zżerała ciekawość, ale nie zadał żadnego pytania. Zdawał sobie sprawę, że Kamiński lubi się otaczać aurą tajemnicy. I tak nie odpowiedziałby na pytanie albo zbył je ogólnikami.

Szli asfaltową ulicą około dziesięciu minut, a następnie skręcili w znacznie węższą drogę gruntową i zobaczyli budynek – wielką białą bryłę z przeszklonymi drzwiami i sięgającymi sufitu oknami. Zdaniem Roberta nie pasowała do otoczenia. Kojarzyła mu się z zamkniętymi osiedlami, a nie polami i lasami, pośród których lepiej prezentują się tradycyjne wiejskie domki.

Artur otworzył bramę i poprowadził go do drzwi wejściowych.

– Najbliższe zabudowanie znajduje się kilometr stąd. – Wskazał palcem na majaczący w oddali kształt. – Nikt nie będzie nam przeszkadzał. Nawet jeśli ktoś przypadkiem zabłądzi, to i tak ściany w piwnicy wszystko wygłuszą.

– Zapowiada się intrygująco.

– Tak też będzie.

Psycholog wyjął pęk kluczy i otworzył drzwi. W środku od razu zapaliło się światło. W korytarzu panował przyjemny chłód. Kamienna podłoga trzymała niską temperaturę, dzięki temu świecące w wielkie okna słońce nie dawało się we znaki.

– Zimą musi tu być strasznie zimno – stwierdził Mazur.

– Cały dom nafaszerowano elektroniką. Temperaturą możesz sterować z poziomu telefonu komórkowego.

– Nie wiedziałem, że lubisz tak nowoczesne rozwiązania. W ogóle cała ta chałupa nie bardzo mi do ciebie pasuje.

– To dom znajomego. Wkrótce do nas dołączy.

Weszli głębiej do przestronnego salonu. Liczące około pięćdziesięciu metrów pomieszczenie urządzono w skrajnie minimalistycznym stylu. Białe ściany z ciągnącym się przez kilka metrów betonowym pasem przechodziły w równie biały aneks kuchenny, wyróżniający się tylko granitowym blatem i czarną lodówką. Prócz grafitowego narożnika, zestawu foteli w tym samym kolorze, białego stołu i krzeseł próżno było szukać innych mebli.

– Twój znajomy lubi przestrzeń – stwierdził Robert, siadając w fotelu.

– Rzadko tu bywa. Dom traktuje bardziej jako miejsce spotkań, takich jak to.

Artur podszedł do aneksu kuchennego i podniósł coś z blatu. Po chwili wrócił do Mazura z tabletem w dłoni.

– Gdzieś tu powinno być… – mruknął, wpatrzony w ekran. – O, chyba tu.

Rozległ się cichy szmer. Z górnych framug wysunęły się rolety i stopniowo zakryły okna. Artur wciąż szukał czegoś na tablecie.

– I tak zejdziemy na dół, ale ostrożny zawsze zabezpieczony – oznajmił.

Robert podejrzliwie patrzył na zasłonięte okna.

– Nie jestem zwolennikiem takich bajerów. Zbyt dużo możliwych usterek.

– Gwarantuję ci, że piwnicę urządzono w zdecydowanie bardziej tradycyjnym stylu.

Gdzieś z głębi budynku dobiegła seria odgłosów przypominających dźwięk czujnika cofania w ciężarówkach. Artur odłożył tablet i dodał:

– No, to jesteśmy gotowi. Zapraszam za mną.

Wyszedł z powrotem na korytarz. Robert nie dawał nic po sobie poznać, ale ciekawość rozsadzała go od środka. Cokolwiek Kamiński dla niego przygotował, musiał włożyć w to sporo wysiłku. Trudno o większy dowód szacunku w ich wzajemnych relacjach.

Schody na dół wyłożono lśniącym marmurem. By nie stracić równowagi na śliskim kamieniu, mężczyźni trzymali się balustrady. Artur miał rację, piwnicy nie wyposażono w tyle elektroniki, co resztę domu. Nie było tam choćby czujników automatycznie uruchamiających lampy i psycholog musiał po ciemku wymacać przełącznik. Gdy włączył światło, ich oczom ukazał się wąski korytarz wyklejony tapetą.

Mazur zauważył troje drzwi, choć określenie „drzwi” nie oddawało ich prawdziwej natury. Bardziej przypominały wrota do skarbca. Wykonane z grubej warstwy metalu, wyglądały, jakby miały chronić przed wybuchem bomby atomowej.

Artur podszedł do pierwszych. Z kieszeni wyjął pęk kluczy i wybrał największy, wyglądający bardziej jak rekwizyt sceniczny niż prawdziwy klucz. Włożył go do zamka i przekręcił.

– Zapraszam do środka – powiedział, naciskając klamkę i otwierając drzwi.

W środku panowała całkowita ciemność. Robert niepewnie przestąpił próg, odruchowo wyciągając przed siebie ręce.

– Jeszcze kilka kroków – zalecił Kamiński. – Zaraz włączę światło.

W powietrzu Mazur wyczuwał znajomy zapach. Nie potrafił go powiązać z niczym konkretnym, ale był pewny, że go zna. Nie zdążył się nad tym zastanowić, gdy usłyszał dzwonek telefonu. Dźwięk dochodził gdzieś z głębi pomieszczenia, nie mogła to być komórka psychologa.

Spojrzał z zaskoczeniem na Artura.

– To chyba do ciebie – powiedział Kamiński.

– Ale jak to?

– Od teraz jesteś zdany tylko na siebie. Powodzenia.

Robert obejrzał się w jego stronę. Zobaczył tylko kurczącą się w błyskawicznym tempie szparę światła. Jej zniknięciu towarzyszył odgłos przekręcanego klucza.

– To nie jest śmieszne! – krzyknął.

Podszedł do zamkniętych drzwi i po omacku szukał klamki. Spodziewał się poczuć zimny metal, ale pod palcami wyczuwał drewno, jakby dotykał boazerii. Nie chciał, by okazało się, że spanikował, ale coraz mniej mu się to podobało.

Telefon wciąż dzwonił.

– Artur, otwórz! – zawołał Robert, uderzając pięścią w drzwi.

Po kilku sekundach wyczekiwania odwrócił się i wolnym krokiem ruszył w kierunku, z którego wciąż dochodziło dzwonienie.

Drrrrryń, drrrrryń, drrrrryń – dźwięk brzmiał jak żywcem przeniesiony z czasów PRL-u, gdy na honorowym miejscu w każdym domu spoczywał stary aparat z tarczą. Ostrożnie stawiając kroki, dotarł do ściany. Podobnie jak drzwi, ją też pokryto boazerią. Taką samą Mazur pamiętał z mieszkania matki. Po jej śmierci kazał wszystko zerwać.

Dotknął czegoś, co lekko ugięło się pod naciskiem. Uznał, że to fotel. Obok najwyraźniej znajdował się stolik z telefonem.

– Cokolwiek planujesz, nie podoba mi się to! – krzyknął, podnosząc słuchawkę, po czym dodał: – O co tu chodzi?

– Halo? – W telefonie usłyszał kobiecy głos.

Znał go.

– Agata? – spytał, zdziwiony, że Artur nakłonił siostrę do głupich żartów.

A może to miało na celu zatrzeć niekorzystne pierwsze wrażenie, pomyślał. Skoro z Kamińskim przeszli na poziom przyjaźni, to wypadało też przynajmniej polubić jego siostrę. Tylko dlaczego w tak dziwny sposób?

– Kto mówi?! – krzyknęła do słuchawki kobieta.

Nie zdążył odpowiedzieć, gdy w pomieszczeniu zapaliło się światło. Odruchowo przymknął powieki i zasłonił oczy dłonią. Dopiero po dłuższej chwili wzrok przyzwyczaił się do nowych warunków. Robert wciąż miał przed oczami mroczki, ale natychmiast rozpoznał miejsce, w którym się znajdował.

– To niemożliwe – jęknął, upuszczając słuchawkę. – To nie dzieje się naprawdę…

Rozdział XXVI

– To on… – mruknęła pod nosem.

Olkowski spojrzał na nią z ukosa. Stec ponownie połączyła się z tym samym numerem, ale tym razem usłyszała tylko ciągły sygnał.

– Mazur – dodała po chwili. – Jebany w dupę Paweł vel Robert Mazur.

– Jesteś pewna?

– Wszędzie rozpoznam głos tego psychola.

Kolejny zwrot akcji powinien ją ucieszyć. W końcu postawi na swoim i udowodni, że od początku miała rację. Wciąż jednak nie potrafiła odpowiednio przedstawić swojej wersji zdarzeń, w której Robert Mazur cierpiał na rozdwojenie jaźni. Inspektor prędzej uwierzy w pomocnika, który w odpowiednim momencie zatarł ślady w apartamencie w gdyńskim Orłowie i zostawił otwarte drzwi, by w ten sposób oczyścić Mazura z zarzutów.

– O co w tym wszystkim chodzi? – spytał Olkowski. – Po kiego wała zostawił swój numer?

– Bo jest psycholem? – Wzruszyła ramionami.

Stali przed wejściem do palmiarni. Obok technicy policyjni szukali śladów pozostawionych na rzeźbie przedstawiającej muszlę ślimaka. Jak zdążyli już ustalić, wykonano ją z gipsu. Pod kilkunastocentymetrową warstwą znajdowało się ciało poszukiwanej modelki. Morderca osiągnął szczyt bezczelności, zatrudniając do przewiezienia zamordowanej kobiety firmę kurierską. Trzech młodych mężczyzn odebrało rzeźbę z opuszczonego magazynu w starej części Wrzeszcza i przewiozło we wskazane w zleceniu miejsce. Skrywający makabryczną zbrodnię posąg stał tak pół dnia, aż któryś ze spacerowiczów wyczuł dobiegający z niego fetor, wydostający się przez nadtłuczenie powstałe najprawdopodobniej podczas transportu. Pracownik służb porządkowych potwierdził smród i z ciekawości dotknął uszkodzenia, a wtedy warstwa gipsu odpadła, ukazując skrywane pod nią ciało.

Jakim cudem morderca zdołał zwinąć ciało dorosłej kobiety w kłębek, Stec nie miała pojęcia. Zapewne połamał wszystkie kości, jeszcze zanim ciało zastygło w stężeniu pośmiertnym. Agata miała cichą nadzieję, że nie robił tego na żywca.

Dostrzegła mężczyznę zmierzającego w ich kierunku. Wszędzie rozpoznałaby ten brunatny płaszcz i filcowy kapelusz. Ostatnie, czego potrzebowała, to kłótnia z kierownikiem Działu Zieleni w Gdańskim Zarządzie Dróg i Zieleni.

– Spisz zeznania Olgierda Bogdanowicza – zleciła Olkowskiemu.

– Chyba się zapominasz. To ja prowadzę śledztwo – odparł naburmuszony.

– A mnie oficjalnie odsunięto od sprawy i nie mogę przesłuchiwać świadków. – Poklepała mężczyznę po plecach. – Powodzenia.

Odeszła na bok. Czekała, aż namierzą właściciela numeru stacjonarnego zostawionego na zleceniu dla firmy kurierskiej, ale traktowała to jako formalność. Miejsce, gdzie dostarczono zwłoki, wystarczało jej na potwierdzenie wcześniejszych domysłów: ciało Karoliny Sykut ujawniono przedwcześnie. Jeśli analogia do trutnia była trafna, to dziewczyna powinna była przeczekać jeszcze miesiąc w opuszczonym apartamencie, po czym martwą podrzucono by w miejsce publiczne, być może też do parku w Oliwie. Zatrzymanie Mazura było dla Karoliny wybawieniem od dalszych katuszy. Zmusiło go do zmiany planów. Sykut miała być dopiero trzecią ofiarą.

Rozmowa z rodzicami Katarzyny Wiśniewskiej, której ciało umieszczono w gipsie, nie przyniosła żadnych rezultatów. Podkomisarz przepytał ich poprzedniego wieczoru, gdy Agata przeprowadzała akcję w sopockim hotelu. Janina i Henryk Wiśniewscy zbagatelizowali jej zniknięcie; twierdzili, że córka od wielu lat współpracowała z różnymi agencjami mody, jakby to w jakikolwiek sposób miało uchronić ją przed mordercą.

Kątem oka przyglądała się podkomisarzowi, jak rozmawia z Bogdanowiczem. Mówił głównie ten drugi, Olkowski tylko cierpliwie kiwał głową. Kilka metrów dalej technicy kończyli pracę.

– I co? – spytała jednego z mężczyzn, tego samego, który nie tak dawno próbował nakręcić filmik z dziewczyną pokrytą czterolistnymi koniczynami.

– Masa odcisków palców – odparł, unikając jej wzroku. – Może coś z tego będzie.

– Idę o zakład, że wszystkie należą do kurierów. Coś więcej?

– Warstwa gipsu jest całkiem gruba. Powierzchnię częściowo wyrównywano dłońmi, choć pewnie użyto rękawiczek. Ukruszyliśmy ją tylko na tyle, by odsłonić twarz denatki. Resztę zrobimy w laboratorium.

– To na co czekacie? Jeszcze dzisiaj chcę zobaczyć raport na moim biurku. – Zawahała się, przypomniawszy sobie, że oficjalnie nie bierze udziału w śledztwie. – To znaczy podkomisarz Olkowski chce, żebyście jeszcze dzisiaj dostarczyli mu szczegółowy raport.

– Tak jest!

Stec ciężko westchnęła. Nie miała pomysłu, co rzeźba skamieniałego mięczaka miała wspólnego z aberracją. Znała tylko jedną osobę, która mogła jej pomóc.

***

– Skamieniały ślimak? – spytał Artur, gdy ze szczegółami zrelacjonowała mu, co znaleziono w parku Oliwskim. – Jakiś konkretny?

– A czy ja ci wyglądam na cholerną ślimakolożkę? Brzydzę się tymi obślizgłymi stworami. Nienawidzę, jak wypełzają po deszczu. Za każdym razem, jak czuję pękającą skorupę pod butem… Uch, na samą myśl przechodzą mnie ciarki.

Dzwoniła z samochodu. Miała nadzieję, że Artur podsunie jej pomysł na motyw, którym tym razem kierował się morderca. Nie mogła bezradnie wzruszyć ramionami przy

inspektorze. Lubomirski tracił cierpliwość i choć w pierwszej kolejności oberwie się Olkowskiemu, to ją też czekała nieprzyjemna rozmowa.

– Generalnie muszla ślimaka jest jego zewnętrznym szkieletem – odpowiedział Kamiński. – Ale czy to można nazwać aberracją? Naciągana teoria.

– Czyli co? Morderca zmienił zdanie?

– Bardziej niepokoi mnie udział Mazura w sprawie.

– To jest nas dwoje. Gdyby nie adwokat, za którego sam raczyłeś zapłacić, moglibyśmy coś z niego wyciągnąć. A teraz co mogę zrobić? Ponownie go aresztować? Znowu dać jego zdjęcie do telewizji i gazet? Rzecznik policji ma powiedzieć, że jednak nie wycofujemy zarzutów? Prasa nas wyśmieje.

– Może ktoś go wrabia?

– Ale po jakie licho? Dopiero co ktoś oczyścił go z zarzutów. I nagle zmienił zdanie? Mówiłam ci o mojej teorii, że Mazur ma dwie różne osobowości. Może jednak trzeba iść tą drogą?

Zaparkowała pod komendą. Rozmowa z bratem wyjątkowo ją rozczarowała. Zawsze wyciągał z rękawa jakieś ciekawostki rzucające nowe światło na sprawę, tym razem jednak nie był pomocny.

– Skupmy się na tym ślimaku – powiedziała, wyłączając silnik. – Co morderca chciał nam w ten sposób przekazać? Dlaczego znowu wybrał palmiarnię?

– Zaraz, zaraz. – W głosie brata usłyszała dające nadzieję ożywienie, zupełnie jakby nad jego głową ukazała się żarówka sygnalizująca pojawienie się nowego pomysłu. – To jest rzeźba ślimaka w muszli czy rzeźba samej muszli?

– No, samej muszli. Nie ma tych wstrętnych czułków.

– Jaki miała wzór?

– No, zwykły. Muszla jak muszla.

– Prześlij mi zdjęcie. Potrzebuję kilku godzin na upewnienie się, czy mam rację. Wpadnij do mnie dziś wieczorem. Weź ze sobą Jacka, jego wiedza matematyczna może okazać się przydatna.

– Ale… – Westchnęła ciężko.

– Nie ma żadnego „ale”. Muszę kończyć. Prześlij mi to zdjęcie.

– No dobra, niech tak będzie. Do zobaczenia, braciszku.

Spojrzała na policjantów stojących przed posterunkiem. Fajnie, że Artur wpadł na jakiś pomysł, ale wciąż nie wiedziała, co powiedzieć Lubomirskiemu ani jak wspomnieć o ponownym włączeniu wątku Roberta Mazura do śledztwa.

Zaproszenie Jacka na kolację też będzie ją kosztować sporo nerwów. Nie widzieli się od czasu wspólnej nocy. Agata tłumaczyła sobie, że to ze względu na śledztwo, które pochłaniało ją w zupełności, ale były to tylko wymówki. Gdyby chciała, pojechałaby do Jacka albo chociaż dłużej z nim porozmawiała przez telefon. On zresztą też nie dążył do kontaktu.

Otwarte drzwi do gabinetu Lubomirskiego potraktowała jako zaproszenie. W środku siedzieli już prokurator, inspektor i Olkowski, który spod palmiarni wyjechał równo z nią.

– Można? – spytała, niepewnie zerkając na prokuratora.

– Wchodź, Stec – odpowiedział Grzechu. – Zaczęliśmy bez ciebie. Zamknij drzwi.

Spojrzała na ścianę, na której rozwieszono fotografie zamordowanych kobiet. Zgodnie z teorią podaną do mediów były tam też zdjęcia zrobione w mieszkaniu Sylwii Kozłowskiej. Wystarczył jeden rzut oka, by wskazać miejsce zbrodni niepasujące do pozostałych. Agata wolała się jednak nie wychylać.

– Podsumujmy, co wiemy – zalecił Grzechu, znacząco spoglądając na podkomisarza.

– Oczywiście. – Karol wskazał palcem na pierwsze zdjęcie. – Natalia Szulc, znaleziona pierwszego września w palmiarni w parku Oliwskim. Jej ciało w całości pokrywała koniczyna. Zgłoszenie dostaliśmy…

– Olkowski… – Inspektor ciężko westchnął. – W skrócie: co łączy wszystkie ofiary, co je różni? Co wiemy na temat mordercy, jakie tropy sprawdziliśmy?

Agata nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Mogła pomóc mniej doświadczonemu koledze, ale miło było obserwować jego nieudolne próby.

– Więc tak… – Karol odchrząknął. – Jak ustaliliśmy z komisarz Stec, trzy denatki były równego wzrostu. Mierzyły dokładnie sto siedemdziesiąt dwa centymetry. Ta sama trójka współpracowała z agencją Pink & Black. Dokładnie przeanalizowałem życiorys Sylwii Kozłowskiej i nie natrafiłem na żadne związki z tą firmą.

– A Czaja? – spytał inspektor.

– Mamy zeznania Jacka Biernata i dwóch modelek zatrzymanych przez komisarz Stec w dniu wczorajszym. Gość się nie wywinie. Mimo to stale utrzymuje, że nie ma żadnego związku z morderstwami.

– To akurat jest prawdopodobne. Wystarczy przecież wejść na ich stronę i samemu poszukać odpowiednich dziewczyn.

– No właśnie.

Agata otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Gdyby nie obecność prokuratora, dawno już przejęłaby inicjatywę.

– Stec? – Grzechu spojrzał na nią, jakby dostrzegł jej ruch.

– Nie wiem, czy mogę zabrać głos – odpowiedziała. Udało jej się zrobić to bez cienia złośliwości w głosie. – Jestem odsunięta od sprawy.

– Mów.

Więcej nie było jej trzeba. Poprawiła koszulę, wzięła głęboki wdech i wyminęła Olkowskiego. Czuła na sobie wzrok prokuratora, któremu z pewnością nie w smak była obecność komisarz. Humor jeszcze bardziej mu się pogorszy, gdy usłyszy, co ma do powiedzenia.

– Owszem, na stronie Pink & Black można znaleźć dziewczyny z określonymi parametrami – powiedziała, gdy Karol wrócił na miejsce. – Sami wczoraj namierzyliśmy cztery modelki. Trzy z nich są pod naszą obserwacją, czwartą znaleźliśmy dopiero dzisiaj w parku Oliwskim, martwą. Nie możemy jednak zapomnieć, że pierwszej ofiary, Natalii Szulc, nie było na liście modelek. Dziewczyna współpracowała z agencją tylko raz. Morderca musiał więc w inny sposób do niej dotrzeć.

Komisarz pokiwał głową. Z jego spojrzenia odczytała sugestię, by mówiła dalej.

– Trzeba wyciągnąć od Czai listę wszystkich klientów, ale przepytanie tylu ludzi może zająć całe miesiące, zwłaszcza że wielokrotnie współpracował z zagranicznymi koncernami. Do rana przesłuchiwałam zatrzymane dziewczyny. Żadna nie rozmawiała z nikim podejrzanym. Od matki Natalii Szulc dowiedziałam się, że jej córka w dniu zaginięcia wyszła bez makijażu. Przepytałam więc nasze modelki, czy jakiś klient wymagał od nich, aby się nie malowały, ale ponownie wszystkie odpowiedziały przecząco. – Zerknęła na prokuratora. – Wiem, jak to zabrzmi, ale głównym podejrzanym wciąż jest Robert Mazur.

– Pani chyba sobie kpi! – odpowiedział błyskawicznie mężczyzna. – Grzegorz, uprzedzałem, że wciąganie jej w tę sprawę to błąd.

– Proszę dać mi dokończyć – ciągnęła. – Morderca skorzystał z firmy kurierskiej, by przewieźć rzeźbę do parku Oliwskiego. Oczywiście przepytaliśmy kurierów i dokładnie sprawdziliśmy miejsce, skąd odebrali przesyłkę. Jak na złość, nigdzie w okolicy nie ma kamer, które mogłyby zarejestrować sprawcę. Ten jednak popełnił błąd: na zamówieniu podał numer telefonu stacjonarnego. Dzwoniłam tam dzisiaj z tysiąc razy, aż wreszcie odebrał Mazur.

Nastała cisza. Tylko Olkowski wyglądał na nadąsanego, jakby bardziej niż sprawą przejmował się odsunięciem na bok. Prokurator za to aż nadto interesował się rewelacjami głoszonymi przez Agatę, o czym świadczyły czerwone wypieki na jego twarzy.

– To o niczym nie świadczy – odparł.

– Oczywiście. Nie chcemy działać impulsywnie, dlatego namierzamy właściciela numeru.

– A co z tymi aberracjami? – wtrącił inspektor. – Sprawdziliście temat? Olkowski miał przepytać pszczelarzy, czy ostatnio ktoś nie kupił większej ilości wosku.

– Sprawdziliśmy wszystkie tropy – odpowiedział podkomisarz. – Tak jak wcześniej z koniczynami. Zero śladów. Nikt nic nie wie.

Pytanie o aberracje odebrało Agacie animusz. Spojrzała na rozwieszone na ścianie zdjęcia, jakby miały jej podsunąć gotową odpowiedź. Czterolistna koniczyna, uczulenie na pszczeli jad oraz… Nie miała pojęcia, jak skomentować rzeźbę przedstawiającą skorupę ślimaka.

– Stec? – ponaglił ją inspektor.

– No właśnie, tu jest problem. Czterolistne koniczyny i uczulenie na pszczeli jad mogą mieć jakiś związek, ale na wnioski z odkrytej dzisiaj zbrodni musimy poczekać, aż przyjdą wyniki sekcji zwłok – skłamała.

Nie mogła przecież powiedzieć, że musi naradzić się w tej kwestii z bratem.

– A Kozłowska? – spytał prokurator. Wypieki na jego twarzy, zamiast blednąć, przybrały intensywniejszą barwę.

– To zupełnie inny temat. Wałkowaliśmy to już wiele razy. Ta zbrodnia jest całkiem inna od pozostałych. Proszę samemu zobaczyć.

Odkleiła zdjęcie przedstawiające kobietę, której wnętrzności owinięto wokół gardła syna. Już miała podać je prokuratorowi, gdy jej uwagę przykuła pozycja, w jakiej ofiarę przybito do ściany. Już podczas pierwszej wizyty na miejscu zbrodni skojarzyła ją z *Człowiekiem witruwiańskim* Leonarda da Vinci. Ilość krwi na ścianach i niedbalstwo w poczynaniach

mordercy sprawiły, że odrzuciła tę myśl, ale teraz nabrała ona zupełnie nowego znaczenia.

– Moment – mruknęła. – Karol, bądź tak miły i poszukaj informacji o *Człowieku witruwiańskim.*

– O kim? – spytał podkomisarz.

– Taki szkic. Wystarczą nawet informacje z Wikipedii.

– Nie jestem twoją sekretarką.

Oboje w tej samej chwili spojrzeli na Lubomirskiego, który spiorunował podkomisarza wzrokiem. Karol bez słowa wyjął komórkę i zaczął szukać informacji.

– Do czego zmierzasz, Stec? – spytał Grzechu.

– Nie znam się na sztuce, ale z tego, co pamiętam, ten cały szkic przedstawia człowieka o idealnych wymiarach. Skoro zamordowane dziewczyny były identycznego wzrostu, to może jest to jakiś trop?

Wzrok wszystkich skupił się na gmerającym w komórce podkomisarzu.

– Mam – powiedział triumfalnym tonem, jakby znalazł co najmniej samorodek złota. – Rysunek stworzony ołówkiem i atramentem na papierze. Przedstawia figurę nagiego mężczyzny, a w zasadzie dwóch nałożonych na siebie mężczyzn. Jeden jest wpisany w okrąg, a drugi w kwadrat.

– Jest tam coś o wzroście? – spytała Agata.

– Chwila, czytam jeszcze. Rysunek jest ilustracją do księgi Witruwiusza o idealnych proporcjach człowieka. Ludzka sylwetka ma być głównym źródłem proporcji ze względu na fakt, że wysokość dorosłego człowieka jest w przybliżeniu równa szerokości jego rozstawionych ramion. Według Witruwiusza człowiek dzieli się na dziesięć modułów, przy czym moduł to wysokość głowy mierzona od brody do nasady włosów. Piszą też, że odległość od nadgarstka do łokcia jest długością stopy człowieka. Jest tam wiele innych tego typu porównań.

Stec zawiesiła wzrok na zdjęciu przedstawiającym zamordowaną Sylwię Kozłowską. Myśl o nawiązaniu do dzieła Leonarda da Vinci podsycała jej wyobraźnię. Nie mogła powiedzieć tego na głos, ale czuła, że Robert Mazur naprawdę stał za wszystkimi zbrodniami. Podczas morderstwa Kozłowskiej i chłopca uaktywniła się jego druga tożsamość, która, nieudolnie nawiązując do *Człowieka witruwiańskiego,* próbowała złożyć hołd dla konkurencyjnej osobowości, bardziej dominującej i obdarzonej niebywałym talentem. Policjantka nie wiedziała tylko, która z nich była Robertem, a która Pawłem.

– Nie ma nic o stu siedemdziesięciu dwóch centymetrach wzrostu? – spytała.

– Nie – odpowiedział Olkowski. – Ale już sprawdzam w wyszukiwarce, czy ktoś inny nie wymyślił takich proporcji.

Prokurator nie odezwał się ani słowem, choć jego twarz zdradzała wyraźne pobudzenie. Być może w głowie już sobie układał, co powie w telewizji, pomyślała Stec. Dla sprawy byłoby jednak lepiej, gdyby dał sobie na wstrzymanie. Skoro nie potrafił pomóc, to mógł przynajmniej nie utrudniać pracy policji.

– Charles-Édouard Jeanneret-Gris – przeczytał podkomisarz, kalecząc francuski.

– Że co? – spytał Lubomirski w charakterystyczny dla siebie sposób, po którym zazwyczaj

następowała seria obraźliwych epitetów lub przynajmniej pojedyncze przekleństwo, ale obecność prokuratora najwyraźniej go hamowała.

– Szwajcar o takim nazwisku, nazywany później Le Corbusierem. Architekt, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku wydał książkę *Modulor*, w której pisał o złotej proporcji. Opierał się na stereotypie saksońskim, zakładającym, że idealny wzrost człowieka wynosi sto osiemdziesiąt dwa centymetry.

– To o dziesięć za dużo – zauważył prokurator.

– Owszem, ale po pięciu latach coś mu się odmieniło i wydał drugą książkę o tytule *Modulor 2*. Tym razem uznał, że idealny człowiek mierzy równo sto siedemdziesiąt dwa centymetry.

– Bingo! – krzyknęła Agata. – Co jeszcze o nim wiemy? Każdy szczegół jest ważny.

– Założył czasopismo, wygłaszał wykłady, był nawet cenionym malarzem, ale największy rozgłos zyskał jako architekt. – Karol podniósł wzrok i spojrzał na Stec. – Zaprojektował między innymi willę Savoye w Paryżu, która niby jest znana, ale pierwszy raz o niej słyszę.

Agacie też ta nazwa nic nie mówiła. Od razu pomyślała o Jacku, który jako architekt mógł wiedzieć więcej. Wprawdzie nie przepadał za swoją pracą i rozważał sprzedanie firmy założonej przez żonę, ale znał się na liczbach i jego wiedza bardzo by się przydała.

– Czyli mamy fanatycznego wyznawcę teorii jakiegoś architekta? – spytał inspektor. – Tylko, za przeproszeniem, po kiego chuja zabija te dziewczyny? Powinien je wynosić na piedestał.

– Niekoniecznie – odpowiedziała Agata. – To, że spełniają jeden warunek, nie oznacza, że są idealne. Może mają za krótkie palce albo stopy?

– A aberracje?

– To tylko luźna teoria, ale w momencie, kiedy morderca po dokonaniu pomiarów uświadamia sobie, że porwana dziewczyna nie jest idealna, może zacząć uważać ją za odchylenie. Swoją złość przekuwa w wymyślne zbrodnie, które podkreślają jego obrzydzenie do wszelkiej maści aberracji. Pytanie tylko, co chciał nam przekazać poprzez rzeźbę muszli.

Prokurator wstał i wyrwał Agacie zdjęcie zwłok Sylwii Kozłowskiej. Chwilę przyglądał się miejscu zbrodni, po czym przykleił fotografię na ścianie.

– To stek bzdur – powiedział, zwracając się do inspektora. – Grzegorz, masz dwadzieścia cztery godziny, żeby sformułować konkretne wnioski. Nie chcę słyszeć o żadnych zmarłych architektach. Chcę zwykłą historię o mordercy. Wymyślcie bajeczkę o trudnym dzieciństwie. Niech nasz morderca będzie brzydalem, któremu w liceum dokuczały dziewczyny i teraz się na nich mści. Dość tych dyrdymałów, kapujesz?

Lubomirski nie odpowiedział. Spojrzał znacząco na Agatę. Policjantka zrozumiała przełożonego bez słów. Dostała zielone światło na dalsze dochodzenie. Domyślała się, że wymyślanie bajki dla mediów przypadnie Karolowi.

Rozdział XXVII

Większość potraw na wieczorne spotkanie przygotował zawczasu. Pozostało tylko nakryć do stołu i liczyć na to, że z pomocą Biernata Agata przyjedzie na czas. Najpierw jednak Artur musiał zakończyć rozmowę z warszawską dziennikarką, która kolejny raz rozgadała się na temat współprowadzącego program śniadaniowy. Psycholog równie dobrze mógłby wyciszyć głos w komputerze i co kilka minut rzucać ogólnikowe hasła.

– Mam już tego po prostu dość – oświadczyła po blisko dziesięciominutowym monologu. – Dopiero teraz widzę, jak powtarzalne są jego żarty. Ile można mówić o swoim wzroście? Toć każdy widzi, jaki z niego dryblas.

– Wcześniej ci to nie przeszkadzało – odparł, uśmiechając się lekko, gdy wyobraził sobie zwieńczenie swojej krótkiej współpracy z Dagmarą. – Dopiero ostatnio przeszłaś pewnego rodzaju przebudzenie.

– To nie mnie trzeba budzić, tylko jego.

Kobieta sama wpadała w zastawione przez psychologa sidła. W zasadzie terapia dobiegła już końca. Choć zazwyczaj nie miał czasu ani ochoty na oglądanie porannych programów, to w najbliższą sobotę z pewnością nie odpuści sobie tej przyjemności. Wszystko wskazywało na nietypowy przebieg audycji, po której albo dziennikarka na dobre zniknie z anteny, albo jej kariera nabierze rozpędu. Artur nie potrafił przewidzieć reakcji telewidzów ani kierownictwa stacji.

Dla pewności, by uzyskać odpowiedni efekt, postanowił nagiąć swoje zasady i wykorzystać jedno z narzędzi współczesnej psychologii, nadużywane przez coachów, mentorów i innych pseudospecjalistów, którzy – według Artura – od lat psuli rynek.

– Mam dla ciebie proste zadanie – powiedział. – Zadam ci cztery pytania dotyczące twoich relacji z Michałem. Jesteś gotowa?

– Dajesz.

– Powiedz mi, czego uczy cię Michał poprzez swoje sztuczne zachowanie?

– Czego mnie uczy? – powtórzyła, wyraźnie zaskoczona.

Artur nie widział jej sylwetki, ale był pewny, że dziennikarka poprawiła się w fotelu. Tego typu ćwiczenia zawsze działały na ludzi niemających zielonego pojęcia o psychologii. Wystarczyło skupić się na ich problemie, dać złudzenie fachowej analizy, a wychodzili z gabinetu wniebowzięci.

– Trudne pytanie – odpowiedziała po chwili zastanowienia. – Mogłabym powiedzieć, że uczy mnie, jak ogłupiać ludzi. Wystarczy nauczyć się kilku kwestii, czasem zrobić śmieszną

minę i ludzie jedzą ci z ręki. Z drugiej strony jego zachowanie uczy mnie, jak dzięki własnej konsekwencji można odnieść sukces. Podobnie jak ja nie miał żadnych znajomości. Wszystko, co osiągnął, zawdzięcza swojej pracy.

Kamińskiemu w głowie zapaliła się czerwona lampka ostrzegawcza. Nieświadomie doprowadził dziennikarkę do wniosków ocieplających wizerunek Michała. Sam fakt, że przestała zdrabniać jego imię, był niepokojący.

– Skupmy się na jednej odpowiedzi – zasugerował. – Zapytam raz jeszcze: czego uczy cię zachowanie Michałka?

– Głupio go chwalić po tym wszystkim, co o nim nagadałam, zatem niech będzie, że uczy mnie, jak ogłupiać ludzi.

– Dobrze. A przed czym cię ostrzega?

– To chyba oczywiste. Ostrzega mnie, bym nie szła tą samą drogą, inaczej stanę się medialnym robotem, niemyślącą samodzielnie marionetką, która dla wzrostu popularności jest w stanie zrobić wszystko.

Tym razem poszło bez zarzutu, uznał Artur. Gdyby zechciał, podpuściłby prezenterkę, by skupiła się na tym, ile zawdzięcza koledze. Większości ludzi drugie pytanie wystarczało, by spojrzeli na człowieka z innej perspektywy – oczywiście jeśli terapeuta odpowiednio kierował rozmową. Ćwiczenie, które w teorii miało pomóc pacjentowi dokonać samodzielnej analizy problemu i dostrzec w nim pozytywne aspekty, w rzeczywistości stanowiło kolejne narzędzie manipulacji.

– A co zachowanie Michałka wnosi nowego do twojego życia? – Płynnie przeszedł do trzeciego pytania.

– Co wnosi nowego… – Tym razem Dagmara odsunęła się od komputera, co oznaczało potrzebę nabrania dystansu do omawianego tematu. – Przede wszystkim wnosi to, że musiałam wspomóc się rozmową z psychologiem – zaśmiała się nerwowo. – Ten człowiek wyprowadza mnie z równowagi. Co wniósł nowego… Stres? Irytację? Same negatywne emocje. No, może jeszcze przekonanie, że jestem od niego lepsza, że pomimo tego całego medialnego szaleństwa zachowałam osobowość.

– Dobrze, podsumujmy: mówisz, że Michałek uczy cię, jak ogłupiać ludzi, tym samym ostrzega cię, byś nie poszła tą samą drogą, co on. Do twojego życia wniósł wiele negatywnych emocji, a także stres i irytację. Mając to na uwadze, odpowiedz mi, proszę, na ostatnie pytanie: co ci to daje? Co zyskujesz na zachowaniu Michałka?

Wystarczyło jedno spojrzenie na minę dziennikarki, by Artur zyskał pewność co do skuteczności tego prostego ćwiczenia. Błysk w jej oku i pewny siebie uśmiech nie pozostawiały złudzeń.

– Co mi to daje… – powtórzyła pytanie. – Coś mi przyszło do głowy, ale to strasznie głupie.

– Pierwsza myśl zazwyczaj jest najlepsza. Tutaj nie ma głupich odpowiedzi.

– No, bo pomyślałam, że dzięki zachowaniu Michałka mogę pokazać wszystkim, że jest inna droga. Niekoniecznie trzeba być medialnym wyjadaczem, żeby osiągnąć sukces. Stawiając na spontaniczność i naturalność, też można wyróżnić się z tłumu. Tak jak czynił to

Michał na początku swojej kariery.

– Możesz mu jakoś pomóc wrócić do tego stanu?

– No właśnie o tym pomyślałam, ale nie mam odwagi powiedzieć tego na głos. Na niego nie działają już zwykłe rozmowy. Potrzeba czegoś więcej. Jednorazowego, silnego bodźca, który otworzy mu oczy.

– Wracając do poprzedniego pytania, co ci da wyciągnięcie do niego pomocnej dłoni? Co zyskasz dzięki otwarciu Michałkowi oczu?

– Będę wiedziała, że postąpiłam słusznie. Wystarczy mi sama satysfakcja, ale być może osiągnę coś więcej. Nie chcę wchodzić w szczegóły, bo mam na razie mętlik w głowie. Muszę sobie wszystko poukładać, ale chyba wiem, co zrobić.

Spojrzał na zegarek. Do kolacji pozostały jeszcze trzy godziny. Zdążyłby odwiedzić Mazura, ale wolał dać mężczyźnie więcej czasu na samodzielne zakotwiczenie. Pierwszy raz od wielu tygodni czuł prawdziwą ekscytację.

***

Zbawienny wpływ Biernata na punktualność Agaty zasługiwał na uznanie. Artur żałował, że relacja jego siostry z przystojnym biznesmenem wkrótce dobiegnie końca. Mógł o nim powiedzieć wiele złego, ale w porównaniu z wcześniejszymi sympatiami policjantki wypadał niczym nieskazitelny diament na tle cyrkonii.

– Gewürztraminer? – spytał, pozytywnie zaskoczony otrzymaną butelką. – Niech zgadnę, ośmioletni?

Identycznym winem raczyli się podczas ich pierwszego spotkania przeszło dwa lata temu. Wówczas Biernat przyznał, że z racji swojej słabości do niektórych liczb przetrzymał butelkę w piwniczce o rok dłużej, niż zalecał producent. Tak też uczynił i tym razem.

– Oczywiście.

– Błagam, nie zaczynajcie znowu sobie słodzić – wtrąciła Agata. – Chyba że mam was zostawić samych, co?

– Wchodźcie – odpowiedział Artur. – Zapraszam do salonu.

Zaprowadził gości do stołu, po czym sam udał się do kuchni. Przystawki czekały już przygotowane, a główne danie dochodziło w piekarniku. Wszystko przebiegało zgodnie z planem.

– Zaczniemy od przekąsek – powiedział, wracając do salonu z tacą w dłoniach. – Grillowane szparagi z gorgonzolą, polędwica wieprzowa marynowana w sosie mango i carpaccio z małży św. Jakuba podane z kawałkami grejpfruta. Mam nadzieję, że będzie wam smakować. Wszystkiego przygotowałem po sześć sztuk.

Mina Biernata warta była każdych pieniędzy. Odtworzenie identycznych przystawek i zwiększenie ich liczby wytrąciło mężczyznę z równowagi. Agata najwyraźniej słabo znała swojego partnera, bo niczego nie zauważyła.

– Oby smakowało tak, jak brzmi – odpowiedziała. – Pamiętasz, jak mama pierwszy raz zrobiła szparagi?

– Trudno zapomnieć.

– Po czymś takim można na zawsze się do nich zrazić. – Spojrzała na Biernata, w dalszym ciągu nie zauważając jego podenerwowania. – Wyobraź sobie, nie wiedziała, że szparagi najpierw trzeba obrać. Nie dało się tego zjeść, ohyda.

Artur postawił tacę na środku stołu.

– Te z pewnością będą wam smakować – powiedział, delektując się miną gościa. – Zaraz do was wracam z butelką wina. Mamy dziś sporo ważnych tematów do obgadania.

Wychodząc na korytarz, słyszał Agatę, która z pełnymi ustami zachwycała się jedzeniem. Biernat nie podzielał jej entuzjazmu. Prawdziwe zaskoczenie spotka go, gdy na stole wyląduje popisowe danie jego restauracji z perfekcyjnie odtworzonym sosem. Kamiński cztery razy zabierał się do kaczki, aż wreszcie osiągnął oczekiwany efekt.

– Jacku! – zawołał, wróciwszy z kolejną butelką. – Choć nie wiedziałeś, jakie będą przystawki, to przyniosłeś wino, które doskonale do nich pasuje. Jak widzisz, ja też kupiłem na dzisiaj gewürztraminera. Jest idealnie schłodzony i młodszy od twojego o rok.

Odkorkował butelkę i rozlał trunek do kieliszków.

– Sorry, brat, ale zmienię temat – wtrąciła Agata. – Jackowi już opowiedziałam o moich wnioskach dotyczących śledztwa. Podszedł do tego sceptycznie… – Rzuciła Biernatowi niezadowolone spojrzenie. – Ty pewnie powiesz to samo i całkiem popsujesz mi humor.

Opowiedziała o *Człowieku witruwiańskim*, swojej tezie opartej na twierdzeniach Le Corbusiera i o podejrzeniach co do intencji mordercy. Artur widział, jak z każdym wypowiedzianym zdaniem traci pewność siebie. Początkowo nie rozumiał powodu jej zachowania – przecież w pojedynkę prawie rozwiązała sprawę – ale gdy przeszła do tematu Mazura, zrozumiał, skąd ta tendencja.

– Wiem, że to naciągane – mówiła. Do tej pory opróżniła dwa kieliszki wina. – Nie widzę jednak innej możliwości. To on stoi za wszystkimi morderstwami, ale ktoś może mu pomagać.

– Zgadzam się z tobą – odpowiedział Artur.

– Co? – Agata nie kryła zdziwienia. – Serio? Ty się ze mną zgadzasz? Nie, no, nie wierzę. Chyba za dużo wypiłam!

– Dopiero ostatnia zbrodnia otworzyła mi oczy. Wcześniej skupiałem się na samych aberracjach, nie dostrzegając drugiego przesłania.

– Czyli?

Artur spojrzał na Biernata. Ten już od kilku minut milczał. Jego talerz był pusty, a z kieliszka nie ubyło ani odrobinę wina.

– Z Le Corbusierem wiąże się jeszcze jeden temat. Pomyślałem o tym, gdy rozmawialiśmy przez telefon. Nalegałem na obecność Jacka, bo sam nie jestem orłem z matematyki. Chodzi o ciąg Fibonacciego i złotą proporcję. Możesz przybliżyć nam ten temat?

Biernat wyglądał, jakby nie miał ochoty odpowiadać, ale pod spojrzeniem Artura ustąpił.

– To ciąg liczb naturalnych – odpowiedział niechętnie. – Pierwszy wyraz jest równy zeru, drugi liczbie jeden. Każdy następny jest sumą dwóch poprzednich. To żadna tajemnica.

– Czyli zero plus jeden równa się jeden – dodał psycholog. – Jeden plus jeden równa się dwa. Dwa plus jeden równa się trzy. Trzy plus dwa równa się pięć. Pięć plus trzy równa się

osiem. Osiem plus pięć równa się trzynaście. Trzynaście plus osiem równa się dwadzieścia jeden. Dwadzieścia jeden plus trzynaście równa się trzydzieści cztery i tak dalej, i tak dalej, w nieskończoność.

Agata spojrzała na brata pytającym wzrokiem.

– Zero, jeden, jeden, trzy, pięć, osiem, trzynaście i tak dalej – powtórzył. – Ważniejsze jest, że iloraz sąsiadujących ze sobą liczb daje *fi*, czyli w przybliżeniu 1,618. Ta zasada obowiązuje od liczb pięć i trzy. Im są wyższe, tym ich iloraz jest bliższy *fi*.

Nie chciał zaprzątać siostrze głowy informacjami, że Leonardo z Pizy, zwany Fibonaccim, opisał swój ciąg w dziele *Liber abaci*, ani właściwościami złotej proporcji. Żeby rozwiązać sprawę, wystarczyło wytłumaczyć zjawiska zachodzące w przyrodzie, na których poszukiwany przez policję morderca opierał swoje poczynania.

– Czterolistne koniczyny, pszczoły, muszla ślimaka – powiedział, nakładając sobie ostatni kawałek polędwicy. – Wszystko to bezpośrednio nawiązuje do złotej proporcji i ciągu Fibonacciego. Według niektórych teorii otaczający nas świat opiera się na tej zależności. Większość kwiatów ma liczbę płatków odpowiadającą składowym ciągu. Według zasad złotej proporcji odbywa się także cały proces wzrostu rośliny. Świetnym przykładem są słoneczniki, brokuły, kalafiory, ananasy, a nawet banany. By nie sięgać daleko, koniczyna zazwyczaj ma trzy liście i ta liczba występuje w interesującym nas ciągu. Czterolistne koniczyny są mutacją. Muszla ślimaka jest niczym innym, jak odzwierciedleniem złotej spirali. Jestem słaby w tłumaczeniu takich rzeczy, ale Jacek z pewnością mi pomoże.

Biernat zmarszczył czoło. W dalszym ciągu nie wyglądał na chętnego do udziału w rozmowie.

– No, Jacek, nie daj się prosić – ponagliła Agata.

– Tego nie da się tak łatwo wytłumaczyć – odparł oschle. – Trzeba by to narysować, a i tak nie wiem, czy ktoś bez zaplecza matematycznego to zrozumie.

Artur nie krył satysfakcji.

– To narysuj – powiedział. – Zupełnie przypadkiem przygotowałem wcześniej arkusz A3, który, jeśli będziesz łaskaw mi pomóc, zawiesimy na ścianie.

Podszedł do komody i z górnej szuflady wyjął marker, ryzę papieru i taśmę klejącą. Biernat nie ruszył się z miejsca. Artur spojrzał na niego z rozczarowaniem. Spodziewał się, że mężczyzna podejmie rękawicę, on tymczasem skapitulował przed rozpoczęciem pierwszej rundy.

– Jacek… – poprosiła Agata. – No, pomóż, to dla mnie ważne.

– Tak, już – odpowiedział Biernat, wzdychając ciężko. – Zastanawiałem się, jak to narysować.

Odsunął krzesło, wstał i podszedł do Artura. W jego oczach pojawiło się coś nowego. Coś, na co psycholog czekał od początku wieczoru.

– Nie pogrywaj sobie ze mną. – Biernat szeptał, by nie usłyszała go Agata.

Psycholog uśmiechnął się szeroko. Jacek zapewne zamierzał go przestraszyć, ale uzyskał zgoła przeciwny efekt.

Razem przykleili arkusz do ściany.

– To nie będzie idealna złota spirala, bo do takiej potrzebowalibyśmy nieco bardziej precyzyjnego sprzętu – zaczął architekt, rysując markerem poziomą linię. Zwracał się do Agaty, ale kątem oka obserwował zachowanie Kamińskiego, który rozsiadł się na krześle i z uśmiechem przysłuchiwał się jego słowom. – To jest odcinek. Teraz podzielimy go na dwa krótsze, z których mniejszy ma się do większego tak, jak większy do całości. W punkcie ich łączenia rysujemy kolejny odcinek równy temu dłuższemu.

Odsunął się, by pokazać Agacie rysunek.

– Tworzymy z tego czworoboki, dłuższy odcinek staje się bokiem kwadratu – ciągnął. – Odcinek krótszy tworzy wraz z drugim bokiem tego kwadratu prostokąt. W ten sposób powstaje nowy prostokąt składający się z kwadratu i prostokąta.

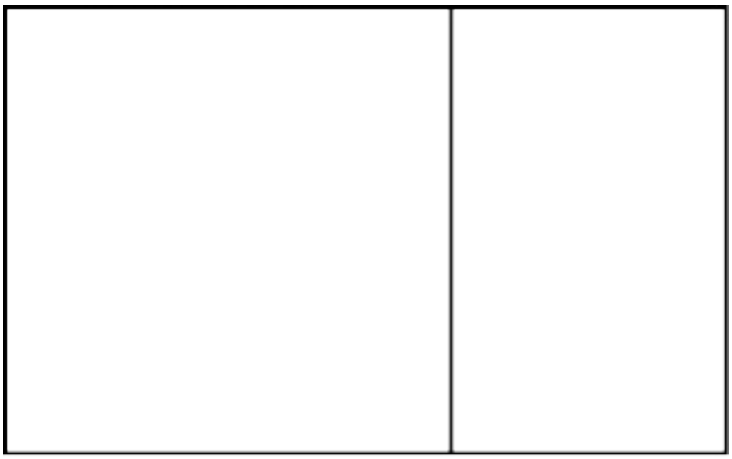

Agata pokiwała głową, choć w jej oczach widać było brak zrozumienia.

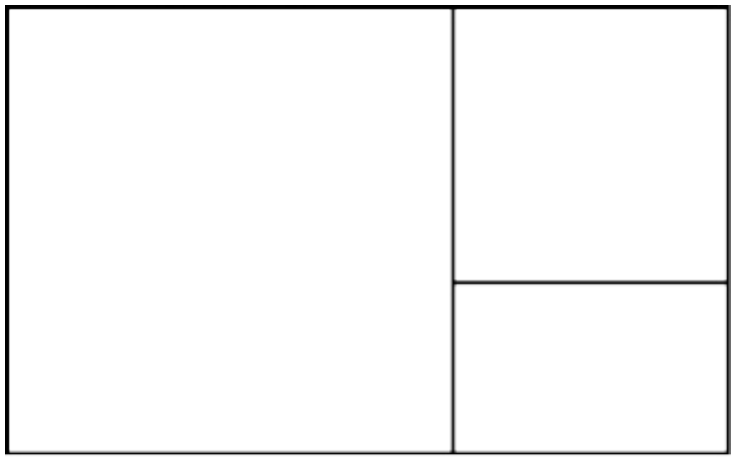

– Idąc dalej, dzielimy mniejszy prostokąt wedle tych samych proporcji, czyli na kwadrat i prostokąt – kontynuował Biernat, wykonując kolejne pociągnięcia markerem.

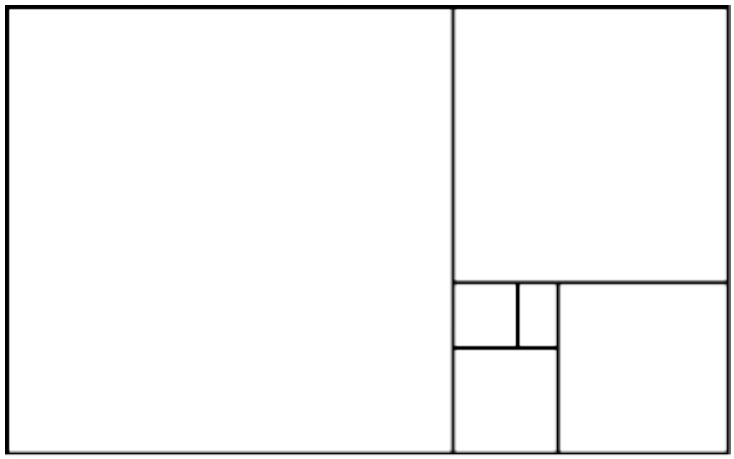

– I tak dalej, i tak dalej, aż nie będziemy w stanie nic dorysować. Nam do prostej analizy wystarczą jeszcze dwa kwadraty.

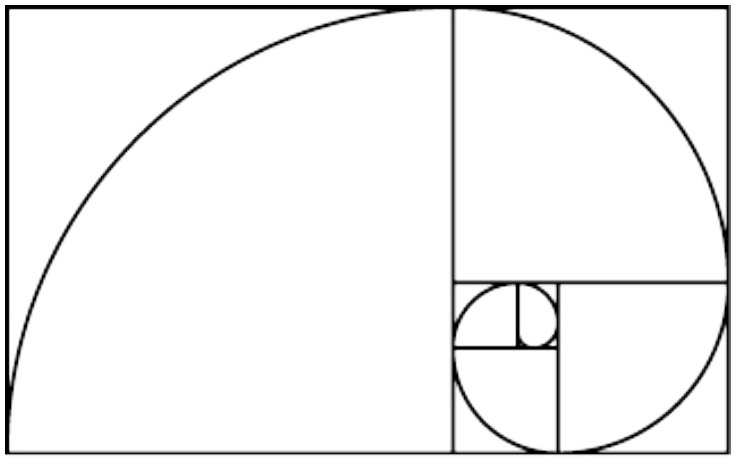

– Teraz ostatnia rzecz: w każdym kwadracie rysujemy łuk okręgu o promieniu równym długości boku tego kwadratu. – Przymrużył oczy i wykonał jedno długie pociągnięcie

markerem, ignorując niepewną minę Agaty, która wyglądała, jakby zgubiła się już przy podziale pierwszego odcinka na dwie części. – Po połączeniu wszystkich ćwiartek otrzymujemy złotą spiralę.

Odsunął się od ściany i krytycznym wzrokiem ocenił swój rysunek. Sprawiał wrażenie, jakby chciał go zerwać i podrzeć na strzępy. Artur uważnie przyglądał się mężczyźnie. Znał jego potrzebę dążenia do doskonałości. Ciekawiło go, czy ze względu na obecność Agaty zdoła pokonać własną słabość.

– Ale jak to się ma do tego całego Le Corbusiera i Fibonacciego? – spytała policjantka, nie odrywając wzroku od ilustracji.

– To są złote kwadraty i złote prostokąty – odparł Biernat lekko znudzonym głosem, jakby stwierdzał oczywistość. – Pomnóż krótszy bok przez 1,618, czyli *fi*, a uzyskasz dłuższy bok. Złota proporcja.

– Aha…

– Naprawdę tego nie rozumiesz? Złote figury są praktycznie wszędzie. Kształt karty kredytowej oparto na tej proporcji. Formę złotej spirali przybierają galaktyki i huragany, nie wspominając już o większości roślin czy muszli.

– Nie zapominajmy również o Świętym Graalu, w którym co poniektórzy fanatycy doszukują się złotej spirali – dodał Artur.

– To akurat brednie – parsknął Biernat. – Faktem jest jednak, że ciąg Fibonacciego i wynikające z niego złoty prostokąt i złota spirala ukształtowały świat, a także nasz ideał piękna.

– A pszczoły? – wtrąciła policjantka. – Mają jedno żądło, to znaczy, że łapią się do tej teorii? A może chodzi o liczbę pasków na ciele? Przecież to jakieś absolutne głupoty.

Słowa Agaty podziałały na Biernata niczym siarczysty policzek. Artur z napięciem wyczekiwał reakcji mężczyzny. Ten zacisnął zęby, jakby powstrzymywał się od wybuchu złości. Psycholog uznał, że musi coś zrobić. W piekarniku dochodziła kaczka i przedwczesne zakończenie wieczoru było nie po jego myśli.

– Na to właśnie potrzebowałem kilku godzin – zainterweniował, patrząc znacząco na Biernata. – Pamiętasz, jak wspominałem o trutniu?

– No tak.

– Jak już wiesz, samiec pszczoły miodnej generalnie nie ma zbyt wielu obowiązków podczas swojego życia. Samice są nieocenione dla naszego ekosystemu, dlatego – jak zgaduję – morderca potraktował uczulenie na ich jad jako aberrację. Zapewne chciał, by niedoskonała dziewczyna wegetowała w bezruchu przez pięćdziesiąt pięć lub nawet osiemdziesiąt dziewięć dni, co odpowiadałoby kolejno dziewiątej i dziesiątej liczbie ciągu Fibonacciego.

Kątem oka widział, że Biernat ledwo powstrzymuje atak gniewu. Biedak, nie wiedział jeszcze, że prawdziwe atrakcje dopiero przed nim.

– Analizując pszczoły, musimy przyjrzeć się cyklowi ich rozmnażania – kontynuował. – W ulu żyją trzy rodzaje pszczół: trutnie, robotnice i królowa, która składa jaja. Trutnie wylęgają się z niezapłodnionych jaj, co oznacza, że rodzą się bez ojców, z samej matki.

Osobniki żeńskie rodzą się z jaj zapłodnionych. Ich matką jest oczywiście królowa, a ojcem któryś z trutni.

– Dalej nie łapię zależności.

– Pomyśl o drzewie genealogicznym pojedynczego trutnia. On sam jest jedynką, czyli liczbą należącą do ciągu Fibonacciego. Nie będzie miał syna, bo jak ustaliliśmy, trutnie rodzą się z niezapłodnionych jaj. Może mieć tylko córkę, tak więc w drugim pokoleniu też będzie tylko jedna pszczoła – samica – a to jest drugi wyraz naszego ciągu. W trzecim pokoleniu urodzi się truteń (z niezapłodnionego jaja córki trutnia) i robotnica (z zapłodnionego jaja). Łącznie mamy dwie pszczoły – kolejną liczbę w ciągu. W następnym pokoleniu wnuk naszego trutnia zapłodni jajo, z którego urodzi się robotnica, a wnuczka będzie matką zarówno samca, jak i samicy. Łącznie będziemy mieli trzy pszczoły – pojawia się kolejna liczba z ciągu Fibonacciego. W dalszych pokoleniach będziemy mieli pięć pszczół, później osiem, trzynaście, dwadzieścia jeden i tak dalej. W każdym nie tylko całkowita liczba pszczół będzie się równać którejś z liczb ciągu Fibonacciego, tę zależność będzie też spełniać liczba robotnic względem trutni. To wręcz fascynujące.

– I sądzisz, że przedstawię tę teorię inspektorowi? – parsknęła śmiechem Agata. – To jakieś totalne dyrdymały. Jacek, chyba ciebie to nie przekonuje?

Na szczęście zadzwonił jej telefon, w przeciwnym razie nawet Artur nie byłby w stanie powstrzymać Biernata od agresywnego komentarza. Spojrzeli sobie w oczy. Kamiński gestem dłoni nakazał, by gość zachował spokój. Ten przecząco pokręcił głową.

– Tak, panie inspektorze? – Gdzieś w tle słychać było głos policjantki.

Jej obecność nie była już do niczego potrzebna. Agacie pozostało odegrać jeszcze jedną rolę, po czym wróci do swojego życia. Znowu zacznie zarywać noce i budzić się z kacem. Artur wątpił, by była w stanie ponownie zaufać jakiemuś mężczyźnie. Obawiał się, że będzie musiał polecieć z nią do Barcelony, co traktował jako ostateczność.

– Siadaj – polecił ściszonym głosem Biernatowi.

Obaj w dalszym ciągu ignorowali Agatę, która ożywionym głosem rozmawiała z przełożonym. Nie musieli jej podsłuchiwać, by wiedzieć, że policja dowiedziała się, do kogo należał numer, z którego morderca zamówił kuriera. Mierzyli się wzrokiem, tocząc milczącą rozmowę.

– Nie rób nic głupiego – zdawał się mówić Artur.

– Nie będę grał na twoich zasadach – sugerowała mina Biernata.

– Za późno na odwrót.

Agata zakończyła rozmowę z inspektorem i odwróciła się w ich stronę. Wypieki na twarzy zdradzające podekscytowanie kontrastowały ze spojrzeniem pełnym wyrzutów sumienia. Z jednej strony pragnęła uczestniczyć w obławie policyjnej, z drugiej nie chciała zostawiać na pastwę brata mężczyzny, w którym się zadurzyła. Artur nie miał wątpliwości, że siostra ostatecznie wybierze udział w akcji, co niesłusznie będzie sobie potem wytykać przez długie miesiące. Błędnie założy, że nagły wyjazd Biernata spowodowało jej egoistyczne zachowanie.

– Namierzyli numer – powiedziała, nieudolnie próbując ukryć podniecenie.

– Jedź – odpowiedział Kamiński. – My tu sobie spokojnie zjemy danie główne.

– Jacek? – Spojrzała na Biernata, jakby prosząc o pozwolenie.

Mężczyzna tylko skinął głową. W oczach Agaty wyglądał na obrażonego, ale Artur znał powód jego zachowania.

Policjantka wstała od stołu.

– Nie chcesz chyba prowadzić? – spytał Artur.

– To tylko kilka kieliszków wina – odparła.

– Agata…

– Ten Bukowski mieszka niedaleko. Góra pięć minut jazdy samochodem. Dam sobie radę.

Artur udawał zaskoczonego. Jego zwykła oszczędność w wyrażaniu emocji ułatwiała mu zadanie. Wystarczyło tylko lekko unieść brew i zmienić ton głosu.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że numer należy do Olgierda Bukowskiego? – spytał.

– Skąd wiesz? – Zaskoczenie na twarzy komisarz było jak najbardziej prawdziwe. Ekspresji obrazującej burzę emocji nie dało się zagrać.

– To niemożliwe…

Kątem oka spojrzał na Biernata. Mężczyzna patrzył w okno, ignorując ich oboje. Swoim biernym zachowaniem sprawiał, że psycholog tracił wiarę w słuszność podjętej decyzji. Na odwrót było już jednak za późno.

– To mój pacjent – dodał po chwili. – Ordynator jednego z gdańskich szpitali.

– Że co? Nie rób mi tego. Błagam cię, powiedz, że to głupi żart. Jak prokurator się dowie…

– Teraz to ma sens. – Spojrzał siostrze prosto w oczy. – Że też wcześniej na to nie wpadłem.

Agata zaklęła pod nosem.

– Coś go łączy z Mazurem? – spytała.

– Można tak powiedzieć. Jakiś czas temu spotkali się przed moim domem. Zawsze robię co najmniej półgodzinną przerwę między sesjami, żeby nie doszło do takiej sytuacji, ale Mazur przyjechał za wcześnie. Później wielokrotnie wypytywał o Bukowskiego.

– Myślisz, że to on mógł przygotować miejsce zbrodni i otworzyć drzwi do apartamentu w Orłowie, gdy Mazur siedział w areszcie?

– Nie można tego wykluczyć. Kilka dni temu Olgierd złożył mi niezapowiedzianą wizytę. Zachowywał się dziwnie. To on mógł być mózgiem w ich duecie. Jak teraz o tym myślę, to wydaje się takie oczywiste.

– Miał dostęp do pavulonu… Kurwa, Artur, wiesz, że będziesz musiał zeznawać?

Terapeuta skinął głową. W jej spojrzeniu dostrzegł niepewność. Po nieprzyjemnościach wynikających z udziału brata i byłego męża w prowadzonym przez nią śledztwie nie wiedziała, czego się spodziewać. Równie dobrze, zamiast premii czy awansu, mogła dostać opieprz od prokuratora.

– Dokąd jedziesz? – spytał psycholog.

– Facet ma dom w Sopocie na Mickiewicza.

– Nie będzie go tam – odparł. – Kilka razy opowiadał o swojej rezydencji w Sobieszewie.

Raz nawet zaprosił mnie na grilla, ale odmówiłem. Gdzieś powinienem mieć zapisany adres.

Nie lubił okłamywać siostry, ale robił to dla jej dobra. Do tej pory wszystko szło zgodnie z planem, toteż wyrzuty sumienia powinna stłumić wizja pozytywnego zakończenia sprawy. Nie wszystko jednak leżało w jego rękach, z czym nie mógł się pogodzić. Robert Mazur raz już go zaskoczył, atakując adwokata nożem. Artur miał nadzieję, że mężczyzna w ten sposób wyczerpał limit nieprzewidzianych i nieodpowiedzialnych decyzji.

Rozdział XXVIII

Nie potrafił oderwać wzroku od paproci. Liście wyrastające z wysokich donic sięgały głowy dorosłego mężczyzny. Pozostały tylko dwie sztuki z dziesięciu. Resztę roztrzaskał o drzwi, podobnie jak aparat telefoniczny i drewniany stolik. Podłogę pokrywały odłamki potłuczonej ceramiki, ziemia i nieszczęsne liście paproci, których zapach doprowadzał mężczyznę do wściekłości.

Wstał z fotela i podszedł do roślin. Gęste, wysokie pędy zasłaniały boazerię. Mazur wiedział, że zasłaniały coś istotnego. Coś, co powstrzymywało go od ciśnięcia nimi w zamknięte drzwi.

Powoli rozchylił liście.

***

– Zostaw to zdjęcie! – wrzasnęła matka.

– Zawsze tu wisiało – odpowiedział, zdając sobie sprawę, że cokolwiek powie, czeka go kara.

Kobieta wyrwała mu z rąk oprawioną w ramkę fotografię przedstawiającą dwóch uśmiechniętych chłopców z tatą. Doskonale pamiętał dzień, kiedy ją zrobiono. Było upalne lipcowe przedpołudnie, a oni we trójkę pojechali na plażę w Brzeźnie. Ojciec od razu wypił butelkę piwa i szybko zasnął na słońcu. Pozostawieni sami sobie chłopcy szaleli w zimnym morzu, nie przejmując się szczękającymi zębami ani gęsią skórką. Ojciec obudził się po godzinie i od razu rozkazał im wyjść z wody. Był zły. Krzyczał i oskarżał starszego z braci o brak odpowiedzialności. Dzień wyglądał na stracony, ale po drugim piwie mężczyzna sam wskoczył do wody i zaprosił synów do zabawy. Wygłupom nie było końca, a wypad zwieńczyła wspólna fotografia zrobiona przez miłą panią leżącą na kocu kilka metrów dalej.

– Nic już nie jest jak dawniej! – krzyknęła matka.

– Znajdą go…

Kobieta wymierzyła synowi siarczysty policzek.

– Jeszcze jedno słowo, a stracę cierpliwość – wysyczała przez zaciśnięte zęby.

Chłopiec obserwował, jak matka chowa zdjęcie do komody. Siedzący na kanapie ojciec beznamiętnie wbijał wzrok w telewizor, nie zamierzając komentować zachowania żony. Już od dawna dzień zaczynał od piwa albo czegoś mocniejszego.

– Rusz dupę do sklepu i kup dwie wysokie donice. Jutro pojedziemy do lasu i wykopiemy paprocie. – Kobieta zwróciła się do męża.

– Oglądam przecież – odburknął.

– Czy ja mówię niewyraźnie? Rusz dupę! Od jutra będą tam stały paprocie. Żadnych zdjęć Robusia, słyszysz? Wszędzie będą paprocie. – Spojrzała na starszego z synów. – A ty, gnojku, za karę przesiedzisz godzinę w schowku.

***

Mazur zdjął ze ściany ukrytą za liśćmi paproci fotografię i wrócił z nią na fotel. Choć zdjęcie zrobiono przeszło trzydzieści lat temu, wciąż pamiętał ten wakacyjny dzień. Później już nigdy nie pojechali z ojcem na plażę. Mężczyzna większość czasu spał lub włóczył się po mieście, podczas gdy matka zamykała syna w ciasnym schowku. W akcie miłosierdzia przeniosła tam czerwony fotel, na którym przespał wiele nocy. Po kilku tygodniach jego domowe więzienie zyskało nowy element wyposażenia – czerwony aparat telefoniczny z wyrwanym kablem. Początkowo każdy dzwonek dawał nadzieję, że odnaleziono Roberta, ale kolejne fałszywe komunikaty odbierały matce siły. Odcięcie telefonu stanowiło ostatni etap pogodzenia się ze śmiercią chłopca, choć w przypływie szaleństwa kazała starszemu z braci czuwać przy niepodłączonym aparacie i informować ją na bieżąco.

– Robuś… – Pogładził palcem fotografię.

To właśnie z tym zdjęciem pierwszy raz odwiedził Artura. Znalazł je, porządkując pawlacz w korytarzu. Sam wówczas porównał stan swojego umysłu do zagraconego pawlacza, w którym ważne rzeczy giną pokryte kurzem i masą śmieci. Psycholog pomógł mu przekopać się przez niewidzialne bariery i na zawsze uciszyć kobietę, która je wzniosła.

***

– Robert? Co tu robisz o tej porze? – spytała, gdy wszedł do kuchni, skrywając za plecami nóż.

– Przyszedłem na obiad.

– Chyba cię nie zwolnili, co? W domu się nie przelewa. Nie muszę ci chyba mówić, jak bardzo potrzebujemy pieniędzy. Z mojej emerytury nie wyżyjemy.

– O to już nie musisz się martwić.

Zacisnął palce na rękojeści. Wszedł do mieszkania z myślą, by bez słowa podciąć matce gardło, ale nie potrafił zdobyć się na ostateczny krok.

– Jaki ty jesteś podobny do ojca – powiedziała z obrzydzeniem. – Kropka w kropkę. Cholerny nieudacznik.

Podszedł bliżej. Czuł, jak przyspiesza mu tętno. Planował to od miesięcy. Tak jak doradzał Artur, wcześniej rozmawiał z sąsiadami i żalił się na coraz gorszy stan psychiczny matki. Opowiadał, że zupełnie zamknęła się w sobie i nie wstaje z łóżka. Jak przystało na troskliwego i kochającego syna, bał się, że spróbuje popełnić samobójstwo. To powinno wystarczyć policji do szybkiego zamknięcia sprawy. Tak przynajmniej twierdził psycholog, a jemu akurat mógł zaufać.

– Ty płaczesz? – spytała kobieta.

– Coś mi wpadło do oka – skłamał, ocierając łzę z policzka.

– Brzydzę się tobą. Jesteś ofiarą losu.

– Jestem twoją ofiarą… – Podszedł bliżej i zatrzymał się o krok przed matką. – To wszystko przez ciebie, słyszysz? Ty mnie do tego doprowadziłaś. Ty mnie nękałaś, kazałaś zmienić imię, nie pozwalałaś na własne życie. To wszystko twoja wina!

Nawet nie zauważył, kiedy wyciągnął nóż zza pleców.

– A to co? – spytała kobieta, patrząc na niego drwiąco. W jej oczach nie było strachu.

– Zabiję cię…

– Ty? Robuś, odłóż to, bo jeszcze zrobisz sobie krzywdę.

– Zarżnę cię.

– Licz się ze słowami, głupi smarkaczu. Odłóż to i wracaj do swojego pokoju albo zaraz wyjmę pas i pokażę ci, jak…

Urwała. Podniosła ręce do gardła, próbując powstrzymać krwotok, po czym osunęła się na podłogę. Mężczyzna poczuł ciepłą krew spływającą kroplami z twarzy i dłoni. Była… słodka. Tylko tyle przyszło mu do głowy. Oblizał wargi. W głowie kręciło mu się od nadmiaru wrażeń.

Zrobił to. Lata udręki wreszcie dobiegły końca.

Usiadł na podłodze. Nie przejmował się kałużą krwi, którą nasiąkały jego spodnie i buty. Z uśmiechem spoglądał na martwą kobietę. Już nigdy go nie uderzy, nie podniesie na niego głosu. Przed oczami przeleciały mu dziesiątki wspomnień związanych z matką. Wszystkie dobre kończyły się wraz z zaginięciem młodszego brata. Równie dobrze mogli wówczas zniknąć razem, tak byłoby lepiej.

– Nie siedź tak. – Usłyszał głos matki.

Przerażony spojrzał na kobietę. Krew wciąż płynęła z podciętego gardła, a szeroko otwarte oczy wpatrywały się w niego jakby ze zdziwieniem. Niemożliwe, by żyła, a tym bardziej, by była w stanie coś powiedzieć.

– Miałeś upozorować samobójstwo – powiedziała głosem pełnym sarkazmu. – Zacznij sprzątać, zmień ubranie, zatrzyj wszystkie ślady…

***

– I do czego cię to doprowadziło? – spytała, gdy wpatrywał się w fotografię. – Od początku mówiłam, żebyś nie słuchał tego człowieka. Zamknął cię tutaj. Wykorzystał do swoich gierek.

– To element terapii – odparł spokojnie. Spodziewał się jej odwiedzin.

– Terapii? Ten człowiek wmówił ci, że miałeś brata. Ze mnie zrobił potwora, który rzekomo się nad tobą znęcał. Przecież nigdy nie podniosłabym na ciebie ręki.

– A to wszystko? – Omiótł wzrokiem pomieszczenie. – Niczego ci to nie przypomina?

Nagle otworzyły się drzwi. Mazur nie ruszył biegiem w ich stronę. Nawet nie drgnął, wiedząc, że jest pod opieką Artura. Terapia dobiegała końca. Oczyścił umysł, wyrzucił fałszywe wspomnienia. Został zakotwiczony.

– A odcinanie pępowin? – spytała kobieta. – Skoro byłam takim potworem, to dlaczego te

wszystkie kochające kobiety porównywałeś do mnie?

– To była zwykła zazdrość, dobrze o tym wiesz. Zazdrościłem tym dzieciakom. Nie mogłem patrzeć, jak matki je przytulają, głaszczą i spędzają z nimi czas. Byłem słaby.

– Brednie. Kochałam cię. Wszystko bym ci oddała.

Odłożył ramkę ze zdjęciem na fotel, wstał i podszedł do wyjścia. W korytarzu nie było nikogo. W pierwszej chwili chciał wrócić po schodach na górę, ale spostrzegł otwarte drzwi do innego pomieszczenia. Poprzednim razem były zamknięte. W środku paliło się przygaszone światło.

– Nie idź tam – nakazała matka.

– Nie masz już na mnie wpływu – odpowiedział. – Zaraz na dobre wyrzucę cię z głowy.

– To pułapka. Uciekaj stąd!

Wbrew ostrzeżeniom kobiety przestąpił próg. Nie wiedział, czego się spodziewać, ale widok zupełnie go zaskoczył. Pomieszczenie było znacznie większe od tego, w którym spędził ostatnie godziny. Surowym stylem bardziej odpowiadało wystrojowi reszty domu. Nie to jednak zwróciło uwagę Roberta, lecz przybity do ściany mężczyzna.

Nie znał go. Był ubrany w grafitowy garnitur i białą koszulę, bez żadnych śladów krwi, choć gardło mężczyzny wyglądało na podcięte. Na ścianie wokół ciała narysowano tarczę zegara. Dłonie denata ułożono jak wskazówki, by pokazywały dziesięć po dziesiątej.

Robert nie potrafił powiązać tej godziny z niczym konkretnym. Matkę zabił po dwunastej, kobietę w palmiarni znalazł jeszcze później, nie mówiąc już o zamordowaniu Sylwii Kozłowskiej. Artur najwyraźniej chciał mu coś przekazać, tylko co?

Rozdział XXIX

– To przecież oczywiste – parsknął lekceważąco Biernat, gdy Artur dopytał go o znaczenie szczegółów ostatniej zbrodni.

– Wybacz, ale nie jestem ekspertem we wszystkich dziedzinach.

– Gdy ustawisz zegarek na godzinę dziesiątą dziesięć, to kąt między wskazówkami wyniesie sto piętnaście stopni. Przekątne złotego prostokąta przecinają się pod niemal identycznym kątem, bo równym 116,56 stopnia. Popatrz sobie na reklamy zegarków. Prawie na wszystkich wskazówki są dokładnie w tym ustawieniu. Jest to konfiguracja najbardziej odpowiadająca estetycznym wzorcom.

Artur lekko się uśmiechnął. Według niego producenci wybierali takie ustawienie wskazówek, by lepiej było widać logo ich firmy. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że złota proporcja na dobre zagościła w świecie człowieka. Niegdyś architekci, wznosząc budynki, nieświadomie opierali się na ciągu Fibonacciego – nie bez powodu liczbę *fi* nazwano na cześć słynnego Fidiasza, budowniczego Partenonu, który jest najbardziej reprezentatywnym budynkiem oddającym ideę złotej proporcji. Współcześni graficy i projektanci świadomie posługiwali się złotym podziałem, tworząc logotypy. Oparto na nim choćby logotypy takich firm, jak Pepsi, Apple, BP, Toyota czy National Geographic.

Biernat najwyraźniej zauważył kpiącą minę psychologa, bo dodał:

– A jak trzymasz dłonie na kierownicy? Lewa na godzinie dziesiątej, prawa na godzinie drugiej. Dziesiąta dziesięć, najlepsze ustawienie.

Artur nie skomentował bezsensownego przykładu, zamiast tego stwierdził:

– À propos godziny, najwyższy czas podać danie główne. Mam nadzieję, że będziesz zadowolony.

***

– Wiedziałam! – syknęła Agata, rzucając komórkę na siedzenie pasażera. Nalot na dom Bukowskiego, w którym uczestniczył Olkowski, okazał się kompletną klapą. Tak jak założył Artur, budynek był opuszczony. Podała Karolowi adres letniej rezydencji ordynatora, ale nie planowała czekać na wsparcie. To była jej sprawa i choć oficjalnie została od niej odsunięta, to i tak samodzielnie doprowadzi ją do końca.

W duszy dziękowała, że w odpowiedniej chwili namierzono numer Bukowskiego i to ordynator okazał się głównym podejrzanym. Rozmowa o tych wszystkich liczbach, spiralach i reszcie wariactwa doprowadziła do tego, że zaczęła myśleć o Jacku w kontekście tej

sprawy. Był przecież architektem i nawet nie krył awersji do niektórych liczb. Jeszcze chwila, a zaczęłaby go przesłuchiwać, co zapewne oznaczałoby koniec obiecującej relacji. Pomimo pierwszego niepowodzenia w łóżku z nikim innym nie czuła się tak dobrze.

Zaparkowała pod bramą, sięgnęła ponownie po telefon, by zerknąć na GPS i upewnić się, że dobrze trafiła. Lokalizacja odpowiadała adresowi podanemu przez Artura.

Budynek otaczało niewysokie ogrodzenie, które przeskoczyła bez problemu. Początkowo schylała się i próbowała chować za otaczającym działkę żywopłotem z bukszpanu, szybko jednak stwierdziła, że wielkie okna zasłonięto roletami zewnętrznymi, nigdzie też nie dostrzegła kamer.

Przyjrzała się dokładniej budynkowi. Jak na kogoś, kogo fascynuje złota proporcja, Bukowski zbudował sobie całkiem zwykły dom. Agata spodziewała się muszli, spiral, trójkątów, pięciokątów czy innego nawiązania do bzdur, o których opowiadał Artur do spółki z Jackiem, tymczasem była to prosta bryła, na dodatek na planie kwadratu, a w ogrodzie nie było nic poza nieprzystrzyżonym trawnikiem i bukszpanami. Co innego dom Jacka – te kolumny, obrazy przedstawiające spiralne galaktyki…

Przestań, upomniała się ostro. Stała pod domem wspólnika Mazura, a zamiast skupiać się na akcji, myślała o głupotach.

Podeszła bliżej i dokładnie obejrzała solidne drzwi. Ze zwykłym zamkiem jeszcze by sobie poradziła, ale wysokiej jakości zabezpieczenia antywłamaniowe stanowiły dla niej zaporę nie do przejścia. Jak miałaby się dostać do środka?

Może po prostu należy zapukać, pomyślała. Wyciągnęła dłoń i nacisnęła klamkę. Drzwi się otworzyły, a w korytarzu rozbłysło światło.

***

Kaczka wyszła wyśmienicie. Soczyste piersi skąpane w sosie hoisin niczym się nie różniły od popisowego dania serwowanego w restauracji Biernata. Jacek nie krył zdumienia. Początkowo ironicznym uśmiechem przyjął podaną na stole potrawę. Artur spodziewał się, że biznesmen nie po raz pierwszy miał do czynienia z próbą skopiowania tajnego przepisu. Zapewne wielokrotnie oceniał nieudolne próby innych kucharzy. Tego wieczoru musiał jednak uznać kunszt gospodarza. Nawet najlepszy krytyk kulinarny nie wyczułby różnicy pomiędzy potrawą zaserwowaną przez Kamińskiego a podawaną w sopockiej restauracji.

– Jest wyborna – przyznał Biernat.

– Przez grzeczność nie przeczę.

– Ale to wciąż tylko kopia oryginału.

– Chciałem oddać hołd twórcy tego rarytasu. Tak jak ty próbujesz oddać hołd dawnym geniuszom, którzy potrafili dostrzec prawdziwe piękno. Czyż to, co robisz, nie jest kopiowaniem czyichś dokonań?

Przytyk zabolał mężczyznę. Zamiast rozkoszować się wyśmienitym daniem, ostentacyjnie odsunął talerz.

– Nie wiesz, o czym mówisz – odparł.

– To mi wytłumacz. Dlaczego zabijałeś te kobiety? Co ci w nich nie odpowiadało?

– Co mi nie odpowiadało? – Jacek wykrzywił usta, powoli tracił nad sobą panowanie. – Przecież to oczywiste. Te dziewczyny miały być idealne, ale okazały się jednym wielkim rozczarowaniem. Szukałem boskiej proporcji, niczego więcej.

Złota proporcja zmieniła się w boską, zauważył Artur. Stąd już blisko do kolejnych naciąganych teorii. W kabale każdej literze w Biblii odpowiada liczba, a sumując wartości liczbowe poszczególnych wyrazów, można było odnaleźć ukryte znaczenia słów. Ogród Eden dawał liczbę 144, a drzewo życia w Edenie liczbę 233. Obie należały do ciągu Fibonacciego, a ich iloraz dawał liczbę 1,618, czyli *fi*.

Idąc dalej, według Biblii Arka Przymierza miała liczyć trzysta łokci długości i pięćdziesiąt szerokości, iloraz tych wartości zbliżał się do wartości *fi*. Ta teoria nie przemawiała do Artura, tak jak i kolejna, o którą nie bez powodu zahaczył podczas pierwszej wizyty Agaty z Jackiem. Prowokując wtedy Biernata, pytał o liczbę sześć – w wagonie o tym numerze jechały żona i córka Jacka, gdy zginęły w katastrofie kolejowej – a dokładniej o trzy szóstki. Architekt wytrzymał próbę cierpliwości, choć na pewno znał i wyznawał teorię, jakoby liczba ta również wynikała z ciągu Fibonacciego. Sinus kąta 666 dawał bowiem liczbę –½ φ.

– Idealna kobieta dokładnie odzwierciedla boską proporcję – ciągnął Biernat. – Stosunek jej wzrostu do odległości od stóp do pępka powinien wynosić *fi*. To samo dotyczy stosunku odległości od koniuszka palca środkowego do łokcia do odległości od łokcia do nadgarstka. Od ramion do czubka głowy do odległości od brody do czubka głowy. Od kolana do pępka do odległości od kolana do stopy. Stosunek długości środkowego palca do małego. Stosunek szerokości dwóch przednich zębów do ich wysokości. Mam wymieniać dalej?

– A Agata? – spytał Artur. – Przecież ona nawet nie ma odpowiedniego wzrostu.

– Początkowo miała być tylko narzędziem, by ponownie zainteresować cię moją osobą, ale po kolacji u ciebie pojechaliśmy do niej i… oboje doświadczyliśmy czegoś wyjątkowego. Nigdy z nikim nie było mi tak dobrze, rozumiesz?

– Mimo jej niedoskonałości?

– Do tego właśnie zmierzam. Jak już będzie po wszystkim, zrobię z niej kobietę idealną. Pomogę jej pokonać własne niedoskonałości. Rozciągnę ciało, spiłuję nieco zęby. To ona jako jedyna odzwierciedli boską proporcję. Nie będzie już potrzebowała makijażu. W przyszłość, w jaką wejdziemy dzięki mnie, żadna kobieta nie będzie musiała ukrywać swojej naturalnej urody. Te młode dziewczyny tego nie rozumiały. Prosiłem grzecznie, żeby nie używały nawet podkładu. Bogini nie potrzebuje sztucznych upiększeń.

***

Z odbezpieczoną bronią weszła do wyłożonego kamieniem korytarza. W napięciu nasłuchiwała kroków, ale w budynku panowała cisza. Ostrożnie przeszła do przestronnego salonu urządzonego w minimalistycznym stylu. Pomieszczenie wyglądało, jakby od dawna nikogo w nim nie było. Kolejne dwa też sprawiały wrażenie nieużytkowanych.

Wszędzie panowała niemal sterylna czystość, co pasowało do portretu psychologicznego poszukiwanego mordercy. Najwyraźniej hipoteza Agaty o dwóch osobowościach Mazura była nietrafiona. Wszystko wskazywało na to, że mężczyzna był pomocnikiem Olgierda

Bukowskiego. To ordynator stał za spektakularnymi morderstwami, a niezrównoważony psychicznie Mazur dał się ponieść emocjom i w brutalny sposób zamordował Sylwię Kozłowską.

Komisarz nie rozumiała tylko, dlaczego tak dokładny i skrupulatny człowiek, który dotychczas nie popełnił najmniejszego błędu, zostawił po sobie ślad w postaci numeru telefonu. Być może mężczyzna zbytnio zaufał Mazurowi, kiedy kazał mu zorganizować nietypową przesyłkę do parku Oliwskiego, uznała.

Spojrzała na zegarek. Od rozmowy z Olkowskim minęło piętnaście minut, co oznaczało, że wsparcie mogło pojawić się w każdej chwili. Obeszła już cały dom poza piwnicą, do której prowadziły otwarte na oścież drzwi. Jej policyjny nos podpowiadał, że właśnie tam znajdzie mordercę, instynkt przetrwania ostrzegał natomiast, że może to być pułapka. Po człowieku, który zaplanował i zrealizował trzy makabryczne zbrodnie, zachowując przy tym anonimowość, mogła się spodziewać wszystkiego.

Ostatecznie posłuchała pierwszego głosu. Z wyciągniętą przed siebie bronią zeszła schodami na niższą kondygnację.

***

Dokończyli posiłek w milczeniu, po czym Artur otworzył przyniesione przez Biernata wino, które osiągnęło odpowiednio niską temperaturę.

Jacek otarł usta serwetką i kontynuował rozmowę:

– Krew mnie zalała, kiedy twoja siostra opowiadała o Le Corbusierze. Ona zupełnie nie pojmuje piękna tej wizji. To właśnie upodobanie do jego projektów połączyło mnie z żoną, wiesz? W podróż poślubną pojechaliśmy do Marsylii, gdzie mieszkaliśmy w Unité d’Habitation. W tym budynku każde mieszkanie zaprojektowano z uwzględnieniem teorii proporcji opublikowanej w *Modulorze*. Wieża wyrastająca z dachu budynku dzieli go na dwie części, przy czym mniejsza część ma się do większej tak, jak większa do całej długości budynku. Brzmi znajomo?

– Jeśli mnie pamięć nie myli, to ten budynek dostosowano do pierwszej teorii Le Corbusiera, według niej człowiek idealny mierzył sto osiemdziesiąt dwa centymetry.

– Tak. Między innymi dlatego drzwi mają tam wysokość 2,26 metra, by człowiek o boskiej proporcji, wyprostowawszy rękę, mógł dotknąć futryny. Później Corbusier poprawił wyliczenia.

Artur upił łyk wina. Miał ochotę na coś mocniejszego, ale na świętowanie dopiero przyjdzie czas.

– Nie boli cię, jak w telewizji mówią o tobie jak o zwykłym mordercy? – spytał prowokująco.

– Wkrótce ulegnie to zmianie. Boli mnie tylko ten lekarz. Do tej pory eliminowałem dziewczyny, które mnie rozczarowały z powodu odstępstw od boskiej proporcji, a ten grubas nawet się o nią nie otarł.

– Trzeba było go zabić. Dobrze zrobiłeś. Dla niego i tak nie było już ratunku. Był zwykłym sadystą, którego już dawno powinna spotkać sprawiedliwość.

Co innego Mazur, dodał w myślach. Los Roberta nie był mu obojętny. Przez lata ten skrzywdzony przez matkę mężczyzna dopuścił się wielu morderstw, ale czynił to w imię wyższego celu, jakim było dotarcie do własnego „ja”. Pozytywne zakotwiczenie, choć zakończone w tragiczny dla Roberta sposób, stanie się głównym tematem następnej książki. Temat na kolejną siedział naprzeciwko.

– Agata prawie cię rozgryzła – powiedział Artur.

– Straciłem czujność. Po zamordowaniu tego grubasa stałem się mniej ostrożny.

– Mało brakowało. Jeszcze kilka minut i zaczęłaby zadawać kłopotliwe pytania.

– Z chęcią odpowiem na wszystkie, gdy już zamknę ją w swoim warsztacie.

– Nie wątpię…

Artur opróżnił zawartość kieliszka. Z uśmiechem obserwował, jak Biernat kopiuje ten ruch. Jak na wielkiego smakosza, jego kubki smakowe były wyjątkowo nieaktywne, nie wyczuły bowiem dodatkowego składnika rozpuszczonego uprzednio w kieliszku. Metoda Olgierda Bukowskiego w tym wypadku okazała się skuteczna. Ordynator wprawdzie w innym celu odurzał młode dziewczyny, ale najważniejsze, że powieki Biernata stawały się coraz cięższe, a on sam zaraz straci kontrolę nad własnym ciałem.

***

Za schodami rozciągał się wąski korytarz z trojgiem drzwi; tylko jedne były zamknięte. Policjantka ostrożnie zajrzała do pierwszego pomieszczenia. Podłogę pokrywały skorupy roztrzaskanych doniczek i ziemia przemieszana z liśćmi paproci, a w kącie leżał staromodny aparat telefoniczny. W pokoju nie było nikogo.

Ślady stóp prowadziły do drugiego pomieszczenia. Policjantka ostrożnie ruszyła w tym kierunku. Nie miała wątpliwości, że od mordercy dzieli ją zaledwie kilka metrów. Sądząc po bałaganie, jakiego narobił w sąsiednim pokoju, najprawdopodobniej był to Mazur, a to oznaczało, że drugi z mężczyzn mógł się czaić na nią w ukryciu. Rozsądniej byłoby poczekać na wsparcie, ale jak już wielokrotnie udowodniła, rozsądek i cierpliwość nie były jej najmocniejszą stroną.

Ostrożnie wychyliła się zza framugi, po czym przestąpiła próg. Dopiero gdy zyskała pewność, że nikt nie kryje się w kącie, przyjrzała się przybitemu do ściany ciału.

Bez wątpienia nie były to zwłoki Roberta Mazura. Jeśli był to Bukowski, to teoria o jego nieporadnym pomocniku legła w gruzach, pomyślała. Ciało było czyste, na ubraniu i ścianach nie zauważyła choćby kropli krwi. Ktokolwiek dokonał tej zbrodni, stał też za poprzednimi. W takim razie może to Mazur był mózgiem operacji, a Bukowski tylko pomocnikiem?

Do wiszącego na ścianie ciała prowadziły ślady stóp, a na podłodze leżały dwie strzykawki, z czego jedna zużyta. W drugiej wciąż znajdował się przezroczysty płyn.

– Pavulon… – powiedziała na głos.

W tym samym momencie poczuła ostrze na swojej szyi.

– Ćśśś – usłyszała. – Ani drgnij, bo omsknie mi się ręka.

Rozpoznała głos Mazura. Robert mocno przycisnął nóż do gardła policjantki, przecinając

jej skórę.

– Przyprowadził cię do mnie – szepnął mężczyzna.

– Nie rób głupstw.

– Ćśśś – powtórzył, jakby usypiał dziecko. – Uprzedzał o prezencie, ale jego gest przerósł moje najśmielsze oczekiwania.

– Odłóż nóż i porozmawiajmy. Wciąż możesz powołać się na niepoczytalność. Ostatnie, czego chcesz, to zamordowanie policjantki na służbie.

Poczuła jego dłoń na policzku, zimną i lepką od potu. Delikatnie ją głaskał. Gdyby nie przyciśnięte do szyi ostrze, policjantka zwymiotowałaby na miejscu.

– Nikt cię tu nie znajdzie – odpowiedział. – Najbliższy dom jest daleko stąd. Zresztą po co ktoś miałby nam przeszkadzać?

– Przecież nie mam metra siedemdziesiąt dwa. Nie spełniam twoich wymagań. Popsujesz swoje wcześniejsze dokonania.

Mężczyzna milczał. Mocniej przycisnął nóż do jej gardła, aż strużka krwi popłynęła w dół dekoltu. Agata się zawahała. Nie była pewna, czy dobrze robi, ale próba zbicia Mazura z tropu mogła być jej jedyną szansą.

– Twoje najnowsze dzieło – ciągnęła. – Co przedstawia? To zegar?

– Nie wiem. Chyba… – szepnął. Po chwili dodał głośniej: – Głupia bladź! Miałaś nic nie mówić. Pozwól mi się skupić.

Znów poczuła jego dłoń. Tym razem sięgał niżej. W pierwszej chwili pomyślała, że Mazur próbuje złapać ją za tyłek, ale zaraz poczuła, jak wyciąga z jej kabury broń.

– Pod ścianę. – Odsunął nóż i pchnął ją do przodu.

Udała, że traci równowagę, i upadła na podłogę. Szybkim ruchem podniosła leżącą obok strzykawkę i wsunęła pod rękaw koszuli. O mały włos, a w pośpiechu zraniłaby się igłą.

– Ani słowa – rozkazał Mazur, robiąc kilka kroków do tyłu. – Muszę się skupić.

Stec wykorzystała jego nieuwagę i poprawiła ułożenie strzykawki. Nie wiedziała, jak szybko działa pavulon – zakładała, że to właśnie ten środek był w strzykawce – ale miała nadzieję, że błyskawicznie zwali mężczyznę z nóg. W ostateczności ona wykorzysta element zaskoczenia i wyrwie napastnikowi nóż.

– Powiedziałem: ani słowa! – wrzasnął nagle Mazur. – Musisz ciągle tak paplać?! Ile razy mam cię uciszać?

– Ale… – Urwała, widząc, że Robert nie patrzy na nią.

– Przysłał ją tu dla mnie, rozumiesz? Dla mnie. Jakiego jeszcze potrzebujesz dowodu?

Ostrożnie podniosła się z podłogi i spojrzała w stronę drzwi. Mogła po prostu uciec schodami na górę i poczekać na wsparcie, nie byłoby to jednak w jej stylu. Nie pozwoli wkroczyć Karolowi z bandą uzbrojonych policjantów. Podkomisarz z chęcią będzie potem rozpowiadał, jak to dzielnie wziął udział w niebezpiecznej akcji.

– Przejrzałem cię! – krzyknął Mazur.

Stec zamarła w bezruchu.

– Już nie masz na mnie wpływu – mówił dalej. – Żałuję tylko, że zabiłem cię tak szybko. Trzeba było zamknąć cię w tej ciasnej klitce, w której tak lubiłaś mnie przetrzymywać.

Ciekawe, jak wtedy byś śpiewała…

Policjantka powoli ruszyła w stronę mężczyzny, który wpatrywał się w ścianę i gestykulował, jakby prowadził prawdziwą rozmowę. Momenty, kiedy wysłuchiwał wyimaginowanej odpowiedzi, napawały komisarz lękiem, że Mazur zwróci na nią uwagę.

Wstrzymała oddech, gdy stanęła dwa kroki od niego. Jak na złość akurat zamilkł. Ostrożnie wysunęła igłę, gotowa do ataku, w tym samym momencie spojrzała na swój pistolet wsunięty za pasek spodni mężczyzny. Nie mając pewności co do działania specyfiku w strzykawce, postanowiła odzyskać służbową broń.

Robert odwrócił się w jej stronę dokładnie w momencie, kiedy sięgała po pistolet.

– A ty co robisz? – spytał zaskoczony.

Nie czekając na jego reakcję, z całej siły wbiła mu w szyję strzykawkę, równocześnie dociskając tłok. Mazur krzyknął z bólu, ale zdołał odepchnąć policjantkę. Upadła na ziemię.

– Co to było?! – syknął z napięciem, wyciągając igłę z szyi i odrzucając strzykawkę na bok.

Stec milczała, powoli podnosząc się na nogi. Robert wyciągnął nóż.

– Zarżnę cię jak matkę – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Policjantka wstała, uważnie mu się przypatrując. Był trochę wyższy od niej, ale wyglądał na osłabionego, jakby nic nie jadł od kilku dni. Miała nadzieję, że wstrzyknięta substancja lada chwila zacznie działać.

– Wszystkie jesteście takie same – powiedział.

– Zaraz wpadnie tu grupa specjalna. – Grała na zwłokę.

– I co z tego? Artur znowu mnie wyciągnie. Myślisz, że po co cię tu przysłał?

Cofnęła się odrobinę, śledząc wzrokiem nóż.

– Trzeba było zabić cię wtedy z byłym mężem. To byłaby godna śmierć. Wasze usta…

Zachwiał się na nogach, jakby dostał potężny cios w skroń, zaraz jednak skoczył ku niej. Widziała, jak bierze zamach, zaciska powieki i tnie nożem na oślep. To była jej szansa.

Zwinnym ruchem uniknęła ataku i chwyciła mężczyznę za nadgarstek.

– Zabiję – wymamrotał, otwierając przekrwione oczy.

Próbował wbić nóż w jej brzuch, była jednak od niego szybsza. W ostatniej chwili wygięła mężczyźnie nadgarstek, obróciła nóż o sto osiemdziesiąt stopni, po czym zebrawszy wszystkie siły, mocno pchnęła. Mazur cicho jęknął, kiedy przebiło go ostrze. Policjantka wręcz odniosła wrażenie, jakby nie był tego świadomy. Na jego twarzy nie rysował się ból ani wściekłość, jakby pogrążał się we śnie.

Powoli osunął się na ziemię.

Komisarz odepchnęła bezwładne ciało na bok. Dłonie i koszulę miała całe we krwi. Nad sobą usłyszała kroki.

– Spóźniłeś się, mały gnojku – westchnęła zdyszana.

Epilog

Spikerka kończyła podawać najnowsze wiadomości. Głównym tematem była akcja na gdańskiej Wyspie Sobieszewskiej. Według doniesień policji dwóch seryjnych morderców zginęło podczas ataku na komisarz Agatę Stec, a jej życiu nie zagrażało już niebezpieczeństwo. Prokurator udzielający wywiadu nie mógł się nachwalić zdolnej policjantki. Jak twierdził, współpracowali ze sobą podczas całego śledztwa, ale nie chciał udzielać zbyt wielu informacji mediom, by nie spłoszyć podejrzanych.

Na pytanie o wcześniejsze wypuszczenie Roberta M. z aresztu odpowiedział z dumą, że był to celowy zabieg prokuratury mający na celu zidentyfikowanie drugiego z mężczyzn. Artur przysłuchiwał się wszystkiemu z lekkim uśmiechem. Usłyszał wcześniej szczegółową relację z ust siostry i ta historia brzmiała nieco inaczej. Dla terapeuty najważniejsze było jednak to, że ani razu nie spytała o Jacka. Być może niesiona sukcesem zawodowym zdoła w miarę bezboleśnie zaleczyć złamane serce.

– Mieszkańcy Trójmiasta mogą odetchnąć z ulgą – powiedział prowadzący program mężczyzna po ponownym wejściu na antenę. – My za to przeżyjemy zaraz prawdziwą scenę grozy.

Kamera przeskoczyła na Dagmarę i łysego mężczyznę z brodą zaplecioną w długi warkocz. Ubrany we flanelową koszulę i dżinsy, wyglądem kontrastował z dziennikarzem wystrojonym w granatowy garnitur.

– W naszym studio gościmy nietuzinkową personę – oświadczył Michał. – Muszę być dla niego wyjątkowo miły, żeby nasze małe przedstawienie zakończyło się dla mnie pomyślnie.

– Panie Karolu – Dagmara zwróciła się do stojącego obok niej mężczyzny. – W zasadzie jak powinnam pana nazywać? Jest pan magikiem? Iluzjonistą? A może czarodziejem?

– Wystarczy Karol – odparł mężczyzna z uśmiechem.

Artur rozsiadł się wygodnie w fotelu. Sąsiednie miejsce zajmował Jacek Biernat. Nie wyglądał na zainteresowanego audycją. Może ze względu na skrępowane nogi i dłonie, ale Kamiński wolał w pierwszych dniach zachować wszelkie możliwe środki ostrożności.

– Jakie to uczucie, gdy twoje życiowe dzieło przypisują człowiekowi skrajnie rozchwianemu emocjonalnie? – spytał.

– Nie będę z tobą rozmawiał – odparł Jacek. – Nie zrobisz ze mnie kolejnego królika doświadczalnego.

– Zabawne, że użyłeś akurat takiego porównania. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego Fibonacci jako przykład swojej teorii podał akurat te zwierzęta. Jak to szło? Ile

urodzi się królików, jeśli zarówno pierwsza para, jak i każda kolejna będzie mogła spłodzić tylko jedną parę królików w miesiącu, przy założeniu, że każda nowa para staje się płodna po miesiącu i żadne króliki nie zdychają. Nie brzmi to zbyt profesjonalnie. Powinien wytłumaczyć to na przykładzie pszczół. Te owady bardziej do mnie przemawiają.

– To akurat bardzo dobry przykład. W pierwszym miesiącu jedna para królików rodzi drugą parę królików, czyli razem mamy dwie pary, tym samym liczbę Fibonacciego. W drugim miesiącu ta sama para rodzi następną parę królików. Druga para jeszcze nie jest płodna, więc na koniec miesiąca mamy trzy pary królików. W następnym miesiącu mamy już dwie płodne pary i jedną niepłodną, czyli rodzą się dwie kolejne pary królików, co łącznie daje pięć par królików.

– Przecież to brzmi absurdalnie. Równie dobrze mogłyby to być chomiki. Poza tym dlaczego Fibonacci liczył pary, a nie poszczególne króliki?

– Szukasz dziury w całym…

– Nieprawda. Próbuję ci pomóc.

– Odurzając mnie podczas kolacji i wywożąc w jakieś zapomniane przez świat miejsce? Zyskałbyś na wiarygodności, gdybyś rozwiązał mi ręce i nogi.

– Wszystko w swoim czasie, Jacku. Preferuję metodę małych kroków. Ja zyskam twoje zaufanie, a ty moje. Obu nam wyjdzie to na dobre.

Nie chciał od razu przypominać Biernatowi, że w katastrofie kolejowej, w której stracił żonę i córkę, w rzeczywistości zginęli też ludzie jadący w wagonach z numerami należącymi do ciągu Fibonacciego. To będzie dopiero jeden z ostatnich etapów długotrwałej terapii.

– Agata o ciebie pytała – zmienił temat.

– Zaproś ją na herbatkę. Na pewno się ucieszy, widząc, jak wygląda twoja praca.

– Zleciła stałą obserwację twojego domu, firmy i restauracji. Trochę czasu minie, aż pogodzi się z twoim odejściem.

– Uważasz, że leczysz ludzi, a tak naprawdę to ciebie powinni zamknąć.

– Czekaj, czekaj. – Artur gestem uciszył mężczyznę. – Chyba się zaczyna.

W studio telewizyjnym kamera skupiła się na iluzjoniście. Mężczyzna trzymał w dłoni pokaźnej wielkości gwóźdź, który tak włożył do drewnianej deseczki z otworem, by stał pod kątem prostym. Na stole znajdowały się cztery papierowe torebki.

– Teraz włożę to niebezpieczne narzędzie do jednej z torebek – oznajmił gość programu.

– A mogę ja? – spytała Dagmara.

Nie czekając na odpowiedź, wyrwała mężczyźnie deseczkę z gwoździem z dłoni i włożyła do środkowej torebki, chwilę przy niej gmerając. Z uśmiechem od ucha do ucha zamknęła wszystkie, które miała przed sobą.

– Masz wykupioną polisę na życie? – zażartował iluzjonista, zbierając je od niej.

– Dagmarka jest moją polisą – odparł pewnie Michał.

Magik odwrócił się plecami do kamery, po czym przetasował trzymane w dłoniach torebki. Dagmara przyglądała się temu z szelmowskim uśmiechem. Po chwili mężczyzna ustawił je z powrotem na stole.

– Przy tym gwoździu jest ukryta sprężyna – wyjaśnił Kamiński Biernatowi. – Nawet jak

uderzysz dłonią w złą torebkę, to nic ci się nie stanie.

– Fascynujące. Tak spędzasz wolny czas?

– Wiedzą o tym wszyscy w studio. Teoretycznie sztuczka nie ma prawa zakończyć się niepowodzeniem. To twoja pierwsza lekcja. Zobacz, czym różni się teoria od praktyki.

Utkwił wzrok w ekranie telewizora. Pierwszy plan jak zawsze zarezerwował dla siebie Michał, ale Kamiński patrzył na stojącą z tyłu Dagmarę. Uśmiech nie znikał z jej twarzy.

– Ja zaczynam – powiedział iluzjonista, po czym z impetem uderzył dłonią w torebkę znajdującą się po prawej stronie stołu.

– To teraz ja? – spytał Michał.

– Dajesz, dajesz – dopingowała Dagmara.

Dziennikarz podniósł obie dłonie do góry. Kamera śledziła jego ruchy. Wyuczona mina, dawkowanie napięcia i… twarz Michała wykrzywiła się w grymasie bólu, a on sam głośno krzyknął. Jego mina pierwszy raz od wielu lat wyrażała prawdziwe emocje. Gwóźdź przebił dłoń na wylot, zostawiając mu pamiątkę na całe życie.

– Podobnie rozprawimy się z twoją teorią – skomentował z satysfakcją Artur.